

Aφ

Przygody kapitana Alatryste

Arturo
PÉREZ-REVERTE



Kawaler w żółtym
kaftanie

ARTURO PÉREZ–REVERTE

KAWALER W ŻÓŁTYM KAFTANIE

(LAS AVENTURAS DEL CAPITÁN ALATRISTE, #5:)
(EL CABALLERO DEL JUBÓN AMARILLO)

Przełożył: Filip Łobodziński

Ilustracje: Karol Precht



Wydawnictwo: Muza 2006

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Kapitan Alatryste traci swą rycerską niewinność! Ujawnia mroczne zaciekle oblicze, niełatwe do zaakceptowania nawet dla jego wiernego giermka. Tym razem akcja powieści rozgrywa się wokół teatru, tam też dochodzi do isticie teatralnej intrygi: zabiegając o względy pięknej aktorki, Alatryste staje naprzeciwko niespodziewanego konkurenta w osobie samego króla. I nim zdoła się obejrzeć, zostaje oskarżony o królobójstwo. Co w tej sztuce jest prawdą i kto kryje się pod kolejnymi maskami?

Spis treści:

- I. PODWÓRZEC DE LA CRUZ. 5
- II. DOM PRZY ULICY FRANCOS. 31
- III. W PAŁACU HABSBURGÓW. 66
- IV. ULICA CRIMINALES. 95
- V. WINO ESQUIVIAS. 119
- VI. ZGINĄŁ KRÓL, NIECH ŻYJE KRÓL. 149
- VII. ZAJAZD POD WĘDZONKĄ. 173
- VIII. O ZABÓJCACH I KSIĄŻKACH. 202
- IX. RAPIEREM I SZTYLETEM. 233
- X. PRZYNEĘTA I PUŁAPKA. 261
- XI. NA ŁOWACH. 286
- EPILOG. 313
- POZWOLENIE. 324

Dla Germana Dehesy,
za skromne honory

„... w imię honoru Hiszpanii. Ten zasię to nic innego, jak suma skromnych honorów każdego człeka z osobna” – rozważa Íñigo Balboa w *Słońcu nad Bredą*. *Skromne honory* to także tytuł sztuki, jaką napisał German Dehesa, meksykański pisarz i przyjaciel autora.

*Złe języki, losu palec
Srodze życie mu płatały,
A choć był żołnierzem śmiałym,
To w kłopoty wpadał stale.*

*Za broń chwycił, nieraz zabił –
Jak łotr, a nie jak kapitan.
Ale gdyby kto zapytał –
To nie on, lecz czas to sprawił.*



I. PODWÓRZEC DE LA CRUZ.



samej rzeczy, Diega Alatryste jakby biesy opętały. Tego dnia dawano nową komedię na podwórku de la Cruz, on tymczasem na stokach pod Bramą Żuławną bił się z jegomościem, którego imienia nawet nie znał. Autorem sztuki był Tirso, co na Dworze Królewskim, jako i w mieście, wielkie poruszenie wzbudziło. Wszyscy jak jeden mąż cały teatr po brzegi wypełniali albo kolejną stali na ulicy, gotowi za sztylety chwytać – dla wielce zasadnego powodu, jak miejsce na widowni, do siedzenia albo choćby i stania, nie zasię dla takiej błahostki, gdy się dwóch raptem na rogu zderzy i nuże sobie do oczu skakać. Takież bowiem był ów Madryt, że z jednaka gorliwością człek się żegnał pobożnie i rapiera dobywał.

Do diaska, a baczże waszmość, którędy stąpasz. Patrzcie no go, ślepyś acan chyba. Dalibóg. Dali mi, jazda. Tak to od nieopatrznego acanowania – osobliwie, gdy ten drugi był młodym paniczem o krwi prędkiej – do potyczki już tylko krok. Wasza miłość może mi „acan” prawić albo i tykać się ze mną – ozwał się Alatryste, przesuwając dwoma palcami po wąsach – na zboczu pode Żuławną, zgola nieopodał. Z rapierem i sztyletem, jeśli w szlachetności swej poświęci mi łaskawie chwilę. I snadź tamtemu owej

chwili nie zbywało, a do odmiany zachowania swego się nie kwapił. Dlatego natychmiast ruszyli ramię w ramię jak dwaj druhowie i właśnie skakali wokół siebie, z dala widoczni na stokach nad brzegiem Manzanares, ni słowa ku sobie cały ten czas nie kierując – nawet na znak, by broni dobyć, która teraz radosne kling–ding rozsiewała i błyskała w promieniach zachodzącego słońca.

Nieoczekiwanie z niejakim wysiłkiem Alatryste powstrzymał pierwszy poważny atak przeciwnika po wymianie kilku próbnych ciosów. Był wielce rozzłoszczony, atoli bardziej na siebie samego niżli na tamtego. Rozzłoszczony swą własną złością. A to bynajmniej nie bywa pomocne w takich spotkaniach. Gdy stawką jest życie albo zdrowie, szermierka wymaga chłodu we łbie i wycucia rytmu w ruchach, inaczej groźba nad tobą zawisa, że złość czy jakie inne humory ulotnią się z ciała pospołu z duszą przez niespodzianą dziurę w kaftanie. Wszelako nijak się tej złości nie mógł wyzbyć. Czarna chmura już go była dopadła, gdy wychodził z Gospody Pod Turkiem – sprzeczka z Caridad Cyganichą zaraz po jej powrocie z mszy, skutkiem której talerze w proch poszły, on zaś drzwiami trzasnął, bo już i tak spóźniony był na przedstawienie – toteż, kiedy skręcił z ulicy Arcabuz w Toledo i trafem zderzył się z tym jegomościem, podłe nastroje wydały owoc w postaci potyczki, lubo przecie można było rzecz całą rozstrzygnąć rozumnie i słowa zapalczywe powściągnąć. Teraz aliści było już za późno, by bieg wypadków zawrócić. Przeciwnik napierał nań chwacko, zgoła wybornie się do fechtunku przykładając. Zwinny był jako sarna, żołnierskie zdradzał obycie, co kapitan zmiarkował, bacząc na postawę tamtego: nogi szeroko rozstawiał, a rękę miał szybką, gdy zadawał cios i gdy go powtarzał. Zuchwale atakował krótkimi wypadami, chcąc podziurawić swego adwersarza, cofał się, jakby gotując się do cięcia albo ciosu na odlew, i wyraźnie czyhał na moment, gdy będzie mógł lewą stopą

pójść naprzód i związać wraży rapier jelcami swego sztyletu. Była to sztuczka stara jak świat, wszelako nader skuteczna, jeśli ten, co się jej imał, dobre miał oko, a rękę jeszcze lepszą. Atoli Alatryste więcej walk miał za sobą i więcej ran otrzymał, przeto przesunął się po okręgu ku lewej ręce przeciwnika, udaremniając jego zamiary, jego samego zaś o znużenie przyprawiając. Korzystał z tego i przyglądał mu się: tamten mógł mieć lat ze dwadzieścia, kompleksji był przyjemnej, co i żołnierskie nawyki zdradzała, widoczne dla wprawnego oka, którego nie zmyli stateczny ubiór, krótkie buty z łosiowej skóry, koszula z wybornego sukna i szary płaszcz, leżący teraz na ziemi wedle kapelusza, by w walce nie przeszkadzały. Może to ktoś zacnego rodu – pomyślał kapitan. Bije się solidnie, odważnie, języka nie strzępi, za grosz samochwalstwa, zwyczajnie robi, co doń należy. Alatryste zlekceważył fintę, przesunął się jeszcze ćwierć okręgu w prawo i ustawił tak, by tamten miał słońce prosto w oczy. A żeby jego samego piekło pochłonęło. O tej porze pierwszy akt *Ogrodu Juana Fernandesa* musiał już trwać na dobre.

Postanowił rzecz zakończyć, aliści zważając, by pośpiech planów mu nie pokrzyżował. Z drugiej strony nie warto było życia sobie komplikować, zabijając tego człowieka przy niedzielnym słońcu. Właśnie nadchodził z zamiarem zadania cięcia, tedy Alatryste, wprzódę się zatrzymawszy, zdarzoną chwilę wykorzystał, by zamierzyć się puntą rapiera od góry, odbił się stopami w prawo, opuścił rapier, by pierś osłonić, i mimochodem zadał tamtemu niecne pchnięcie lewakiem prosto w głowę. Cios szpetny, niezbyt zgodny ze sztuką fechtunku, co łącznie stwierdziłby każdy świadek. Ale świadków nie było, María de Castro z pewnością pojawiła się już na scenie, a i do samego podwórca de la Cruz miał kawałek drogi. Wszystko to razem nie zachęcało do dworności. Poza tym manewr się powiódł. Przeciwnik pobladł, osunął się na kolana, a nader czerwona krew jęła żwawo płynąć

mu po skroni. Sztylet upuścił i wsparł się o ziemię na mocno wygiętym rapierze, który wciąż w dłoni zaciskał. Alatryste swój do pochwy wsunął, podszedł i delikatnie rozbroił tamtego do reszty czubkiem buta. Zaraz też podtrzymał go przed upadkiem, chustkę czystą dobył z rękawa swego kaftana i najlepiej, jak umiał, obwiązał mu ukośną ranę na głowie.

– Poradzisz sobie waszmość sam? – zapytał.

Tamten spoglądał nań mętными oczyma i słowem się nie ozwał. Alatryste westchnął zniecierpliwiony.

– Pilne sprawy czekają na mnie – rzekł.

Nareszcie młodzieniec słabo skinął głową. Wysiłki czynił, by powstać, zaraz też Alatryste z pomocą mu pośpieszył. Nieznajomy wsparł się na jego ramieniu. Krew nadal płynęła mu spod opatrunku, ale był wszak człkiem młodym i silnym. Rychło winna skrzepnąć.

– Poślę po kogoś – bąknął Alatryste.

Nie było jak ostawić go i pójść sobie wreszcie precz. Zerknął na iglicę wieży Pałacu Królewskiego, co zza murów wystawała, i zjechał wzrokiem ku wydłużonemu mostowi na trakcie segowiańskim. Żadnego strażnika – co można było zapisać po stronie zysków – ni natręta. Żywego ducha. Cały Madryt podziwiał teraz Tirsę, a on się zabawia tutaj i czas paskudnie traci. A może – pomyślał zniecierpliwiony – zwykły real załatwiłby sprawę, wszak wedle Bramy Żuławnej kręciło się mnóstwo handlarzy obnośnych i wszelakich próżniaków, co na podróznym czyhają. Taki mógłby poprowadzić nieszczęśnika aż do jego domostwa, do piekieł czy gdzie by tam sobie wieszował. Posadził rannego na kamieniu, co się od murów był oderwał, i podał mu kapelusz, płaszcz, rapier i sztylet.

– Mogę uczynić coś jeszcze?

Tamten oddychał powoli, wciąż kolorów nie odzyskawszy. Popatrzył na kapitana przeciągle, jakby z trudem dostrzegał wyraźne zarysy jego oblicza.

– Jak waszmości nazwisko? – wychrypiął wreszcie cicho.



...i przepychał się jeno, „wybaczy waszmość” i „proszę mnie przepuścić łaskawie” z ust mu nie schodziło...

Alatriste otrzepał sobie kapeluszem pył z butów.

– Moje nazwisko to moja sprawa – odparł zimno, nakrywając głowę. – A waszmościne obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczna pogoda.

Mość Francisco de Quevedo i ja spostrześliśmy go, jak wchodził w chwili, gdy zabrzmiały gitary, wieszczące koniec intermedium. Kapelusz miał w dłoni, płaszcz zwinięty na ramieniu, rapier do siebie przyciskał, a głowę trzymał nisko, by jak najmniej zasłaniać, i przepychał się jeno,

„wybaczy waszmość” i „proszę mnie przepuścić łaskawie” z ust mu nie schodziło, i tak sunął wśród ciżby, co stłoczyła się na podwórku i wszędzie, gdzie się tylko dało. Wyszedł przed dolną galerię, przywitał się ze strażnikiem teatralnym, zapłacił szesnaście marawedi za miejsce w prawym skrzydle, wszedł na schody i znalazł się wreszcie obok nas, na ławie w pierwszym rzędzie, tuż przy balustradzie i bardzo blisko sceny. W innym razie zdumiałbym się wielce, że go w ogóle wpuszczono, skoro ludzi owego popołudnia tak mnogo było, że szpilki byś nie wcisnął, a na ulicy de la Cruz spory tłum protesty zanosił, że dla nich miejsca nie wystarczyło. Jakem się wszak wywiedział po jakimś czasie, kapitan zmyślnie nie głównym wejściem do środka się dostawał, jeno bramą wjazdową, czyli drogą, którą niewiasty wchodziły na tylną galerię, dla nich wyłącznie zarezerwowaną, a trzeba waszmościom wiedzieć, że urzędujący tam odźwierny – strojny w napierśnik skórzany dla obrony przed żelazem, którym zawsze usiłują sobie drogę utorować tacy, co kolei swej czekać nie chcą – był czeladnikiem w aptece przy Puerta Cerrada, u Cyklopa Fadrique, a ten przecie w wielkiej przyjaźni z kapitanem pozostawał. Łatwo policzyć, że po posmarowaniu łapska odźwiernemu, opłaceniu wstępu, miejsca siedzącego i jałmużny na szpitalu miejskie wydatki rosły do całych dwóch reali – taka krwawica dla kapitańskiej kieszeni bynajmniej błahostką nie była – osobliwie gdy zmiarkujecie waszmościowie, że innymi razy za tę samą cenę można było wynająć całą lożę na pięterku. Ale *Ogród Juana Fernandeza* był sztuką nową, a do tego pióra samego Tirsa. W owym czasie nasz braciszek mercedariusz¹, zwący się w rzeczywistości Gabriel Téllez, obok sędziwego Lopego de Vega i jeszcze jednego poety, co lubo młody, już sławą opromieniony, czyli Pedra Calderona, zarabiał na równi z dzierżawcami teatru i aktorami, cieszył się także uwielbieniem ze strony publiczności, wielkiemu Lopemu ustępując jeno chwałą i popularnością. Co

więcej, madrycki ogród, któremu tytuł sztuka zawdzięczała, był sławnym, wspaniałym i czarownym terenem nieopodal górnego Błonia, przez dwór cały chętnie odwiedzany, osobliwie zasię przez galantów, co schadzki tam sobie urządzali. Na deskach podwórca charakter miejsca owego ożywał wybornie, jak można było wnosić z zachowania widowni: owóż ledwie w pierwszym akcie na scenie pojawiła się Petronila za męża przebrana, w butach z ostrogami, a obok niej Tomasa w stroju lokaja, widzowie podnieśli ogromną a entuzjastyczną wrzawę, i to zanim precudna aktorka María de Castro zdołała usta swe otworzyć. Nawet muszkietierowie – grupa stłoczona na dole z tyłu podwórca, nazywana tak z uwagi na hałaśliwe krytyki i gwizdy oraz na to, że stali tam w płaszczach, z rapierami i sztyletami, niczym wojsko na apelu albo na służbie – otóż muszkietierowie, którymi dyrygował ich przywódca szewc Tabarca, gromko przyklasnęli i głowami z powagą przytaknęli, gdy z przodu padły sławetne wersy, powszechnie cenione i lubiane:

Dwór i niewinność to przecie

Zjawiska sprzeczne ze sobą.²

A z muszkieterską aprobatą to nie były przelewki. W owych czasach, kiedy korrida i teatr jednakię poruszenie wśród gminu i szlachty wywoływały, a komedie budziły tak przemożne namiętności, że każda premiera mogła jej autora wynieść na sam szczyt lub go zeń strącić, nawet największą estymą cieszący się dramaturgowie powitalną odę dedykowali właśnie owej hałaśliwej i kapryśnej publice:

Tym ludziom, co władni są sprawić przecie,

Czy komedia przegra, czy triumf odniesie.

Zaprawdę, w naszej malowniczej Hiszpanii, zarazem wzniosłej i podłej, nie zdarzało się, by medyka ukarano za zgładzenie pacjenta skutkiem krwi puszczania i niedouczenia, nie zdarzyło się, by adwokata zrzucono z urzędu za matactwa, przekupstwo lub indolencję, nie zdarzyło się wreszcie, by urzędnika królewskiego pozbawiano przywilejów za to, że zapuścił łapę do monarszego kufra – ale nie wybaczone żadnemu poecie, jeśli mętnymi wersami miast trafnych się popisował. Czasem mogłeś wrażenie odnieść, że widownia ochotniej bawi się na złych komediach niżli na dobrych, bo podczas tych drugich mogła jeno upajać się i brawo bić, te pierwsze zaś daleko więcej miały powabów – już to gwizdano, już to gadano, wykrzykiwano i łajano wszystko, co się dało, do diaska, przebóg, paradne, toż nawet bisurman czy luter nie zasługuje na takie bezceństwa i tym podobne. Najnikczemniejszy cymbał wszem wobec pokazywał, jaki zeń bywalec, nawet służące i garkotłuki podzwaniały kluczami w swej galerii, dyskretnie manifestując swoje obeznanie. Tak to Hiszpanie folgowali swej ukochanej rozrywce – skoro musieli wypijać kielich goryczy, zatrutej skutkiem złych rządów, przeto odbijali to sobie grubiaństwem, co w tym tłumie bezkarnie uchodziło. Snadź wszystkim jest wiadome, że Kain jako żywo był szlachcicem, starym chrześcijaninem i na świat przyszedł w Hiszpanii.

Owóż, jakem już wspomniał, kapitan Alatryste dotarł tam, gdzieśmy mu miejsce zajmowali do czasu, aż ktoś z widowni upomniał się, że chce tam zasiąść. Mość Francisco de Quevedo, chcąc zwady uniknąć – nie żeby małego ducha był, ale z uwagi na powagę miejsca i okoliczności – puścił natręta, uprzedzając go wszelako, że miejsce zostało już wynajęte, dlatego kiedy właściciel się pojawi, trzeba je będzie opróżnić. Zrazu tamten, siadając, burknął jakies „zobaczymy, do kroćset”, atoli ledwie kapitan

pojawił się na stopniach, mość Francisco wzruszył ramionami i wskazał na zajęte siedzisko, a pan mój wbił w intruza dwa zielone sople swych jasnych oczu, początkowa niechęć ustąpiła pełnej respektu bojaźni. Człek ów, jakiś majętny rzemieślnik – jak się z czasem wywiedziałem, dzierżawca dołów śnieżnych przy Fuencarral – któremu szpada pasowała nie bardziej, niżli Chrystusowi arkebus, spojrzął najpierw w lodowate oczy kapitańskie, potem na gęsty wąs starego wiarusa, na poszczerbioną i poznaczoną gardę toledańskiego rapiera i wreszcie na lewak, co panu memu znad biodra wystawał. Za czym, bez słowa i skulony jak trusia, ślinę przełknął i niby to wołając sprzedawcę miodu, by szklankę napitku kupić, usunął się w bok, sąsiadowi połowę jego miejsca zabierając, a kapitanowi ostawiając całe jego siedzisko.

– Bałem się, że waszmość nie dotrzesz – ozwał się mość Francisco de Quevedo.

– Napotkałem przeszkodę – odparł kapitan, poprawiwszy sobie rapier.

Woń roztaczał potu i metalu, jak w czasie wojny. Mość Francisco zmiarkował, że pan mój ma plamę na rękawie kaftana.

– To waszmościna krew? – spytał z troską, unosząc brwi nad szklami.

– Nie.

Poeta skinął głową z powagą, odwrócił wzrok i nic więcej nie rzekł. Jak sam kiedyś zauważył, prawdziwych druhów poznać po spełnianych pucharach, walce ramię w ramię i stosownym milczeniu, gdy sytuacja tego wymaga. Ja takż z troską przypatrywałem się panu swemu, który zaraz też rzucił mi uspokajające spojrzenie i spod wąsa przywołał na usta coś, co można by niepewnym uśmiechem nazwać.

– Wszystko w porządku, Íñigo?

– Wszystko w porządku, kapitanie.

– A jakżeż wypadło intermedium?

– Niezgorzse. *Nuże mi z powozem*, taki tytuł miało. Napisane przez Quiñonesa de Benavente. Uśmialiśmy się do łez.

Więcej ni słowa nie rzekliśmy, bo właśnie umilkły gitary. Z głębi podwórca jęły dobiegać niecierpliwe sykania rozsierdzonych muszkieterów, którzy z właściwym sobie nieokrzesaniem i w słowach nie przebierając, dopominali się ciszy. W galerii dolnej i górnej załopotwały wachlarze, niewiasty poniechały dawania znaków mężczyznom i vice versa, przepadli gdzieś sprzedawcy napojów i łakoci ze swymi kosztami i flaszkami, a za zazdrostkami na swych podnóżkach na powrót zjawiły się sylwetki możniejszych. W jednej z najlepszych łóż dostrzegłem hrabiego de Guadalmedina w kompanii kilku przyjaciół i dam – dwa tysiące reali rocznie kosztowało go wynajmowanie wolnego miejsca na wszystkie nowe komedie – a w sąsiednim oknie mości Gaspara de Guzmán, hrabiego–diuka de Olivares, wraz z rodziną. Nader brakowało wszystkim Najjaśniejszego Pana, iże król Filip Czwarty wielce się w teatrze lubował i nierzadko incognito albo i jawnie na przedstawienia przybywał – aliści tym razem znużony był niedawną podróżą do Aragonii i Katalonii, trudów pełną, podczas której na powrót wschodząca gwiazda dworu, czyli mość Francisco de Quevedo, wchodził w skład orszaku (podobnie jak uprzednio w Andaluzji). Ani chybi poeta mógłby zasiąść jako gość w wyższych rzędach, ale że lubił wmieszać się w gmin, dlatego nieodmiennie wybierał tętniące życiem dolne rejony podwórca, a krom tego lubił chodzić do Cruz albo Príncipe pospołu ze swym druhem Diegiem Alatryste. Ten bowiem, aczkolwiek z zatrudnienia wojak i zabijaka, a i w słowach powściągliwy, był wszelako człekiem niezgorzsej wykształconym, co mnogie a zacne księgi czytał i do teatru z ochotą chadzał. A chociaż nie dawał tego po sobie poznać, snadź sądy swe zwykł dla siebie zachowywać, przecie potrafił dostrzec zalety danej komedii, nie dając się przy tym zwieść tanim efektem,

do jakich niektórzy autorzy uciekali się, chcąc łaskawość publiczności sobie zaskarbić. Nie czynili tak jeno najwięksi, jako to Lope, Tirso czy Calderón. A nawet gdy ci ostatni pragnęli się popisać, nie umieli ukryć swego geniuszu, czym dobitnie ukazywali różnicę pomiędzy wielką sztuką a małymi sztuczkami. Sam Lope nie miał sobie równych w tej materii:

*I kiedy mi komedię pisać trzeba,
Zamykam reguły na cztery spusty;
Precz Terencjusza usuwam i Plauta,
By podszeptów ich uniknąć.
Snadź zawsze,
Dobitnie w niemej księdze krzyczy prawda.³*

Czego, rzecz oczywista, nie należy brać za wyznanie *mea culpa* naszego Feniksa Geniuszy, że się nieprzepisowych zabiegów chwyta, raczej za objaśnienie, że nie był on skłonny schlebiać gustom uczonych akademików i neoarystotelików, co bezlitośnie najślawniejsze komedie Lopego ganili, a przecie każdy z nich dałby sobie rękę uciąć, byle móc się pod którą z nich podpisać, a osobliwie zapłatę za nią zagarnąć. Owego wieczoru, przypominam, nie Lope się prezentował, jeno Tirso, atoli rezultat był podobny. Dzieło, należące do gatunku zwanego komedią płaszcza i szpady, napisane precudnym wierszem, poruszało, krom zawilej intrygi miłosnej, nader głębokie zagadnienia: zwodniczość i fałsz życia w Madrycie, mieście ułudy, do którego przybywa dzielny żołnierz, by za swe czyny nagrodę odebrać, lecz nieustannie oczajduszów pada ofiarą; a przy tym jeszcze piętnowało pogardę dla pracy i pragnienie życia ponad swój stan – jakże typowe Hiszpanów przywary, co już nieraz nas w otchłań strącały i miały nam towarzyszyć jeszcze w latach następnych, pogłębiając moralny trąd,

który przeżarł wszechpotężne imperium, otrzymane przez nas w spadku po owych niezłomnych, buńczucznych i śmiałych mężczyznach, co przez osiem stuleci w pień Maurów wycinali, nic do stracenia nie mając, a wszystko do wygrania. W Hiszpanii roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego szóstego, kiedy to wydarzyło się wszystko, co niniejszym prawie, słońce jeszcze nie zachodziło, ale ku zachodowi już się chyliło. Bo przecie i szesnaście lat potem, kiedy jako chorąży pod Rocroi unosił nad głową strzępy sztandaru pod ostrzałem francuskiej artylerii, sam świadkiem byłem smutnego zmierzchu dawnej chwały, stojąc pośrodku ostatniego czworoboku naszej nieszczęsnej, zawsze wiernej piechoty („Policz waszmość poległych” – rzuciłem potem wrazemu oficerowi, co mnie pytał, ilu nas służyło w rozbitym właśnie regimencie). A znakiem tego zmierzchu były oczy kapitana Alatryste, którem podówczas na wieki zamknął.

Ale wszystko po kolei. Powróćmy teraz do podwórca de la Cruz i owego wieczoru, gdy Madryt rozkoszował się nową komedią. Zaprawdę, powrót Tirsa na scenę wielkie poruszenie wzbudzał w każdym, jak to już wyżej wspomniałem. Kapitan, mość Francisco i ja patrzyliśmy z naszego skrzydła na scenę, gdzie właśnie rozpoczynał się drugi akt komedii: Petronila i Tomasa na nowo pojawiły się na deskach, fantazji widzów pozostawiając urodę ogrodu, symbolicznie jeno wyobrażonego zasłoną z bluszczu, spływającą z drzwi po jednej stronie sceny. Kątem oka widziałem, że kapitan do przodu się pochylił, opierając się wręcz rękami o balustradę, a orli jego profil odcinał się ostro w promieniu słońca, co zdołało przeniknąć przez dziurkę w płachcie, rozpostartej nad widownią dla osłony przed oślepiającym blaskiem – podwórzec zwrócony był pochyło ku zachodowi. Obydwie aktorki nader wybornie się prezentowały w męskim przyodziewku, którego to obyczaju nie zdołały wyplenić z teatru ni naciski inkwizycji, ni królewskie edykty, upodobanie publiczności było wszak

silniejsze. Takż kiedy faryzeusze, co w Radzie Kastylii zasiadali, za poduszczeniem fanatyków w sutannach komedii w Hiszpanii zakazać usiłowali, próby ich spaliły na panewce za sprawą ludu, który nie życzył sobie, by mu w upodobaniach grzebać. A za dodatkowy argument posłużył akuratnie przypomniany fakt, że część wpływów z każdej komedii płynęła na utrzymanie zgromadzeń miłosiernych i szpitali.

Powróćmy wreszcie do podwórca de la Cruz i do Tirsa, bo jakem już wspomniał, wyszły dwie niewiasty za mężów przebrane, na co głośną a zgodną owacją odpowiedziały: cały podwórzec, galerie boczne, górna i łoże, a kiedy María de Castro w roli Petronili rzekła pamiętne słowa:

Zaliczaj mnie w trupów poczet, Bargasie.

*Mózgu nie staje, nie jestem...*⁴

... muszkietierowie, jakom rzekł, narodek kapryśny, okazali swą aprobatę, wspinając się na czubki palców, by lepiej widzieć, niewiasty zasię na swej galerii poniechały skubania orzechów laskowych, limonek i śliwek. María de Castro była najurodziwszą i najsłynniejszą aktorką owej epoki. Nikt inny poza nią nie ucieleśniał tak doskonale wspaniałego i przedziwnego świata, jakim był nasz teatr, pełniący z jednej strony rolę zwierciadła codzienności – czasami krzywego, bo satyrycznego – z drugiej natomiast ukazujący najcudniejsze marzenia. Owa Castro była niewiastą żwawą, o wybornej figurze i jeszcze piękniejszym licu: oczy duże, barwy czarnej, zęby bielusieńkie jako i płeć, usta kształtne i czarowne. Inne zazdrościły jej urody, strojów i sposobu, w jaki podawała wiersz. Mężowie zasię uwielbiali ją na scenie i pożądaliby poza nią. Takiemu obrotowi rzeczy nie sprzeciwiał się zgoła jej małżonek Rafael de Cózar, chluba sceny hiszpańskiej, przesławny komediant, o którym będę jeszcze miał dalej sposobność

opowiedzieć waszmościom bardziej szczegółowo, teraz wszelako powiem jeno, że krom swego teatralnego daru – ku wielkiej uciecze widowni, z ogromną swobodą i wdziękiem grywał brodaczy i komicznych szlachciców, sługę szelmę albo wójta z Sayago⁵ – Cózar bez skrupowania, o ile wprzódy stosowna sumka wpłynęła, ułatwiał dyskretny a swobodny dostęp do powabów swych czterech czy pięciu podopiecznych artystek. Wszystkie one, rzecz oczywista, były zamężne, a przynajmniej za takowe uchodziły, by nie naruszać rozporządzeń, obowiązujących od czasów Filipa Drugiego. Owóż Cózar mawiał z właściwym mu uciecznym brakiem wstydu, że grzeszyłby samolubstwem i pogwałciłby jedną z cnót głównych, cnotę miłości, kto by nie podzielił się swą sztuką z tymi, których na nią stać. A w tej materii przepiękna Aragonka o kasztanowych włosach i słodkim, metalicznym głosie, czyli jego ślubna María de Castro – dopiero z czasem wyszło na jaw, że nigdy się byli nie pobrali i że wszystko to było jeno zgrabną przykrywką do całego procederu – stanowiła zarezerwowany dla nielicznych kasek osobliwie wytrawny i przynosiła wspomnianemu zyski znaczniejsze niżli niejedna kopalnia w ziemi Inków. Podsumowując, do mało kogo tak znakomicie pasował przytyk Lopego, jak do bezecnego Cozara:

*Honor małżonka jest niczym forteca,
W której wróg częstym bywa kasztelanem.*

Bądźmy wszakże sprawiedliwi, do czego i niniejsza historia łącno nas nakłania. Zaprawdę bowiem, nasza Castro miewała i skłonności mniej na zarobek nastawione, a w oczach jej blask budziły nie same jeno klejnoty. Temu dała dla rozkoszy, tamtemu dała dla garści groszy – jak głosi stara śpiewka – a rogaczowi dała cały tuzin koszy. Owóż co się tyczy tej

rozkoszy, iż waszmościom też się co nieco objaśnień należy, dodam tu, że María de Castro i Diego Alatryste nie byli ludźmi zgoła sobie nieznanymi – swary niedzielne z Caridad Cyganichą i zły humor kapitana w ścisłym tu pozostawały związku – i że owego popołudnia na podwórku de la Cruz podczas drugiego aktu kapitan posyłał naszej aktorce wielce znaczące spojrzenia, a ja popatrywałem tymczasem to na nią, to na niego. Zaniepokojony o mego pana, a zarazem zmartwiony z powodu Cyganichy, którą bardzo lubiłem. Ale i podekscytowany do szpiku kości, bo odżywało we mnie ogromne wrażenie, jakie Castro była na mnie wywarła trzy albo cztery lata wcześniej na podwórku Príncipe, gdy pierwszy raz znalazłem się w teatrze na przedstawieniu *Arenalu* – owego pamiętnego dnia, kiedy cały tłum, a wśród niego Karol książę Walii i ówczesny markiz Buckingham szermowali na ostre przed obliczem samego Filipa Czwartego. Lubo wszak piękna komediantka nie zdawała mi się najurodziwszą damą pod słońcem – to miejsce rezerwowałem dla innej, znanej już waszmościom diabolicznie o modrych oczach – to i tak jej widok na scenie zamęt w mych zmysłach wprowadzał, jak w każdym przytomnym tam przedstawicielu męskiego rodu. Atoli nijaką miarą przewidzieć nie mogłem, jak dalece María de Castro zagmatwa moje i mego pana życie i na jakie straszliwe niebezpieczeństwo obydwu nas narazi – że nie wspomnę o koronie Najjaśniejszego Pana, która w owych dniach wisiała dosłownie na włosku, co go lada rapier mógł przeciąć. A wszystko to zamiaruję opowiedzieć w tej nowej przygodzie, dowodząc przy tym, że nie ma szaleństwa, na które człek się nie poważy, otchłani, w którą nie skoczy, i trafu, którego czart nie wykorzysta, gdy w grę wchodzi piękna niewiasta.

Pomiędzy drugim a trzecim aktem rozbrzmiała krotochwilna romanca, której donośnymi głosy muszkietierowie zażądali, a mianowicie *Jejmość Elżbieta złodziejka*, sławetna piosnka, w mowie świata ulicy ułożona.

Zaprezentowała ją nam z ogromnym wdziękiem aktorka już dojrzała, atoli wciąż całkiem powabna, Jacinta Rueda. Ja wszelako nie mogłem się romancą nacieszyć, albowiem ledwie się rozpoczęła, podszedł do naszej balustrady człek w teatrze zatrudniony, z wiadomością, że pana Diega Alatryste oczekują w garderobie. Kapitan i mość Francisco de Quevedo wymienili spojrzenia, za czym pan mój powstał i poprawił sobie rapier u lewego boku, poeta zasię pokręcił głową, niekontent, i rzekł:

*Szczęśliw ten, co afektów jej nie poznał,
Szczęśliw ten, co sam ją wpędził do grobu,
Albo ten, co umarł, bo precz ją pognał.*

Kapitan ramionami wzruszył, sięgnął po kapelusz i kurtę, mruknął oschle: „Nie pierdolże, mości Francisco”, głowę nakrył i ruszył, między widzami się przepychając. Quevedo posłał mi wymowne spojrzenie, którym trafnie pojął, bo natychmiast opuściłem swoje miejsce i za panem mym podążyłem. „Daj mi znać, jeśli by pojawiły się problemy”, zdawały się mówić jego oczy za charakterystycznymi szklami. Dwa żelaza zawsze lepszą muzykę grają niżli jedno. Tedy, świadom mej odpowiedzialności, ja także poprawiłem sobie mizerykordię, com ją trzymał za pasem na plecach, i cichutko jak myszka ruszyłem w ślad za kapitanem w nadziei, że tym razem zdołamy w spokoju obejrzeć komedię do końca. Wszak byłoby to karczemną obelgą, gdybyśmy popsuli premierę Tirsowi.

Dla Diega Alatryste nie była to pierwszozna, znał tedy drogę wyśmienicie. Zszedł po stopniach i minawszy przejście, gdzie sprzedawano pitne miody, skręcił w lewo w korytarz, wiodący pod lożami ku scenie i ku garderobom aktorów. W głębi, na schodach, jego stary druh, rotmistrz straży miejskiej Martín Saldaña, gawędził z dzierżawcą podwórca i paroma

znajomkami, także ludźmi teatru. Alatryste przystanął, by się przywitać, i zmiarkował, że oblicze Saldañi spowija niepokój. Już miał ruszyć swoją drogą, gdy rotmistrz odciągnął go na stronę i z miną niefrasobliwą, jakby jakąś błahostkę właśnie sobie przypomniał, położył mu dłoń na ramieniu i szepnął z troską: – Gonzalo Moscatel siedzi w środku.

– Co z tego?

– Nie chcemy tu tumultów.

Alatryste popatrzył nań nieprzeniknionym wzrokiem.

– Ty też mi tu nie pierdol.

I poszedł, pozostawiając za sobą rotmistrza, który drapiąc się po brodzie, jął w głowę zachodzić, w jakimże to gronie raczył go właśnie umieścić jego stary towarzysz z Flandrii. Dziesięć kroków dalej Alatryste odsunął kotarę u wejścia do garderoby i wszedł do izby bez okien, gdzie przechowywano deski i malowane tkaniny, wykorzystywane w maszynarii teatralnej i do ruchomej dekoracji. Po drugiej stronie, za kolejnymi kotarami, znajdowało się kilka przebieralni dla niewiast – garderoba aktorów mieściła się piętro niżej. W tym pomieszczeniu członkowie trupy oczekiwali momentu wyjścia na scenę, od której dzieliła ich jeno zasłona, a ich wielbiciele mogli im tu wizyty składać. W owym momencie przebywało tu z pół tuzina aktorów wystrojonych i gotowych do wyjścia, ledwie skończy się romanca – właśnie słychać było głos Jacinty Ruedy, jak śpiewa przesławną strofę *Łapsów już na karku miała, / łotrów oddech blisko czuła* – a krom nich jeszcze trzech albo czterech panów, którzy z racji urodzenia albo tłustej sakiewki mogli tu wnijsć, by aktorki komplementami obsypać. A wśród nich, rzecz oczywista, był również mość Gonzalo Moscatel.

Idąc w ślad za kapitanem, dotarłem i ja do wnijscia do garderoby, przechwytyjąc wprzód spojrzenie Martina Saldañi, któremu ukłoniłem się,

jak każą dobre obyczaje. Trzeba mi wyznać, że rysy jednego z mężów towarzyszących mu na podeście schodów zdały mi się znajome, aliści skąd – tego zmiarkować nie mogłem. Oparłem się o ścianę w korytarzyku i patrzyłem do wewnątrz, jak mój pan i kawalerowie, co w środku czekali, przywitali się wielce oziębłe, żaden z nich też głowy nie odkrył. Na powitanie nie odpowiedział jeno Gonzalo Moscatel, nader malownicze indywiduum, które śpieszę teraz waszmościom opisać. Pan Moscatel jawił się, jak gdyby wyszedł prosto z jakiej komedii płaszcza i szpady: był osobnikiem korpulentnym, o wejrzeniu groźnym i takichże wąsiskach, sterczących zuchwale ku górze, a przydzwiek jego zdradzał na poły człeka wytwornego, na poły walecznego, ni to pociesznego, ni to okrutnika. Miał na sobie, jak lada fircyk, obficie wyszywaną koszulę z koronkowym kołnierzykiem, na fioletowy kaftan wyrzuconym, bufiaste portasy wedle dawnej modły, francuską kurtę, jedwabne pończochy, buty z czarnego filcu, podobnie kapelusz, w którym całe zarośla z piór miał zasadzone, wreszcie nabijany starymi srebrnymi realami pas, z którego zwisało mu monstrualne żelazo. Albowiem nasz jegomość lubił także za zabijakę uchodzić, z takich, co to gębę pełną mają przeróżnych do kroćset oraz jakem taki owaki, chętnie węża podkręca i rapierem zadzwonią. Na domiar wszystkiego, jeszcze poetą mienić się lubił – chełpił się przyjaźnią samego Gongory (bezpodstawnie zgoła) i dopuszczał się wierszydeł szkaradnie rymowanych, które wydawał własnym sumptem, albowiem człekiem był majątnym. Jeden jeno wierszokleta lichy, istny pański podnózek, stanowił był niegdyś jego orszak i pod niebiosa wynosił muzę Moscatela. Nieszczęśnik ów, nazwiskiem Garciposadas, obficie z Calepina⁶ czerpał – *stos mu eryguje, częstokół wznosi*⁷ itp. – pisał piórem uszczkniętym ze skrzydła anioła w Sodomie przepadłego i jęzorem zamiatał przed każdym dworakiem, aż nareszcie spłonął w ogniu za wścibstwo, czyli występki haniebny albo

samcołozny, na jednym z ostatnich *auto da fé*. Tedy mość Gonzalo Moscatel ostał się bez nikogo, kto by mu bębenka poetycznego podbijał – do chwili, gdy żal po pogorzeltu ukoił pewien lepki kauzyperda nazwiskiem Saturnino Apolo, wszem znany pochlebca na sakiewki cudze łasy, który bez nijakiego sromu pieniądze zeń wysysał – ale do tego osobnika jeszcze później powrócimy. Moscatel swój majątek zawdzięczał temu, że dostarczał mięso tudzież świeży boczek do miejskich rzeźni i jatek, a także lewym apanażom i posagowi swej zmarłej połowicy, córki sędziego – ten ostatni służył był Temidzie nie tyle ślepej, co zezowatej, pilne baczenie dając, by szale sprawiedliwości tarowano poczwórnymi dublonami. Wdowiec Moscatel potomstwa się nie doczekał, miał wszelako bratanicę, dorastającą sierotę, której niczym Cerber pilnował w swym domu przy ulicy Madera. Uganiał się też za jakimkolwiek habitem i wielce było możliwym, że prędzej czy później na jego kaftanie załśni krzyż. W ówczesnej Hiszpanii, pełnej niegodziwych i łapczywych urzędników, wszystko było w zasięgu ręki, jeśliś ukradł tyle, by mieć się jeszcze czym opłacić.

Kątem oka kapitan Alatryste zmiarkował, że Gonzalo Moscatel ciska weń gromy z oczu, dłoń oparłszy na rękojeści rapiera. Znali się dobrze mimo znikomej ochoty po temu i ilekroć się mijali, zawistne spojrzenia rzeźnika aż nadto dobitnie świadczyły o charakterze ich stosunków. Historia tych ostatnich liczyła sobie już ze dwa miesiące, a rozpoczęła się była pewnej nocy, kiedy to kapitan powracał do Gospody Pod Turkiem w porze, gdy „leje się”⁸, księżyc skąpił swego światła, a i sam pan mój szedł owinięty w płaszcz po czubek nosa. Raptem odgłosy kłótni jakowej posłyszał w głębi ulicy Huertas. Akurat dobiegał go głos niewieści, a kiedy się zbliżył, spostrzegł dwie sylwetki w bramie. Nie lubował się w

pojedynekach z zazdrośnikami ni we wsadzaniu rapiera między cudze drzwi, atoli droga wiodła go dokładnie wedle tych dwojga, a i nie znalazł powodu, żeby z niej zbaczać. I tak dotarł do bramy, wedle której spór wiedli mężczyzna i niewiasta. Z konwersacji wniesć można było, że obydwójce nie są sobie obcy, aliści dama – czy kimkolwiek była – sprawiała wrażenie zagniewanej, on zaś uparczywie nalegał, by wniknąć dalej, przynajmniej do sieni. Cudny był jej głos. Musiała być osobką piękną, a na pewno młodą. Nie dziwota tedy, że kapitan przystanął, chcąc okiem rzucić. Co zoczywszy, tamten przyskoczył doń ze słowami: „Idźże waszmość swoją drogą, niczegoś tu snadź nie postradał”. Trudno było odmówić tym słowom racji, toteż Alatryste skłaniał się, by pójść za jego radą, lecz niewiasta spokojnie i nader światowym tonem wtrąciła: „Jeno pod warunkiem, że ten tu szlachetny pan nakłoni waszmości, byś mnie w pokoju ostawił i też poszedł sobie na zdrowie”. Takie postawienie sprawy czyniło grunt dosyć śliskim, zatem Alatryste, podumawszy chwilę, zapytał damę, czy dom ów należy do niej. Odparła, że owszem, że jest zamężna i że ten natręt jest człkiem znajomym jej samej i jej mężowi. że kompanii jej dotrzymywał, gdy wracali z zabawy tanecznej u przyjaciół, ale właśnie nadeszła pora, kiedy każda mysz winna do swojej dziury powrócić. Zastanowiło kapitana, czemu to nie mąż owej niewiasty rozstrzyga tu spór między tymi dwojgiem, ale jego myśli przerwał szorstko tamten, radząc, żeby czmychał czym prędzej, do kroćset i kaduka. W mroku kapitan usłyszał, że nieznajomy żelazo na piędź z pochwy wysuwa. Tego było już za wiele, a z racji chłodu rozgrzewka też mogła się przydać. Odsunął się tedy na bok, by znaleźć się w cieniu, a przeciwnika zmusić do zajęcia pozycji w słabej poświacie księżycowej, co między dachami się snuła, rozpiął klamrę płaszcza i owinąwszy ten ostatni wokół lewego ramienia, dobył toledańskiego rapiera. Tamten także za broń otwarcie chwycił, obydwaj nuże ciosy sobie zadawać,

atoli z daleka i niechętnie zgoła, aż nareszcie, harmidrem zwabieni, zbiegli do drzwi sługa, światło niosący, i małżonek niewiasty. Ten ostatni odziany w koszulę nocną, bambosze, szlafmycę z pomponem, w prawej dłoni zaciskał szpadę i wołał: „Cóż tu u licha, gadajcież zaraz, jak pytam, kto śmie w domostwie mym spokój zakłócać i honor mój na szwank wystawiać”, i tym podobne gadki, wypowiedziane tonem, który Alatryste przypisał w myśli niezgorszemu facecjoniście. Osobnik okazał się człkiem nader miłym i politycznym, postury drobnej i z gęstymi wąsiskami, na modłę niemiecką zrosniętymi z faworytami. Skoro zasię cześć wszystkich z mężem włącznie zdołano ocalić, łagodnymi słowami rzecz cała po kościach się rozeszła. Nocnym wędrowcem był mość Gonzalo Moscatel i to o nim mąż powiedział – oddawszy wprzódy szpadę słudze, by mu ją pottrzymał – że to w istocie przyjaciel rodziny, a całe zajście to ubolewania godna omyłka. Sytuacja jąła przypominać jaką komedię i Alatryste omal śmiechem serdecznym się nie zaniósł, gdy raptem zmiarkował, że człek w szlafmycy z pomponem to nie kto inny, jak sam Rafael de Cózar, artysta bystry na umyśle i pełen konceptu – Andaluzyjczyk, ma się rozumieć – małżonka jego zaś to znana aktorka María de Castro. Obydwoje widywał już na scenach madryckich podwórców, atoli pani de Castro nigdy z tak bliska, jak owej nocy, gdy światło dzierzonej przez sługę lampy oliwnej wydobywało jej urodę, ledwie chustą okrytą, a uśmiech jej rozradowany jeszcze mrok rozjaśniał. Ni chybi nie była pierwszą niewiastą tej profesji, z jaką miał do czynienia, snadź komediantki nie słynęły diamentową czystością. Powiadano, że mąż jej, gdy już wypowiedział stosowne formułki i szpadą słynną w całej Hiszpanii pomachał, okazywał dużo większe pobłażanie wobec admiratorów zarówno swej własnej żony, jak i innych pań, które w swojej trupie zatrudniał. Osobliwie, gdy – jak w przypadku owego madryckiego handlarza mięsem – ludzie ci posiadali *cumquibus*⁹.

Powszechnie bowiem wiadomo było, że poza geniuszem scenicznym Cózar miał także nosa do interesu i żadnej sakiewce nie przepuścił. To może też tłumaczy, czemu tak zwlekał, nim łeb wystawił w obronie swej czci. Jak bowiem mawiano:

Tuzin aktorów – rogów dwa tuziny, Sześć komediantek – razem tworzą stadła, Ot, p o ł o w i c a sprytniejsza od diabła, Pół mąż dostaje, a pół jakiś inny.

Kapitan gotował się do przeprosin, by w swoją stronę ruszyć, skonfundowany niejako całym zamieszaniem, kiedy małżonka, chcąc już to dźgnąć sztyletem zazdrości swego prześladowcę, już to oddać się owej subtelnej a groźnej grze, w jakiej tak częste upodobanie niewiasty znajdują, w rozkosznych słówkach dank złożyła Alatristemu za jego wstawiennictwo, za czym, mierząc kapitana wzrokiem od stóp do głów, zaprosiła go, by złożył jej którego dnia wizytę w teatrze de la Cruz, gdzie akurat wystawiano ostatnie spektakle jednej komedii Rojasa Zorrilli¹⁰. Mówiąc to, pokazywała w uśmiechu bielutkie ząbki, które zostałyby przez Luisa de Góngora, śmiertelnego wroga Francisca de Quevedo, bez wątpienia przyrównane do drobnych perełek, a idealny owal jej twarzy – do perłowej masy. A Alatryste, co jak szczywany lis wyznawał się na temu podobnych harcach, dostrzegł w oczach jej obietnicę.

Owóz i stał teraz, dwa miesiące po tamtym spotkaniu, w garderobie podwórca de la Cruz, mając za sobą już kilkakrotne dowody, że tamta obietnica nie była płonną – a trzeba wam wiedzieć, waszmościowie, że szpada artysty Cozara nigdy więcej nie wyszła mu naprzeciw – i gotów był dalej owoce pierwszej rozmowy zbierać, a Gonzalo Moscatel, z którym też nieraz potem stykał się bez nijakich niepożądanych skutków, mierzył go

piorunującym wzrokiem, w którym płonęła zazdrość. María de Castro nie należała do tych, co to z jednego pieca chleba uszczkną: wyciągała pieniądze od Moscatela, wielkie umizgi przy tym strojąc, ale do ogródka wnijsć nie pozwalając – każda schadzka przy bramie na Guadalajarę kosztowała rzeźnika grzeczną daninę w postaci klejnotów i przedniego sukna – a jednocześnie mknęła w ramiona Alatríste, o którym tamten wystarczająco wiele się tymczasem wywiedziało, aby mieć się na baczności. Tak tedy wieczną nadzieją trawiony i wiecznie wyposzczony nasz rzeźnik – zagrzewany jeszcze do boju przez małżonka pani Castro, nie tylko wielkiego aktora, ale i zawołanego szelmę, któremu takż, jak i innym, sakiewka pustoszała w następstwie niespełnionych przyrzeczeń – naprzykrzał się uparcie pięknej latawicy, nie zamierzając wyrzec się upragnionego szczęścia. Rzecz oczywista, Alatríste świetnie wiedział, że nie on sam (Moscatel w rachubę nie wchodził) z łaskowości komediantki korzysta. Inni też nieraz w jej progi zawitali, powiadano nawet, że sam hrabia de Guadalmedina i diuk de Sessa¹¹ dostali od niej coś więcej niżli piękne słówka. Ta bowiem, wedle mości Francisca de Quevedo, za każdy własny wyskok cenę tysiąca dukatów dyktowała. Kapitan nie mógłby z żadnym z owych panów konkurować ni pozycją, ni sakiewką – był raptem prostym wiarusem, co na życie zarabiał jako szermierz do wynajęcia. Aliści z jakiegoś względu, którego nie potrafił pojąć – dusza niewieścia zawsze jawiła mu się niezgłębioną – María de Castro gratis ofiarowywała mu to, czego innym odmawiała lub też użyczała za ogromne pieniądze:

Powtórz tę regułę znaną:

Maurom dasz bez ceregieli,

Jeśli złotem się podzielą,

Zaś za darmo chrześcijanom¹².

Tedy Diego Alatryste zasłonę odsunął. Nie był w owej niewieście zakochany – ani w żadnej innej. Atoli María de Castro była najcudniejszą osobą, jaka w jego czasach stąpała po teatralnych deskach, jemu zaś przysługiwał przywilej, by niekiedy należała tylko do niego. Takiego pocałunku, jak ten, co właśnie koił jego usta, nie mógł mu ofiarować nikt, ni teraz, ni w przyszłości, nim żelazo, pocisk, choroba lub ciężar lat powalą go w końcu w ciemną czeluść grobu.





II. DOM PRZY ULICY FRANCOS.



astępnego ranka mieliśmy piekielną kanonadę. Gwoli ścisłości, rozpętali ją kapitan Alatryste i Caridad Cyganicha na pięterku Gospody Pod Turkiem, a nas na dole dochodziły jeno głosy. A raczej głos, jako że całą palbę prowadziła jeno pocziwa niewiasta.

Przyczyną zajścia było naturalnie zamiłowanie pana mego do teatru, a nazwisko Marii de Castro pojawiało się nieodmiennie w kompanii słów nader obelżywych – gdzie krzesipała, wycirucha i łajdaczka należały do najdelikatniejszych, jakie mych uszu doszły – co w ustach Cyganichy nabierało szczególnego posmaku, iż karczmarka nasza, co niemal w czterdziestej wiośnie życia nadal potrafiła przemożny pociąg w niejednym mężczyźnie obudzić, swoje dziarsko przeharowała jako ładaczka, nim dzięki zaoszczędzonym pracowicie funduszom ustatkowała się jako skromna gospodyni szynku pomiędzy ulicami Toledo i Arcabuz. I lubo kapitan nigdy niczego jej nie był przyrzekał ni proponował, prawdą jest, że po powrocie z Flandrii i Sewilli wprowadził się wraz ze mną na powrót do swej dawnej izby w domu Cyganichy, zaraz nad gospodą. Do tego zimą sama Caridad Cyganicha baczyła, by nie zmarzły mu stopy (i nie tylko), a służyło temu jej własne łoże. I nie dziwota, wszak wszyscy wokół

wiedzieli, że karczmarka chodzi zadurzona w kapitanie po same uszy, do tego stopnia, że w czasie kampanii flamandzkiej zachowała w jego intencji osobliwą wstrzeźliwość. Nie masz bowiem większej cnoty i wierności niżli u niewiasty, co zaułki miejskie porzuci i poświęci się Bogu albo kuchni w samą porę, nim ją wrzody wszeteczne stoczą, a na koniec hycle pod kościołem w Atocha pochwyć. Inaczej niż niejedna poślubiona, która siłą niewolona idzie przez życie pocziwą drogą, a jeno marzy, by jej poniechać – ulicznice aż nadto wiedzą, co za sobą ostawiają i ile zyskują, dotychczasową pracę tracąc. Nieszczęściem tej tu sytuacji było, że Cyganicha nie dosyć, że się przykładnie prowadziła, że była zakochana, stroje miała zawsze wytworne, a ciało oko cieszące, to jeszcze należała do niewiast krewkich, a umizgi mego pana i aktoreczki do szewskiej doprowadzały ją pasji.

Nie wiem, co owym razem kapitan rzekł, jeżeli w ogóle cokolwiek mówił. Znając go, jestem pewien, że dzielnie stawił czoło napaści, szeregów nie rozproszył, gęby nie otworzył, jak na wiarusa starego przystało, czekał jeno, aż burza przejdzie. A czekać musiał długo, do diaska, bo przy tym natarciu pamiętne szarże spod młyna Ruijter i obozu Terheijden zdawać się musiały ledwie fraszką – osobliwie z uwagi na obelgi, jakich wobec bisurmana nawet miotać nie wypada. Nareszcie, kiedy karczmarka jęła tłuc przedmioty – aż do nas na dół dotarły odgłosy rozwalanych naczyń – kapitan po rapier sięgnął, kapelusz i płaszcz, i wyszedł na dwór gwoli zaczerpnięcia powietrza.

Ja, podobnie jak każdego poranka, siedziałem przy stole wedle wyjścia, gdzie z dobrego światła mógł korzystać, by się pochylić nad gramatyką łacińską mości Antonia Gila – księgą wielce użyteczną, którą Klecha Pérez, stary druh kapitana i mój, pożyczył dla pomocy w moim kształceniu, które we Flandrii sporo okulało. Skończyłem już wszak szesnaście wiosen, a lubo

obstawałem przy zamiarze zaciągnięcia się do wojska, kapitan Alatryste i mość Francisco de Quevedo usilnie mnie przekonywali, że kto łaciny i greki liźnie, pisać się nauczy i pilnie zacne książki czytać będzie, ten dalej zajdzie niżli ten, co sobie jeno puntą rapiera drogę toruje. A tym łacniej w Hiszpanii, gdzie sędziowie, urzędnicy, pisarczykowie i inne żarłoczne wrony ile wlezie dławili nieszczęsny i niewykształcony lud, czyli niemalże wszystkich wokół, stosami zapisanych papierzysk, które pomagały im nabić kabzę i drugiego ocyganić, aż miło. Owóz zatem siedziałem, jak mówię, i przepisywałem *miles, quem dux laudat, Hispanus est*¹³, tymczasem dziewczka z gospody, imieniem Damiana, podłogę myła, a stali bywalcy tutejsi, to jest licencjat Calzas, niedawno przybyły z placu Provincia, i dawny wachmistrz kawalerii Juan Vicuña, okaleczony pod Nieuwpoort, godzili w rokambora¹⁴ z aptekarzem Fadrique, zaopatrzeni w kawałki smażonej słoniny i flaszkę wina z Argandy. Właśnie wybił kwadrans po jedenastej na zegarze pobliskiej dzwonnicy kościoła Towarzystwa Jezusowego, kiedy na górze drzwi z hukiem trzasnęły, na schodach rozległy się szybkie kapitańskie kroki, druhowie po sobie spojrzeli, za czym, łbami z wyrzutem pokręciwszy, wrócili do kart: Juan Vicuña zgłosił pałki, asem szpad zagrał aptekarz, a Calzas przebił asem atutowym i wszedł na rękę. W tym właśnie momencie powstałem, zatrzasnąłem książkę, zamknąłem kałamarz, za czym, chwyciwszy po drodze czapkę, mizerykordię i kapotkę, ruszyłem na palcach, nie chcąc rezultatów pracy dziewczki zniweczyć, i wyszedłem na ulicę Arcabuz w ślad za mym panem.

Minęliśmy fontannę Referantów i doszliśmy do placyku Antona Martina. I jakby chcąc przyświadczyć słowom Cyganichy – przez co podążałem za panem mym wielce nachmurzony – dotarliśmy na koniec do placu, gdzie komedianci ochoczo się zbierali. Trzy były w Madrycie takowe ulubione miejsca plotkarzy – dwa pozostałe to schody pod Świętym

Filipem i plac przed Pałacem. To, o którym dziś opowiadam, leżało w okolicy zamieszkaanej przez ludzi pióra i teatru, na wybrukowanym skwerku u zbiegu ulicy León z jej przecznicami Cantarranas i Francos. Nieopodal mieściła się niczego sobie oberża, piekarnia, cukiernia, kilka niezgorszych gospod i garkuchni, i co rano w miejsce to napływał cały światek madryckiej sceny, jako to komediopisarze, poeci, komedianci, dzierżawcy teatralnych podwórców, krom nich zasię także mnogo próżniaków i ludzi, co to zawsze z lubością popatrzą na znane osobistości, na scenicznych amantów i na aktorki, które przybywały na plac z koszami w ręku albo w kompanii swych służących lub też łasowały słodkości w cukierni tuż po mszy u Świętego Sebastiana, gdzie zwyczajowo wrzucały jałmużnę do puszek. Plac aktorów sprawiedliwie famą się cieszył, albowiem w owym wielkim teatrze świata, jakim była stolica obojga Hiszpanii, miejsce to przypominało otwartą gazetę: w poszczególnych grupkach dysputowano o takiej czy innej komedii, już napisanej bądź jeszcze nie, krążyły złośliwostki przekazywane z ust do ust albo i w rękopisie, temu i owemu u szczytu sławy niszczone reputację i honor brukano, uwielbiani poeci przechadzali się w towarzystwie przyjaciół i pochlebców, a przymierający głodem młodzi sposobności jeno szukali, jak strącić z wyżyn Parnasu jego najbardziej zatwardziałych i nieustępliwych obrońców. A trzeba wam wiedzieć, waszmościowie, że żadne inne miejsce na ziemi nie mogło gościć tylu talentów i sław. Dość wspomnieć o geniuszach, co w promieniu dwustu ledwie kroków mieszkali: Lope de Vega w swoim domu przy ulicy Francos, a mość Francisco de Quevedo przy ulicy Niño. Przy tej ostatniej lat wiele żył mość Luis de Góngora, aż do chwili, gdy Quevedo, zaprzysięgły rywal tamtego, domostwo wykupił i wyrzucił kordobańskiego łabędzia na bruk. Po okolicy tej chadzali także mercedariusz Tirso de Molina i niezwykle lotny umysł, z Meksyku przybyły, Ruiz de Alarcón, Garbusek, którego

ludzka niechęć i własna żółć precz przegnały ze scen po tym, jak wrogowie zniszczyli jego Antychrysta, otwierając podczas przedstawienia fioletową z substancją odrażającej woni. Także poczciwy mość Miguel de Cervantes mieszkał był i zgasł nieopodal Lopego, w domu na rogu ulic León i Francos, dokładnie naprzeciwko piekarni mistrza Castillo. Pomiędzy ulicami Huertas i Atocha mieściła się drukarnia, gdzie Juan de la Cuesta wytłoczył pierwsze wydanie *Przemysłnego szlachcica don Kichota z Manczy*. A i nie zapominajmy o świątyni, w której spoczywają dziś szczęty znamienitego kaleki, czyli o kościele Trynitarek, gdzie Lope de Vega odprawiał msze, a do grona miejscowych sióstr zaliczały się jedna córka tego ostatniego i córka Cervantesa. A żeby zasię nie uchybić tradycyjnej hiszpańskiej niewdzięczności, dodam jeszcze, że zgoła tuż–tuż znajdował się także szpital, w którym kapitan i wielki walencki poeta Guillén de Castro¹⁵, autor *Młodzieńczych czynów Cyda*, miał umrzeć pięć lat później w takim ubóstwie, że koszt pochówku musiały pokryć jałmużny. A skoro już o nędzy mowa, przypomnę waszmościom, jeśli łaska, że nieszczęsny mość Miguel de Cervantes, człek wielkiego honoru, niemal o nic w życiu nie poprosił krom tego, by móc popłynąć do Indii, powołując się na swą kondycję żołnierza pod Lepanto okaleczonego i w Algierze niewolonego – a przecież i tego nie otrzymał i umarł dziesięć lat wcześniej, niżli toczą się wypadki, które tu opisuję, w szesnastym roku naszego stulecia, w biedzie, prawie od wszystkich opuszczony. Do grobu u trynitarek poniesiono go tymi samymi ulicami, bez nijakiego konduktu ni żałobnych uroczystości – i nawet dużo później, kiedy zagranica już pożerała kolejne wydania jego *Don Kichota*, ojczyzna nadal jeszcze imienia jego pod niebiosą nie wynosiła. I taki właśnie kres – z nielicznymi wyjątkami – pisany był przez los niegodziwy naszym najprzedniejszym synom.

Tuż wedle sklepu tytoniowego, przed jadłodajnią León na rogu ulicy Cantarranas i wspomnianego placyku, spotkaliśmy mości Francisca de Quevedo, jak angielski pasztecik pochłaniał. Na nasz widok poeta nuże wołać o kolejną karafę wina z Valdeiglesias i jeszcze dwie czarki i dwa pasztety, my tymczasem przysunęliśmy dwa taborety i zasiedliśmy wygodnie obok niego przy stole. Odziany był jak zwykle na czarno, z czerwoną „jaszczurką” Świętego Jakuba¹⁶ na piersi haftowaną, na głowie miał kapelusz, na nogach pończochy z jedwabiu, płaszcz zasię złożył był starannie wraz z rapierem na sąsiedniej ławeczce. Zatrzymał się tu w powrotnej drodze z Pałacu, dokąd udał się był wcześniej rano, by pewne zabiegi poczynić w sprawie swego niekończącego się sporu o Wieżę Jana Opata¹⁷, i właśnie głód sycił przed pójściem do domu, gdzie zamierował zasiąść do korekty drugiego wydania *Polityki bożej, rządów Chrystusowych* – to go bowiem zajmowało ostatnimi czasy. Jego dzieła nareszcie zaczęły się ukazywać drukiem, a to ostatnie sprowokowało inkwizycję do kilku interwencji cenzorskich. Wedle słów jego, spadliśmy mu jak z nieba, bo dzięki temu mógł natrętów precz oddalić – od kiedy jego osoba w Stolicy znów liczyć się wielce zaczęła (napomknąłem już waszmościom, że poeta wszedł był w skład świty królewskiej podczas niedawnej wizyty w Aragonii i Katalonii), wszyscy doń jak ćmy do lampy lgnęli, by jakowych korzyści się dochrapać.

– Na dodatek zlecono mi napisanie komedii – dodał – która w Escorialu pod koniec miesiąca ma być wystawiona... Jego Katolicka Mość będzie tam akurat na łowach i zechce się rozerwać.

– Wszak nie jest to waszmościna specjalność – zauważył Alatryste.

– Do kroćset. Skoro nawet biedaczysko Cervantes próbował swych sił, czemu ja miałbym się nie ośmielić? Zamówienie przekazał mi we własnej

osobie sam hrabia–diuk. Zatem możesz waszmość uważać to od tej chwili za moją specjalność.

– A czy faworyt płaci, czy też jak zwykle zalicza na poczet przyszłych łask?

Poeta zaśmiał się kąśliwie.

– O przyszłości nic nie nadmieniał – westchnął ze stoicyzmem. – Wczoraj – odeszło, Jutro – mrozi dreszczem...¹⁸ Ale dziś oznacza sześćset reali. Albo ściślej: ma oznaczać. Tak przynajmniej obiecuje Olivares:

*Taki będzie koniec pieśni,
Żem ja sługa, on zaś pan,
Choć ja swoje zrobić mam,
– Jemu się zapłata nie śni.*

– W każdym razie – ciągnął – faworytowi marzy się komedia z przygodami i temu podobnymi detalami, takie bowiem sztuki, jak wasza miłość wiesz wybornie, wielki Philippo ceni nade wszystko. Toteż na siedem spustów pora zamknąć Arystotelesa i Horacego, Senekę, ba, Terencjusza nawet! Po czym, jak mawia Lope, napiszemy kilkaset wierszy stylem gminnym. Bo nasz pan nabrał ochoty na sążniste głupoty.

– Masz już waszmość pomysł?

– Och, oczywiście. Zaloty, kraty, przebieranki, pojedynki... To, co zawsze. A tytuł dam *Rapierem i sztyletem* – tu Quevedo zerknął niby mimochodem na kapitana sponad swej czarki z winem. – Chcą, żeby wystawiła to trupa Cozara.

Harmider się podniósł wedle rogu ulicy Francos. Ciżba zaraz się zbiegła, my jednak jeno wzrok skierowaliśmy w tamtą stronę, po chwili zresztą nadciągnęli ludzie i opowiedzieli, co zaszło: lokaj markiza de las Navas

zaszlachtował jakiegoś woźnicę, gdy ten mu drogi nie ustąpił. Zabójca już uciekł się pod opiekę świętego Sebastiana, a dogorywającego woźnicę zanieiono do pobliskiego domu.

– Skoro był woźnicą – zawyrokował Quevedo – to zasłużył sobie na ten los od momentu, kiedy do takiej pracy się był najął.

Znów popatrzył na pana mego i powrócił do przerwanego wątku.

– Cózar – powtórzył.

Kapitan beznamiętnie przypatrywał się przechodniom, co po placyku spacerowali. Nie ozwał się ni słowem. W promieniach słońca zieleń jego oczu była jeszcze bardziej widoczna.

– Powiadają – dodał Quevedo po chwili – że nasz ognisty monarcha szturmy przypuszcza na tę Castro... Wieszli waszmość cokolwiek w tej materii?

– Nie wiem, czemu miałbym wiedzieć – odparł Alatryste, przeżuwając kęs pasztecika.

Mość Francisco dopił wino i też zamilkł. Przyjaźń, jaką się obydwaj darzyli, wykluczała zarówno udzielanie rad, jako i wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Ta cisza zapadła na długo. Kapitan odwrócony patrzył obojętnym wzrokiem na ulicę, a ja, wymieniwszy zatroskane spojrzenia z poetą, czyniłem to samo. Próżniacy rozprawiali w grupkach, przechadzali się, zerkali na niewiasty, usiłując dociec, co też skrywają ich szerokie mantyle. Przed sienią swego warsztatu, w fartuchu i z młotkiem w dłoni, szewc Tabarca perorował swym zwolennikom o cnotach i niedostatkach komedii z dnia poprzedniego. Sprzedawczyni cytryn przeszła z koszami u ramion: „Dooo żółtych, dooo kwaśnych” – wołała, mimo uszu puszczając słodkie słówka, jakie posłało jej dwóch łazików studentów, co skubali pestki łubinu i snuli się tam i sam z plikami poezji z kieszeni wystającymi, szukając, komu by tu krotoczwilę jaką spłatać. Raptem uwagę mą zwrócił

pewien osobnik szczupłej postury, smagłej kompleksji, brodaty i Turczyzna z lica przypominający, który przypatrywał się nam z pobliskiej bramy, czyszcząc przy tym paznokcie końcem noża. Był lekko odziany, rapier długi zawieszony miał na pendencie, sztylet z gardą, pikowany kaftan z delikatnego płótna, w wielu miejscach pocerowany, a na łbie nosił kapelusz o szerokim, zawadiacko opadającym rondzie. Z jednego ucha powisał mu znaczny złoty kolczyk.

Już miałem nań większe baczenie dać, kiedy zza moich pleców na nasz stół padł jakiś cień, rozległy się słowa powitania i mość Francisco zerwał się na nogi.

– Nie wiem, czy waszmościowie się znają: Diego Alatryste y Tenorio, Pedro Calderón de la Barca...

Powstaliśmy z kapitanem, by uszanowanie oddać nowo przybyłemu, którego już był przelotnie dostrzegł w podwórku de la Cruz. Teraz z bliska rozpoznałem go bez trudu najmniejszego: przyjemną miał powierzchowność, szczupłe oblicze i młodzieńczy wąsik. Pot ni dym nie brukały mu twarzy, nie miał też na sobie skórzanego napierśnika – nosił się po stołecznemu, nader szykownie, płaszcz na nim był wykwintny, jako i kapelusz z haftowaną wstążką, a rapier za pasem zgoła nie wojennego był rodzaju. Wszelako uśmiech na twarzy taki sam ujrzałem, jak wtedy w zdobytym Oudkerk.

– Młodzian – dodał Quevedo – zwie się Íñigo Balboa.

Pedro Calderón przyjrzał mi się uważniej, jakby szukał we wspomnieniach.

– Towarzysz z Flandrii – pamięć dopisała mu wreszcie. – Nie myślę się?

Uśmiechnął się szerzej i położył przyjazną dłoń na mym ramieniu. A ja poczułem, że aż pokraśniałem z dumy, widząc, jak Quevedo i pan mój ze zdumienia się nie posiadają, że oto młody komediopisarz, którego tu i

ówdzie nazywano już następcą Tirsa i Lopego i którego gwiazda coraz większego nabierała blasku w podwórcach i na królewskich pokojach – poprzedniego roku z wielkim sukcesem wystawiał *Fałszywego astrologa*, teraz zasię kończył poprawki do *Oblężenia Bredy* – owóżże ten młody autor pamięta skromnego giermka, co to dwa lata wstecz pomagał mu być przy ratowaniu biblioteki z płonącego ratusza we flamandzkim miasteczku. Przysiadł się do nas Calderón, w owej epoce wielce już ceniony przez mości Francisca, i czas jakiś toczyła się błaża pogawędka, zakropiona kolejną karafką valdeiglesiasa, do której nasz nowy towarzysz wziął jeno koszyczek oliwek, bo, jak wyznał, nie jest przy apetycie. Za czym powstaliśmy i ruszyliśmy na przechadzkę po placyku. Pewien znajomek, co dłuższą chwilę stał już w kręgu rozbawionych próżniaków i czytał im coś na głos, przybliżył się ku nam z kilkoma satelitami. W dłoni trzymał zapisaną ręcznie kartkę.

– Powiadają, panie de Quevedo, że to spod waszmościnego pióra wyszło.

Rzucił mość Francisco niechętnym okiem na papier, rozkoszując się napięciem, w jakie tamtych wprawia, podkreślił węża i przeczytał głośno:

*Ten, co bez ducha w grobie spoczął czarnym,
W hańbie zmarł, bo żywot także wiódł marny,
Duszę i ciało sprzedał, został z zerem,
Nawet w grobie jest szulerem...*¹⁹

– Niezupełnie – odrzekł krotocwilnie, aliści z pozorną powagą. – Owo w *grobie spoczął czarnym* winno być zgrabniejsze, gdybym to ja napisał. Ale, ale, waszmościowie, jak to...? Tak już źle z Gongorą, że epitafia mu układają?

Wybuchli śmiechem pochlebcy, co takimże samym by się zanieśli, gdyby to na Queveda gromy ciskał jakiś jego rywal. A gwoli prawdy, lubo mość Francisco ile sił starał się do tego nie przyznać publicznie, zaprezentowane strofy takż jego autorstwa były, co i mnóstwo innych anonimowych wierszyków, krążących po placyku na podobieństwo much. Atoli przyznać wypada, że czasami przypisywano naszemu poecie również cudze produkty, pozbawione konceptu, który tu jaskrawo był widoczny. Co się zaś tyczy Gongory, epitafium zgoła nie było sensu pozbawione. Wódz kultystycznych²⁰ zastępów, pozbawiony domostwa przy ulicy Niño, które wykupił był Quevedo, do tego zrujnowany przez namiętność, jaką do hazardu żywił, i wielką potrzebę brylowania, stradał resztki pieniędzy na utrzymanie lichego powozu i kilku dziewczek służebnych, aż na koniec poddał się i wyjechał do rodzinnej Kordoby, gdzie miał zemrzeć w chorobie i goryczy rok później, kiedy to przypadłość go nękająca – powiadano, że apopleksja – sięgnęła wreszcie jego głowy. Pełen buty i arystokratycznych manier, co się z głębokiego przekonania o własnym geniuszu brały, kordobański prebendarz²¹ nie miał nosa ni do kart, ni do tego, gdzie szukać przyjaciół, a gdzie wrogów – skłócony z Lopem de Vegą i z Quevedem, błądził nie tylko w szulerniach, ale i w swych sympatiach, stawiając po kolei na diuka de Lerma, który upadł, na mości Rodriga Calderona, który zginął na szafocie, i na hrabiego de Villamediana, którego zgładzono²², aż na koniec nadzieje, że pozyska łaski Dworu i potężnego hrabiego–diuka (poeta niejedną petycję doń był słał, prosząc o godności dla swych siostrzeńców i familiantów), przepadły wraz z owym sławetnym zdaniem Olivaresa: „Niechże tych kordobańczyków czart nafaszeruje urzędami”. A i z drukiem dzieł swoich szczęście miał koślawe. Sam zawsze dumnie odmawiał ich publikacji i komentował się, dając je do czytania i wychwalania swym druhom. Za to gdy potrzeba przymusiła go wreszcie,

zmarł, zanim zdążył je ujrzeć drukiem, a i naówczas inkwizycja kazała je wycofać, zarzucając, że są podejrzane i niemoralne.

Wszelako, lubom nigdy nie gustował ni w poecie jako takim, ni w jego gongoranzadach, trykliniach i jaskiniach, to przyznam tu przed waszmościami, że mość Luis de Góngora poetą był nadzwyczajnym i, o paradoksie, wzbogacił naszą przepiękną hiszpańską mowę na równi ze swym śmiertelnym wrogiem Quevedem. Obydwaj odcytani i nader twórczy, każdy na swój odrębny sposób, ale każdy z ogromnym talentem, odnowili język kastylijski, ostawiając mu w posagu bogactwo kultyzmu i elegancję konceptyzmu²³. Można zatem stwierdzić, że z owej płodnej a bezlitosnej walki dwóch gigantów język hiszpański wyszedł odmieniony na zawsze.

Pozostawiliśmy mości Pedra Calderona z gronem jego krewnych i znajomych i poszliśmy w dół ulicą Francos, kierując się ku domowi Lopego – wszyscy w Hiszpanii takeśmy go zwali, po imieniu, pomijając jego przesławne nazwisko – albowiem mość Francisco de Quevedo miał mu przekazać zamówienia pewne, które był w Pałacu otrzymał. Obróciłem się za siebie po dwakroć, by zmiarkować, czy ów człek bez płaszczu i po junacku odziany wciąż za nami podąża, ażem za trzecim razem go spostrzegł. Może to i zwykły traf – pomyślałem, atoli przeczucie, w madryckich zaułkach wybornie zaprawione, podpowiadało mi, że trafunki zazwyczaj oznaczają zapach krwi i żelaza w mrocznym zakątku. Uwagę mą wszelako zaprzętały sprawy inne. Po pierwsze, mość Francisco, krom komedii dla hrabiego–diuka, miał także dostarczyć kilka żartobliwych romanc w dworskiej manierze, na które oskomy nabrała Najjaśniejsza Pani – z myślą o zabawie, jaką myślała wydać w Złotym Saloniku Pałacu Królewskiego. Quevedo obiecał był, że je do Pałacu przyniesie, królowa miała osobiście zamiar wysłuchać ich z ust jego, w obecności swych

dworek, a poeta, jako że druhem był zacnym i wiernym, zaproponował był, abym i ja mu kompanii dotrzymał podczas tej wizyty w roli pomocnika, sekretarza, pazia czy kogo tam mam upodobanie odgrywać. A mnie odpowiadała jakakolwiek rola, byleby Angelicę de Alquezár móc ujrzeć – dworę królowej, w której, jak może pamiętacie waszmościowie, zadurzony byłem po czubek głowy. A drugą rzeczą, co mi po łepetynie chodziła, był dom Lopego. Zastukał mość Francisco de Quevedo do drzwi, otwarła nam Lorenza, służąca wielkiego poety, za czym weszliśmy z sieni do środka. Znałem już to domostwo, z czasem zasię jałem odwiedzać je częściej, a to z racji przyjaźni, jaka łączyła mość Francisca z Lopem, a pana mego z kilkoma bliskimi druhami naszego Feniksa Geniuszy – w tym z jakże Lopemu serdecznym mości kapitanem Alonsem de Contreras i jeszcze kimś, kto lada moment też pojawi się na scenie. Owóż, jakem napisał, opuściliśmy sień, przeszliśmy korytarzyk, minęliśmy schody na górne piętro, na których bawiły się dwie siostrzenice poety – po latach jawnym się stało, że były to córki Lopego i Marty de Nevares²⁴ – i znaleźliśmy się w ogródku, gdzie Lope spoczywał w wiklinowym fotelu i korzystał z cienia rzucanego przez krzew dzikiego wina, nieopodal studzienki i sławnego drzewka pomarańczowego²⁵, które sam zawsze pielęgnował. Dopiero co obiadować skończył, wedle boku jego stał jeszcze stolik z resztkami jedzenia, napojami i szklaną karafką wina dla gości. Dotrzymywało mu kompanii trzech mężów. Jednym był wspomniany już przeze mnie kapitan Contreras, kawaler maltański (o czym krzyż na kaftanie zaświadczał), częsty bywalec domu Lopego, kiedy tylko w Madrycie bywał. Obydwaj z panem moim wielką ku sobie pałali przyjaźnią z racji wspólnego żeglowania na galerach neapolitańskich, a przecie znali się jeszcze dłużej, od czasów chłopięctwa, kiedy to zaciągnęli się byli do oddziałów archidiuka Alberta i do Flandrii ruszyli. Oddziałów, z których

oczywiście Contreras – już podówczas znany łajdak, co innego huncwota zasztyletował był, mając ledwie dwanaście wiosen – dał nogę w połowie drogi. Drugim gościem był sekretarz Rady Kastylii nazwiskiem Luis Alberto de Prado, z Cuenki pochodzący autor ponoć przyzwoitych wierszy²⁶, co wszelako przesadną wręcz admiracją otaczał Lopego. Trzecim zaś był młody szlachcic przyjemnej kompleksji, z ledwie sypiącym się wąsem, lat nie więcej niżeli dwadzieścia, w bandażu na łbie. Młodzian ów na nasz widok aż się podniósł z wyrazem ogromnego zdumienia na licu. Podobną minę spostrzegłem także u kapitana Alatríste, który stanął jak wryty wedle studzienki i odruchowo oparł dłoń na rękojeści rapiera.

– Na mą wiarę – ozwał się młodzian – madrycki świat jest mały.

Zaiste. Obydwaj pojedynekowali się, imion swych nawzajem nie znając, poprzedniego dnia na stokach nad Manzanares. Osobliwą atoli rzeczą, którą wszyscyśmy w tej chwili zmiarkowali ku niepomiernemu naszemu zdumieniu, był fakt, że młody szermierz zwał się Lopito Félix de Vega Carpio²⁷, był synem poety i niedawno był do Madrytu z Sycylii przyjechał, gdzie służył na galerach markiza de Santa Cruz pod rozkazy którego oddał się, mając piętnaście wiosen. Chłopak – syn z nieprawego łoża, aczkolwiek uznany przez ojca, owoc długoletniego romansu Lopego z komediantką Micaelą Lujan – zdążył już był wojować przeciwko berberyjskim korsarzom przeciwko Francuzom koło wysp Hyeres²⁸ i udział wziął w oswobodzeniu Genui²⁹, teraz zaś przebywał w stolicy z nadzieją że ostatnie formalności pokona, by promocję do stopnia chorążego uzyskać, ale także, jak się zdaje, odwiedzał przy kracie pewną damę. Sytuacja wielce była kłopotliwą, oto bowiem Lopito opowiadał o całym zajściu, ni jednego szczegółu nie pomijając, ojciec jego siedział skonfundowany w zasypanej

okruszkami chleba sutannie, to na jednych, to na drugich popatrywał i nie potrafił się przemóc, czy raczej zadziwieniu, czy może urazie upust dać. Kapitan Contreras i mość Francisco de Quevedo, zrazu niepomiernie się zdumiewawszy, dwoili się i troili ażeby dyplomatycznie rzecz zakończyć, aliści pan mój, takóŜ mocno zalterowany, juŜ gotował się opuścić domostwo, w którym, jak tuszył, jest osobą niechętnie widzianą.

– A przecież – rzekł Quevedo – nasz młody chwata ma się czym pochwalić... SkrzyŜować ostrza z najlepszym Źelazem w Madrycie i wyjść z tego ledwie draŹniętym to Źwiadczy albo o wielkim talencie, albo o wielkim ŹczęŹciu.

Przyklasnął tym słowom Alonso de Contreras, mnogimi argumentami sypiąc, snadź znał mego pana jeszcze z Italii i mógł przyŹwiadczyć, Źe Alatryste nie zabija wtedy jeno, gdy sam tego nie chce. Zaraz teŹ ozwali się kolejni mówcy, wszelako Diego Alatryste niewzruszenie do odejŹcia się sposobił. Pochylił z uszanowaniem głowę przed starym Lopem, w głos zapewnił, Źe nigdy by za Źelazo nie był chwycił, gdyby jeno wiedział, czym synem jest jego przeciwnik, i juŜ się odwrócił, by precz odejŹć, nim szacowny gospodarz ozwać się zdoła.

W tym momencie wtrącił się na nowo młody Lopito de Vega. „Zezwól, ojczy, by kawaler ów mógł z nami pozostać” – rzekł. Nijakiej doń urazy nie żywił, bo człęk ten bił się nader uczciwie i rycersko.

– A lubo cios do eleganckich nie naleŹał, bo któryŹ jest! – prawił – nie ostawił mnie na ziemi jak psa... Ranę mi obwiąŹał i tyle jeszcze dwornoŹci w sobie znalazł, by wyszukać kogoŹ, kto mnie do cyrulika zaprowadzi.

Godne słowa te uspokoily burŹę, ojciec rannego mars z czoła odegnał, Quevedo, Contreras i Prado pochwalili rozum młodego chorąŹego, co więcej o nim samym powiedział i o szlachetnoŹci jego krwi. Lopito podjął na nowo opowieŹć o pojedynku, tym razem mnogie nowe Źczegóły

dodając i w tonie żartobliwym, konwersacja tedy przyjemną się stała, skoro tylko pierzchły chmury, z których jeszcze przed chwilą mogła ulewa spaść na obrus Wielkiego Feniksa i wielką sromotą pana mego okryć. Tego zasię Diego Alatryste do końca życia nie mógłby sobie darować, niezmiernie wszak wielbił Lopego i respektem go darzył, jaki dla niewielu miał ludzi po tym świecie chodzących. Nareszcie przyjął kapitan szklanice przesłodkiej malagi, wszyscy nowe wyrazy uszanowania sobie złożyli, a Lopito i on sam przyjaźń zawarli. Osiem lat miała ona trwać – aż do chwili, gdy chorążego Lopego Felixa de Vega Carpio dopadł okrutny los i mężny ów człek utonął wraz ze swym okrętem podczas wyprawy na wyspę Margarita³⁰. O nim w każdym razie będę miał jeszcze sposobność w dalszym ciągu opowiedzieć, a kto wie, może i w której kolejnej części mych wspomnień, jeśli zdołam zdać sprawę z roli, jaką Lopito, kapitan Alatryste i ja, nie licząc innych znanych już albo dopiero z czasem poznanych druhów, odegraliśmy w szturmie, który Hiszpania przedsięwzięła, by drugi już raz w tym stuleciu zdobyć „Wenecję i zaszlachtować Dożę wraz z jego poplecznikami, co tyle krwi nam napsuli na Adriatyku, z dzióbeków sobie pijąc z papieżem i tym lisem Richelieu. Ale wszystko po kolei. Boć Wenecja, do kroćset, na osobną księgę zasługuje.

Owóż gwarzyliśmy tak sobie pospołu w ogródku, aż dzień dobrze w wieczór jął przechodzić. Mnie oczy na wierzch wyłaziły, takem się przypatrywał z bliska Lopemu de Vega, który przed kilkoma laty pod Świętym Filipem dłoń mi na ramieniu był położył, jakby mnie na młodziana pasował, ledwie do Madrytu przybył. Tuszę, że dziś już niepodobna wyrozumować, jak wiele znaczył Lope w owych czasach. Liczyć musiał już sześćdziesiąt cztery wiosny, wciąż wytwornie się nosił, co podkreślały siwe, ładnie przystrzyżone włosy, także wąsiki i wąska

bródka, której nie zgolił pomimo duchownej sutanny. Zachowywał się roztropnie: ożywał się skąpo, uśmiechów nie szczędził, starał się zadowolić wszystkich obecnych i niesłychaną dwornością odwracał uwagę od swej pozazdroszczenia godnej pozycji. Nikt z jemu współczesnych – a później jeno Calderón – nie zaznał za życia takiej sławy, udało mu się bowiem sztukę dramatyczną wynieść na wyżyny piękna, różnorodności a bogactwa, przy czym nikt mu się pod tym względem nie mógł równać w całej Europie. Za młodu wojował pod Terceirą³¹, w wypadkach aragońskich³² i w wyprawie na Anglię³³, a w epoce, o której teraz prawię, miał już napisaną większość ze swych tysiąca pięciuset komedii i czterystu misteriów, co spod jego pióra wyszły. Stan duchowny nie poskromił jego nieobyczajnych skłonności do miłostek, flirtów i płodzenia nieślubnego potomstwa. Co sprawiało, że lubo na literackiej niwie glorii dostąpił, nie cieszył się sławą męża cnotliwego, tedy i od łask królewskich z dala był trzymany, jako to od stanowiska kronikarza nadwornego, o którym marzył, a którego nigdy nie dostał. Krom tego jednego, pławił się w fortunie, a wawrzyn zdobił jego czoło. W przeciwieństwie do pocziwiny mości Miguela de Cervantes, który – jak wspomniałem – zgasł w nędzy, samotności i zapomnieniu, pogrzeb Lopego dziewięć lat po wypadkach, które teraz opisuję, stał się wydarzeniem, a udział w nim wzięły rzesze tak mnogie, jakich nigdy bodaj w Hiszpanii nie widywano. Co się zaś tyczy jego sławy, sporo już na temat ten napisano, odsyłam zatem czytelnika do lektury innych dzieł. Ja jeno tyle powiem, że po latach pojechał do Anglii, poznałem tamtejszą mowę, czytałem, a nawet widziałem na scenie sztuki Williama Szekspira. I mam swoje zdanie, mogę owóz rzec, że o ile Anglik zagłębia się w serce ludzkie i bada postacie ode wnętrza znacznie wnikliwiej niżli Lope, o tyle Hiszpan nie ma sobie równych w cyzelowaniu intrygi teatralnej, jak nikt konceptem błyszczący, by wciągnąć widza,

zaskoczyć i oczarować przebiegiem wydarzeń. A skoro już o postaciach mowa, także pewien nie jestem, czy Anglik zawsze potrafił odmalować wahania i niepokoje zakochanych albo niecne knowania sług kreską równie przemyślną, co nasz Feniks. Zważcie chociażby waszmościowie jego mało znaną sztukę *Diuk Viseu* i sami przyznajcie, czy ta komedia tragiczna nie może o lepsze walczyć z tragediami tego drugiego. Co więcej, prawda to, że teatr Szekspira wielce uniwersalny miał charakter i każda ludzka istota zobaczyć się w nim może – snadź jeno *Don Kichote* jest hiszpański jak Lope i uniwersalny jak Szekspir – ale prawda nie mniejsza, że Feniks swą nową sztuką pisania komedii zwierciadło stworzył najwierniejsze, w którym Hiszpania naszej epoki odbicie swe podziwiać mogła, i powołał do życia teatr, który naśladowano wszędzie, a to dzięki temu, że język hiszpański, język najpotężniejszego na ziemi imperium, z podziwem był czytany i używany przez mnogie ludzkie rzesze (po części za sprawą naszych śmierć niosących regimentów oraz naszych butnych, czarno odzianych ambasadorów...). Żadna też nacja, nawet Szekspira pobratymcy, co podtrzymuję bez nijakiego zasromania, nie zdołała tak wybornie przedstawić obyczajów swych, cnót i mowy, jak to uczynili Hiszpanie właśnie poprzez teatr Lopego, Calderona, Tirsa, Rojas, Alarcona i wielu innych, teatr, który długi czas władał scenami całego świata – owo gdy w Italii, w Niderlandach, w Indiach i na zamorskich Filipinach po naszymu gadano, Francuz Corneille małpował komedie Guillena de Castro, żeby poważanie w ziemi rodzinnej zyskać, a ojczyzna Szekspira była dopiero ledwie wysepką przez piratów–obłudników zaludnioną, co szukała jeno sposobności, żeby jak tylu innych pożywić się i potęgi nabrać, skubiąc starego i znużonego hiszpańskiego lwa – ten zasię wciąż jeszcze pokazywał pazury, jakich tamci nigdy się nie dochowali, co sam Lope pięknie opisał:

*Hejże, Gotów potomkowie,
Hejże, władcy siedmiu mórz,
Wieźcie skarby, jeńców mrowie.*

*Niech świat cały dziś opowie
Chwałę waszą wszcz i wzdłuż.*

Owóż w ogródku gadano po trosze o wielu sprawach rozmaitych. Zdał relację kapitan Contreras z wydarzeń na frontach, Lopito poinformował Diega Alariste, jak obecnie wygląda sytuacja na wodach Morza Śródziemnego, po których mój pan żeglował był i bił się w swoim czasie. Następnie kompania przeszła do sztuk pięknych, co nieuniknionym było, kilka decym swoich przeczytał mość Luis Alberto de Prado, za które ku niepomiernej swej uciechy zebrał pochwały od Queveda, za czym wypłynął temat Gongory.

– Nasz kordobańczyk śmierci bliski, powiadają – pokiwał głową Contreras.

– I co z tego – zareplikował Quevedo – skoro będzie miał zmienników? Z pragnienia sławy, jak grzyb z zimowej wilgoci, dzień w dzień rodzą się kolejne wierszoroby.

Uśmiechnął się Lope ze swego Olimpu, wyrozumiały, acz rozbawiony. On także Gongory nie znosił, lubo całe lata pragnął się być doń zbliżyć, bo odnosił się doń ze skrytą admiracją i bojaźnią zarazem. Do tego stopnia, że napisał o nim takie oto strofy:

Łabędziu, chlubo Betyki, coś lutnię Dźwięcznej obdarzył szlachetnymi tony... ³⁴

Atoli nasz łabędź–prebendarz należał do tych ptaków, którym karmę trzeba osobno rzucać, nigdy się wszak nie dał na plewy pochlebstw nabrać. Zrazu miał nadzieję pozbawić Lopego jego poetyckiego berła, nawet komedie usiłował pisać, aleć klęskę tu poniósł, jako i w wielu innych rzeczach. Stąd darzył Feniksa niezmienną i jawną niechęcią, pokpiwał z jego rzekomej kultury klasycznej – albowiem w przeciwieństwie do Gongory i Queveda, Lope ni w ząb greki nie znał, a i w łacinie jeno pobieżne miał rozeznanie – szydził z jego komedii i z uwielbienia, jakim te cieszyły się wśród nieoświeconego gminu:

*Hiszpańską mowę niby wino psuje,
A pospólstwo jak kaczkę się tym poi.*

*Jego nazwisko „V e g a” mu przystoi,
Bo talent jego lichy w e g e t u j e.³⁵*

A przecież Lope z areny zejść się nie kwapił. Zabiegał o dobre stosunki z każdym, a wiek i chwała, które osiągnął, nie sprzyjały waśniom. Kontentował się tedy dyskretnymi, łagodnymi przytykami, całą brudną robotę druhom ostawiając, na przykład Quevedowi, którzy nijakiego wyrzutu sumienia nie odczuwali, gdy trzeba było obnażyć kultystyczne rozpasanie kordobańczyka, a osobliwie jego adeptów³⁶. Gdy zasię Quevedo w szranki stawał, to chłostał po mistrzowsku i Góngora musiał pola ustąpić.

– Aha, na Sycylii przeczytałem *Don Kichota* – zmienił temat kapitan Contreras. – I klnę się, że nie jest to zła książka.

– Racja – przytaknął Quevedo. – Już sławę niejaką osiągnęła, a prorokuję, że wiele innych powieści przeżyje.

Uniósł Lope brwi ze wzgardą, więcej wina nalać kazał i skwapliwie nowym torem wszczął konwersację. Macie przeto i następny dowód na to, com już nadmieniał, że więcej krwi mogłeś utoczyć piórem niżli rapierem w owej Hiszpanii wiecznych zawiści i podstępów, gdzie Parnasu pożądanu równie gorąco, jak złota inkaskiego, a najgorszego wroga mogłeś znaleźć wśród ludzi tej samej profesji. Uraza między Lopem a Cervantesem, który w tym momencie, jakem rzekł, siedział już w niebiesiech po prawicy Przedwiecznego, wśród innych mężów sprawiedliwych, liczyła sobie długie lata i przetrwała nawet po śmierci pocziwego mości Miguela. Zrazu przyjaźń połączyła była dwóch gigantów naszej literatury, aliści przemieniła się w nienawiść, kiedy światły nasz kaleka, co też do komedii szczęścia nie miał – *próżno szukałem twórcy, co by zechciał mnie o takowe prosić*³⁷ – pierwszy kąśliwą strzałę wypuścił, gdy w pierwszej części swego dzieła cięte przytyki wobec utworów Lopego pomieścił, osobliwie w przesławnej przygodzie z trzodami owiec i baranów³⁸. Ów odciął się nader surowym wyrokiem: *O poetach ni słowa – wiek nastał nam dobry. Żaden z nich wszelako nie jest tak pośledni jak Cervantes ni tak głupi, by Don Kichota chwalać*³⁹. W owych latach powieść uznawano za sztukę gorszego autoramentu, niespecjalnie chwałę przynoszącą, a tworzoną osobliwie dla uciechy pańienek. Pieniądze dawał teatr, a blask sławy – poezja. Dlatego Lope respektem darzył Queveda, drżał przed Gongorą, a Cervantesem pogardzał:

Czcij Lopego, pryku, bo biada ci!

*Jest jak słońce, lecz w złości gotów grzmieć; Ten twój Kichote, co nie znaczy nic, Zadki podciera wszędy, o tym wiedz, Kupcy przyprawy weń pakują mi, A skończy wśród odchodów, wszak to śmieć...*⁴⁰

jak napisał doń w liście, który – dla jeszcze większego pohańbienia – wysłał na koszt adresata (opłata wynosiła jeden real), czym rywalowi mieszek nieco opróżnił. Najmocniej ubodło mnie, żem reala musiał zapłacić⁴¹ – wspominał potem Cervantes. Tak tedy mość Miguel, wydziedziczony z teatralnych podwórców, utrudzony niedolą, nędzą, więzieniami, szykanami i ustawicznym słaniem petycji, nieświadom zgoła sławy, jaka już za jego życia cwałowała na grzbiecie Rosynanta, on, który nigdy łask się nie dopraszał bezczelnym schlebianiem możliwym – w przeciwieństwie do Gongory, Queveda i samego Lopego – na koniec uwierzył w ułudę własnej przegranej i wyznał ze zwykłą sobie godnością:

*Bez opamiętania trud wkładam cały,
By ludzie myśleli, żem jest poeta,
Lubo talentu nieba dać nie chcieli⁴².*

Ale, ale. Taki po prostu był ów niepowtarzalny świat, o jakim prawie tu waszmościom, kiedy to samo słowo „Hiszpania” w drzenie ziemię wprawiało: kłótnie genialnych ślepców, buta, urazy, okrucieństwo, małostkowość. Aliści w miarę jak imperium, nad którym słońce nie zachodzi, rozpadało się z wolna na kawałki i z powierzchni ziemi zniknęło za sprawą naszego losu niepomysłnego i naszej nikczemności, wśród jego szczętów i zgliszcz odciskały się potężne ślady niezwykłych mężów, umysłów do tej pory niespotykanych, co dziełami swymi tłumaczą przynajmniej, jeśli nawet nie usprawiedliwiają, ową epokę wielkości i chwały. Jako jej synowie odziedziczyli jej przywary – zgoda, mnogie. Jako dzieci hiszpańskiego geniuszu, dali z siebie, co mogli – zgoda, mnóstwo. Żadna nacja tylu wielkich ludzi nie wydała w tym samym czasie i żadna nie

sporządziła tak drobiazgowego autoportretu, jak uczyniły to ich pióra. Szczęśliwie wszyscy oni żywią nadal na policach bibliotek, na stronicach ksiąg. Zawsze pod ręką, jeśli kto oskomy nabierze, by zbliżyć się i w zadziwieniu wsłuchać w bohaterski i straszny tętent naszego wieku i naszego życia. Tylko tak bowiem możliwość mamy, by pojąć, kim byliśmy i jesteśmy. A potem – niechaj czarci wszystkich porwą.

Pozostał Lope w swym domostwie, pożegnał się sekretarz Prado, a cała reszta naszej kompanii, pospołu z Lopitem, doczekała zmroku w gospodzie Juana Lepre, na rogu ulic Lobo i Huertas, gdzieśmy osuszyli bukłak wina z Luceny. Konwersacja była wielce ożywiona, osobliwie dzięki kapitanowi mości Alonsowi de Contreras, który objawił się jako mąż nader przyjazny, ucieszny i rozmowny, a jał onże opowiadać o wyczynach wojennych swoich i mego pana, nie wyłączając wydarzeń z Neapolu roku piętnastego, kiedy to Alatryste w pojedynku wykrwawił pewnego człeka z powodu niewiasty, a sam Contreras pomógł mu umknąć sprawiedliwości i do Hiszpanii czmychnąć.

– Rzeczona dama też z tej historii cało nie wyszła – dodał ze śmiechem.
– Diego zostawił jej na pamiątkę niezgorszą szramę na jagodzie... A, jak mi król miły, zasłużyła ladacznica na to z nawiązką.

– Siła znam takich – przytaknął jak zawsze niewiastom niechętny Quevedo – co zasługują.

I obdarzył nas, konceptem wiedziony, improwizowanymi na poczekaniu wersami:

Myśli, leć i powiedz oczom,

Które we mnie rodzą żądze:

*Mam pieniądze.*⁴³

Przypatrywałem się memu panu, nie mogąc imaginować go sobie, jak lica niewieście rozcina. On wszelako trwał nieporuszony, nad stołem się pochylał i spoglądał w głąb swej szklanicy. Mość Francisco zmiarkował, gdzie patrzeć, zerknął z ukosa na Alatristego i nie ozwał się więcej. Iluż spraw nie znam – pomyślałem – co kryją się za jego milczeniem. I ponownie, jak już tylekroć, gdy dostrzegałem mroczną kompleksję kapitańską, ciarki mi po grzbiecie przeszły. Dojrzałość i wiedza nigdy nie przychodzą do człeka za darmo, albowiem za ich sprawą zapuszcza się w ciemne zakamarki duszy swych bohaterów. W miarę jak czas upływał, a oczy me coraz szerzej się otwierały, u Diega Alatriste coraz więcej rzeczy widziałem, których wolałbym zgoła nie widzieć.

– Rzecz jasna – nadmienił Contreras, patrząc na mnie, jak gdyby też się obawiał, czy za daleko nie zabrnął – byliśmy śmiali i młodzi. Pamiętam, razu pewnego na Korfu...

I nuże opowiadać. Zaraz też posypały się imiona wspólnych przyjaciół, jak Diego Duque de Estrada, z którym pan mój walczył ramię w ramię podczas nieszczęsnej wyprawy na Qerqenny, gdzie obydwaj omal życia nie postradali, ratując z opresji Alvara de la Marca, hrabiego de Guadalmedina. Ten ostatni – wtrącił Quevedo – zamienił przeszłe żołnierskie trudy na pozycję zausznika Filipa Czwartego, któremu co noc kompanii dotrzymuje w lubieżnych wypadach. A ja, przepomniawszy już snute dopiero co myśli, zasłuchałem się z gębą otwartą w gawędy o galerach, abordażach, niewolnikach i łupach, które w ustach kapitana Contrerasa znamion baśni nabierały, jako to na przykład sławetny pożar berberyjskiej floty naprzeciw Golety, gdy pływali pod rozkazami markiza Santa Cruz, albo opowieść o czarownych zakątkach u podnóża Wezuwiusza, o orgiach i fanfaronadach, kiedy to Contreras i mój pan w krótkim czasie wydawali całe bogactwo, złupione wprzód na korsarskich wyprawach po wyspach greckich i

tureckim wybrzeżu. A niebawem nareszcie, pomiędzy jednym haustem wina a drugim, cośmy je rozlewali po stole za sprawą rąk coraz mniej pewnych, kapitan Contreras wydeklamował strofy na jego cześć przez Lopego de Vega ułożone, w które sam teraz wtrącał swe własne, na chwałę mego pana:

*Światu objawił swe męstwo,
Mnożąc Hiszpanii zwycięstwa,
Wawrzyn niech przyjmie Contreras;
Onże z Alatristem nieraz
Siekli bisurmańską gęstwę
Równą pracą dwojga żelaz.*

*Za to im ojczyzna teraz
Daje swe błogosławieństwa.*⁴⁴

Kapitan Alariste siedział w milczeniu, rapier zwiesiwszy na oparciu krzesła, a kapelusz rzuciwszy na złożony na ziemi płaszcz, i tylko czasem głową raczył skinąć albo mruknąć coś z lekkim uśmiechem pod wąsami, gdy Contreras, Quevedo albo Lopito de Vega imię jego wymieniali. A ja spijałem im słowa z ust, zapamiętywałem każdą anegdotę i wspomnienie każde, i czułem się w prawie, by mieć się za jednego z nich. Boć przecie w wieku szesnastu lat byłem już weteranem wojny flamandzkiej i paru bardziej mrocznych kampanii, miałem skórę poznaczoną wieloma bliznami, a i rapierem potrafiłem zgoła swobodnie pomachać. Na tym wspierałem mą wiarę, że i ja wstąpię w szeregi wojska, ledwie tylko będzie to w mojej możliwości, i że wawrzyny zdobędę, dzięki którym dnia pewnego, gdy przy stole w gospodzie jakiej o swych zaczną opowiadać wyczynach, ktoś na mą

cześć też wydeklamuje strofy do tych podobne. Skądże mogłem miarkować, że pragnienia te z nawiązką zostaną spełnione i że droga, jaką ruszyć chciałem, powiedzie mnie także na drugą stronę chwały i sławy: tam, gdzie prawdziwe oblicze wojny – którym był ujrzał już we Flandrii prostodusznymi oczami młodzika, co wojnę traktuje jako wspaniałe przedstawienie – mrokiem zasnuwa serce i pamięć. Dziś, mitrząc niekończący się wiek sędziwy i wspomnienia niniejsze spisując, popatruję za siebie i wśród łopotu sztandarów, wśród turkotu barabanów, w rytm których maszerowała statecznie wierna piechota, by na mych oczach ginąć pod Bredą, Nordlingen, Fuenterrabía, Rocroi albo w Katalonii – wśród tego wszystkiego widzę jeno widmowe oblicza i przenikliwą, nieskończoną samotność człeka, co poznał Hiszpanię od najlepszej i najgorszej strony. Dzisiaj przeto, zapłaciwszy cenę, jakiej życie ode mnie zażądało, wiem już, co kryło się za milczeniem i nieobecny wzrokiem kapitana Alatryste.

Pożegnał się ze wszystkimi i w kapeluszu na głowie, płaszczem owinięty, samotnie ruszył w górę ulicy Lobo, by za chwilę minąć trakt San Jerónimo. Noc już zapadła, chłód się rozpanoszył, a nikczemna ulica Criminales zionęła pustką. Światła nie było niemal wcale, jeśli nie liczyć żarzącej się świeczki w niszy ze świętym obrazkiem. W połowie drogi pragnienie poczuł, ażeby za potrzebą na chwilę się zatrzymać. Przesadziłem z winem – powiedział w duchu i skierował swe kroki w najciemniejszy zakątek, odrzucił płaszcz do tyłu i otworzył rozpór w pludrach. Stał tak owo w kącie, pofolgowanie sobie dając, gdy w pobliskim klasztorze Bernardynek w dzielnicy Vallecas rozległy się dzwony. Czasu mam aż nadto – pomyślał. Pół godziny zostało do schadzki w górnym końcu ulicy, za Alcalá, gdzie stara gospodyni, co się trudni łątaniem cnót, i niepoprawna stręczycielka, wielce w fachu swym zwinna, już z pewnością przyszykowała wszystko –

łóże, wieczerzę, miednicę i ręczniki – na spotkania, które czekało go z Marią de Castro.

Właśnie pludry zapinał, gdy zza pleców dobiegł jakiś odgłos. Ulica Criminales – pomyślał raptem. Po ciemku, w niedopiętych gaciach. Zaiste, piekielne szczęście skończyć w taki sposób. Skwapliwie poprawił przyodziewek, przez ramię zerkając, i odsunął lewą połą płaszcz, pod którą miał przypasany rapier. Na rany Chrystusa. Wędrówka nocnym Madrytem przyprawiała o nieustanną gęsią skórę, a kto mógł, ten wynajmował sobie zbrojną eskortę z latarnią, skoro tylko musiał przemieścić się z jednego miejsca w drugie. Pocieszające jeno, że – jak to się miało w przypadku Diega Alatryste – cel ataku bywał równie niebezpieczny, co jego prześladowcy. Albo i bardziej. Wszystko zależało od intencji, te zaś u niego nigdy nie były bliskie franciszkańskim.

Chwilowo nie widział niczego. Ciemno było jak w zadku u Lucyfera, okapy dachów pogrążyły bramy domostw w absolutnym mroku. Gdzieś jeno świeca w środku zapalona pozwalała domyślić się, że mieszkańcy ostawili byli lufcik albo żaluzję niedomkniętą. Trwał jakiś czas nieruchomo, dając pilne baczenie na róg ulicy Alcalá jak ktoś, kto przypatruje się zniszczeniom, przez arkebuzy wraże wałom obronnym zadany, za czym ruszył ostrożnie, miarkując, by w końskie nieczystości nie wdepnąć ni w żadne inne świństwo zalegające w ścieku. Słyszał jeno własne kroki. Wtem ich odgłos jakby się podwoił, echo zdało się dobiegać z przeciwnego krańca wąskiej ulicy Criminales, wzdłuż muru ogrodów klasztoru Vallecas. Rzucił okiem na boki, marszu nie wstrzymując, i na koniec zobaczył ciemny kształt, co się w jego stronę posuwał tuż pod ścianami wysokich domów. Mógł to być wędrowiec niegroźny jak baranek albo ktoś, kto szukał zaczepki. Kapitan ruszył przeto przed siebie, tamtego z oczu nie tracąc. Zrobił tak dwadzieścia, może trzydzieści kroków,

trzymając się środka ulicy, aż się z tamtym zrównał. Jak zmiarkował w słabym świetle z okna, był to człek owinięty szczelnie płaszczem i w szerokim kapeluszu na głowie. Poszedł dalej nader czujnie i rychło spostrzegł drugą mroczną postać, tym razem po drugiej stronie. Za dużo tych postaci w takiej ciemności – pomyślał. Zwykli zbóje albo nasłani złoczyńcy. Rozpiął tedy kłamerę płaszczu i dobył żądła.

Dziel, a zwyciężysz – powiedział w duchu. O ile fortuna dopisze. Poza tym, kto wcześniej staje, temu Pan Bóg daje. Przeto ruszył prosto ku temu z prawej, zwijając sobie płaszcz na swobodnym ramieniu, i zadał cios, nim tamten zdołał się z własnej peleryny wymotać, przekłuwając mu odzienie i to, co miał jeszcze pod spodem. Przeciwnik z jękiem zatoczył się w bok, za broń nawet nie chwyciwszy, i dysząc ciężko, wycofał się do pobliskiej bramy. Alatryste obrócił się ku drugiemu, który już nadbiegał ulicą. Oby nie miał pistoletu – pomyślał. Postać, równie czarno odziana i w zawadiackim kapeluszu, natarła nań od razu, z rapierem wysuniętym do przodu. Kapitan zwinął płaszcz i rzucił tamtemu naprzeciw. Napastnik szpetnie bluznął, usiłując wyplątać broń z pułapki, z czego natychmiast skorzystał Alatryste i jął dźgać go krótkimi, niemal na oślep zadawanymi ciosami. Ostatni celu dosięgnął, bo łotr przewrócił się na ziemię.



przekłuwając mu odzienie i to, co miał jeszcze pod spodem.

Kapitan rzucił wstecz okiem, czy nowe niebezpieczeństwo nie nadciąga, ale pierwszy snadź miał już dosyć, bo, kuśtykając, zniknął w mrocznej dali. Sięgnął tedy po swój płaszcz, powalany do cna ulicznym brudem, schował w pochwie rapier, dobył lewaka i przytknął go do gardzieli leżącego.

– Gadaj – rzekł – albo cię zarżnę, jak mi Bóg miły.

Tamten sapał nierównomiernie, sponiewierany, atoli przytomny na tyle, by móc sytuację ocenić. Cuchnęło odeń niedawno wyżłopany winem. I krwią.

– A idźcież... do czarta – wymamrotał słabo.

Alatriste przyjrzał mu się tak bacznie, jak tylko ciemności pozwalały. Broda gęsta. Kolczyk w uchu, połyskujący w mroku. Głos spod ciemnej gwiazdy. Zabijaka, za pieniądze, ani chybi. A do tego twarda sztuka, jak można było z gadki mniemać.

– Mów, kto za to płaci – i mocniej ostrze mu do gardła przycisnął.

– Do ołtarza... się ucieknę – odrzekł tamten – możesz mi waszeć... gardło poderznąć.

– Tako zamiaruję.

– Tedy... co mi tam.

Uśmiechnął się Alatriste pod wąsem, wiedząc, że przeciwnik tego nie dostrzeże. Miał ikrę bazylierek, niczego się tu w rękawiczkach nie dowiemy. Przeszukał go szybko, aliści znalazł jeno sakiewkę, którą przy sobie zatrzymał, i wyborny nóż, który precz w ciemność odrzucił.

– Nijakiej farby nie puścisz?

– Ni... myślę.

Kapitan pokiwał głową ze zrozumieniem i powstał. Gdy rzecz ma się z adeptami twardej profesji, jak w tym przypadku, reguły łotrowskie niezmiennie łotrowskimi pozostają. Czas tu jeno będzie tracił, a gdyby raptem pojawił się oddział pachołków miejskich, znaczne miałyby kłopoty, by się wytłumaczyć, co tu robi o takiej porze z ledwo żywym ścierwem u stóp. Zatem nogi za pas. Już miał lewak schować i prosto nosa odejść, wszelako po namyśle pochylił się raz jeszcze i krzyż tamtemu na gębie wyciął. Odgłos się rozległ, jak gdybyś po desce rzeźniczej szorował, i ranny zamilkł na dobre, czy że zmysły postradał, czy sztych mu ozór pochlastał. Kto to wie. A zresztą – myślał Alatriste, oddalając się – i tak nadmiernie go nie używał. W każdym razie, jeśli ktoś go w całość pozszywa i łajdak żyw z tego wyjdzie, łatwiej będzie go za dnia rozpoznać, gdy znowu los ich zetknie. A jeżeli nie, to niech człek ów – albo jego szczęt, co po tej

potyczce w ostatnią uda się drogę – na wieki zakarbuje sobie ulicę Criminales w pamięci.

Księżyc późno wzeszedł, jasną poświatę w szybach czyniąc. Diego Alatryste siedział doń plecami, a postać jego wyraźnie odcinała się od srebrzystego prostokąta okna, sięgającego skraju łoża, gdzie spała María de Castro. Kapitan wodził oczami po kształtach niewiasty, wsłuchiwał się w spokojny jej oddech i w delikatne pomruki, które wydawała, gdy pod ledwie okrywającym ją prześcieradłem poprawiała się, by sposobniejszą do snu pozycję znaleźć. Powąchał własne dłonie i skórę na przedramionach – trwał tam jej zapach, aromat tego ciała, co wypoczywało właśnie po długiej a wyczerpującej wymianie pocałunków i pieszczot. Poruszyła się, a cień jego, zda się, spłynął niby widmo z jej odsłoniętych, białych cudowności. Chryste, śliczna była.

Podszedł do stołu i wina sobie nalał, za czym zszedł z plecionego dywanu i stanął na kamiennej posadzce. Chłód sprawił, że na jego żołnierskim, ogorzałym ciele wszystkie włoski dęba stanęły. Pił, oczu z niewiasty nie spuszczał. Setki mężczyzn wszelakiej kondycji, dostojnością i sakwą się pyszniących, wiele by dało, ażeby móc choćby chwilowej z nią błogości zaznać – ale to właśnie on teraz był tutaj i smakował lubie znużenie jej ciałem i ustami. A przecież nie miał majątku krom rapiera ni przyszłości krom zapomnienia. Przedziwnymi zaiste drogami – pomyślał znowu – chadzają niewieście myśli. Albo przynajmniej myśli takich niewiast jak ta. Sakiewka zabójcy, którą bez słowa położył na jej stole – ni chybi tyle właśnie miało kosztować odebranie mu życia – zawierała ledwie tyle, by María de Castro mogła sprawić sobie jakie saboty, wachlarz i kilka wstążek. A przecież oto był tu. I ona tu była.

– Diego.

Rozespany szept poprzedził spojrzenie niewiasty, która przekreśliła się w łóżku i zwróciła się do niego.

– Chodź, życie moje.

Odstawił szklanicę i przybliżył się, by usiąść na skraju łoża i położyć dłoń na jej ciepłej skórze. Życie moje – tak powiedziała. Nie miał gdzie nawet kości po śmierci złożyć – również tę sprawę musiał dzień w dzień rapierem od siebie odsuwać – nie był też gładszem ni wytwornym a utalentowanym mężem z tych, co podczas parad i balów wielką admiracją dam się cieszą. Życie moje. Wtem przypomniał sobie sonet Lopego, który ostatniego wieczora w domu poety usłyszał, zakończony takimi oto słowy:

Kocha, nienawidzi, potępia, sprzyja,

Jest owóz niewiasta jak silny trunek,

*Temu zdrowie niesie, tego zabija.*⁴⁵

W księżycowym świetle oczy Marii de Castro niewiarygodnej urody nabrały, a usta jej półotwarte tajemniczej głębi. A cóż mi po tym – pomyślał kapitan. Życie, a może i nie. Ukochanie moje albo kogo innego. Z rozkoszy umieram czy rozkosz mnie uwiera. Serce moje, twoje, tamtego. Dziś w nocy wciąż był żywy, i to jeno się liczyło. Miał czym patrzeć, czym całować. I czym gryźć. Żaden łotr, co mu był w drogę kiedykolwiek wszedł, żaden bisurman, schizmatyk, strażnik albo skrytobójca nie zdołał mu odebrać tej jednej chwili. Wciąż dychał, lubo tylu już usiłowało mu w tym przeszkodzić. A teraz jeszcze oto, jak gdyby na potwierdzenie tych myśli, jej dłoń gładziła go łagodnie po skórze, zatrzymując się na każdej zabliznionej ranie. „Życie moje” – powtarzała jego kochanka. Niechybnie mość Francisco de Quevedo użyłby tu sobie, rzecz całą portretując w czternastu idealnych jedenastozgłoskowcach. Kapitan Alatryste atoli

uśmiechnął się do siebie w duchu. Dobrze było przy życiu pozostawać, choćby i tę jedną chwilę dłużej, w świecie, gdzie nikt nikomu podarunków nie robił. Gdzie za wszystko trzeba było zapłacić z góry, w trakcie albo potem. Bez uchyby coś zapłacić mi przyszło – pomyślał. Nie wiem, ile i kiedy, ale snadź takem uczynił, skoro teraz życie taką nagrodę mi zsyła.

Skoro zasługuję, by niewiasta – niechby jeno przez kilka zaledwie nocy – patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakim ona na mnie teraz patrzy.





III. W PAŁACU HABSBURGÓW.



hadością oczekiwacz będę waszej *comédie*, drogi i wielmożny panie de Quevedo.

Królowa była damą przepiękną. I Francuzką. Córka wielkiego Henryka Czwartego Burbona miała dwadzieścia trzy wiosny, jasną płeć i dołczek w podbródku. Wymawiała słowa z akcentem równie uroczym, jak cała jej powierzchowność, osobliwie gdy starała się po naszymu r wymawiać i marszczyła przy tym nieco czoło, okazując zarazem staranność i uprzejmość, jako i cały swój majestat, pełen subtelności i polotu. Łacno poznać można było, że urodziła się, by królować, a lubo w obcej ziemi na świat przysła, udatnie się na hiszpańskim tronie odnalazła, podobnie jak jej żelwica Anna Austriaczka – siostra naszego Czwartego Filipa – poślubiona Ludwikowi Trzynastemu, sprawiła się w swej przybranej francuskiej ojczyźnie. Kiedy historia bieg swój odmieniła i postawiła starego lwa hiszpańskiego naprzeciw młodego francuskiego wilka, bo władztwo nad Europą rozsądzić miały, każda królowa, wierna wpojonym zasadom honoru rodowego, bez wahania opowiedziała się po stronie swego dostojnego małżonka i jego państwa, tedy przeokrutne czasy, jakie nadejść miały, paradoks taki zrzędziły, że Hiszpanie pod berłem francuskiej królowej jęli broń krzyżować z Francuzami, którymi władała

królowa Hiszpanka. Tak to się, do kroćset, mają sprawy, gdy wojna z polityką się miesza.

Wróćmy aliści do Elżbiety Burbońskiej i do Królewskiego Pałacu. Gotowałem się właśnie opowiedzieć waszmościom, że owego ranka światło wartko wlewało się skroś trzy balkony Sali Zwierciadlanej, złotem omywało jej loki i odbijało się bladymi refleksami w dwóch skromnych perełkach, które za wisioriki przy uszach królewskich służyły. Odziana była po domowemu, lubo stosownie do jej pozycji, w suknię z grubo tkanego kamlotu koloru malwy, przetykaną srebrnymi wstążeczkami, oraz krynolinę, spod której wdzięcznie wyglądały spódnica, satynowy sabot i na jeden cal szeroki pasek białej pończochy. Monarchini siedziała na taborecie wedle okna przy środkowym balkonie.

– Żywię obawy, że nie podołam, Najjaśniejsza Pani.

– Podołasz, moszczi panie. Cały dwóch mówi, że słyniesz waszmoszcz z bystrego konceptu.

Niby aniołek jest urocza – pomyślałem, stojąc jak wmurowany u wnijścia i mrugnąć okiem nie śmiać. Śród przyczyn, dla których tak znieruchomiałem, bliska obecność naszej Najjaśniejszej Królowej była tylko jedną, i to nie najważniejszą. Przyodziałem się na tę okazję w nowe szatki, w kaftan z białego sukna z wykrochmaloną krezą, pluderki i beret z takiegoż materiału, a wszystko to przyjaciel kapitana Alatryste, krawiec z ulicy Mayor, uszył mi był na kredyt w trzy dni za ledwie, które upłynęły od chwili, kiedy mość Francisco de Quevedo oznajmił był, że mogę mu kompanii dotrzymać, gdy będzie szedł do Pałacu. Pieszczoch Dworu, wielce uważany przez dostojną monarchinię, mość Francisco jął gorliwie we wszelakich uroczystościach na królewskich komnatach brać udział. Zabawiał panującą parę swymi konceptami, schlebiał hrabiemu–diukowi, który sam też wolał mieć ostre pióro poety po swej stronie, gdy mnogość

wrogów politycznych wokół – a osobliwie uwielbiany był przez damy, które podczas każdego balu albo spotkania błagały, by uszczęśliwił je wierszem jakim albo improwizacją. Toteż poeta, szczwany stary lis, dawał się wielbić, chromał nad miarę, ażeby więcej względów dla talentu swego wyjednać, i bez skrępowania rozkwitał, dopóki tłuste lata trwały. Ot, pomyślny układ gwiazd, który – jak mości Franciscowi podszeptował jego ukształtowany na kulturze klasycznej oraz wśród łask i niełask stoicki sceptycyzm – nie mógł być wieczny. Jak sam przecież mawiał, jesteśmy, jacy jesteśmy, aż przestaniemy tacy być. Osobliwie w Hiszpanii, gdzie takie rzeczy zdarzają się na co dzień, nie jeno od święta. Wtrącają cię raptownie do turmy albo włączą po ulicach w czepcu pokutnym traktem skazańców ciż sami, co jeszcze wczoraj przyklaskiwali ci i szczycili się twą przyjaźnią albo względami twymi.

– Pozwól, o pani moja, że jej przedstawię mego młodego przyjaciela. Zwie się Íñigo Balboa Aguirre i już zdążył bić się we Flandrii.

Skłoniłem się, omal szastając czołem po ziemi, z beretem w dłoni zaciśniętym i licami po uszy w rumieńcach. Atoli uderzenia gorąca, o których jużem był napomknął, nie brały się jeno z faktu, że stałem wobec małżonki Filipa Czwartego. Czułem wpatrzone we mnie oczy czterech dworek królowej, nieopodal siedzących na satynowych poduszkach i poduchach, które leżały rozrzucone na żółto–czerwonych płytach podłogi. Pospołu z nimi siedział też Gastoncillo, błazen, którego jej wysokość Elżbieta Burbońska przywiozła ze sobą z Francji, gdy przybywała na zaślubiny z naszym monarchą. Spojrzenia i śmiechy tych młodych dam każdego junaka przyprawiłyby o zmysłów pomieszanie.

– Taki młody – ozwała się królowa.

Za czym posłała mi jeszcze jeden uprzejmy uśmiech i jęła z mości Franciskiem rozprawiać o szczegółach krotochwilnych romanc, które poeta

był niedawno ułożył, ja zasię stałem dalej i gapiłem się w przestrzeń, czując, że jeżeli zaraz o fryz z portugalskich kafli się nie wesprę, to niechybnie nogi posłuszeństwa mi odmówią. Dworki szczebiotały szeptem pomiędzy sobą, Gastoncillo im wtórował, a ja nie wiedziałem, w którą stronę wzrok mam obrócić. Błazen oczywiście mierzył łokieć wzrostu, był szpeciagiem jak jego mać taka owaka i wielką sławą na Dworze się cieszył, bo nikogo jak się patrzy rozbawić nie umiał – łącno imaginujecie sobie waszmościowie, że karzeł żabojad, co facecje opowiada, to niezmierna osobliwość. Królowa wszelako lubiła go, tedy i wszyscy wokół zaśmiewali się z jego historyjek, lubo z przymusu, a bez nijakiej oskomy. Owóż zatem stałem, jakem stanął, nieruchomy jak postać na którymś z obrazów, co salę zdobiły, nowo do użytkowania oddaną pospołu z całą fasadą pałacu po niedawnych naprawach. W tym sędziwym gmachu sąsiadowały ze sobą mroczne izby z minionego wieku i zgoła nowoczesne, dopiero co zbudowane. Przyjrzałem się *Achillesowi* i *Ulissesowi* Tycjana, co ponad drzwiami wisały, akuratnej alegorii *Religia wspomagana przez Hiszpanię*, konnemu portretowi wielkiego cesarza Karola podczas bitwy pod Mühlbergiem⁴⁶, tudzież drugiemu, umieszczonemu na przeciwległej ścianie, przedstawiającemu Czwartego Filipa na wierzchowcu, a namalowanemu przez Diega Velazqueza. Na koniec, gdy już na pamięć znałem wszystkie te płótna, zebrałem się na odwagę i zwróciłem oczy tam, gdzie znajdowała się prawdziwa przyczyna mego niepokoju. Nie umiałbym rzec, czy łomot, jaki we wnętrzu mym się rozlegał, pochodził od stukania ciesielskich młotów, które szykowały pobliski złoty salon do zabawy tanecznej naszej królowej, czy też od pulsowania krwi, co snadnie żyły i serce mogła mi w tym momencie rozsadzić. Aliści oto stałem tam wyprężony, jakbym się gotował do odparcia szarzy luterskiej jazdy, a naprzeciw mnie, na poduszce z czerwonego aksamitu, spoczywał anioł–

diabeł o modrych oczach, który mą niewinność i młodość zaprawił w swoim czasie słodyczą i goryczą. Rzecz oczywista, Angélica de Alquezár patrzyła na mnie.

Około godziny później, gdy zakończyliśmy wizytę i dreptałem już za mości Franciskiem de Quevedo pod arkadami Dziedzińca Królowej, błazen Gastoncillo dogonił mnie, szarpnął po kryjomu za rękaw mojego kaftana i złożony bilecik w dłoń mi wsunął. Wbiłem wzrok w papier, nie śmiąc go otworzyć, za czym, by mość Francisco niczego nie spostrzegł, cichaczem wsunąłem go do kieszonki i rozejrzałem się wokół z dumą. Wiadomość sprawiła, że poczułem w sobie śmiałka i galanta, żywcem przeniesionego z komedii płaszczka i szpady. Na Boga, życie jest piękne – pomyślałem nagle – a Dwór fascynujący. Ten sam pałac, z którego władano losem imperium, obejmującego dwie półkule, promieniował oto upojnym duchem Hiszpanii: obydwie dziedzińce, Króla i Królowej, pełne były dworzan, petentów i próżniaków, którzy śpieszyli do środka albo na plac plotkarzy i przechodzili pod łukiem bramy głównej, gdzie stali, z dala w półcieniu widoczni, strażnicy w kraciastych uniformach. Mość Francisco de Quevedo, wielce – jak nadmieniałem – modna w owych dniach osobistość, co chwila zatrzymywał się i wymieniał ukłony uprzejme lub też wysłuchiwał próśb rozmaitych. Ten błagał o korzyści dla bratanka, tamten dla zięcia, ów zasię dla syna albo dziewczęcia. Nikt nie ofiarował się w zamian pracą jakąkolwiek wykonać, nikt do niczego się nie zobowiązywał. Łazili jeno za człkiem jak korsarze, chcąc łaskę skaperować niby należne im dobro, gadali o swym gockim rodowodzie⁴⁷, a wszystko to w tym jeno celu, by urzeczywistnić odwieczne marzenie każdego Hiszpana: żyć, pracą się nie trudząc, podatków nie płacić i móc pysznić się rapierem u pasa i krzyżem na piersi wyhaftowanym. Iżby waszmościom jeszcze łącniej imaginacja

dopisała, jak daleko zaszliśmy podówczas w naszych pretensjach i gorliwościach, dodam jeszcze, że nawet święci w kościołach nie byli wolni od ludzkiej natarczywości, niejedni bowiem w ręce figur wsuwali swe memoriały, w których błagali o takie czy owakie ziemskie dobrodziejstwa, jak gdyby rzecz się miała z urzędnikami pałacowymi. Aż w kościele najbardziej obleganego świętego Antoniego Padewskiego powieszono pod jego wizerunkiem tablicę z napisem: „Zwróćcie się do św. Kajetana, ja już nie obsługuję”.

Podobnie tedy jak święty Antoni Padewski, mość Francisco de Quevedo nawykł do tych ceregieli – sam przecież nie raz bez wahania petycje zanosił, lubo nie zawsze na dogodną trafiał sposobność, a szczęście nie co dzień mu dopisywało – toteż teraz wysłuchiwał, uśmiechał się, wzruszał ramionami i do niczego się nie zobowiązywał, jeśli sprawa przekraczała jego faktyczne moce. Jestem jeno poetą – powiadał, by sianem się wykręcić. A chwilami, zniecierpliwiony natręctwem czyim, a nie mogąc uciąć kwestii w polityczny sposób, posyłał takie indywiduum do wszystkich diabłów.

– Na rany Chrystusowe – mamrotał – staliśmy się narodem żebraków.

Niem mało w tej ocenie prawdy było, a jeszcze w nadchodzących latach miało jej przybyć. Dla Hiszpana cudza łaska nigdy nie była przywilejem, jeno niezbywalnym prawem – do tego doszło, że mroczna żółć zalewała duszę każdemu, kto nie osiągnął tego samego, co udało się sąsiadowi. A co się tyczy przesławnego szlachectwa, którym obok innych cnót ojczystych wszyscy gęby sobie na prawo i lewo wycierali – wszak nawet ten Francuz Corneille ze swoim Cydem i jeszcze paru pożywiło się na tym naszym smakołyku⁴⁸ – powiem to jedno, że może i cechowało nas ono, ale w odległych czasach, gdy jeszcze nasi współplemieńcy musieli się bić, by przeżyć, a odwaga była raptem jedną z wielu cnót, których nie można było

kupić. Ale ta epoka dawno minęła. Zbyt wiele wody w Tagu upłynęło od owych dni, którym sam mość Francisco de Quevedo takie oto epitafium napisał:

*Tu leży cnota z cnoty swej wyzuta,
Dawniej uboga – lęk budziła, dzisiaj
Grobem są jej własna próżność i buta⁴⁹.*

W czasach, o których tu prawię, cnoty wszelakie, nawet jeśli dawniej były tu spotykane, mroczne piekło zdążyło pochłonąć. Ostały nam się jeno dumne zaślepienie i prywata, które ostatecznie wciągnęły nas w otchłań, a owe szczęty godności, które jeszcze zachować się zdołały, przeżyły jeno u pojedynczych osobników, u bohaterów teatralnych komedii, w wierszach Lopego i Calderona i na odległych polach bitewnych, gdzie wciąż dźwięczała stal naszych wysłużonych regimentów. A com się uśmieł ze wszystkich, którzy węża podkręcają i bajędy snują, jacyśmy to godny lud a rycerski...! Ja wszak byłem i jestem tak Baskiem, jako i Hiszpanem, przeżyłem ten wiek od końca do końca prawie, i zawszem częściej napotykał na swej drodze Sanczów niżli Kichotów, więcej niegodziwców, podleców, pyszałków i nicponiów niżeli ludzi mężnych a czcigodnych. A jedynym przymiotem naszym, tu muszę przyklasnąć, było, iż niektórzy z nas, choćby i najnikczemniejszego rodu, potrafili umrzeć, jak Pan Bóg przykazał, kiedy było trzeba albo gdy zabrakło innego wyjścia – na stojąco i z żelazem w dłoni. Oczywiście, dużo lepiej byłoby żyć dalej dla powszechnego pożytku, który tak często nas omijał, bo nam go odmawiały zakute łby królewskie, dworackie i mnisze. Ale cóż poradzimy. Każdy naród jest, jaki jest, a z nami było, jak było. A i tak, skoro już musieliśmy ostatecznie spaść na dno, to lepiej w ten sposób – gdy kilku desperatów

chroni, niczym sponiewieraną chorągiew na reducie Terheijden, godność okrytej hańbą większości. Modląc się, klnąc i rżnąc wroga, byle tylko skórę własną drogo sprzedać. Wszystko się liczy. Dlatego też, kiedy ktoś mnie zapytuje, co u mnie respekt budzi w tej nieszczęsnej, żalosnej Hiszpanii, nieodmiennie odpowiadam słowami, którym wyrzekł do francuskiego oficera pod Rocroi: „Do kroćset. Policzcie poległych”.

Jeśli dostaje waszmości tyle rycerstwa, ażeby damie kompanii dotrzymać, czekaj dzisiejszej nocy, gdy za zmarłych dzwony bić będą, wedle bramy placu Priora.

Ot i wszystko, nijakiego podpisu. Wsparty o kolumnę na dziedzińcu, kilkakroć przeczytałem liścik, korzystając, że mość Francisco gawędzi w grupce znajomków. I za każdym kolejnym razem serce podrygiwało mi w piersi. Kiedyśmy przebywali jeszcze z poetą u królowej, Angélica de Alquezár ni jedną miną nie zdradziła swego zainteresowania moją osobą. Nawet jej uśmiech, gdy szeptała w gronie dworek, był jak gdyby słabszy i bardziej powściągliwy. I jeno oczy jej modre przeszywały mnie z taką siłą, że, powtarzam, w pewnej chwili aż się bałem, czy zdołam na nogach ustać. W owym czasie byłem już całkiem udałym młodzianem, wysokim jak na moje lata, o oczach żwawości pełnych, włos miałem czarny a gęsty, do tego jeszcze nowy przydziewek i beret z czerwonym piórem, który w dłoni ścisnąłem – wszystko to sprawiało, że mi się godnie prezentowałem. Ta świadomość dała mi siłę, ażeby wytrzymać badawcze spojrzenia mej pani – o ile słowo „mej” pasuje do siostrzenicy sekretarza królewskiego Luisa de Alquezár, ona wszak cały czas należała jeno do siebie samej, a nawet w czasie, gdy posiadałem jej usta i ciało (nawet nie wyobrażałem sobie, jak niewiele dzieliło mnie od tego pierwszego razu), zawsze czułem się jak

przelotny ptak, jak intruz, co niepewnym krokiem obcy teren przemierza w bojaźni, że lada chwila słudzy go za łeb na bruk wyrzuca. Mimo to, jakem już raz był napomknął, i mimo wszystko, co później wydarzyło się między nami, czego śladem także blizna po sztylcie na mych plecach, wiem – a ściślej, chyba wiem – że ona mnie zawsze kochała. Po swojemu.

Pod arkadami przy schodach głównych spotkaliśmy hrabiego de Guadalmedina. Powracał właśnie z komnat młodego króla, które często a swobodnie odwiedzał, a do których Czwarty Filip niedawno się udał po porannych łowach w lesie przy Letniej Rezydencji. Tej rozrywce monarcha nasz oddawał się pasjami, powiadano, że lubował się w chodzeniu bez psów na dzika i że dzień cały potrafił gonić po górach za zdobyczą. Álvaro de la Marca miał na sobie kaftan zamszowy i wysokie buty błotem zbrukane, głowę zaś przyozdobił czepkiem z naszytymi szmaragdami. Zmierzał na plac przed pałacem, gdzie oczekiwał go już powóz, przy czym co chwila chłodził się chusteczką w wodzie perfumowanej zmoczoną. Strój myśliwski szyku mu przydawał, snadź na tle niby to wiejskiego przyodziewku jeszcze bardziej odznaczała się jego szlachetna kompleksja. Nie dziwota tedy – uznałem w duchu – że damy na Dworze wachlowały się z jeszcze większym impetem i gracją, kiedy hrabia kierował na nie swe spojrzenie i że zrazu nawet sama królowa niejaką skłonność ku niemu okazała, lubo nigdy nie wykroczywszy poza granice przystojności, jej pozycji i osobie właściwe. A mówię, że zrazu, bo w czasie, gdy się opowiadane tu przygody toczą, Elżbieta Burbońska zdążyła już przejrzeć na wylot cele częstych wypadów nocnych swego dostojnego małżonka tudzież rolę towarzysza, pomocnika i pośrednika, jaką w tych wyprawach odgrywał Guadalmedina. Znienawidziła go skutkiem tego, a lubo protokół obligował ją do gestów kurtuazji – wszak de la Marca był nie tylko kompanem jej

męża, ale i grandem Hiszpanii – nader chłodno się doń odnosiła. Jeśli kogokolwiek Najjaśniejsza Pani nie znosiła bardziej spośród dworskich osobistości, to był to hrabia–diuk de Olivares – cieszył się bowiem wpływami, na które wielce niechętnym okiem patrzyła owa księżniczka, wychowana na butnym francuskim dworze Marii Medycejskiej i Henryka Czwartego Wielkiego. Z czasem przeto nasza ukochana i szanowana aż do śmierci królowa stanęła na czele stronnictwa pałacowego, które trzy pięciolecia później doprowadziło do końca absolutnej potęgi faworyta i do jego upadku z piedestału, na który wyniosły go jego własna mądrość, ambicja i duma. A zdarzyło się to, kiedy lud, co za panowania Filipa Drugiego jeno słuchał, podziwiał i lękał się, pomrukiwał i użalał się potajemnie za Filipa Trzeciego, w końcu zdziesiątkowany, wyczerpany i rozgoryczony bankructwami i klęskami, jął Filipowi Czwartemu okazywać coraz mniej respektu, a coraz więcej desperacji. Dlatego musiała głowa polecieć, by gniew poddanych uśmierzyć:

*Ty, co za punkt masz honoru Iść naprzód, nie w dół czy w tył, Z przegranych sobie nie dworuj: Padła Troja, upadł Tyr I takóž córa Tudorów.*⁵⁰

Otóż owego przedpołudnia pod pałacem hrabia de Guadalmedina ujrzał mość Francisca i mnie, zszedł po dwóch ostatnich stopniach schodów wejściowych, zręcznie i z wdziękiem wyminął grupkę petentów – zwolnionego ze służby kapitana, księdza, sędziego i trzech drobnych szlachetków z prowincji, wszystkich pełnych nadziei, że ktoś rychło roszczenia ich zaspokoi – za czym, przywitawszy się serdecznie z poetą, poklepał mnie przyjaźnie i odciągnął nas na stronę.

– Jest sprawa – rzekł z powagą, bez nijakich wstępów.

Tu zerknął z ukosa na mnie z wahaniem, czy w mej przytomności w szczegóły może się zagłębiać. W niejednej atoli już przygodzie wziąłem udział u boku kapitana Alatryste i mości Francisca, nad wszelką wątpliwość dowodząc, że chłopak lojalny i gębę na kłódkę trzymać umiem. Tedy, rzuciwszy okiem wokół, czy nikt z pałacowych ucha nie nadstawia, dłonią do czepka uniesioną pozdrowił przechodzącego mimo członka Rady Finansów – grupka petentów podreptała za nim niby trzoda na pole kukurydzy – głos zniżył i tak się ozwał: – Zawiadomcie Alatrystego, niech zmieni wierzchowca.

Dopiero po chwili dotarło do mnie znaczenie tych słów, które bystry jak zawsze mość Francisco w lot pojał. Poprawił sobie szkła na nosie i badawczo spojrzął na Alvara de la Marca.

– Wasza miłość mówi poważnie?

– Niech szczenę, jeśli nie. Popatrzcie mi waszmość prosto w oczy i znajdź choćby iskierkę ochoty do żartów.

Cisza. Zaczynałem właśnie rozumieć. Poeta zaklął po cichu.

– Ja w temacie spódniczek jak rzadko kiedy czuję, że byłem, będę i jestem znużony... Wasza miłość sam powinien mu to powiedzieć. Jeśli masz jaja.

– I jeden jeno róg... – Guadalmedina pokiwał głową, niezrażony obcesowymi słowami mości Francisca. – Mnie nie wypada mieszać się w te sprawy.

– Ale w inne interesy to się wasza miłość miesza bez skrępowania.

Magnat wymijająco gładził się po wąsikach i bródce.

– Nie gadajcie mi, mości Quevedo. Każdy z nas ma swoje powinności. Ja i tak aż nadto czuję się w porządku wobec niego, skoro go ostrzegam.

– Co mam mu powiedzieć?

– Sam nie wiem. żeby dziobał w skromniejszej zagródce. Że tę fortecę Habsburg oblega.

Patrzyli na siebie w długim a wymownym milczeniu. Lojalność i ostrożność jednego, walka pomiędzy przyjaźnią a własnym interesem u drugiego. Obydwaj na dobrych pozycjach na dworze, cieszący się pełnią łask, woleliby nie musieć mówić ni słuchać tych rzeczy. Tak byłoby wygodniej i bezpieczniej. A przecież stali oto na schodach do Pałacu Królewskiego wiodących i szeptali, zatroskani o swego druha. A i mnie roztropności wystarczyło już, by pojąć ich niepokój. Ich kłopot.

Nareszcie Guadalmedina ramionami wzruszył.

– A czegoż chcesz?... – zachnął się. – Gdy monarcha чуć poczuje, uszy stulić trzeba. I na noc mówić dzień.

Zastanowiłem się nad tym. Jakże dziwnie się plecie to życie. W pałacu taka królowa, precudna niewiasta, która każdego mężczyznę uczyniłaby szczęśliwym, a jej małżonek ugania się za spódniczkami. Mało tego, jeszcze w dodatku węszy wśród niskiego stanu: służące, komediantki, dziewczki karczemne. Nie przypuszczałem podówczas, że lubo nasz Najjaśniejszy Pan miał poczciwą i flegmatyczną naturę (a może to jej skutkiem się działo), właśnie pączkowały w nim dwie wielkie ułomności, które za kilka lat zniweczyć miały poważanie dla monarchy, wypracowane z mozołem przez jego dziada i pradziada, a mianowicie: niezmierny pociąg do niewiast i obojętność na sprawy rządowe. W obydwu tych rzeczach zawsze polegał na pośrednikach i faworytach.

– A gród został zdobyty? – dopytywał się mość Francisco.

– Ta kwestia rozstrzygnie się w ciągu paru dni, obawiam się. A może szybciej. Zamówienie na waszmościna komedię znacznie sprawę całą przyśpiesza... Philippo zoczył już był tę damę na jednym i drugim

podwórcu. Teraz atoli incognito zaszczycił próbę pierwszego aktu i jął sieci zaciągać.

– A jej małżonek?

– Oczywiście, siedzi w tym po uszy – Guadalmedina poklepał się, niby po kieszeni. – W pełnej gotowości, z wilczym apetytem, bez nijakiego skrępowania. Toż to interes jego życia.

Poeta pokiwał głową przygnębiony. Popatrywał przy tym na mnie z niepokojem.

– Do kroćset – rzekł.

Głos jego zabrzmiał posępnie i tajemniczo, stosownie do całej sytuacji. Ja też myślałem o mym panu. O tym, jak to w pewnych okolicznościach – a María de Castro do takich niechybnie należała – mężczyźni pokroju kapitana Alatryste za jedno mają króla i waleta.

Wieczór był ciepły, poźółkłe słońce rzucało znad horyzontu długie cienie na trakt San Jerónimo. O tej porze w ludzkim kotle na Błoniach dosłownie wrzało od powozów, gdziekolwiek spojrzalesz, w okienkach karet widać było klejnotami upięte loki i wachlarze w białych dłoniach, a przy stopniach pojazdów przyklejonych dziarskich jeźdźców. Naprzeciw ogrodu Juana Fernandesa, u zbiegu górnego i dolnego Błonia, całe mrowie przechodniów rozkoszowało się ostatnimi promykami uciekającego dnia: damy w koturnowych sabotach, całkiem lub nie do końca okryte mantylami – lubo niektóre z nich nie były i nawet w przyszłości nie mogłyby zostać damami, ale lubiły za takowe uchodzić, podobnie zresztą jak spacerujący tam rzekomi szlachcice, co wrażenie usiłowali czynić rapierami u pasa, płaszczami i minami, a w rzeczywistości dnia całe spędzali w sieni u szewca, sklepikarza lub krawca i tam na chleb w pocie czoła zarabiali. Co zresztą, jak wspominałem, było czynnością zbożną niby, ale w pogardzie u

każdego prawdziwego Hiszpana. Bywali tu także ludzie wyższego stanu, ci wszelako gromadzili się raczej w zagajnikach owocowych, kwiatnych zaroślach, w labiryntach żywopłotów, przy studni i wiejskiej altance, zdobiących ten sławetny ogród, gdzie owego popołudnia, za przyczyną komedii Tirsa, co triumfy w podwórku de la Cruz święciła, hrabiny de Olivares, de Lemos⁵¹ i de Salvatierra⁵² tudzież inne wielmożne damy stołeczne wydały zgola bez protokołu podwieczerek, podejmując ciasteczkami francuskimi od franciszkanek bosych i czekoladkami od franciszkanów samego kardynała Barberiniego⁵³, legata (i rodzonego bratanka) Jego Świątobliwości Urbana Ósmego. Kardynał Madryt nawiedzał właśnie, a wizycie tej towarzyszyła obustronna czołobitność, więcej pokłonów wszelako bił sam legat – wszak regimenty hiszpańskie najpotężniejszą były siłą, jaka katolicyzmu bronić mogła. Podobnie jak w epoce wielkiego Karola Piątego, nasi monarchowie nadal gotowi byli przegrać wszystko – a w końcu przegrali, z czego wszyscyśmy wyszli przegrani – byle tylko nie oddać władzy heretykom. Aliści paradoksem pozostaje, że tu Hiszpania przetracała pieniądze i krew przelewała, broniąc prawdziwej wiary, a tymczasem Jego Świątobliwość cichaczem podkopywał naszą potęgę w Italii i w całej Europie, posyłając swych agentów i dyplomatów gwoli dogadywania się z naszymi wrogami. Może opatrnościowym czynem byłoby kolejne oblężenie Rzymu, by rzecz całą wyrychtować, przecie dziewięćdziesiąt dziewięć lat wcześniej wojska cesarza zaprowadziły tam porządek. Ale wtedy był rok 1527, jeszcześmy zębów nie postradali, a samo słowo „Hiszpan” bojaźliwe drżenie w całym świecie budziło. Czasy atoli się zmieniły, Filip Czwarty ni na jotę nie przypominał swego pradziada Karola, do form wszelakich podchodzono z dużo większą polityki dozą, nie był to sezon na pieczone gołąbki czy nawet surowe, ani na papieży, którzy w podkasanych sutannach pierzchaliby do

Sant' Angelo⁵⁴, głąskani po zadku halabardami naszych lancknechtów. A wielka szkoda. Albowiem w tej wzburzonej Europie, o której tu opowiadam, gdzie rodziły się nowe kraje, a nasz liczył sobie już półtora stulecia⁵⁵, kto wzbudzał miłość, nawet w dziesiątej części nie był tyle wart, co ten, kto wzbudzał trwogę. Gdybyśmy tedy w naszej ówczesnej kondycji o to zabiegali, żeby nas kochano, wszyscy, którzy nam w ogródku buszowali, to jest Anglicy, Francuzi, Niderlandczycy, Wenecjanie, Turcy i cała reszta, wytępiliby nas dużo wcześniej. I to za darmo. A tak przynajmniej, skorośmy bili się zazarcie o każdą piędź ziemi, każdą milę morską i każdą uncję złota, zmusiliśmy skurwysynów do sowitej zapłaty za ich nieczne zapędy.

Ale, ale. Wróćmy do Madrytu i Jego Eminencji legata Barberiniego. Owego wieczora wszystkie dostojne osobistości, w tym i papieski bratanek, opuściły właśnie przesławny ogród, pozostawiając za sobą jeno pomniejszych uczestników uroczystego podwieczorku, dworskie damy i kawalerów, którzy się teraz rozkoszowali spacerem wśród zacisznych zagajniczków, po miękkiej trawie wedle studni, obficie dogadzając sobie przy tym napojami, owocami i smakołykami, sprzedawanymi pod baldachimem altanki. Także i poza murami ogrodu, na obydwu Błoniach od San Jerónimo po klasztor Augustianów, alejami topolowymi i ścieżkami wokół fontann, istna ciżba przechadzała się w tę i z powrotem albo w cieniu drzew wypoczywała: były tam i kolejne powozy, i szanowane pary małżeńskie, i szlachetne damy, ladacznice z pieskami pokojowymi, za wielkie panie uchodzić pragnące, młodzi nicponie, dziewczki karczemne, szukające tego, czego jeszcze nie zdążyły utracić, galanci na koniach, fanfaroni, sprzedawczynie cytrusów, handlarze słodkościami, grupki dziewczek służących i giermków, jako i zwykli gapie. Cała scena wyglądała

akuratnie tak, jak ją opisał swym lekkim piórem nasz serdeczny druh i sąsiad, poeta Salas Barbadillo⁵⁶:

*Małżonkowie tu chętnie przybywają,
Błonie miłe mężowi i niewieście.
Gdy one spacerują i żartują,
Oni zasię, spacerując, żerują.*

Owóz tedy szliśmy sobie w pięknie zmierzchającym dniu, kapitan, mość Francisco de Quevedo i ja, ogród za plecami ostawiając i kroki nasze kierując ku wieżyczce przy podium dla orkiestry i dalej Błoniem ku alei topól, które w trzech rzędach rosły, kładąc cień na drogę pod naszymi stopami. Mój pan i poeta rozprawiali po cichu o swoich sprawach, ja wszelako, lubo zawsze takie pilne baczenie zwykłem dawać na ich słowa, wyznam, że tym razem łeb pochłonięty miałem innymi rzeczami – wszak o godzinie duchów miałem schadzkę nieopodal pałacu. Co nie przeszkadzało atoli, bym co nieco z treści ich rozmowy uszczknął.

– Za wysoko grasz waszmość – powiadał mość Francisco, by po kilku krokach, które kapitan przeszedł u jego boku w milczeniu i spoglądając posepnie spod kapelusza, powtórzyć: – Za wysoko grasz, a zwierzyna została już oznakowana.

Stanęli na chwilę przy balustradzie mostku, a ja wraz z nimi, gwoli przepuszczenia kilku powozów z damami, które pozostawiały teraz ogród latawicom i ulicznicom nie całkiem okrytym, te bowiem z zapadnięciem zmroku już jęły się rozglądać, czy znajdzie się gdzie jakiś pikinier, co by ich tarcze zaatakował, a także tym dziewczekom zgoła szczelnie owiniętym, co w tajemnicy przed rodzicami i braćmi, ostatnią mszą albo kolektą się wymówiwszy, szły w kompanii wtajemniczonych swych panien

służących na schadzkę z utajonym galantem – albo też na miejscu ją dopiero ugadywały. Poeta uchylił kapelusza, pozdrawiając kogoś w powozie, z którego go właśnie rozpoznano, za czym ponownie ku memu panu się obrócił.

– Postępujesz waszmość – rzekł – równie dziwacznie, jak ten medyk, co ze starą babą ślub zawiera, lubo w dłoniach nożyce dzierży, którymi nic jej żywota łącno przerwać może.

Kapitan podkreślił wąsa, nie mogąc powstrzymać lekkiego uśmiechu, aliści ni słowem się nie ozwał.

– Jeśli się uprzesz – naciskał Quevedo – już się możesz waszmość martwym widzieć.

Aż się wzdrygnąłem, słysząc takie rzeczy, i baczne puściłem spojrzenie na mego pana, na jego orli profil, jakże wyrazisty w ostatnich promieniach dnia. I nieporuszony.

– Owóż darmo jej nie oddam – powiedział wreszcie.

Tamten popatrzył nań z uwagą.

– Gołąbeczki?

– Skóry.

Długie milczenie zapadło, poeta w jedną stronę popatrzył, potem w drugą, za czym wymamrotał pod nosem coś w rodzaju: „We łbie się waszmości pomieszało, kapitanie, żadna gołąbeczka nie jest warta, żeby tak karku nadstawiać, osobliwie zasię, gdy zwierzyna jest tak niebezpieczna”. Mój pan wszelako dwoma palcami wąsy przygładził i gęby więcej nie otwarł. Nareszcie, rzuciwszy cztery albo i więcej przekleństw i „dodiasków”, mość Francisco ramionami wzruszył.

– W takim razie nie licz waszmość na mnie – rzucił. – Z królami się nie bijam.

Kapitan zerknął na niego, ale nadal się nie odzywał. Tymczasem zdążyliśmy dojść do ścieżki, która wiodła z powrotem ku murom ogrodu, tam zasic, w odległości kilku kroków zaledwie, w pół drogi między wieżyczką a jedną fontanną, ujrzeliśmy odkryty powóz, w dwa wyborne muły zaprzężony. Zrazu nie zwróciłem nań uwagi – do chwili, gdym oblicze mego pana dojrzał. Powiodłem oczami za jego wzrokiem i na prawym siedzeniu powozu spostrzegłem Marię de Castro, wystrojoną w sam raz na przechadzkę i precudną. Po jej lewej stronie zasiadał drobny, uśmiechnięty między bujnymi bokobrodami małżonek komediantki – jechał odziany w kaftan ze złotym plecionym szamerunkiem, w dłoni dzierżył laskę z rączką z kości słoniowej wyrzeźbioną, z głowy zasię co chwila zdejmował kapelusz wzoru francuskiego, z bobrowego futra, i kłaniał się na wszystkie strony, rozradowany życiem i poruszeniem, jakie pospołu ze swą żoną wszędy wzbudzał.

– Nadjeżdżają pomocne dłonie – bąknął mość Francisco z ironią. – Jedne Scylla podaje, drugie Charybda... W tej kompanii to się dopiero można obłowić!

Kapitan dalej milczał. Grono, przyodzianych w długie suknie i obszerne czarne baskiny dam, co w towarzystwie mężów swych nieopodal stały ze szkaplerzykami i różańcami o piętnastu paciorkach, jęło chichotać i zagadywać do siebie, wachlując się zawzięcie i miotając w stronę powozu spojrzenia ukradkowe niczym saraceńskie strzały, a tymczasem ich ślubni, cali w solennej czerni, skwapliwie starali się rezonu nie stracić i popatrywali jeno ze źle skrywaną pożądlivością w tę samą stronę, podkrecając wasy ku górze.

Mość Francisco, nim aktorska para zbliżyła się do nas, zdążył opowiedzieć jeszcze facecję, która wybornie ilustrowała wesołe i żartobliwe usposobienie męża Maríi de Castro: owóz podczas

przedstawienia w Ocaña, gdy Rafael de Cózar zmiarkował, że zapomniał na scenie sztyletu, którym miał poderżnąć gardziel innemu aktorowi, ściągnął przyprawioną brodę i udawał, że nią tamtego dusi.



...na prawym siedzeniu powozu spostrzegłem Marię de Castro, wystrojoną w sam raz na przechadzkę i przecudną. Po jej lewej stronie zasiadał drobny, uśmiechnięty między bujnymi bokobrodami małżonek komediantki...

W następstwie tego cała trupa zmuszona była pierzchać przez pola, ścigana kamieniami, jakie rozjuszeni miejscowi za nimi w ślad ciskali.

– Kawalarz z naszego ptaszka – zakończył poeta.

Kiedy powóz z nami się zrównał, Cózar rozpoznał mości Francisca i mego pana, zaraz też, oczajdusza, skłonił się wielce dwornie, ja aliści, w podobnych subtelnościach nieźle obznajomiony, z miejsca w tym niemałą kpinę wyczułem. Dzięki podobnym faworom i mej małżonce – zdawał się mówić – stać mnie będzie na nowy kaftan i kapelusz, a waszmościna sakiewka jeszcze mi powetuje. Innymi słowy, autorstwa Queveda:

Ja liczę zyski, on się z łoża zrywa...

Ergo, rogaczem ten jest, co mi płaci

Za to, na czym mnie w domu i tak zbywa⁵⁷.

Uśmiech wszelako i spojrzenie ślubnej komedianta Cozara, skierowane bezpośrednio ku kapitanowi, inną zgoła treścią były brzemienne: niosły porozumiewawczą obietnicę. Gest uczyniła, jak gdyby się chciała mantylą osłonić, aliści poniechała tego – większą byłoby przyzwoitością, gdyby niczego nie robiła – a ja ujrzałem, że pan mój niepostrzeżenie, powoli kapelusz ze łba ściąga i trwa tak nieruchomo dopóty, aż powóz z parą aktorską w oddali nie zniknie. Wtedy dopiero nakrył głowę na powrót, w bok popatrzył i napotkał nienawiści pełne wejrzenie mości Gonzala Moscatela, który z dłonią na rękojeści rapiera wspartą obserwował nas z przeciwnej strony alei, przygryzając koniuszki wąsów w bezbrzeżnej wściekłości.

– Masz babo placek – ozwał się mość Francisco. – Jeszcze jego tu brakowało.

Rzeźnik stał przy schodkach swego powozu, pyszniej zdobnego niżli flamandzkie zamczysko, zaprzęzonego w dwa jabłkowite muły, ze stangretem na koźle i jakąś młódką w środku, widoczną w otwartych drzwiczkach, o które mość Gonzalo Moscatel się opierał. Młódką ową była

sierotą na wydaniu, a jako że to jego bratanica, dawał jej dach nad głową u siebie i myślał puścić za mąż za swego przyjaciela, prokuratora trybunału Saturnina Apolo⁵⁸, człeka pośledniego i nikczemnego, jakich wszędy pełno, który krom właściwych jego urzędowi szachrajstw – tym zaś przyjaźń dostawcy mięsiwa zawdzięczał – wielce upodobał sobie przebywanie wśród literackiego ludku, mniemał o sobie, że jest poetą – fałszywie, snadź jedyne, co potrafił, to wyłudzać pieniądze od wybitnych autorów, wychwalał ich przy tym i, by tak rzec, nocnik za nimi nosił, jak nie przymierzając pieczeniarsz, co się tanim kosztem do szulerni Muz wśliznął. Rzeczony Saturnino Apolo laził za Moscatelem jak pies, chepił się znajomościami w teatralnym światku i podsycał nadzieje rzeźnika wobec Marii de Castro, dzięki czemu podbierał mu podwójnie z sakiewki, a liczył także, że i bratanicę podbierze – wraz ze stosownym posagiem. Jego szelmowska natura kazała mu żyć na rachunek innych, skutkiem czego sam mość Francisco de Quevedo, jak cały Madryt w pogardzie mając owego nędznika, zadedykował mu sławetny sonet, kończący się jak następuje:

Muz ekskrementem jesteś, mdły łajdaku,

Bardziej sakiewka cię nęci niż lira.

*I nie Apollo stryjcem twym, lecz Kakus.*⁵⁹

Owóz Moscatelówna nader piękną była panną, jej umizgant prokurator człekiem wielkiej niesławy, a wuj mość Gonzalo nadzwyczaj przeczulony na punkcie własnej czci. I to wszystko pospołu – bratanica, ślub, zazdrość o kapitana i jego z Marią de Castro sprawki, sama postać i niecne usposobienie imć rzeźnika – wszystko to, jako rzekę, bardziej przypominało zdarzenia jakiej komedii niżli prawdziwe życie (Lope i Tirso całe tłumy ścigali na podobne historie), gdyby atoli nie fakt, że teatr ogromnym

powodzeniem się cieszył, bo trafnie pokazywał wszystko, czym żyła ulica, a potem widownia naśladowała to, co zobaczyła na scenie. Tak to w owym malowniczym i zadziwiającym teatrze, jakim było moje stulecie, Hiszpanie raz przedzierzgaliby się w postaci z komedii, innym razem z tragedii.

– Ani chybi ten tu – mruknął mość Francisco – obiekcji nie zgłosi.

Alatriste, który Moscatela obserwował zmrużonymi oczyma i obojętną miną, obrócił się raptem w stronę poety.

– Obiekcji w jakiej sprawie?

– Do kroćset. Żeby ulotnić się, ledwo zmiarkuje, że na królewskich łowiskach poluje.

Kapitan złożył usta do lekkiego uśmiechu, milczeniem tę uwagę zbywając. Z przeciwnej strony alei rzeźnik, odziany w pelerynę francuskiego kroju, puszyste zarękawki, wstążki cynobrowe i takiejże barwy pióro u kapelusza, zbrojny w długą szpadę z imponującą gardą i jelcami, miotał w naszym kierunku śmiertelne spojrzenia – paradna figura zastygła w śmiertelnej powadze. Zerknąłem na jego bratanicę: siedziała wśród fałd sukni, upiętrzonej pod spódnicą, i jawiła się jako dziewczę skromne, co podkreślały mantyla kryjąca ciemne włosy i złoty krucyfiks, wyłożony na szeroki kołnierz.

– Zgodzą się ze mną waszmościowie – ozwał się czyjś głos tuż obok – że wielkiej jest urody.

Obróciliśmy się zaskoczeni. Lopito de Vega podszedł był ku nam i stał teraz, kciuki za pas zatknąwszy, do którego przypięty miał rapier; płaszcz nosił złożony na ramieniu, a spod kapelusza, po żołniersku lekko do tyłu przekrzywionego, wystawał bandaż, co go wciąż na czole miał. Młodzian obrzucał bratanicę Moscatela spojrzeniami nader tęsknymi.

– Nie mówże mi waszmość – zakrzyknął mość Francisco – że ona to o n a.

– W rzeczy samej.

Zdumieliśmy się wszyscy i nawet kapitan Alatryste obrzucił syna Lopego baczny wejrzeniem.

– A imć Gonzalo Moscatel zezwala na waszmościne umizgi? – dociekał mość Francisco.

– Wprost przeciwnie – chłopak kręcił z goryczą wąsik. – Powiada, że honor jego to rzecz święta i temu podobne. A przecie pół Madrytu wie, że dzięki dostawom mięsa zwędził wszystko, co w papierach nie stało, prawda?... Paradne. A mimo to jaśnie pan Moscatel odmienia słowo „honor” przez wszystkie przypadki. Rozumiecie, waszmościowie: dziadowie, czyny wojenne, ród... Stara śpiewka.

– Zważywszy, kim jest i jak się zowie, imć Moscatel ma prastary rodowód.

– Wywodzi się od samych Gotów, to naturalne. Jak wszyscy w tej parafii.

– Ech, przyjacielu – poeta uderzył w filozoficzną nutę. – Na nieszczęście dziwactwa w Hiszpanii nigdy nie wymierają.

– Ależ, na Boga, ktoś je powinien wreszcie wyrznać. Kiedy ten nikczemnik peroruje, rzekłbyś, że żyjemy w czasach Cyda... Przysiągł, że mnie zaszlachtuje, jeśli będę włóczyć się za jego bratanicą.

Mość Francisco popatrzył na Feniksowego syna z nowym zainteresowaniem.

– A waszmość włóczysz się czy się nie włóczysz?

– Panie de Quevedo, a czy wyglądam na kogoś, kto by się nie włóczył?

I tu Lopito wprowadził nas pokrótce w szczegóły całej sprawy. Jak dowodził, rzecz nie jest bynajmniej zwykłą faramuszką. Szczerze miłował Laurę Moscatel, bo tak zwała się dziewczynka, i sposobił się, by ją poślubić, gdy tylko otrzyma promocję do stopnia chorążego, o którą się

starał. Problem wszelako polegał na tym, że jako zawodowy żołnierz i syn komediopisarza – lubo stary Lope de Vega nosił duchowną sukienkę, cieszył się famą bałamuta i rodzinną moralność przez to szargał – nikłe miał widoki, ażeby imć Gonzalo przystał na jego zapędy.

– A próbowałeś waszmość wytrwale?

– Że nie można bardziej. I nic. Okopał się jak wojsko.

– A gdyby tak – zagadnął Quevedo – wrazić trzy ćwierci żelaza temu dupolizowi, co w konkury stanął, a zwie się ponoć Apolo?

– Niczego by to nie zmieniło. Moscatel przyrzekłby ją komuś innemu.

Mość Francisco szkła sobie na nosie narychtował gwoli lepszego zlustrowania młódki w powozie, za czym zerknął na jej zdruzgotanego wielbiciela.

– Prawdziwie waszmość nastajesz na nią?

– Jak mi życie miłe – odrzekł stanowczo młodzieniec. – Lecz kiedy udałem się do pana Moscatela prosić go o poważną rozmowę, na ulicy zastąpili mi drogę dwaj hultaje, których tamten nasłał, żeby mi to ze łba wybili.

Kapitan Alatryste jął nasłuchiwać z zainteresowaniem – ta melodia była mu skądś znana. Quevedo aż brwi unióśł zaintrygowany. O włóczęgach za dziewczętami i pojedynkach sam wiedział niemało.

– I jak przebiegło to spotkanie? – zagadnął poeta.

Lopito wzruszył ramionami ze skromnością, ale i z godnością.

– Przyzwoicie. Na coś fechtunek i służba żołnierska się przydają... Poza tym ci dwaj zbóje nie wyróżniali się kunsztem. Dobyłem broni, czego się nie spodziewali, a że fortuna mi dopisała, to i aż się za nimi zakurzyło. Ato! mość Gonzalo przyjąć mnie nie zechciał. A kiedy nocą znów włóczyłem się pod jej oknem, pospołu ze sługą, co krom gitary miał jeszcze

ze sobą tarczę i mały rapier, żeby szansę wyrównać, to tamtych już się zrobiło czterech.

– Nasz rzeźniczyna to osobnik zapobiegliwy.

– A jakże. I ma czym zapobiegliwość swą opłacać... Memu słudze pół nosa ciachnęli, biedaczynie, tedy po kilku razach trzeba nam było wziąć nogi za pas.

We czterech popatrzyliśmy na Moscatela, którego spojrzenia nasze wielce rozsierdziły, a jeszcze bardziej widok tych, którzy z dwóch stron już krew mu psuli. Podkreślił jeszcze mocniej srogiego, konopnego węża i przespacerował się w prawo i w lewo, gniotąc dłonią gardę rapiera, jak gdyby ledwie zdzierżyć mógł, by nie podejść i nie poszatkować nas na dzwonka. Nareszcie w gniewie zasunął okienko w powozie, zasłaniając nam widok swej bratanicy, wydał polecenia słudze na koźle, sam się w środku wymościł, za czym pojazd pomknął i przepadł w kurzu kłębach niby kamfora.

– Jak pies ogrodnika – westchnął cierpiętniczo Lopito. – Sam nie zje i drugiemu nie da.

Niełatwe miłości. Medytowałem i ja na ten temat, gdy zmrok zapadł, utwierdzając się w przekonaniu, że wszystkie są właśnie takie, kiedym czekał oparty o mur u wniścia na plac Priora i wpatrywałem się w ciemność, jaka rozpościerała się wśród drzew pobliskich ogrodów, za mostem Parkowym i dalej, wzdłuż traktu na Aravaca. Od pobliskich wód strumienia Leganitos i rzeki Manzanares ciągnęło chłodem. Płaszcz, który mnie okrywał – a przy okazji także wsunięte za pas na plecach sztylet i krótki rapier w warsztacie Juanesa wykuty – nie wystarczał, ażeby ciepło mi zapewnić. Z drugiej strony nie kwapiłem się ruszać, nie chcąc czujności u jakiego strażnika wzbudzić, ciekawskiego albo złoczyńcy, jakich niemało o

tej porze szukało guza w podobnie wyludnionych zakątkach. Tedy sterczałem w jednym miejscu, wtopiony w cień muru nieopodal przejścia, które biegło pomiędzy klasztorem Wcielenia Pańskiego, placem Priora i maneżem królewskim i łączyło północne skrzydło Pałacu z przedmieściami stolicy. Czekałem. Medytowałem, jakem już wspomniał, o niełatwych miłościach, a takie są przecie wszystkie, przynajmniej tak mi się podówczas zdawało. Myślałem o przedziwnych grach umysłów niewieścich, zdolnych zniewolić mężczyznę i przymusić go, by w rytmie barabanów porywał się na szaleństwa i rzucał na szalę kości, dobytek swój, honor, wolność i życie. Wszak i ja, młodzian nie w ciemną bity, stałem teraz nocną porą, objuczony żelazem niczym jaki pyszałek z sewilskiej Herii, wystawiony na podstępne ciosy, zachodząc w głowę, jaki czart mnie tu u licha przywiódł, a jeno dlatego, że pewne dziewczę jasnookie i złotowłose przysłało mi było dwie linijki związłych i nabazgranych w pośpiechu słów: *Jeśli dostaje waszmości tyle rycerstwa, ażeby damie kompanii dotrzymać* itd. W tym wszystkie były dobre, ani chybi.

I nawet te najmniej lotne na umyśle umiały sztuczki swe stosować, choćby i w nieświadomości. I żaden szczwany znawca praw, żaden asesor, żaden człek, co do Dworu aspirował – nie zdołałby lepiej przemówić do męskiej sakiewki, próżności, szlachectwa albo głupoty. Niewieścia broń. Mądry, doświadczony i błyskotliwy mość Francisco de Quevedo całe płachty papieru pokrywał wierszami w tej materii:

*Szpadzie jesteś podobna, bo jak ona
Najgorsze śmierć zadajesz obnażona.*

Dzwon klasztorny wybił na modlitwę za zmarłych, rychło też jak echo odpowiedział mu drugi od Świętego Augustyna, którego wieża majaczyła

śródm pobliskich dachów w bladym świetle księżyca. Przeżegnałem się, a jeszcze ostatnie uderzenie wybrzmić nie zdążyło, gdy zaskrzypiała furka w bramie. Wstrzymałem dech. Za czym nader ostrożnie odsunąłem płaszcz, by mieć dostęp do głowicy rapiera, ot, na wszelki wypadek, a kiedym się w stronę, skąd dźwięk nadszedł, obrócił, ujrzałem na moment światło latarni, które omiotło pośpiesznie wychodzącą postać ludzką i zaraz znikło za zatrzaśniętą na powrót furką. Poczułem się zbity z pantałyku, snadź człek ów zdał mi się młodzieńcem gibkiej postury, bez płaszcz, odzianym na czarno, a u pasa jego nieomylnie załśnił sztylet. Nie tegom się spodziewałem, jak Bóg na niebie. Tedy uczyniłem jedyną rzecz, jaką roztropność mi podpowiedziała w owej chwili i w takim miejscu: zwinnie jak wiewiórka dobyłem broni i oparłem puntę na piersi przybysza.

– Jeżeli krok dalej zrobisz – wyszeptąłem – przybiję cię do drzwi.

I wówczas usłyszałem śmiech Angeliki de Alquezár.





IV. ULICA CRIMINALES.



esteśmy blisko – rzekła.

Kroczyliśmy bez światła, kierując się jeno księżycowym poblaskiem, który wydobywał z mroku zarysy dachów i rzucał nasze cienie na niebrukowaną ulicę, przecinaną co chwila przez strumyczki mydlin i nieczystości. Rozmawialiśmy szeptem, a kroki nasze echem się odbijały na wyludnionej drodze.

– Blisko czego? – spytałem.

– Blisko.

Ostawiliśmy za sobą konwent Wcielenia Pańskiego i wyszliśmy na placyk Santo Domingo, nad którym złowrogi, ciemny gmach klasztoru Świętego Oficjum górował. Żywej duszy nie było przy starej fontannie, a małe stragany z owocami i jarzyną stały zamknięte. Wpół przygasła latarnia, zatknięta ponad figurą Matki Bożej, znaczyła w oddali róg ulicy San Bernardo.

– Znasz waszmość Gospodę Pod Psem? – zagadnęła Angélica.

Zatrzymałem się, a po kilku krokach ona przystanąła również. W poświacie księżycy widziałem jej męski przyodziewek, zgrabnie przysposobiony kaftan, który nie zdradzał jej dziewczęcych kształtów, i

pilśniowy czepek, pod którym upięła złote włosy. I metaliczne lśnienie sztyletu za pasem.

– Dlaczego stanąłeś? – zapytała.



W poświacie księżyca widziałem jej męski przyodziewek, zgrabnie przysposobiony kaftan, który nie zdradzał jej dziewczęcych kształtów, i pilśniowy czepek, pod którym upięła złote włosy. I metaliczne lśnienie sztyletu za pasem.

– W głowie mi nie powstało, że mógłbym nazwę tej gospody z panienki ust usłyszeć.

– Ach, boję się, że wiele jeszcze rzeczy w głowie waszmości postać nie może. Atoli odrzuć troski. Nie będę waszmości prosić, byś tam wszedł.

Odrzuciłem nieco trosk. W sam raz. Pod Psem była to spelunka nawet dla mnie nikczemnego pokroju: dziwki, zabijaki, łotry i włókity. Ów teren przy Santo Domingo i San Bernardo nie należał do podłych dzielnic, żyli tu ludzie czcigodni, aliści zaułek, przy którym stała gospoda – ciasny odcinek między ulicami Tudescos i Silva – jawił się jako chwast, którego mimo gorących protestów okolicznych mieszkańców nie zdołano wyplenić.

– Znaszże tedy tę gospodę czy nie?

Przytaknąłem, niechając podawania szczegółów. Poszedłem tam byłem raz kiedyś z kapitanem Alatriste i mości Franciskiem de Quevedo, gdy poeta chciał zaczerpnąć z krynicy łajdackiej gadki i szukał tematów do żartobliwych romanc. że nie wspomnę o samym Psie – taki bowiem zaszczytny przydomek nosił właściciel przybytku – który to osobnik handlował nielegalnie hipokrasem⁶⁰, sławetnym a drogim napitkiem, zakazanym przez niejedno królewskie rozporządzenie, albowiem dla obniżenia kosztów doprawiano go ałunem, odpadkami i substancjami dla zdrowia złoczywnymi. Pomimo tego pito je potajemnie, a że każdy zakaz napełnia kabzy tym, którzy go omijają, toteż Pies sprzedawał swoją trutkę po ćwierć sta marawedi za kwaterkę. Interes kwitł.

– Czy jest jakieś miejsce, z którego można na gospodę mieć baczenie?

Wysiliłem pamięć. W krótkiej i mrocznej uliczce znajdowało się kilka osłoniętych miejsc, chociażby rozwalony mur i parę załomów, w których nocą panowała niepodzielnie ciemność. Jedyne problem nastęrczało to, powiedziałem, że owe dogodne punkty nawiedzane były przez cichodajki.

– Cichodajki?

– Kurwy.

Poczułem nieokrzesaną błogość, przemawiając do niej tymi słowy, jak gdybym dzięki temu mógł przejąć dowodzenie, które ona zdawała się uzurpować jeno dla siebie. Przede wszystkim Angélica de Alquezár nie zjadła wszystkich rozumów. Ostatecznie, lubo wdziała na się męski strój i ikry jej nie brakowało, w Madrycie nocą to ja mogłem się czuć jak ryba w wodzie, a nie ona. Rapiér powisający mi u pasa nie był częścią ozdobą.

– Aha – ozwała się.

Nabrałem więcej pewności siebie. Zakochany, zgoda. Po uszy. Ale nie tchórzliwy. I należało to jasno wyłożyć – postanowiłem.

– Mów, panienko, do czego zmierzasz i co ja mam z tym wspólnego.

– Później – odrzekła i ruszyła szparko przed siebie.

Nie drgnąłem. Po kilku krokach zatrzymała się i obejrzała.

– Powiedz – nalegałem – albo dalej pójdiesz sama.

– Nie posuniesz się do tego.

Patrzyła na mnie wyzywająco, w męskim stroju, a dłoń jej niedbale spoczywała na pasie, za który zatknięty miała ukośnie sztylet. Nadeszła moja kolej. Policzyłem do dziesięciu, odwróciłem się i ruszyłem twardo z powrotem. Sześć, siedem, osiem kroków. Zakląłem w duchu, czując, że serce mi się rwie na strzępy. Pozwalała mi odejść, a ja nie mogłem już się cofnąć.

– Zaczekaj – powiedziała.

Stałem z uczuciem ulgi. Jej kroki zbliżały się ku mnie, wreszcie swą dłoń na ramieniu mi oparła. A kiedy się obrócił, księżycowa poświata, spływająca między dachami, zabłysła w jej oczach na wprost moich. Zdało mi się, że czuję jej zapach, zapach świeżego chleba. Klnę się na me życie, że pachniała świeżym chlebem.

– Potrzebuję eskorty – wyjaśniła.

– A czemu ja?

– Bo innemu nie mogę zaufać.

Dźwięczało w tym szczere wyznanie. Dźwięczało kłamstwo. Dźwięczało wszystko, cokolwiek było prawdopodobne albo nieprawdopodobne, możliwe albo niemożliwe. A ja po prawdzie nie dbałem, co tam dźwięczy. Ona była blisko. Bardzo. Gdybym ruszył ręką, mógłbym dotknąć jej ciała. Pogłodzić ją po licach.

– Muszę śledzić pewnego człowieka – dodała.

Wpatrywałem się w nią oniemiały. Co takiego robiła dworka królowej w niebezpiecznym nocnym Madrycie, dlaczego sposobiała się śledzić jakiegoś człowieka? Na czyje zlecenie? Przez głowę przemknęła mi odrażająca postać jej wuja, sekretarza królewskiego. I pojąłem, że znów wpadłem jak śliwka w kompot. Angélica była siostrzenicą jednego ze śmiertelnych wrogów kapitana Alatryste – dziewczynką, której knowania zawiodły mnie trzy lata wcześniej do turmy inkwizycji i niemal na sam stos.

– Masz mnie snadź za durnia.

Milczała, a owal jej twarzy jaśniał w mroku, jakby sam światło rzucał. W źrenicach wciąż jawiły się refleksy księżycowego rogalika. Zmiarkowałem, że podchodzi jeszcze bliżej. I jeszcze. Była tak blisko, że rękojeść jej sztyletu wbiła mi się w biodro.

– Powiedziałam już kiedyś waszmości, że cię miłuję – szepnęła.

I pocałowała mnie w usta.

Rozjarzone okno i smoląca dymem pochodnia, wetknięta w obręcz u wnijścia do Gospody Pod Psem, jedynymi były źródłami światła w zaułku. Resztę spowijał mrok, toteż łatwo było wtopić się w cień pod zrujnowanym murem, za którym rozciągał się zapuszczony ogród. Tam też się usadowiliśmy, dogodny mając widok na drzwi i okno. U wylotu uliczki, w ciemnościach zalegających na ulicy Tudescos, majaczyły ze dwie, trzy

jawnogrzesznice, z mizernym szczęściem zarzucające przynętę. Co jakiś czas osobnicy sami albo grupkami nawiedzali lub opuszczali gospodę. Ze środka dobiegały głosy i śmiechy, czasem towarzyszyła im czyjaś śpiewka albo zagrana na gitarze chacona. Pijak jakiś, zataczając się, zaszedł do naszego zakątka, by sobie pofolgować, ja snadź go o śmiertelną trwozę przyprawiłem, kiedym lewaka dobył, przysunął mu go prosto pod oczy i zagroził, że ma się do diabła wynosić ze swoim pęcherzem w inne miejsce. Moczygęba musiał niechybnie wziąć nas za parkę cielesnym zatrudnieniem pochłoniętą, nic tedy nie rzekłszy, oddalił się, bokami od ścian się odbijając. Rozbawiona Angélica de Alquezár tuż koło mnie dusiła się ze śmiechu.

– Snadnie ubrdał sobie, kim jesteśmy – powiedziała.

– I co tu czynimy.

Ani chybi wielce ją to wszystko upajało: niestosowne miejsce, pora i niebezpieczeństwo. Chciałbym wierzyć, że takóž i moja kompania. Po drodze spostrzeegliśmy byli straż nocną, strażnika i czterech pachołków z tarczami, rapierami i latarnią, za których sprawą musieliśmy nieco drogi nałożyć. Po pierwsze, ponieważ broń u chłopaka, co ledwo wiek dozwolony po temu dekretami królewskimi osiągnął, mogła być źle widziana przez łapsów. Aliści był też i drugi powód, poważniejszy niżli moja zapałka: męski strój Angeliki nie zdołałby zmylić pachołków, a taki obrót sprawy, sympatyczny i pomysłowy na scenie podwórca teatralnego, w życiu prawdziwym móglby mieć następstwa zgoła niemile. Strój męski był dla niewiast surowo zabroniony. Niejednokrotnie nawet zakazywano aktorkom występować w takim przebraniu na deskach, a jedyne role, w jakich rzecz taką dopuszczano, to role pań samotnych, zhańbionych albo skrzywdzonych. Chociażby Petronila i Tomasa z *Ogrodu Juana Fernandeza* albo Juana z *Don Gila w zielonych spodniach* pióra Tirsa, Clavela z

Francuzeczki Lopego i inne smakowite postaci podobnego autoramentu usprawiedliwione były tym, że cześć utraconą odzyskać pragną i małżeństwo uratować, nie przebierały się tedy skutkiem złego nałogu, kaprysu albo dla praktyki nierządnej:

Nie udawaj, żeś nieczuły.

Czas, byś prawdę o mnie znał:

Jam syrena z morskich fal,

*Rybią łuskę mam miast skóry.*⁶¹

Ale, ale. Świętoszków i hipokrytów ostawmy na boku – to dzięki nim domy schadzek się zapełniały, aliści inna to już historia – nie zapominajmy wszak, że w owej podejrzliwości na punkcie strojów znaczną rolę odgrywały także naciski kościelne, Kościół bowiem, poprzez spowiedników królewskich, biskupów, księży i zakonnice (tych zawsze mieliśmy pod większym dostatkiem, niżli pluskiew i kleszczy znajdziesz w noclegowni poganiaczy bydła), owóz Kościół zabiegał dla zbawienia dusz naszych, ażeby diabeł nie raczył tu zbyt sobie folgować. Do tego nawet dochodzono, że męski strój jako okoliczność obciążającą traktowano u niewiasty, gdy miała zostać skazana na stos. Zważcie waszmościowie, że Święte Oficjum palce lubiło maczać również i w tej materii, jako i w tylu innych – co po dziś dzień się dzieje, do kroćset na zgubę nieszczęsnej Hiszpanii.

Trudno atoli byłoby nieszczęsnym nazwać mnie, kiedym tak czekał owej nocy, ukryty w cieniu naprzeciw Gospody Pod Psem, ramię w ramię z Angelicą de Alquezár. Przycupnęliśmy na mym płaszczu, a traf chciał, że co i raz ciała nasze ocierały się o siebie. Ona patrzyła na wnijście do

gospody, ja patrzyłem na nią, a chwilami, gdy się poruszyła żagiew nad drzwiami przybytku rzucała blask na jej liczka, na jej białą skórę i na pojedyncze, złote kosmyki, co się spod czepka pilśniowego wyswobodzić kwapiły. Obcisły kaftan i pluderki przydawały jej wyglądu młodego pazia, aliści wrażeniu temu kłam zadawały rezolutne skry, co w jej oczach błyskały – jasnych, skupionych i zdecydowanych. Niekiedy zdawała się bacznie a spokojnie obserwować mnie, jak gdyby mą duszę na wskroś chciała przewiać. I zawsze, nim na powrót wzrok na gospodę przesuwiała, anielskie jej rysy rozjarzały się w uśmiechu.

– Opowiedz mi coś o sobie – ozwała się raptem Poprawiłem rapier między nogami i zamarłem na chwilę przerażony, nie wiedząc, co powiedzieć. Za czym jałem opowiadać o pierwszym dniu, gdy ją zobaczyłem, małą dziewczeczkę prawie, na ulicy Toledo. Potem o Stalowej Fontannie, o kazamatach inkwizycji, o pohańbieniu podczas *auto da fé*. O liście, jaki napisała była do mnie do Flandrii. O tym, jak ją wspominałem, gdy Niderlandczycy szarżowali na nas pod młynem Ruijter i przy reducie Terheijden, a ja biegłem w ślad za kapitanem Alatriste z chorągwią w dłoniach i sądziłem, że na pewną śmierć idę.

– Jaka jest wojna?

Moje usta bez reszty pochłonęły jej uwagę. Ja – albo moje słowa. Niespodzianie poczułem się dorosły. Prawie stary.

– Brudna – odparłem po prostu. – Brudna i szara.

Pokiwała główką z wolna, jak gdyby rzecz tę rozważała teraz we własnym sercu. Zaraz też poprosiła, bym dalej opowiadał, czym odsunęła brudny, szary kolor w jakiś zakamarek mej pamięci. Wsparłem brodę na gardzie rapiera i jałem na powrót opowiadać o nas. O niej i o mnie. O spotkaniu naszym na zamku w Sewilli, o zasadzce, w którą mnie zawiodła przy kolumnach Herkulesa. O naszym pierwszym pocałunku przy

schodkach jej powozu na chwilę przed tym, jakem stoczył śmiertelny bój z Gualteriem Malatestą. Takie mniej więcej rzeczy jej powiedziałem. Ni słowa o miłości, o mych uczuciach. Opisywałem jeno nasze spotkania, tę część mego żywota, która z nią była związana, atoli na możliwie jak najbardziej obojętną modłę. Szczegół za szczegółem, wedle tego, jakem ją zapamiętał. I jakiej nigdy jej nie zapomnę.

– Nie wierzysz waszmość, że cię Kocham? – rzekła nagle.

Wpatrywaliśmy się w siebie bacznie, a trwało to wieki całe. I już we łbie zaczynało mi się kręcić, jakbym tęgiego łyka z dzbana pociągnął. Otwarłem usta, żeby wyrzec nieprzewidziane słowa. A może gwoli złożenia pocałunku. Nie takiego, jakim ona obdarzyła mnie na placyku Santo Domingo – pragnąłem odcisnąć na jej wargach mój własny całus, mocny i długi, w którym i żądza kłosa, i pieśczoć będzie, i cała siła przemożna, co w mych młodzieńczych żyłach lada chwila eksplodować mogła. A ona uśmiechnęła się o kilka cali od mych ust ze spokojną pewnością osoby, która wie, która czeka i przemienia męskie nieszczęście w nieuchronne przeznaczenie. Jak gdyby wszystko zostało już zapisane, zanim na świat przyszedłem, w starej księdze, której słowa ona posiadała na własność.

– Wierzę... – zacząłem.

Wtem wyraz jej lica uległ odmianie. Jej oczy błyskawicznie zerknęły w stronę drzwi gospody, a ja podążyłem spojrzeniem za nimi. Dwaj mężczyźni wyszli ukradkiem na ulicę w naciśniętych na głowy kapeluszach i pośpiesznie zakładali na się płaszcze. Jeden z nich miał na sobie żółty kaftan⁶².

Podążaliśmy za nimi czujnie skroś pograżone w mroku miasto. Staraliśmy się jak najbardziej wyciszyć odgłos kroków, z dala obserwując ich ciemne sylwetki i bacząc, by ich z oczu nie postradać. Fortunnie

niczego nie podejrzewali, szli prostą drogą: z ulicy Tudescos przez ulicę Verónica, dalej przez furte Świętego Marcina aż po szpital Francuzów pod wezwaniem Świętego Ludwika. Tu zatrzymali się i odsłoniли głowy przed jakimś księdzem, który wychodził właśnie w kompanii ministranta i chłopca z latarnią, by śmiertelnie choremu ostatniego namaszczenia udzielić. Przez ten krótki moment miałem sposobność przyjrzeć im się nieco: ów w żółtym kaftanie był zamaskowany niemal całkowicie, czarny kapelusz i takiż płaszcz okrywały go szczelnie, a na nogach miał ciężkie i pończochy. Gdy łeb odkrył przed kapłanem, spostrzegłem jasne włosy. Drugi nosił budy płaszcz, uniesiony z tyłu przez sterczący rapier, do tego szeroki kapelusz bez pióra i wysokie buty. Wcześniej, jeszcze gdy wychodzili spod Psa, nim zdołał owinąć się do cna, miałem sposobność dostrzec za jego pasem, krom rapiera i grubego napierśnika, jeszcze parę grzecznych pistoletów.

– Można rzec, że są zabezpieczeni – szepnąłem do Angeliki.

– A to cię martwi?

Zamilkłem urażony. Tamci dwaj ruszyli znów przed siebie, a my w ślad za nimi. Po chwili mijaliśmy stragany piekarskie i uliczne szynki, prowadzone przez braciszków od Świętego Ludwika, a teraz zamknięte i bez żywego ducha, oraz kamienny krzyż, pamiątkę po dawnych rogatkach miejskich. Na ulicy Caballero de Gracia przystanęli na chwilę pod osłoną bramy i baczenie dawali na światło ku nim się zbliżające – kiedy i mimo nas przeszło, zmiarkowałem, że była to akuszerka do porodu śpiesząca, której przyświecał wielce zatroskany i naglący ją mąż – za czym podjęli marsz, skwapliwie wybierając miejsca, gdzie mniej było księżycowego blasku. Przeszliśmy wraz z nimi szmat drogi, mijając ciemne ulice, kraty w oknach zasłoniętych żaluzjami i kotarami, zatrwożone krokami naszymi koty, oleiste łuny kaganków we wnękach z obrazkami świętymi. Z rzadka

dobiegało z oddali ostrzeżenie „leje się!”. W jednym bocznym zaułku rozległ się szcęk broni – snadź ktoś walczył zażarcie, przeto obydwaj mężczyźni przystanęli i jęli nasłuchiwać, aliści nie zaprzątęła potyczka na dłużej ich uwagi, bo zaraz dalej ruszyli. Kiedy i my z Angelicą dotarliśmy do zaułka, cień jakiś zamaskowany wymknął się stamtąd i pierzchał z rapierem w dłoni. Czujnie wbiłem oczy w mrok. Kraty i donice. Ktoś w głębi zajęczał. Wsunąłem za pas mój rapier od Juanesa – czmychające widmo sprawiło było, że go błyskawicznie dobyłem – i jużem chciał z pomocą rannemu pośpieszyć, aliści Angélica przytrzymała mnie za ramię.

– Nie nasza to sprawa.

– Ale ktoś tam może umiera – zaoponowałem.

– Wszyscy kiedyś pomrzemy.

Co rzekłszy, ruszyła zdecydowanie naprzód za dwoma osobnikami, którzy oddalili się nieco tymczasem. Tedy i ja zobligowany byłem pójść za nią przez zatopione w ciemnościach miasto. Taka wszak była madrycka noc – mroczna, niepewna i groźna.

Podążaliśmy za nimi, aż do kamienicy przy ulicy Criminales weszli, przy jej górnym, węższym odcinku, w pół drogi pomiędzy ulicą Caballero de Gracia a klasztorem Vallecas. Pozostaliśmy na ulicy, skonfundowani, wreszcie Angélica myśl podsunęła, żeby zacząć się w pobliskiej bramie. Przycupnęliśmy tam na podłużnym stopniu, skrytym za kamienną kolumną. Z racji ciągnącego chłodu ponownie płaszcz mój jej zaoferowałem, który już dwukrotnie była odrzuciła. Tym razem przyjęła go pod warunkiem, że okryjemy się obydwój. Rozpostarłem przeto okrycie na nasze ramiona, co sprawiło, że usiedliśmy jeszcze bliżej siebie. Imaginujecie waszmościowie, w jakim byłem stanie: dłonie wsparłem na rękojeści rapiera, w głowie atoli miałem istną nawałnicę myśli, których nijak z tego podniecenia powiązać w

sens nie mogłem. Ona tymczasem z przeuroczą swobodą baczenie miała na dom, któryśmy obserwować mieli. Wyczuwałem u niej większe napięcie, atoli nadal zachowywała spokój i nad sobą panowała, co zaiste godnym było podziwu u dziewczęcia. Gawędziliśmy szeptem, muskając się ramionami. Wciąż nie kwapiła się zdradzić mi, co właściwie tam robiliśmy.

– Później – powtarzała za każdym razem.

Pułap bramy zasłaniał księżyc, z całego lica Angeliki widziałem jeno mroczny profil tuż obok mego ramienia. Od jej ciała wszelako wielkie ciepło biło. Czuję się jak człek, co szyję pod katowską łapę kładzie, ale nie więcej o to dbałem, niżli o miedziaka. Angélica siedziała koło mnie, tedy nie zamieniłbym się rolami z nikim, choćby ów cieszył się największym bezpieczeństwem i szczęściem na świecie.

– Może nie jest to rzecz najwyższej wagi – nalegałem. – Aliści chciałbym wiedzieć coś więcej.

– O czym?

– O tym szaleństwie, w które się wasza miłość zaplątała.

Zapadło z jej strony złowrogie milczenie.

– Teraz to i waszmość jesteś w to zaplątany – wyrzekła nareszcie z uradowaniem.

– Owóż właśnie to mnie turbuje. Nie wiem, co się wokół mnie kroi.

– Rychło się dowiesz.

– W to nie wątpię... Ostatnim razem atoli dowiedziałem się, gdy mnie otoczyło pół tuzina morderców, a przedostatnim w kazamatach Świętego Oficjum.

– A ja miałam waszmości za młodzieńca śmiałego i dzielnego, panie Balboa... Czyżbyś mi nie ufał?

Zawahałem się, nim odpowiedziałem. Tak właśnie szatan postępuje – przyszło mi na myśl. Igra z ludźmi. Ich ambicją, próżnością, rozpustą,

bojaźnią. Ich sercem nawet. Wszak jest napisane: *To wszystko dam tobie, jeśli upadłszy, uczynisz mi pokłon*⁶³. Przemyślny diabeł nie musi nawet kłamać.

– Oczywiście, że nie ufam.

Usłyszałem, jak śmieje się z cicha. Za czym przysunęła się jeszcze bliżej pod płaszczem.

– Ależ głuptas z ciebie – rzekła z niewysłowioną słodyczą.

I znów mnie pocałowała. A może dla ścisłości winienem napisać, żeśmy obydwójce jęli się całować, raz za razem. Otoczyłem ją ramieniem i gładziłem ostrożnie, nie napotykając nijakiego oporu z jej strony, zrazu szyję i plecy, potem zasię szukając powoli jej dziewczęcych kształtów pod aksamitnym kaftanem. Śmiała się bezgłośnie prosto w moje usta, już to przybliżając się, już to oddalając, gdy ciągoty nazbyt do głowy mi uderzały. I klnę się tu waszmościom, że choćbym w owej chwili ujrzał przed sobą ognie piekielne, poszedłbym za Angelicą bez wahania z rapierem w dłoni, dokądkolwiek miałyby życzenie mnie powieść, gotów bronić jej własnym ramieniem przed samym Lucyferem. Choćby mogło mi to grozić – lub niechybnie groziłoby – wiecznym potępieniem.

Wtem odsunęła się ode mnie. Jeden z zamaskowanych mężczyzn wyszedł na dwór. Odrzuciłem do tyłu płaszcz i powstałem, by lepiej widzieć. Osobnik trwał nieruchomo, jak gdyby czuwał albo czegoś wyczekiwał. Stał tak dłuższą chwilę, za czym jął przechadzać się w tę i z powrotem, aż strach mnie obleciał, że nas odkryje. Nareszcie uwagę jego przykuło coś u wylotu ulicy. Popatrzyłem w tamtym kierunku i dostrzegłem zbliżającą się postać: kapelusz, długi płaszcz, rapier. Szedł środkiem drogi, najwidoczniej nie ufając mrokom przy samych ścianach domostw. Podchodził tak ku zamaskowanemu mężczyźnie, a jego krok, jak zmiarkowałem, coraz wolniejszym się stawał. Nareszcie stanął naprzeciw

tamtego. Coś w sposobie poruszania się nowo przybyłego zdało mi się znajomym, osobliwie w tym, jak odgarniał płaszcz, by łatwiej rapiera móc dobyć. Podkradłem się nieco bliżej, przylgnąłem do kolumny, by lepszy mieć widok. I w świetle księżycy ze zdumieniem rozpoznałem kapitana Alatryste.

Nieznajomy stał pośrodku ulicy, zasłonięty niemal po samo rondo pilśniowego kapelusza, i wyglądał jak skamieniały. Diego Alatryste odsunął przeto lewą połę płaszcza i zwinął ją na ramieniu. Rękojeść rapiera muskała mu dłoń, gdy ustawiał się naprzeciw człowieka, co drogę mu zastępował. Wytrawnym spojrzeniem przeciwnika obrzucił, który stał spokojnie i w milczeniu. Jeżeli jest sam – pomyślał – to albo z zuchwalstwa, albo takim zawodem się para, albo ma przy sobie pistolet. A może wszystko naraz. Gorzej – dokończył w duchu, zerkając z ukosa – jeżeli są z nim jacyś inni. Nie wiadomo jeno, czy na niego tu czeka, czy na kogo innego. Atoli o takiej porze i przed tym domem wątpliwości nijakich mieć nie można było. W grę nie wchodził Gonzalo Moscatel. Rzeźnik kompleksji był bardziej korpulentnej i obszernej, a poza tym nie należał do tych, co porachunki osobiście regulują. Może za tymi zasłonami kryje się płatny zabójca, co dniówkę chce zarobić. Ni chybi właśnie tak musiało być – pomyślał – skoro wiedząc, z kim będzie miał do czynienia, kwapi się go zgładzić bez niczyjej pomocy.

– Upraszam waszą miłość – ozwał się nieznajomy – by nie ważył się ni kroku dalej postąpić.

Głos jego zdumiewał – wykształcenie zdradzało i dworność, lubo przytłumiony przez zasłonę na obliczu.

– A któż tego żąda? – spytał Alatryste.

– Ktoś, kto może.

Nie był to dobry początek. Kapitan przesunął dwoma palcami po wąsach, za czym dłoń opuścił i oparł ją na grubej sprzączce z brązu u pasa. Dalsza pogawędka była zgoła zbędna. Niejasne pozostawało jeno, czy ów drapieżca jest tu sam. Rzucił dyskretnie okiem na prawo i lewo. Wszystko to zdawało się mocno podejrzane.

– Do dzieła – rzucił, dobywając rapiera.

Tamten wszelako nawet nie drgnął, nawet płaszcz nie odgarnął. Stał wciąż nieruchomo, oblewany z tyłu księżycową poświatą, i spoglądał beznamiętnie na lśniąca przed nim blado głownię.

– Nie mam życzenia bić się z acanem – rzekł.

Zmiana w traktamencie. Zrazu wasza miłość, teraz acan. Albo to ktoś, kto wybornie go zna, albo niespełna rozumu, że tak go prowokuje.

– A to czemu?

– Ponieważ mi nie odpowiada.

Alatriste uniósł rapier i wymierzył go prosto w zamaskowane oblicze.

– Stawaj waszmość – ozwał się – do kurwy nędzy.

Widząc żelazo tak blisko, nieznajomy cofnął się o krok i odgarnął płaszcz. Twarz nadal pogrążoną miał w rzucanym przez rondo cieniu, widoczne wszelako stało się jego uzbrojenie – nie miał za pasem pistoletu, jeno dwa. Napierśnik niechybnie podwójnie zszyty. Albo jakiś zuchwalec ulicznej profesji, albo zapobiegliwy galant – wywnioskował Alatriste – ale nijaką miarą nie jest to niewinne jagniątko. Niech no tylko muśnie kolbę któregoś z tych swoich pistoletów, zaraz wrazę mu pięść żelaza prosto w gardziel, nim zdoła wezwać pana Boga na niebie.

– Nie będę się z tobą bił – powtórzył tamten.

Jeszcze mi ułatwia sprawę, uznał kapitan. Już nawet nie acanuje, jeno tyka się ze mną. Wymarzona to okoliczność, ażeby na rożen go nadzieć, aliści zali nie bez kozery ton znajomy słyszę w jego głosie? On sam też

może zna mnie dobrze i dlatego włązi mi tu w paradę, snadź wie, że włos mu z głowy spaść nie może. Nieważne, późno się robi. Kończmy już Wcisnął mocniej kapelusz na łeb i rozpiął klamrę płaszcza który zaraz na ziemię opadł. Krok postąpił do przodu, gotów zadać cios i pilne baczenie mając na pistolety przeciwnika, lewą ręką zaś jednocześnie dobywał lewaka. Widząc się w opałach, tamten znów o krok się cofnął.

– Do czarta, Alatryste – wycedził. – Jeszcześ mnie nie rozpoznał?

W głosie jego gniew zadźwięczał. I buta. Kapitanowi zdało się, że widział nieraz tego człeka bez przebrania. Zawahał się, powściągając przy tym cios, który już, już mu w koniuszkach palców igrał.

– Pan hrabia?

– Nie kto inny.

Długie milczenie. Guadalmedina we własnej osobie. Nadal trzymając rapier i lewak w pogotowiu, Alatryste usiłował pomieścić sobie tę nowinę we łbie.

– A co, do diabła ciężkiego – spytał w końcu – wasza wielmożność robi w tym miejscu?

– Zapobiec chcę, byś sobie życie skomplikował.

I znów milczenie. Alatryste przeżuwał w myślach usłyszane dopiero co słowa. Przestrogi Queveda i widome znaki pasowały do siebie bez zarzutu. Święty Boże. To się nazywa niepomyślność – świat taki wielki, a jednak spotykacie się w takich okolicznościach. A na domiar złego jeszcze Guadalmedina palce macza. Jako pośrednik.

– Moje życie to moja sprawa – odrzekł.

– I twoich przyjaciół.

– Sprawdźmy przeto, dlaczegoż to nie wolno mi pójść dalej.

– A tego to już ci wyjawić nie mogę.

Alatriste w zadumie pokręcił lekko głową, popatrzył na swój rapier i lewak. Jesteśmy, kim jesteśmy – pomyślał.

– Świadczy o nas nasza reputacja. Żadna inna.

– Czeka ją tam na mnie – powiedział.

Álvaro de la Marca ani drgnął. Kapitan miał świadomość, że hrabia przednio rapierem włada, stopy ma mocne, ramię szybkie, w boju jest chłodny, pełen wzgardy, co w modzie było wśród hiszpańskiej szlachty. Oczywiście, nie jest tak wybornym szermierzem jak on sam. Atoli noc i los potrafią nieprzewidziane płać figle. I nie zapominajmy o dwóch pistoletach.

– Placówka jest w tej chwili zajęta – ozwał się Guadalmedina.

– Sam się o tym przekonam.

– Wprzód musisz mnie zabić. Albo dać się zabić z mojej ręki.

Nie znać było w tych słowach ni przechwałki, ni groźby, jeno obawę przed oczywistym. Nieuchronnym. Rzekłbyś – druh zwierza się po cichu drugiemu druhowi. Hrabia też był, kim był, reputacji bronić gotów, własnej i nie tylko.

Alatriste odparł tym samym tonem: – Nie stawiaj mnie wasza wielmożność w tak niegodnej sytuacji.

I znów dał krok naprzód. Tamten pozostał na swoim miejscu, ciągle rapier w pochwie trzymając, i tylko pistolety dwa na krzyż za pas zatknięte lśniły groźnie. Tymi zasię niechybnie posłużyć się też potrafił. Alatriste sam się miał być sposobność przekonać kilka miesięcy temu w Sewilli, kiedy hrabia wypalił prosto do miejskiego strażnika, że tamten ni księdza nie zdążył zawołać.

– To jeno niewiasta – nalegał Guadalmedina. – W Madrycie znajdziesz ich na pęczki... – Głos brzmiał ciągle przyjaźnie i pojednawczo. – Zali życie chcesz sobie zmarnować przez jakąś komediantkę?

Kapitan nie od razu odpowiedział.

– Jej profesja – rzekł nareszcie – mniejsze ma znaczenie.

Jak gdyby odpowiedź tę zawczasu znając, przeciwnik westchnął ciężko. Za czym dobył rapiera i przyjął pozycję, lewą dłoń przesuwając ku kolbie pistoletu. Zrezygnowany Alatryste przeto także broń uniósł. Świadom, że wraz z tym ruchem ziemia usuwa mu się spod nóg.

Ledwie dostrzegł, że nieznajomy też rapier wyciąga – z dala nie potrafiłem go rozpoznać, lubo maskę już z oblicza był ściągnął – postąpiłem krok naprzód, aliści ręce Angeliki zdołały mnie przy kolumnie utrzymać.

– Nie nasza to sprawa – szepnęła.

Spojrzałem na nią, jak gdyby rozum postradała.

– Co też wasza miłość mówi? – ozwałem się wzburzony. – Toż to kapitan Alatryste.

Nijakiego zaskoczenia u niej nie widziałem. A dłonie jej jeszcze mocniej się zacisnęły.

– Chcesz tedy, by zobaczył, że go śledzimy?

Tu się trochę zawahałem. Jak mógłbym się wytłumaczyć, gdyby kapitan ją indagować, co robię w tym miejscu o tak późnej porze?

– Jeżeli wyjdiesz, zdradzisz mą obecność – dodała Angélica. – Twój przyjaciel Batiste sam poradzi sobie w opresji.

Co tu się dzieje? – zadawałem sobie w duchu pytanie. Co to ma znaczyć i co ja z kapitanem mamy z tym wspólnego? A co ma ona?

– Poza tym nie możesz mnie ostawić tu samej.

We łbie mi się mąciło. Nadal stała i kurczowo ścisnęła me ramię, tak blisko, że czułem jej oddech na policzku. Sromałem się wielce, że nie mogę stanąć do walki ramię w ramię z moim panem, atoli jeżeli bym opuścił

Angelicę albo zdradził jej obecność, srom mój by nie zniknął, przyczynę miałby jeno inną. Gwałtowna fala gorąca do głowy mi uderzyła. Wsparłem się czołem o zimny kamień, pożerając wzrokiem sytuację na ulicy. Myślałem gorączkowo o pistoletach, którem był spostrzegł za pasem u nieznanego, kiedy Gospodę Pod Psem opuszczał, a które o wielki niepokój mnie przyprawiały. Najlepszy fechtmistrz nic nie poradzi, gdy mu z czterech piędzi wypalą kulą prosto w oczy.

– Muszę panienkę ostawić – rzekłem do Angeliki.

– Nawet o tym nie myśl.

Zmieniła ton z prośby na ostrzeżenie, ja wszelako pochłonięty już byłem tym, co się przed mymi oczyma rozgrywało: po chwili spokoju, kiedy to dwaj rywale z rapierami w pogotowiu mierzyli się jeno wzrokiem, mój pan nareszcie ruszył naprzód i zwały się głównie żelazne. Wyrwałem się z uścisku Angeliki, dobyłem rapiera i ruszyłem kapitanowi z odsieczą.

Diego Alatryste posłyszał zbliżające się kroki i powiedział w duchu, że snadź Guadalmedina sam nie przyszedł i że sprawy stoją znacznie gorzej, choćby i Álvaro de la Marca pistoletu użyć nie zamierował. Tedy czas kończyć dzieło – uznał – albo przejdę do historii. Przeciwnik cofał się z wolna i dzielnie uwijał się rapierem, łokieć lewej ręki przy tym do tyłu odsuwając, by znaleźć sposobną chwilę, kiedy odwiedzie kurek pistoletu i wypali. Operacja ta, na kapitańskie szczęście, dwóch rąk wymagała, zadał tedy cios z góry, po ostrzu, by prawą rękę tamtego w nieustannym zatrudnieniu utrzymać, a jednocześnie deliberował, jak by tu zranić hrabiego, ale możliwie nie zabić. Kroki nieznanego były coraz bliżej, musiał tedy na szczyty kunsztu się wspiąć, bo to już nie były przelewki. Zamierzył się przeto lewakiem, zwód uczynił, jakoby się cofał, czym w ufność Guadalmedinę wpędził, że czasu mieć będzie nadto, by spust

nacisnąć, hrabia zaraz też rękę z rapierem opuścił gwoli wsparcia na niej lufy, w tym atoli momencie kapitan zadał straszliwy cios prosto w ramię tamtego, skutkiem czego pistolet na ziemię upadł, a de la Marca, potykając się i klnąc w żywe kamienie, musiał odstąpić do tyłu. Na miły Bóg, ni chybi go dostałem – pomyślał Alatryste, lubo tamten jeno klął, bez jednego jęku. Aliści przyznać trzeba, że u ludzi jego pokroju przekleństwo i jęki z jednej są parafii. W każdym razie ów trzeci musiał być tuż–tuż, jego cień i błysk obnażonego rapiera dobrze widoczne były na gościńcu, Alatryste zasię zmiarkował, że Guadalmedinie z jeszcze jednym pistoletem u pasa śmiercionośnej siły nie ubywa. Muszę kończyć – zdecydował. Teraz. De la Marca takż kroki nadchodzące posłyszał, atoli miast się ożywić, popadł w niejaką konfuzję. Zerknął wstecz, stradając tym samym cenne sekundy. Zanim równowagę odzyskał, Alatryste wykorzystał tę chwilę i nie spuszczając owego trzeciego z kącika oka, błyskawicznie oszacował odległość, wypuścił fintę prosto w pachwinę, a kiedy zdezorientowany Guadalmedina zasłonił się rapierem, kapitan uniósł głównię swojego, gotów zadać cios ostateczny z wypadu, zadać ranę, śmierć albo co tam los ześle.

– Kapitanie! – krzyknąłem.

Nie chciałem, by mnie w ciemnościach na wylot przeszył, nie rozpoznawszy pierwej. Ujrzałem, że zatrzymał się w pół ruchu z uniesionym rapierem, że patrzy w moim kierunku, i że jego przeciwnik to samo czyni. Wymierzyłem swoją broń w tamtego, ten zasię, widząc, że z dwóch stron go osaczają, cofnął się, obrócił i przyjął niezdecydowaną gardę.

– Na miłość boską, Alatryste... – powiedział. – Jakże możesz chłopaka w to mieszać?

Skamieniałem, głos jego słysząc. Opuściłem żelazo i jałem popatrywać z bliska na przeciwnika mego pana, którego oblicze nareszcie mogłem rozpoznać w księżycowej poświacie.

– Co tu robisz? – zapytał mnie kapitan.

Głos miał oschły i metaliczny niczym rapier. Raptem gorąco przeraźliwe mnie ogarnęło, a przepocona koszula przylepiła mi się do ciała pod kaftanem. Noc wirowała mi we łbie na podobieństwo bąka.

– Myślałem... – jałem bełkotać.

– Co, matole, myślałeś?

Zamilkłem bezradnie, niezdolny otworzyć już gęby. Guadalmedina przyglądał się nam w najwyższym zadziwieniu. Rapier wsunął pod prawą pachę i z wyraźnym bólem obwiązywał sobie zranioną lewą rękę.

– Oszalałeś, Alatryste – syknął.

Zobaczyłem, że kapitan unosi dłoń ze sztyletem, nawet nie patrząc w stronę hrabiego, jak gdyby gestem tym o chwilę namysłu chciał prosić. Jego jasne oczy pod ciemnym rondem kapelusza wierciły we mnie dziurę nie gorzej niżli ostrze.

– Co tu robisz? – ponowił pytanie.

Tym głosem potrafiłby zabijać. Klnę się waszmościom, żem wielki strach poczuł.

– Poszedłem za waszmością – skłamałem.

– Dlaczego?

Przełknąłem ślinę. Przed oczami stanęła mi Angélica, ukryta w bramie i wpatrzona z oddali w całą scenę. A może już sobie poszła. Zebrałem się w sobie, by znów głos odzyskać.

– Bałem się, że waszmości grozi jakaś napaść.

– Oszaleliście obydwaj – zakonkludował Guadalmedina.

Przez jego słowa atoli przebijała ulga. Jak gdyby moje pojawienie się sprawiło, że można z tej sceny znaleźć godne wyjście. Honorowe rozwiązanie tam, gdzie wprzód przychodziło jeno poszatkować się w plasterki.

– Przystoi nam wszystkim wszelako – dodał – zachować choć trochę rozsądku.

– A cóż takiego wasza wielmożność ma na myśli? – dopytywał się kapitan.

Tamten spojrział w stronę domu, pogrążonego w ciszy i ciemności. Wreszcie ramionami wzruszył.

– Nie mieszajmy się tej nocy dalej w bieg wydarzeń.

Owo „tej nocy” zabrzmiało nader wymownie. Pojąłem, że dla Guadalmediny dom przy ulicy Criminales i przyczyna zwady niewielkie miały znaczenie. Diego Alatryste i on zwarli się na ostre, a to oznaczało pewne konsekwencje. Koniec jednych spraw, siłą rzeczy początek innych. W tym momencie walka została odroczone, atoli nie puszczona w niepamięć. Pomimo dawnej przyjaźni Álvaro de la Marca był, kim był, a do pojedynku z nim stanął prosty wiarus, co krom rapiera nie miał pod stopami choćby tyle ziemi, by mieć gdzie paść swobodnie trupem. Po tym, co się właśnie stało, każdy inny arystokrata tej rangi, co nasz hrabia, posłałby kapitana na galery albo w kajdanach do lochu. Oczywiście gdyby poskromił chętkę, by kazać zuchwalca zabić bez litości. Jednak Álvaro de la Marca z innej ulepiony był gliny. Może uważał, jak i sam Alatryste, że gdy słowa i żelazo w powietrzu zafurkoczą, nie można ich ot, tak sobie zapędzić z powrotem tam, skąd wyszły. Wszystko tedy można będzie rozwiązać za czas jakiś, w spokoju i w miejscu stosowniejszym, gdzie żaden z nich nie będzie się musiał turbować o nikogo więcej krom siebie samego.

Kapitan patrzył na mnie, a oczy jego ni krzty z blasku swego nie traciły w mroku. Nareszcie nader powoli wsunął rapier i lewak za pas, jak gdyby jeszcze o czymś dumał. Wymienił milczące spojrzenia z Guadalmediną, za czym dłoń na ramieniu mi oparł.

– Nigdy więcej tego nie rób – ozwał się oschle.

Jego palce ze stali zaciskały się z taką siłą, że jałem szczery ból odczuwać. Zbliżył oblicze i wbił we mnie wzrok sponad orlego nosa, tak dobrze teraz widocznego. Woń rozsiewał tę, co zwykle: skóra, wino i metal. Usiłowałem się wyswobodzić, on aliści nie kwapił się mnie puścić.

– Nie chodź za mną – dodał – przenigdy.

A ja aż skręcałem się w środku ze sromoty i nieczystego sumienia.





V. WINO ESQUIVIAS.



azajutrz czułem się jeszcze gorzej, patrząc, jak kapitan Alatryste siedzi u wnijscia do Gospody Pod Turkiem. Mój pan zajmował taboret wedle stołu, udekorowanego karafką z winem, smażoną kielbasą na talerzu i książką – o ile pamięć mi dopisuje, był to *Żywot Marcosa de Obregón, giermka*⁶⁴ – której nie otwarł od samego rana. Siedział oparty o ścianę, w rozpiętym kaftanie i koszuli, co aż mu odsłaniała pierś, a jasnozielone oczy, jeszcze bardziej przez światło dnia rozświetlone, wbił w jakiś nieokreślony punkt na ulicy Toledo.

Ja starałem się trzymać odeń z dala, trapiiony zgryzotą, żem go był tak szpetnie okłamał – do czego nigdy w życiu by nie doszło, gdyby w sprawę nie była zaplątana jedyna dama, a raczej dziewczyna (czy jak ją waszmościowie określić zechcecie), która tak mi we łbie zamąciła, żem nie umiał rozsądzić, kiedy błędzę. W owych dniach akurat, pod okiem Klechy Pereza, któremu kapitan powierzył był moje kształcenie, tłumaczyłem ten fragment z Homera, gdzie Odys kuszony jest przez syreny, możecie przeto waszmościowie zmiarkować, w jakim stanie ducha się znajdowałem. Owóż całe przedpołudnie unikałem pana mego, robiąc sprawunki i zanosząc przesyłki to tu, to tam, lecąc już to po świece, krzemień i hubkę dla Caridad Cyganichy, już to po olej ze słodkich migdałów dla apteki Cyklopa

Fadaque, już to do pobliskiej szkółki jezuickiej, żeby zanieść Klesze Perezowi kosz z wypraną bielizną. A teraz, niczego pilniejszego do roboty nie znajdując, błąkałem się po skrzyżowaniu ulic Arcabuz i Toledo, wśród powozów, dwukółek z towarami, co się na plac Mayor udawały, mułów objuczonych pakunkami i osiołków, przywiązanych przez woziwodów do krat w oknach i obficie potrzeby swe ułatwiających na licho utwardzoną ziemię, już i tak zalaną spływającymi wszędy nieczystościami. Co raz to rzucałem okiem na kapitana, wciąż aliści znajdowałem go w tej samej pozycji – nieruchomego i zadumanego. Dwukrotnie widziałem, jak Cyganicha w fartuchu i z odkrytymi ramionami wygląda, patrzy na niego, za czym bez słowa znika z powrotem w środku.

Miarkujecie już, że nie były to dla niej radosne dni. Na wszelkie jej utyskiwania odpowiadał albo zdawkowymi mruknięciami, albo milczeniem, a niekiedy, ledwie ta poczciwa niewiasta uniosła trochę głos, pan mój zabierał kapelusz, płaszcz i rapier i wychodził na przechadzkę. Pewnego razu po powrocie natrafił u stóp schodów na kufer z całym swym mizernym dobytkiem. Pogapił się na niego przez chwilę, za czym wszedł, zamknął za sobą drzwi, a po dłuższej wymianie zdań słyszałem, że głos Cyganichy jakby przycichł. Niedługo potem kapitan pojawił się w samej koszuli przy balustradzie galerii, co na podwórze wychodziła, i kazał mi wtaszczyć kufer na górę. Co uczyniłem, a sytuacja zdawała się powracać do normy – owej nocy do mej izby docierało wycie Cyganichy jakby suki podczas rui – atoli po paru dniach oczy naszej gospodyni na powrót stały się wilgotne i zaczerwienione, wszystko zaczęło się na nowo i trwało aż po dzień, o którym właśnie tu prawię, czyli nazajutrz po tym, jak mój pan starł się z Alvarem de la Marca na ulicy Criminales. Atoli, lubo obydwaj z kapitanem podejrzewaliśmy, że jeszcze nad głowami zagrzmie, nie zdołalibyśmy przewidzieć, jak czarne chmury nadciągają i jakie kłopoty

nam szykują. W porównaniu z tym, co się zbliżało, swary z Cyganichą były raptem interludium Quiñonesa de Benavente.

Masywny cień – szerokie plecy, kapelusz, peleryna – przykrył stół akurat w chwili, gdy kapitan Alatryste po karafę z winem ręką sięgał.

– Witaj, Diego.

Jako miał w zwyczaju – i na przekór wczesnej porze – Martín Saldaña, rotmistrz miejskiej straży, szedł najeżony bronią niczym całe Toledo z Biskają⁶⁵ na dokładkę. Z natury i sprawowanej funkcji nie ufał nawet własnemu cieniowi, który rzucał w owym momencie na stół i swego dawnego kamrata z wojen flamandzkich – miał przeto na sobie parę mediolańskich pistoletów, rapier, lewak i sztylet. Cały ten rynsztunek uzupełniały gruby, łosiowy napierśnik i zatknięta za pas laska urzędowa.

– Możemy chwilkę pogawędzić?

Alatryste spojrzał nań przeciągle, za czym na powrót jął się wpatrywać w swój pas, owinięty pod ścianą na podłodze wokół brzytwy i lewaka.

– Jak z rotmistrzem czy jak z druhem? – zagadnął ze spokojem.

– Do diaska. Nie pierdolże.

Kapitan zerknął na brodate oblicze przybysza, zryte bliznami nabytymi w tym samym czasie, co jego własne. Bez wysilania pamięci wiedział, że broda w połowie skrywa cięcie, jakie dwa dziesiątki lat wstecz rotmistrz otrzymał podczas szturm na Ostendę. Owego dnia Saldaña nabawił się swojej szramy na policzku, a kapitan jednej z blizn na czole, tej nad lewą brwią.

– Możemy – odparł.

Podeszli na plac Mayor, idąc podcieniami wzdłuż ostatniego odcinka ulicy Toledo. Milczeli jak przed pisarzem sądowym, Saldaña nie kwapił się

wydusić z siebie, co miał do powiedzenia, a Alatryste ani myślał go przynaglać. Kapitan kroczył w zapiętym kaftanie i w kapeluszu z pomiętym czerwonym piórem na głowie, płaszcz miał złożony na ramieniu, a rapier dyndał mu u lewego boku, podzwaniając za każdym razem, gdy o lewaka trącił.

– Rzecz delikatnej jest natury – ozwał się nareszcie Saldaña.

– Tak wnoszę po twojej minie.

Popatrzyli na siebie wymownie, za czym ruszyli dalej, mijając grupkę Cyganek, co w podcieniach tańcowały. Plac, otoczony zewsząd wysokimi domami o ołowianych dachach i rozjarzony słonecznym blaskiem, odbitym od złocień Domu Piekarzy, aż mrowił się od handlarek, kupców obnośnych i gawiedzi, co się przechadzała wśród wozów i skrzyń pełnych owoców i jarzyny, wśród straganów z chlebem, przykrytym siatką dla ochrony od rabusiów, wśród beczek z winem – jeszcze nie chrzczonym, jak sprzedawcy nagabując, wołali – wśród sklepikarzy, co u wrót swoich przybytków wystawali, i wózków z towarem pod arkadami. Zgniłe odpady warzyw piętrzyły się na ziemi, z końskimi nieczystościami zmieszane, a ponad tym wszystkim unosiły się całe roje much, których brzęczenie wtapiało się w powszechną wrzawę i nawoływania zachwalających swe wyroby straganiarzy. Dzisiejsze jaja i mleko. Szare melony. Przednie brukwie, delikatne jak maselko. Fasola jak sam jedwab i pietruszka palce lizać. Odeszli w prawo, wymijając wózki z konopiami i ostnicą, co aż po ulicę Imperial się rozpanoszyły.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, Diego.

– Krótko i treściwie.

Saldaña ze zwykłą sobie powolnością kapelusz z głowy zsunął i pogładził się dłonią po łysinie.

– Mam polecenie, żebym cię przestrzegł.

– Od kogo?

– Nieważne. Ważne jest zaś to, że przyszło z wystarczająco wysoka, byś je sobie przemedytował. Tu chodzi o twoje życie, a co najmniej o wolność.

– Już się boję.

– Nie dworuj sobie, na Boga. Mówię poważnie.

– A skąd tyś się wziął w tym wszystkim?

Tamten kapelusz na łeb nacisnął, machinalnie skinął głową pachółkom, co zasalutowali mu od Bramy Rzeźniczej, gdzie gawędzili, za czym ramionami wzruszył.

– Posłuchaj, Diego. Może na przekór twej woli, aliści masz tu przyjaciół, bez pomocy których już byś leżał z rozplataną gardzielą w jakiejś zakazanej uliczce albo i żyw, ale w ciemnicy, w kajdanach... Dziś się dużo na ten temat rozprawiało, ledwie dzionek wstał. Dopiero ktoś wspomniał jakieś zgoła niedawne zasługi twoje, w Kadyksie czy gdzie, czarci wiedzą. Zielonego pojęcia nie mam, o co chodziło, i złamanego miedziaka nie dam, by się dowiedzieć, ale przysięgam ci, że gdyby w twojej obronie głosu nie zabrano, przyszedłbym po ciebie w większym gronie, do tego po zęby uzbrojonym... Nadążasz?

– Nadążam.

– Myślisz spotykać się dalej z tą babą?

– Nie wiem.

– Na króla biorącego, nie idź mi wbrew.

Przeszli kilka kroków, gąb nie otwierając. Nareszcie, gdy przed cukiernią Gaspara Sancheza się znaleźli, pod samym łukiem, Saldaña przystanął i zapieczętowany liścik z kieszeni wydobył.

– Papier zostaje, słowa ulecą⁶⁶.

Alatriste wziął liścik i obrócił go parokrotnie badawczo w dłoniach. Na wierzchu nie wypisano nijakiego adresata, zgoła słowa żadnego. Złamał lak, rozłożył kartę, a pismo rozpoznawszy, ciężkim spojrzeniem starego druha obrzucił.

– Od jak dawna pośrednictwem się zatrudniasz, Martín?

Na obliczu rotmistrza pojawił się pełen irytacji mars.

– Niech cię lichy porwie – rzekł. – Zamilcz i przeczytaj to, na Boga Przenajświętszego.

Tedy Alatriste przeczytał:

Wielce byłabym rada, gdyby wasza miłość zaprzestał swych odwiedzin. Z całym należnym respektem.

M. de C.

– Tuszę – zaznaczył Saldaña – że cię to nie zaskoczyło, osobliwie po wczorajszej nocy.

Alatriste składał papier w zadumie.

– A cóż ty takiego wiesz o wczorajszej nocy?



Zamilcz i przeczytaj to, na Boga Przenajświętszego.

– Coś niecoś. Na przykład, żeś pchał nosa na królewskie łowiska. I żeście się omal z jednym przyjacielem swoim się nie pozabijali.

– Widzę, że nowiny w mig się rozchodzą.

– W pewnych kręgach jak najbardziej.

Jałmużnik od Świętego Błażeja podszedł do nich z dzwoneczkiem i puszką, by podać im obrazek patrona do ucałowania. Chwała przeczystej Najświętszej Paniencie – wymamrotał nader potulnie, potrząsając skarbonką, atoli zoczywszy groźne wejrzenie rotmistrza straży, zmienił plany i oddalił się czym prędzej.

Alatriste wciąż dumał.

– Jak miemam, ten list o wszystkim rozstrzyga – zdecydował.

Saldaña w zębach paznokciem pogrzebał z widomą ulgą.

– Mam nadzieję. Inaczej już jesteś martwy.

– Żebym był martwy, pierwaj ktoś musi mnie zabić.

– Tedy wspomnij sobie Villamedianę, któremu patrochy wywlekli kilka kroków stąd... I nie tylko jego.

Co rzekłszy, jął się z wyraźnym upodobaniem przyglądać kilku damom, które zasiadały przy beczkach po winie, wystawionych przed drzwiami cukierni w roli stołów, i w kompanii swych ochmistrzyń i służących koszami objuczonych zajadały się mieszanką karmelków.

– Przecież – ozwał się raptem – jesteś jeno żalosnym żołdakiem.

Zaśmiał się Alatryste przez zęby ponuro.

– Tak jak i ty – odrzekł – za dawnych czasów.

Saldaña westchnął głęboko i ku kapitanowi się obrócił.

– Jakoś rzekł: za dawnych czasów. Mnie fortuna dopisała. Poza tym nie ujeżdżam cudzych klaczy.

Co powiedziawszy, snadź nieswojo się poczuł, bo wzrok spuścił. O nim złe języki rozpowiadały rzeczy wprost przeciwne: jakoby szarżę rotmistrza straży różnym miłostkom własnej żony zawdzięczał. Wiadomo było wszelako, że Saldaña co najmniej jednego człeka zabił już był jeno za dworowanie sobie na ten temat.

– Daj mi ten list.

Zadziwił się wielce kapitan, bo zachować go się sposobił.

– Mój jest.

– Już nie. Ma przeczytać i oddać, tak mi nakazano. Tuszę, że miałeś jeno przekonać się na własne oczy: jej pismo, jej podpis.

– I co masz z nim zrobić?

– Spalić natychmiast.

Wyjął list spomiędzy palców kapitańskich, które nijakiego oporu nie stawiały. Za czym, rozejrzawszy się bacznie wokół, zdecydował się na pobożny obrazek, który pewien zielarz u wnijścia do swego przybytku

powiesił obok zasuszonego nietoperza i jaszczurki. Podszedł rotmistrz do zamocowanej tam oliwnej lampki i podpalił kartkę.

– Ona wie, co jej przystoi, jej mąż także... – zawyrokował, powróciwszy do kapitana z podpalonym listem w dłoni. – Przypuszczam, że ktoś im to podyktował.

Przyglądali się płonącemu papierowi, aż nareszcie Saldaña upuścił zwęglone resztki na ziemię.

– Król to jeszcze młodziak – ozwał się niespodzianie.

Rzucił te słowa, jak gdyby to wszystko tłumaczyć miało.

Alatriste spoglądał nań z wielką uwagą.

– Ale jest królem – zauważył obojętnie.

Saldaña zmarszczył brwi, wsparłszy jedną dłoń na kolbie pistoletu. Drugą skrobał się po siwiejącej brodzie.

– A wiesz ty co, Diego?... Czasami, tak jak tobie, ckni mi się do flamandzkiego błota i całego tego gówna.

*

Pałac Guadalmediny wznosił się na rogu ulic Barquillo i Alcalá, tuż wedle klasztoru Świętego Hermenegilda. Ogromne odrzwia otworem stały, toteż Diego Alatriste od razu przeszedł do obszernej sieni, gdzie na spotkanie wyszedł mu odźwierny w liberii. Był to stary sługa, którego kapitan znał od lat.

– Chciałbym z panem hrabią się zobaczyć.

– A był wasza miłość zawezwany? – zapytał tamten nader uprzejmie i z taktem.

– Nie.

– Zobaczę zatem, czy jego ekscelencja może waszmości przyjąć.

Odźwierny znikł, a kapitan jął przechadzać się wzdłuż parkanu, za którym ogród się rozciągał, gęsty i nader zadbany, pełen drzew owocowych i ozdobnych kamiennych amorków i klasycznych posągów, ustawionych wśród bluszczu i rozlicznych klombów. Chwilę tę wykorzystał, by ochędożyć na sobie strój, wypraną świeżo koszulę poprawić i zapiąć dokładnie wszystkie haftki kaftana. Nie miał pojęcia, jak zachowa się Álvaro de la Marca, kiedy twarzą w twarz staną, atoli nadzieję żywił, że tamten przyjmie przeprosiny, które był przygotował. Kapitan wszak – o czym hrabia wybornie wiedział – należał do ludzi, którzy słowa ni żelaza w zanadrzu kryć nie są skorzy, co noc poprzednia dowodnie wykazała. Atoli sam, własne zachowanie rozumem zbadawszy, zmiarkował, że może niesłusznie zadarł był z człkiem, który przecież do swych zobowiązań podchodził z taką samą stanowczością, z jaką on sam do swojej powinności na polu bitwy. Król jest bądź co bądź królem, powiedział sobie, aliści są królowie i króliska. Każdy tedy w zgodzie z własnym sumieniem albo interesem umówić się ze sobą winien, w jaki sposób temu królowi służy. Owszem, Guadalmedina pobiera swą zapłatę w postaci łask monarszych, ale przecie on, Diego Alatryste y Tenorio, też pobierał swoją na polu bitwy, pod sztandarem tegoż samego monarchy, jego ojca i dziadka – lubo przyznać takż wypadła, że płaca ta niską była, byle jaką i z opóźnieniem docierała. W każdym razie Guadalmedina, pomimo wysokiego stanu, zacnej krwi, dwornego usposobienia i okoliczności, które wszystko dodatkowo komplikowały, był człkiem rozważnym i lojalnym. Widziano ich nieraz, jak ramię w ramię przeciwko osobom trzecim dzielnie z bronią w rękę stawali, nie wspominając już o tym, że kapitan życie tamtemu ocalił podczas klęski u brzegów archipelagu Qerqenny, a później sam do niego zwrócił się po pomoc podczas awantury z dwoma Anglikami. Takż w trakcie zatargu ze Świętym Oficjum hrabia przychylności swej nie poskąpił,

podobnie było i przy sposobności odzyskiwania złota Króla Jegomości w Kadyksie – czy zgoła niedawno, o czym przekonywały przestrogi, jakie przekazał kapitanowi mość Francisco de Quevedo w związku z Marią de Castro, gdy tylko królewskie kaprysy znać o sobie dały. Wszystko to świadczyło o więzi – taką nadzieją się karmił, oczekując pod parkanem ogrodowym – która może uratuje przyjaźń, jaką obydwaj mężowie się nawzajem darzyli. Z drugiej strony, może duma Álvara de la Marca nie pozwoli mu na jakiegokolwiek pojednanie – magnatom mocno doskwierało, gdy ktoś na nią nastawał, a draśnięcie w ramię ubiegłej nocy zgoła sytuacji nie poprawiało. W każdym razie Alatryste gotów był postawić się do dyspozycji hrabiego, jeśli tamten takowe miałby życzenie – nawet dać się potraktować kawałem żelaza w czasie i miejscu, jakie Guadalmedina uznałby za stosowne.

– Jego ekscelencja nie zechce przyjąć waszej miłości.

Diego Alatryste zamarł, dech w piersiach tracąc, aż się dłonią rękojeści rapiera musiał przytrzymać. Sługa wskazywał mu ręką wyjście.

– Jesteś pewien?

Tamten przytaknął ze wzgardą. Początkowa jego uprzejmość przepadła bez śladu.

– Powiada, żeby wasza miłość poszedł sobie prosto nosa.

Kapitana niełatwo było z pantałyku zbić, atoli taka wzgarda i dyshonor przyprawiły go o falę gorąca, co na oblicze mu natychmiast uderzyła. Popatrzył jeszcze przez chwilę na odźwiernego, u którego utajoną radość spostrzegł. Za czym westchnął głęboko i hamując się, by go płazem rapiera nie dzielić, wcisnął na łeb kapelusz, odwrócił się na pięcie i na ulicę wyszedł. Jak ślepy podążał w górę ulicy Alcalá, nie bacząc, którądy idzie, niby spowity czerwoną mgiełką. Złorzeczył jeno przez zęby, obficie wzywając przy tym imienia Pana Jezusa. Sadził takie susy, że kilkakrotnie

w tym pośpiechu niemal stratował przechodzących mimo ludzi, aliści ich protesty – jeden już, już za rapier sięgał – milkły, ledwie straszne oblicze jego uwidzieli. Tak minął Puerta del Sol, dotarł do ulicy Carretas i tam zatrzymał się przed Gospodą de la Rocha, u wnijscia do której widniał napis w gipsie sporządzony: *Wino z Esquivias*⁶⁷.

Owej że nocy zabił człowieka. Wybrał go bez słowa, na chybił trafił, spośród tutejszych parafian – równie pijanych jak on – co tłumnie w gospodzie gwarzyli. Przed wyjściem rzucił kilka monet na powalany winem blat i wytoczył się na dwór, a w ślad za nim nieznajomy – osobnik o wyglądzie zabijaki, który pospołu z jeszcze dwoma innymi bić się sposobił i rapier już do połowy wyciągnięty trzymał, ponieważ Alatryste zbyt długo wpatrywał się weń, oczu nie odrywając. On zasię – nigdy kapitan nie zdołał poznać imienia jego – nie pozwoli, żeby tak się nań gapił żaden kiep, jak Hiszpania czy Indie długie i szerokie. Wyszedłszy na zewnątrz, Alatryste ruszył z ramieniem przyciśniętym do ściany, dotarł do ulicy Majadericos i tam dopiero, gdy zmiarkował, że ciemno jest, niczyje oczy niepowołane dojrzeć ich nie mogą, a kroki za nim podążające są już blisko, dobył broni i twarzą do przeciwnika stanął. Nie zachowując reguł ni szermierki, ni ostrożności, pierwszym raptownym cięciem go dosięgnął i widział, że tamten z przekłutą na wskroś piersią padł na ziemię, nim głowę zdążył otworzyć, a jego kamraci z miejsca czmychnęli, gdzie pieprz rośnie. Łapać mordercę, krzyczeli. Morderca. Wsparty o mur przy trupie zwymiotował wino, ni na chwilę rapiera z ręki nie wypuściwszy. Za czym żelazo z krwi otarł płaszczem zabitego, otulił się własnym i jął przemykać się z dala od światła, by do ulicy Toledo dotrzeć.

Trzy dni później mość Francisco de Quevedo i ja przejechalśmy przez most Segowiański w drodze do Wiejskiego Dworku, gdzie Ich Królewskie Moście wypoczywały, z udanej pogody korzystając. Król zajęty był łowami, królowa zaś zabawiła się przechadzkami, czytaniem i słuchaniem muzyki. Zaprzężonym w dwa muły powozem przedostaliśmy się na drugą stronę i pustelnię Anioła Pańskiego minawszy i wylot traktu San Isidro, prawym brzegiem dotarliśmy do ogrodów, co letnią rezydencję naszego Katolickiego Monarchy otaczały. Po jednej ręce rozpościerały się gęste zagajniki sosnowe, a po drugiej, za Manzanaresem, pysznił się Madryt w całej swej okazałości: niezliczone wieże kościołów i klasztorów, mury na pozostałościach dawnych arabskich umocnień wzniesione, a powyżej masywny i potężny gmach Pałacu Królewskiego ze Złoconą Wieżą wysuniętą niczym dziób olbrzymiego statku, wrzynający się w załom wąskiej rzeczki, której brzegi upstrzone były jasnymi plamami bielizny, suszonej przez praczki na gałęziach krzaków. Cudny był to widok i tak nie mogłem się nań napatrzeć, aż mość Francisco uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Pępek świata – rzekł. – Ciągłe jeszcze.

Daleki byłem od zmiarkowania, jak przenikliwa wstrzeźliwość zawarta była w owej uwadze. Podówczas olśniony chodziłem wszystkim, com wokół siebie widział, jakże tedy przyjąć do łba mógłbym, że przewspaniały Dwór, nad całym światem zwierzchnictwo, które Hiszpanom w udziale przypadło, imperium obejmujące Indie Zachodnie, Brazylię, Flandrię, Włochy, kolonie w Afryce, Filipiny i jeszcze enklawy w Indiach Wschodnich, imperium połączone wszak z sutym dziedzictwem portugalskim, bośmy w owym czasie jednym królestwem byli, że cała ta gloria w nicość się obróci, ledwie ludzie z żelaza miejsca ustąpią ludziom z błota, niezdolnym utrzymać tam ogromnego bogactwa z braku ambicji,

talentu i broni. A bogactwo to zaiste wielkie miało rozmiary za mej młodości, lubo właśnie szczupłość zaczynała, bogactwo Hiszpanii wykutej w chwale i okrucieństwie, ze światła i mroku. Był to świat równego sobie niemający, który tak udatnie oddawały stare wersy Lorenza de Zamora⁶⁸, choć o innych czasach pisane były:

Opiewam szturmy, batalie wygrane, Opiewam hartu oznaki i męstwa,
Smutne przypadki i czyny naganne, Śmiechy, szyderstwa, zdrady,
okrucieństwa⁶⁹.

Owego poranka zsiadliśmy z powozu z mości Franciskiem w ogrodach Wiejskiego Dworku, naprzeciwko stolicy świata, a u wejścia do rdzawego, dwuczęściowego gmachu z portykami i loggiami na modłę włoską zaprojektowanymi, przed którym wartę pełnił imponujący posąg konny zmarłego Filipa Trzeciego, ojca naszego monarchy. I właśnie w tym jakże miłym zagajniku, wysadzanym czarnymi i białymi topolami, wierzbnymi i flamandzkimi krzewami, znajdującym się po przeciwnej stronie posągu, tuż wedle trójpoziomowej, cudnej fontanny, Najjaśniejsza Pani przyjęła mości Francisca, siedząc pod adamaszkowym baldachimem w otoczeniu najwierniejszych dworek i sług, w którym to gronie znalazł się też błazen Gastoncillo. Elżbieta Burbońska powitała poetę z iście królewskim afektem, poprosiła go, by z nią pospołu odmówił *Anioł Pański* – właśnie południe oznajmiły wszystkie madryckie dzwony – ja zaś przyglądałem się temu wszystkiemu z oddali, z odkrytą głową. Następnie nasza Królowa Pani rozkazała, ażeby mość Francisco u jej boku zasiadł, za czym dłuższą chwilę zmitrężyli na pogawędce o postępach w pracy nad *Rapierem i sztyletem*, z której to komedii poeta odczytał na głos najnowsze ustępy, które, jak oznajmił, zaimprovizował był minionej nocy – zgodnie z moją wszelako wiedzą miał je od dawna napisane i dopracowane. Jedyne, co

córce Bearneńczyka przeszkadzało – a do czego sama się na poły żartem przyznała – to że Quevedowska sztuka miała być wystawiona w Escorialu, a przecie surowy i mroczny nastrój tej ogromnej budowli królewskiej jawnie kłuł w oczy jej wesołą francuską naturę. Z tych też względów unikała, ile jeno mogła, odwiedzin w pałacu wzniesionym na rozkaz dziadka jej dostojnego małżonka. Atoli osiemnaście lat po opowiadanych tutaj wypadkach – o paradoksie losu! – nasza nieszczęsna władczyni tam właśnie spocząć miała, w niszy królewskiej krypty.

Śród dworek królowej nie dostrzegłem Angeliki de Alquezár. Tedy w czasie, gdy Quevedo zabawiał damy wykwintnymi konceptami, którymi sypał jak z rękawa, jałem się po ogrodzie przechadzać, podziwiając uniformy gwardii burgundzkiej, która owego dnia straż pełniła. I tak, bardziej kontent niżli sam król ze swych danin, dotarłem do balustrady, z której cudny widok się roztaczał na zarośla dzikiego wina, stary trakt do Guadarramy, a takż i na nader zielone o tej porze roku sady Buitrera i Florida. Powietrze było delikatne nad wyraz, z zagajnika po drugiej stronie małego pałacu dolatywały, stłumione przez odległość, ujadanie psów i odgłosy wystrzałów, znak widomy, że monarcha nasz, którego powszechnie znaną celność wychwalały do znudzenia najtęższe pióra stołeczne – w tym także Lope i Quevedo – skwapliwie korzystał z okazji, by wypalić w kierunku każdego królika, kuropatwy, perliczki czy bażanta, przez naganiaczy wystawionego. Ech, gdybyż czwarty Habsburg, miast nieszczęsnych bydlątek, przez całe swoje nader długie życie równie wybornie mierzył do Turczynów, schizmatyków i Francuzów, inna by była śpiewka w pocziwej Europie.

– Proszę. Otóż i kawaler, co damę precz porzuca w środku nocy, by się oddalić ze swymi kompanami.

Z zapartym nagle tchem odwróciłem się gwałtownie. Angélica de Alquezár stała tuż obok. Czy muszę dodawać, że wyglądała przepięknie? Światłość madryckiego nieba jeszcze większego dodawała blasku jej oczom, pełnym ironii, z jaką przewiercała mnie teraz na skroś. Oczom zachwycającym i śmiercionośnym.

– Nigdy bym się tego po szlachcicu nie spodziewała.

Lico jej ozdobiły długie loki, a kształty przyobleczone miała w obszerną spódnicę sabaudzkiego kroju, z czerwonej mory jedwabnej uszytą, i w krótki kaftanik, zwieńczony muslinowym, wdzięcznym kołnierzykiem, na którym lśniły złoty łańcuszek i krzyżyk ze szmaragdów. Leciutki róż, z małego puzderka pochodzący, dodawał jej doskonale białej cerze rumieńców. Sprawiał też, że starszą się zdawała – pomyślałem. Prawie dorosłą panną.

– Przykro mi, że panienkę ostawił tamtej nocy – ozwałem się. – Ale nie mógł...

Przerwała mi z obojętnością, jak gdyby wszystko to należało już z dawna do przeszłości. Wpatrywała się w krajobraz. Nareszcie popatrzyła i na mnie z ukosa.

– Skończyło się dobrze?

Głos jej zabrzmiał krotocwilnie, jakby nie dbała o całą sprawę.

– Mniej więcej.

Uszu mych dobiegły pogwarki dam, wokół królowej i mości Francisca skupionych. Ani chybi poeta zachwycił je jakim conceptem, czemu właśnie wyraz dawały.

– Ten kapitan Batiste czy Triste, czy jak go tam zwą, nie zdaje się człkiem zaufania godnym, prawda?... Zawsze masz waszmość przez niego kłopoty.

Aż się uniosłem, do żywego dotknięty. Ot, cała Angélica de Alquezár, nic dodać, nic ująć.

– To mój przyjaciel.

Zaśmiała się cichutko, wsparta dłońmi o balustradę. Słodką woń wokół siebie roztaczała, jakoby róż z miodem. Owszem, zgoła przyjemną, ja atoli wolałem zapach z tamtej nocy, kiedyśmy się całowali. Aż ciarki mnie przeszły na samo wspomnienie. Świeży chleb.

– Porzuciłeś mnie wtedy w środku nocy – powtórzyła.

– Tak było. Co mogę uczynić, by panience to wynagrodzić?

– Dotrzymać mi kompanii, gdy znów zajdzie potrzeba.

– Znowu nocą?

– Tak.

– Pójdiesz przebrana za mężczyznę?

Spojrzała na mnie jak na człeka niespełna rozumu.

– Nie spodziewasz się snadź, że w tych szatkach pójdę.

– Mowy nie ma – odparłem.

– Ależ gbur z waszmości. Nie zapominaj, żeś moim dłużnikiem.

Jęła przypatrywać mi się wzrokiem przenikliwym niby sztylet, co patrochy na wskroś przewierca. A śpieszę rzec, że owego dnia też krowie spod ogona nie wypadł: włos umyty, strój z czarnego sukna, na plecach za pasem lewak. Może to jemu zawdzięczam, że siły zebrał i jej spojrzenie strzymał.

– Nie aż takim – odrzekłem ze spokojem.

– Nieokrzesany z waszmości młodzian... – zdawała się wzburzona jak dziewczątka, któremu odmówiono zachcianki. – Jak widzę, bardziej wolisz zajmować się tym kapitanem Kumotriste.

– Mówiłem już, że przyjacielem mym jest.

Zbyła moje słowa wzgardliwym grymasem.

– Naturalnie. Znam tę śpiewkę: Flandria i tak dalej, rapiery, bluźnierstwa, gospody i dziewczki swawolne. Nikczemne występki mężów.

Mówiła z przyganą, aliści chyba jeszcze jakąś osobliwą nutę w jej głosie usłyszałem. Jak gdyby jednak żałowała nieco, że nie mogła była znaleźć się blisko tego wszystkiego.

– W każdym razie – dodała – pozwól waszmość, że cię oświecę: przy takich przyjaciółach już nie musisz szukać nieprzyjaciół.

Mimowolnie usta otwarłem, zdumiony jej zuchwalstwem.

– A do której frakcji panienkę mam zaliczyć?

W ciup usta ułożyła, jak gdyby naprawdę zadumała się nad tym. Za czym schyliła lekko głowę, nie spuszczając wzroku ze mnie.

– Przecież mówiłam, że cię Kocham.

Dreszcz mnie przeszedł na te słowa, co nie umknęło jej uwadze. Uśmiechała się tak, jak mógłby to robić Lucyfer przed upadkiem w otchłań.

– I to waszmości wystarczyć powinno – zakończyła – o ile nie jesteś łotrem, głupcem albo pyszałkiem.

– Nie wiem, kim jestem. Ale panienka wystarczyłaby, żeby zawieść mnie na stos przy Alcalá albo na katowski szafot.

Zaśmiała się znowu, krzyżując niby to ze skromności dłonie na spódnicy, u której powisał wachlarzyk z masy perłowej. Przyjrzałem się rysunkowi jej lśniących ust. A choćby i do piekieł – pomyślałem. Świeży chleb, róże i miód. A pod spodem nagie ciało. Rzuciłbym się ku tym ustom, gdybym nie znajdował się w takim miejscu.

– Nie myśl – rzekła – że wszystko dostaniesz za darmo.

Zanim sprawy zagmatwały się w sposób nader groźny, nadarzyła się sposobność do wielce smakowitego wydarzenia, żywcem wyjętego z jakiejś komedii. A miało to miejsce w czasie obiadu w jadłodajni Pod Lwem, do

której zaprosił nas kapitan Alonso de Contreras, człek arcywymowny, miły i, jako zwykle, nieco buńczuczny. Siedział rozparty u wielkiej beczki po winie, na której leżały nasze płaszcze, kapelusze i rapiery. Kompanii dotrzymanyliśmy mu zacnym gronem: mość Francisco de Quevedo, Lopito de Vega, mój pan i ja, dzięki czemu nie musiał sam rozprawiać się z wonną ziołami zupą z jaj i czosnku tudzież z gęstą potrawką z wołowiny i boczku. Ucztę fundował Contreras, świętujący spóźnioną sowitą wypłatę w dublonach w ramach zysków pewnych, którą byli mu winni, jak powiadał, jeszcze od czasu bitwy w Roncesvalles⁷⁰. Skończyliśmy na wesołych pogaduszkach o tym, jak to amory Fenikswego syna z Laurą Moscatel napotykały na spizowy opór ze strony jej wuja – a niedawno zadzierzgnięta przyjaźń między Lopitem a Diegiem Alatryste humoru konkurenta rzeźnika nie poprawiała – przy tym młody żołnierz z żalem opowiadał nam, jak to swą damę jeno przelotnie widywać może, już to gdy ze swą służącą zakupy robić pójdzie, już to podczas codziennych mszy w klasztorze Karmelitanek pod wezwaniem Marii Cudami Słynącej, gdzie okiem strzelał z dala w jej kierunku, klęcząc na płaszczu, a czasami udawało mu się przybliżyć i, jeśli fortuna sprzyjała, czułość jej okazać poprzez podanie wody święconej w zagłębieniu dłoni, ażeby przeżegnać się mogła. Najgorsze zaś, że skoro Moscatel uparł się wydać swą bratanicę za niesławnego prokuratora Saturnina Apola, nieszczęsnej dziewczce pozostawał albo ślub, albo klasztor, a możliwości Lopito miał tu nie większe, niż gdyby kwapił się narzeczoną wynaleźć w seraju w Konstantynopolu. Stryja pięknej panny nie zdołałyby zmieścić nawet dwie dziesiątki reali z bitym posągiem konnym na rewersie. A przecie i czasy były niespokojne: bisurmanie i schizmatycy co raz to nękali nasze siły, przeto i Lopito w każdej chwili gotów być musiał, by królowi swemu służyć, a to oznaczało utratę Laury na wieki. Cała sytuacja sprawiała tedy, jak sam nam wyznał, że wyklinał wszystkie

awantury w komediach własnego pana ojca zawarte, albowiem nawet tam nijakiego sposobu na rozwiązanie kłopotu swego nie znajdował. Te ostatnie słowa przywiodły kapitana Contrerasa do śmiałego zamysłu.

– Rzecz jest prosta – rzekł, nogi na taborecie krzyżując. – Porwanie i ślub, jak Bóg na niebie. Po żołniersku.

– Niełatwo będzie – odparł Lopito ze smutkiem. – Moscatel płaci kilku zbójom, żeby domostwa pilnowali.

– Ilu?

– Ostatniej nocy, kiedym pod okno jej podchodził, wyszło czterech.

– Bitnych?

– Tym razem nie kwapiłem się sprawdzać.

Contreras podkręcił dumnie wąsa i zatoczywszy wzrokiem, zatrzymał go na kapitanie Alatryste i mości Franciscu.

– Więcej Maurów, więcej korzyści... Jak waszmości się to widzi, panie de Quevedo?

Poeta szkła poprawił i czoło zmarszczył, przy jego snadź pozycji na Dworze gorsząca wydawała mu się wszelka awantura z porwaniem i bijatykami. Atoli skoro w grę wchodzili Alonso de Contreras, Diego Alatryste i syn Lopego, nie znajdował sposobu, by zaprzeczyć.

– Obawiam się – rzekł z rezygnacją i niechęcią – że bić się nam przyjdzie.

– A i temat do sonetu waszmości sprokurujemy – uradował się Contreras, sławiony już niejednym wierszem.

– Albo, przebóg, pretekst do kolejnego wygnania.

Kapitan Alatryste zasię, łokciami o stół oparty wedle swej szklanicy z winem, wielce wymowne spojrzenie ze swym dawnym towarzyszem walk zamienił. Dla takich ludzi jak ci dwaj pewne sprawy leżały w naturze uprawianej profesji.

– A chłopak? – zerknął na mnie Contreras.

Omiał mnie nie uraził. Miałem tytuł bakałarza w kwadrywium, toteż przesunąłem, na modłę mego pana, dwoma palcami po wąsach, których jeszcze nie miałem.

– Chłopak też bić się będzie – odrzekłem.

Słyszając takie dictum, uśmiechnął się przyzwalająco imć *miles gloriosus*, a i Diego Alatryste rzucił okiem w mym kierunku.

– Gdy ojciec mój zmiarkuje – jęknął Lopito – to mnie zabije.

Zarechotał w głos kapitan Contreras.

– Waszmoścín wielce dostojny ojciec o porwaniach też wie co nieco... Niech mnie porwą, jeśli Feniks z powodu spódniczek przygód wszelakich nie zaznał!

Zapadła kłopotliwa cisza, każdy z nas zatopił nos albo wąsy we własnej szklanicy. Takoz i Contreras się zachował, bo zmiarkował raptem, że i sam Lopito owocem był takiej nieprawej przygody, lubo później Feniks Geniuszy uznał go za swego potomka. Aliści młodzieniec nie zdawał się urazy żywić. Znał snadź sławę swego sędziwego rodzica lepiej niżli ktokolwiek inny. Za czym, pociągnawszy kilka łyków wina i odchrząknawszy dyplomatycznie, Contreras do przerwanego wątku powrócił: – Najlepsze są fakty dokonane... A poza tym taka już nasza wojskowa natura, nieprawdaż?... My lud prosty, śmiały i groźny. Zawsze zmierzamy do rzeczy. Pamiętam, pewnego razu na Cyprze...

I nuże opowiadać o swych wyczynach. Gdy skończył, tęgi haust pociągnął, westchnął tęsknie i popatrzył na Lopita.

– Tedy obaczmy, młody człowieku... Zaprawdę gotów jesteś połączyć się w poświęconym związku z ową panną, aż do grobowej deski i tak dalej?

Lopito spojrzał mu prosto w oczy bez zmrużenia powiek.

– Jak Boga się nie zaprę. I poza grobową deskę także.

– Aż tyle nikt od waszmości wymagać nie będzie, do kroćset. Do grobowej deski to i tak już nadto... Czy przytomni tu kawalerowie i ja mamy twe słowo szlachcica?

– Tak, jak mi życie miłe.

– Przeto nie ma o czym dalej gadać... – Contreras plasnął z ukontentowaniem dłonią w stół. – Czy mamy kogoś, kto nam rzecz całą ułatwi od strony kościelnej?

– Moja ciotka Antonia jest ksienią u hieronimitek. Przyjmie nas z otwartymi ramionami. Ojciec Francisco, jej kapelan, jest spowiednikiem Laury, a pan Moscatel nie jest mu zgoła postacią obcą.

– Czy pater pomoże w sprawie, gdy los sprawi, by się sprawił?

– Nie wątpię.

– A dama?... Czy Laura zechce na trudy się narazić?

Ponownie twierdzącą odpowiedź dał Lopito i na tym zakończyło się indagowanie. Uzgodniono, że wszyscy udział bierzemy, wznieśliśmy szklanice za pomyślność naszych zamiarów, a po wypiciu mość Francisco de Quevedo, jak to miał we zwyczaju, zakończył rozmowę kilkoma wierszami w sam raz do tej historii pasującymi, lubo tym razem nie on sam był ich autorem, jeno Lope:

Najtchórzliwsza niewiasta

(Zwłaszcza cnotliwa), gdy chwyci ją Amor,

Cześć depcze swoją i przodków tak samo.

Przepiliśmy i do tych rymów. A osiem czy dziesięć szklanic później, stół uczyniwszy mapą, a naczynia z winem bohaterami historii, językiem coraz bardziej splątany, ale z ochotą coraz bardziej wezbraną, kapitan Contreras jął nam, wokół usadzonym, szeptem plan swój nakreślać. Precyzyjna

taktyka przedsięwzięcia, do najdrobniejszych szczegółów opracowana, myśl mi podsunęła, że nie na domostwo przy ulicy Madera wyruszamy, jeno szykujemy wielką napaść na Oran.

Domów z dwójgiem drzwi trudno jest upilnować. A taki właśnie był dom imć Gonzala Moscatela, przed którego głównym wnijsciem znaleźliśmy się całą grupą spiskowców parę nocy później, wszyscy zamaskowani, w cieniu pobliskiej bramy schowani. Kapitan Contreras, mość Francisco de Quevedo, Diego Alatryste i ja obserwowaliśmy muzykantów, którzy – przy świetle niesionej przez jednego z nich latarni – zajmowali właśnie stanowisko pod oknem rzeczzonego domostwa, stojącego na rogu ulic Madera i Luna. Plan był śmiały i skomplikowany jak żołnierska filozofia: serenada u jednych drzwi, atak, chwila szermierki i ucieczka przez drugie, z tyłu się znajdujące. Krom oprawy militarnej, nie zapomnieliśmy takż o sprawach czci. Jako że Laura Moscatel nie mogła swobodnie małżeństwa zawrzeć ni domu opuścić, porwanie i natychmiastowy ślub jedyną były drogą, ażeby złamać wolę upartego stryja. O tej porze, powiadomieni przez Lopita ciotka jego ksieni i zaprzyjaźniony z rodziną kapelan – który skrupuły swe duszpasterskie łącno uśpił dzięki grzecznej sakiewce wypełnionej poczwórnymi dublonami – oczekiwali w klasztorze hieronimitek, dokąd panna młoda miała zostać oddana pod opiekę, gwoli spełnienia wszelkich wymogów obyczajności.

– Przednia przygoda, na niebiososa – mruczał uradowany kapitan Contreras.

Niechybnie przypominała mu ona własną młodość, w podobne wycieczki obfitującą. Stał teraz oparty o mur, omal niewidoczny spod kapelusza i płaszcz, pomiędzy Diegiem Alatryste i mości Franciskiem de Quevedo, co takż zasłonięci byli, ize ledwo blask oczu można było dostrzec. Ja baczenie pilne na ulicę dawałem. Ażeby mości Francisca choć

trochę uspokoić i pozory zachować, rzecz całą umyśliliśmy jako przypadkową, jak gdybyśmy stanowili grupę przechodzącą mimo w trakcie zamieszania. Nawet nieszczęśni grajkowie, przez Lopita de Vega skaptowani, nie wiedzieli, co się święci. Jedno, co było im wiadome, to że mają zanieść serenadę do pewnej damy – rzekomo wdowy – o jedenastej wieczorem, pod jej własnym oknem. Muzykantów było trzech, najmłodszy miał na karku piąty krzyżyk. Owóz właśnie jęły rozbrzmiewać gitara, lutnia i tamburyn, ten ostatni w rękach śpiewaka, który nie mieszkając dłużej, uderzył we wszem znane strofy:

*Jam w Italii wielbił cię,
We Flandrii z miłości gasł.
Do dom wracam rozkochany,
By ci wyznać jeszcze raz...*

Słowa te nie były kunsztowne, zgoda, atoli wielkim się podówczas wzięciem cieszyły. W każdym razie śpiewak nie zdołał już dotrzeć do końca swej opowieści, ponieważ ledwie pierwsza strofa końca dobiegła, rozpalono wewnątrz światła, rozległ się głos imć Gonzala Moscatela, klnącego w żywe kamienie, zaraz też otwarły się drzwi frontowe, a w nich stanął onże z rapierem w ręku i soczystymi obelgami na ustach pod adresem grajków i ich przodków, ni chybi – jak wołał – nędznych kastratów. Grzmiał, że o takiej porze biada temu, kto czcigodne domostwa nachodzi. Pospołu z nim – jako że akurat przerwano im pogawędkę – stał tam Saturnino Apolo, we floret uzbrojony i tarczę pod postacią pokrywki od kadzi. Jednocześnie z powozowni dołączyli do nich czterej osobnicy – światło latarni pozwalało domyślać się wielce nikczemnych aparycji –

którzy zaraz też na muzykantów napadli. Nieszczęśnicy ni stąd, ni zowąd, raptem znaleźli się pod gradem ciosów i kopniaków.

– Do dzieła – szepnął kapitan Contreras, oblizując się z ukontentowania.

I wyszliśmy z ukrycia, jak gdybyśmy dopiero co zza rogu wychynęli i na potyczkę trafili, i jeno mość Francisco de Quevedo mamrotał pod nosem i płaszczem sentencjonalnie:

*Nie skąp zamków, skobli, wrót,
Gdy swój skarbiec chcesz zachować,
Bo niewiastę upilnować
To największy w świecie trud.*

Biednych muzykantów przyparli już do muru uzbrojeni po zęby najemnicy, już instrumenty w drzazgi leżały potrzaskane, a Gonzalo Moscatel, ująwszy latarnię i ponad głowę ją podniósłszy, z rapierem nadal w prawicy zaciśniętym, jął przepytywać w głos nieszczęśników, a klął przy tym, na czym świat stoi: kto, jak, gdzie i kiedy posłał ich był, ażeby w złą godzinę tumult wszczynali. W tym momencie, akurat kiedyśmy mimo nich przechodzili w kapeluszach na oczy naciśniętych i płaszczach szczelnie gęby zasłaniających, kapitan Contreras rzekł głośno coś w rodzaju: „Do diaska z huncwotami, co na ulicy rwetes podnoszą, szatańskie pomioty” – na tyle donośnie, by tamci to usłyszeli. A że rwetes podnosił akurat Moscatel – w słabym świetle widać było zakazane gęby jego czterech łotrów, świńską fizys prokuratora Apola i strwożone lica grajków, wszyscy atoli milczący – on tedy uznał, że przy takim wsparciu snadnie może moresu intruzów nauczyć. Ozwał się zaraz do mości Contrerasa w wielce butnych słowach – widomym było, że nikogo z nas nie rozpoznaje – żeby ten pilnował własnej drogi i czmychał do diabła, bo inaczej on sam go na

miejscu ogoli, a wzywał przy tym na świadków świętego Piotra i cały kalendarz. Imaginujecie waszmościowie, że takie słowa dokładnie naszym zamiarom sprzyjały. Zaśmiał się Contreras Moscatelowi w sam nos i wielce spokojnie mu odparł, że nie wie, co się tu dzieje i czego zwada dotyczy, ale że co do ogolenia, w samej rzeczy ogolenia, niechaj padalec uda się do powłócznej dziewczki, co go na świat wydała. Co rzekłszy, znów się zaśmiał pod okryciem, a nim rehot jego wybrzmiał, już ukazała się wszem jego zacna zapaleczka, jednocześnie zasię kapitan Alatryste, który już swoją zdążył był obnażyć, zniecka zaatakował najbliższego łotra, za czym, niemal tym samym ruchem, ostre pchnięcie zadał Moscatelowi w ramię, aż ten latarnię upuścił i podskoczył, jak gdyby go skorpion ukąsił. Zaraz też wszelkie światło znikło, mrok zapanował wokół, jak zające spod między czmychnęli zalęknieni muzykanci, nasza pozostała dwójka dobyła swoich żądłek i nastąpiła Troja.

Piękne to były żniwa, jak Bóg na niebie. Zamysł taki był, żeby nie zabijać, jeśli to możliwe – nie kwapiliśmy się żałobą uroczystości ślubnej zamącić – jeno czas zyskać, w którym to, korzystając z zamętu i z pomocy służącej (też obłaskawionej podobnym mieszkim, co mość kapelan), Lopito de Vega miał Laure Moscatel pochwycić, przez tylne drzwi pierzchnąć i odjechać przygotowanym wprzódy powozem do hieronimitek. Tak też się sprawy miały z drugiej strony domu, po naszej zasię trwała walka w ciemnościach. Moscatel i jego ludzie bisurmańskim obyczajem dźgali na wprost, Saturnino Apolo, za swą osobliwą tarczą skryty, zagrzewał ich z tyłu do boju, aliści ludzie pokroju Alatrystego, Queveda i Contrerasa wybornie umieli fechtować się i napierać, i to właśnie czynili bez nijakiego pardonu, a i ja kroku im dotrzymywałem. Zdołałem sobie poradzić z jednym z najętych łotrów, którego urywany oddech dobiegał

mych uszu śród szczęku żelaza. Nie było miejsca na wykwintne popisy szermiercze, albowiem wszyscy biliśmy się na oślep i bez dystansu, przeto, uciekwszy się do sztuczki, jakiej kapitan Alatryste nauczył był mnie na pokładzie „Jesusa Nazareno” podczas powrotu z Flandrii, zaatakowałem z góry, udałem, że cofam się gwoli osłonięcia boku, zmieniłem raptownie pozycję na przeciwną i z szybkością krogulca zadałem przeciwnikowi ukośny cios z dołu, który, miarkując z miejsca i odgłosu, musiał mu podciąć ścięgna pod kolanem. Zaraz też pokuśtykał precz mój adwersarz, przeklinając wszystkich świętych, a ja tymczasem, pokraśniały z dumy i rozgrzany walką, rozejrzałem się, gdzie mogę się teraz nadać mym druhom – zaczęliśmy snadź zuchwale we czterech na sześciu, rozpoznając się jeno po powtarzanym cicho słowie „Yepes” (od nazwy wina), by siebie nawzajem nie zaatakować w ciemnościach. Atoli w przedsięwzięciu zyskiwaliśmy teraz liczebną przewagę, bo prokurator Apolo już dawno pognał, gdzie pieprz rośnie, w zadek grzecznie ukąszony, a mość Francisco de Quevedo, walczący z obliczem płaszczem zasłoniętym, by nikt go nie poznał, przepłoszył właśnie draba, który jemu się był na rożen nawinał.

– Yepes – rzucił poeta, wycofawszy się do mego boku, jak gdyby uznał, że swoje owej nocy wykonał.

Alonso de Contreras wszelako ciągle jeszcze zaciekle bił się ze swoim przeciwnikiem – ten snadź lepiej znosił trudy walki od swoich kamratów – zabijaka tedy nie mógł rzucić się do ucieczki, bo bał się plecy odsłonić. Czwarty najemnik był już jeno ciemną bryłą na ziemi – temu poszczęściło się najgorzej, ponieważ cios, jaki zadał mu był kapitan w pierwszym momencie, wart był stu reali. Jak się później wywieździeliśmy, trzy dni później przyjął ostatnie sakramenty, a po następnych pięciu wyzionął ducha. Mój pan zasię, zaskoczywszy owego łotra i zraniwszy Moscatela w ramię, osaczał właśnie tego ostatniego ostrzem swego rapiera, cały czas

ukryty przed niepożądanym wzrokiem pod kapeluszem i płaszczem, a nasz zarozumialec, daleki już od uczenia moresu kogokolwiek, cofał się rozpaczliwie w kierunku drzwi domu, co mój pan wyraźnie mu utrudniał, i wzywał pomocy przed zabójcami. Gdy nareszcie padł na ziemię, kapitan Alatryste jeszcze dłuższą chwilę kopał go w kostki – do chwili, gdy Contreras, nie patrząc za czmychającym przeciwnikiem, pojawił się obok nich.

– Yepes – rzekł przezornie, bo pan mój już kierował ku niemu rapier.

Gonzalo Moscatel biadolił na ziemi, w pobliskich oknach zaczęły pojawiać się głowy sąsiadów, zamętem zbudzonych. W przeciwnym końcu ulicy zabłysło światło, rozległ się krzyk, żeby straż zawiadomić.

– A może byśmy, do kurwy nędzy, już sobie poszli? – podsunął zza płaszcza mość Francisco de Quevedo poirytowanym tonem.

Propozycja była zgoła dorzeczną, skwapliwie przeto zwinęliśmy żagle, kontenci, jak gdybyśmy dostali właśnie buławę regimentu. Uradowany Alonso de Contreras poklepał mnie serdecznie, nazwał mnie synem, zaraz też kapitan Alatryste, ostatniego kopniaka wymierzywszy Moscatelowi, stanął obok, wsuwając rapier do pochwy. Jeszcze przez trzy albo i cztery ulice zaśmiewał się Contreras, aż nareszcie zatrzymaliśmy się wszyscy w gospodzie Tudescos, by wyczyny nasze opić.

– Na zwłoki Mahometa – zaklął Contreras. – Takem się nie rozechocił od czasu złupienia Negropontu⁷¹, kiedy to kazałem powiesić kilku Anglików.

Lopito de Vega i Laura Moscatel pobrali się miesiąc później w kościele Hieronimitek, pod nieobecność stryja panny młodej – ten bowiem łąził po Madrycie z gębą upstrzoną czternastoma bliznami, z ręką na temblaku, i przeklinał za nikczemną napaść niejakiego Yepesa. Senior Lope de Vega też

nie uczestniczył w ceremonii. Ślub zawarto w wielkiej tajemnicy, a świadkami byli jeno kapitan Contreras, Quevedo, mój pan i ja. Młodzi małżonkowie zamieszkali w skromnym domu, wynajętym przy placu Antona Martina, gdzie czekali, aż Lopito otrzyma szlify chorążego. O ile wiem, były to trzy miesiące wielkiego szczęścia. Potem wszelako, gdy straszliwe skwary przyniosły do Madrytu morowe powietrze i zepsutą wodę, Laura Moscatel pomarła ze złośliwej gorączki, wykrwawiona i osłabiona przez nieumiejętnych medyków, a młody wdowiec ze złamanym sercem do Italii powrócił. I tak smutno zakończyła się wspaniała przygoda z ulicy Madera, z czego i ja własną naukę wyciągnąłem: owóz wszystko przemija z czasem, a wiekuiste szczęście istnieje jeno w imaginacji poetów i na scenach teatralnych podwórców.





VI. ZGINAŁ KRÓL, NIECH ŻYJE KRÓL.



Angélica de Alquezár jeszcze raz spotkała się ze mną przy bramie placu Priora. *Ponownie potrzeba mi eskorty* – powiadamiał zwięzły liścik. Skłamałbym, gdybym napisał, że poszedł tam bez zastrzeżeń, aliści przez moment nie wątpiłem, że pójdę. Angélica przepelniała krew moją na podobieństwo złośliwej czwartaczki. Skosztowałem byłem jej ust, dotykałem jej ciała i zbyt wiele obietnic dostrzegłem w jej oczach, by móc patrzeć skroś mgłę, jaka spowijała za jej sprawą mój rozum. Atoli nawet człek zadurzony ostrożności nie poniecha, przeto i ja przedsięwziąłem odpowiednie środki, a kiedy wedle boku mego pojawił się zwinny cień, radowałem się, że się był stosownie zabezpieczył: napierśnik z grubej skóry, narządzony ze starego napierśnika kapitańskiego przez rymarza z ulicy Toledo, dalej rapier u lewego boku, sztylet na krzyżu oraz, by całość osłonić, bawełniany płaszcz i czarny kapelusz z wąskim rondem, bez pióra ni wstążki. Byłem także do czysta umyty wodą i mydłem, a pod nosem zasię dumnie prezentowałem meszek, który często goliłem w nadziei, że wzmocnię go, ażeby rychło gęstości wspaniałych wąsów Alatristowskich nabrał. Czego nigdy nie zdołałem osiągnąć, po prawdzie, albowiem zarost przez całe życie miałem nikczemny.

Owego wieczoru, tuż przed wyjściem, przejrzałem się w lustrze Cyganichy, zgoła kontem z tego, com tam zoczył. Nawet później, kiedy już ku bramie umówionej podążałem, zerkąłem na własny cień na ziemi przy każdej mijanej pochodni i latarni. Do kroćset. Dziś samo wspomnienie paradnym mi się zdaje. Wszelako, imaginujcie waszmościowie, pacholęciem byłem.

– Dokąd tym razem panienka mnie prowadzi? – spytałem.

– Coś chcę ci pokazać – odrzekła Angélica. – Gwoli pogłębienia waszmościnej wiedzy.

Ani trochę mnie te słowa nie uspokoiły. Mimo młodocianego wieku, z niejednego pieca chleb już jadłem i wiedziałem, że wiedzę najłacniej pogłębia ten, co własne zębra na szwank wystawia albo krwi upuści, bynajmniej nie za sprawą cyrulika. Przeto znów na najgorsze się przygotowałem. Przepęniała mnie rezygnacja. A mówiąc dokładnie – rezygnacja z lękiem i rozkoszą połączona. Jakem już wcześniej nadmieniał, młody byłem i diabelnie zakochany.

– Widzę, że lubi panienka męskie stroje – powiedziałem.

Patrzyłem na nią wstrząśnięty i zarazem zauroczony. Znana z teatralnych desek, przeniesiona z dawnych sztuk włoskich i z twórczości Ariosta, niewiasta przebrana za mężczyznę – już to z żądy rycerskiej chwały, już to z tytułu miłosnych komplikacji – na scenie, jak już wspominałem, zdumienia nie budziła, aliści, komedie i legendy na boku ostawiając, postać takowa w życiu prawdziwym nie istniała, a przynajmniej mnie nic na ten temat wiadomym nie było. W każdym razie po moim spostrzeżeniu Angélica, raczej wzorem Marfisy niżli Bradamanty⁷² – już niebawem miałem miarkować, że wojna dużo bardziej jej czynami powodowała niżli miłość – zaśmiała się cichutko, jak gdyby do własnych myśli.

– Nie zechcesz chyba – ozwała się, kota ogonem odwracając – żebym paradowała nocą po Madrycie w baskinach i krynolinach.

Jeszcze słowa te nie wybrzmiały, gdy usta swe ku memu uchu zbliżyła i wargami je muskając – co, jako żywo, o błogie dreszcze mnie przyprawiło – wyszeptała owe przedziwne wersy Lopego:

*Ni chybi kocha mnie ten, co mnie widział,
Jak, krwią ubroczona, mury obalam...*

A ja, nieszczęsny, nie rzuciłem się, by całować ją ubroczoną krwią czy w dowolnej innej postaci, bo w tejże chwili odwróciła się i ruszyła. Tym razem spacer nasz był krótszy. Minąwszy mur klasztoru Augustianów Bosych, ufundowanego przez Marię Aragońską, przebyliśmy niemal całkiem wyludniony i mroczny teren, aż ogrody Leganitos osiągnęliśmy, gdzie mimo płaszcza chłód mnie dopadł dojmujący i wilgoć od pobliskiego strumienia. Angélica zaś, lubo odziana wcale wytwornie w męski strój i ze sztyletem za pas wsuniętym, zdawała się zimna nie odczuwać, podążała skroś nocne miasto krokiem śmiałym, nader pewna swego celu. Ja czasami zatrzymywałem się gwoli zmiarkowania, gdzie jesteśmy, ona wszelako parła wciąż naprzód, nie pozostawało mi tedy nic innego, jak iść za nią, niespokojne spojrzenia na prawo i lewo jeno rzucając. Do pasa przytroczony miała paziowski czepek, ażeby włosy swe ukryć, gdyby taka potrzeba zaszła, na razie jednak trzymała je rozpuszczone, a jasna plama jej loków wiodła mnie poprzez mrok wprost ku otchłani.

* * *

W odległości przynajmniej pięciuset kroków nijakiego światła nie było. Sam wśród nocnych ciemności, Diego Alatryste zatrzymał się i rozejrzył z ostrożnością wytrawnego żołnierza. Żywego ducha na horyzoncie. I kolejny raz musnął kieszeń, w której trzymał złożony papier.

Zasługujesz waszmość na słowa wytłumaczenia i pożegnania. O jedenastej, trakt ku Las Minillas. Pierwszy dom.

M. de C.

Bił się z wątpliwościami do samego końca. Nareszcie, gdy pora nadeszła, wlał w siebie kwaterkę okowity gwoli ochrony przed zimnem, za czym skwapliwie przytroczył sobie żelazo do pasa, przywdział na siebie, co trzeba – tym razem także napierśnik z bawolej skóry – i ruszył w stronę placu Mayor, stamtąd zasię ku Santo Domingo, gdzie skręcił w ulicę Leganitos, kierując się w stronę przedmieścia. I tu właśnie stał w tym momencie, nieopodal mostu i murów pobliskie ogrody okalających, i baczenie pilne na drogę dawał, co w mrokach się gubiła. Pierwszy dom pogrążony był w ciemnościach, podobnie zresztą jak i pozostałe, majaczące po obydwu stronach traktu. Były to domy ogrodników, za każdym znajdowały się zasiane zagony i sady, pod którymi w czas letniego skwaru ludzie miłe schronienie znajdowali. Dom, który uwagę Alatrystego zaprzątał, wzniesiony został tuż przy murze ruin klasztoru, którego krużganki, sklepione jeno rozgwieżdżonym niebem, podtrzymywanym nadal przez beczynne dziś kolumny, służyły snadź jako przydomowy ogródek.

Pies jakiś zaszczekał, inny mu odpowiedział. W końcu ujadanie ustało, miejsca ciszy ustępując. Alatryste pogładził wąsy dwoma palcami, jeszcze raz okiem w krąg rzucił i ruszył przed siebie. Znalazłszy się pod samym

domostwem, odchylił lewą połę płaszcz i zwinął ją na ramieniu, by po rapier móc łącno sięgnąć. Wiedział, jaka gra się tu odbywa. Cały wieczór przedumał był nad tym, siedząc na swym sienniku i wpatrując się w broń wiszącą na gwoździu, nim nareszcie powziął zamiar i ruszył w drogę. Dziw, że nie pożądanie nim powodowało. Lubo, żeby nie skłamać, wciąż pożądał Marii de Castro, ale nie dla tej przyczyny sterczał teraz po nocy z ręką na rapierze, wietrząc niebezpieczeństwo niczym dzik, co łowczego i sfory jego wypatruje. Coś innego było tu na rzeczy. Królewskie łowisko – jak powiedzieli Guadalmedina i Martín Saldaña. On wszelako miał prawo przyjść tu, skoro tylko miał po temu oskomę. Całe życie przewojował w obronie królewskich łowisk, o czym aż nadto świadczyło jego ciało, upstrzone bliznami i szramami. Spełnił zadanie po stokroć, jak się należy. Atoli w łóżku damy, bez odzienia, król tyleż samo znaczył, co lada pionek.

Drzwi nie były zamknięte. Gdy popchnął je z wolna, jego oczom ukazała się mroczna sień. Może tu właśnie zginiesz – powiedział w duchu. Dziś w nocy. Dobył lewaka, uśmiechnął się krzywo w ciemnościach na podobieństwo groźnego wilka i ruszył na palcach z bronią wysuniętą przed sobą. Minął korytarz, gołe ściany drugą dłonią macając. Na przeciwnym końcu jarzył się słabo kaganek, co rzucał słabe światelko na prostokąt kolejnych drzwi, wiodących na krużganki. Bić się tu niewygodnie – pomyślał. Wąsko, drogi ucieczki nie ma. Poszedł atoli dalej. Kto łeb w paszczę lwa wsadza, też odczuwa osobliwą przyjemność – przewrotną, mroczną, ale przyjemność. Nawet w owej nieszczęsnej Hiszpanii, którą tak niegdyś był miłował, a której teraz, gdy z wiekiem i doświadczeniem umysł jaśniejszym się stawał, szczerze nienawidził, w tej Hiszpanii, gdzie kupić można było i zaszczyty, i piękne niewiasty, i całkowite odpuszczenie grzechów – wciąż pozostawało trochę rzeczy, których kupić się nie da. Znał je snadź bardzo dobrze. Są sytuacje, gdy jego, Diega Alatryste y Tenorio,

starego wiarusa, szermierza do wynajęcia, nie można skrepować złotym łańcuchem, podarowanym mimochodem w murach sewilskiego pałacu. Tak czy owak – zdecydował – choćby najgorsza karta przyszła, mogą mi życie zabrać, ale nic poza tym.

* * *

– Jesteśmy – powiedziała Angélica. Przebyliśmy wąską, krętą ścieżką wśród drzew długą drogę przez sady i oto przed naszymi oczyma rozpostarł się nieduży ogródek, otoczony krużgankami zburzonego monasteru. Po drugiej stronie, pomiędzy kamiennymi kolumnami i zwalonymi kapitelami, jarzyło się pełgające światełko kaganka. Widok ten zgoła nieprzyjemne wrażenie we mnie wzruszył, zatrzymałem się tedy czujnie.

– Jesteśmy, ale gdzie?

Angélica nic nie odparła. Stała cichutko u mego boku i wpatrywała się w dalekie światełko. Słyszałem jej przyśpieszony oddech. Po chwili wahania postanowiłem iść dalej, ona wszelako przytrzymała mnie za ramię. Odwróciłem się. Jej lico majaczyło niewyraźnym cieniem w słabiutkim świetle, dobiegającym od krużganka.

– Zaczekajże – szepnęła.

Głos jej nie brzmiał już zuchwale. Po chwili ruszyła znów naprzód, mego ramienia nie puszczając, i poprowadziła mnie skroś zaniedbany ogród, porośnięty gęstwiną. Gałązki chrzęściły nam pod stopami.

– Nie czyńże tyle hałasu – upomniała mnie.

Przy krużganku zatrzymaliśmy się ponownie, kryjąc się za jedną z kolumn. Światło bliżej już było, dzięki czemu i lepiej widziałem liczkę mej towarzyski, niewzruszonej i czujnie wokół patrzącej. Piers jej pod kaftanem unosiła się i opadała gwałtownie.

– Czy kochasz mnie jeszcze? – zapytała raptem.

Spojrzałem na nią, z pantaląku zbity. Oszołomiony.

– Ma się rozumieć – odrzekłem.

Angélica wpatrywała się we mnie teraz z taką siłą, iżem zadrżał cały. W modrych jej oczach odbijało się światełko kaganka i przebóg, Piękno we własnej osobie wbiło mnie wówczas w ziemię i rozumu pozbawiło.

– Cokolwiek się zdarzy, pamiętaj, że takż cię miłuję.

I pocałowała mnie. Nie lekko albo przelotnie, ale przyciskając powoli i mocno wargi swe do moich. Za czym odsunęła się niespiesznie, oczu ode mnie nie odrywając, i dłonią wskazała kaganek w krużganku.

– Idź z Bogiem – powiedziała.

I znów patrzyłem na nią zaskoczony.

– Z Bogiem?

– Albo, jeśli wolisz, z Szatanem.

Cofała się, coraz bardziej w mroku się pogrążając. Dopiero wówczas, w słabym światełku kaganka, dostrzegłem w krużganku postać kapitana Alatryste.

Nie kwapię się zataić, żem się zatrwożył. Bardziej niżli Sardanapal⁷³. Nie wiedziałem, skąd nadejdzie niebezpieczeństwo, atoli niechybnie tkwiłem w nim po uszy. A ze mną pospołu mój pan. Ruszyłem ku niemu z niepokojem, a wszystkie przeszłe wydarzenia tłukły mi się po głowie.

– Kapitanie! – jąłem go ostrzegać, nie wiedzieć przed czym. – To zasadzka!

Przystanął wedle stojącego na ziemi kaganka i wpatrywał się we mnie ze zdumieniem, lewak w dłoni dierząc. Dopadłem go, dobyłem własnego rapiera i rozejrzałem się, szukając nieprzyjaciół w ciemnościach.

– Ki diabeł...? – zaczął.

W tym momencie, niby na rozkaz, jak jeno w komediach się zdarza, drzwi jakieś się otwarły i w krużganku pojawił się, zaskoczony naszymi głosami, młody mężczyzna, dostatnio odziany. Pod kapeluszem widać było jego jasne włosy. Płaszcz miał złożony na ramieniu, rapier w pochwie, a okryty był żółtym kaftanem, osobliwie mi znajomym. Najbardziej wszelako uderzające było to, że ja znałem to oblicze, a mój pan także. Widywaliśmy je na obwieszczeniach, podczas parad ulicą Mayor i na Błoniu, a z bliska niedawno temu, w Sewilli. Ten habsburski profil widniał na złotych i srebrnych monetach.

– Król! – krzyknąłem.

Zdjąłem ze łba kapelusz i gotowałem się uklęknąć, ze strachu nie wiedząc, co mam począć z obnażonym rapierem. Najjaśniejszy Pan, król Filip, jawił się równie skonfundowany jak i my, atoli natychmiast się otrząsnął. Wyprostowany, spoglądał na nas wyniośle, ni słowa nie mówiąc. Kapitan głowę odkrył, lewak za pas wsunął, a z wyrazu jego twarzy można by wnosić, że grom go trafił.

Takoż i ja miałem rapier swój schować, kiedym posłyszał melodyjkę, którą ktoś zagwizdał w ciemnościach. Ciche *tiruri-ta-ta*. Od razu ją poznałem, aż mi krew w żyłach do cna zmroziło.

– Co za radość – ozwał się Gualterio Malatesta.



– Trzy gołąbki – dodał z ukontentowaniem – w jednej sieci.

Wyłonił się z czeluści nocy, jakby częścią jej stanowił: czarny od stóp do głów, a źrenice twarde i lśniące niczym dwa agaty. Zmiarkowałem, że na gębie jego zaszły zmiany od czasu spotkania na „Niklaasbergen” – teraz paskudna blizna prawą powiekę mu przecinała, skutkiem czego nieco zezował.

– Trzy gołąbki – dodał z ukontentowaniem – w jednej sieci.

Tuż obok usłyszałem szcęk żelaza. Kapitan Alatryste dobył swego toledańskiego rapiera i skierował jego puntę w stronę piersi Włocha. Niepewnie uniosłem także i moją broń. Malatesta mówił o trzech gołąbkach, nie o dwóch. Filip Czwarty jął mu się przypatrywać. Mimo dostojnej i niewzruszonej postawy zmiarkowałem, że przybysz do jego partii nie należy.

– To król – wycedził mój pan.

– Naturalnie, że to król – odrzekł Włoch z niezmiernym spokojem. – A nie jest to stosowna pora, żeby monarchowie szwendali się w pogoni za spódniczką.

Na korzyść naszego młodego króla przyznać muszę, że sytuację tę znosił z właściwym sobie majestatem. Rapier nadal w pochwie trzymał, nad uczuciami, jakiegokolwiek nim miotały, panował doskonale i patrzył jeno na nas z oddali, z twarzą bez wyrazu, bez jednego grymasu, z obliczem wzniesionym ponad świat i wszelakie niebezpieczeństwa, rzekłbyś, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Ja w głowę zachodziłem, gdzie też u licha podziewa się hrabia Guadalmedina, kompan monarchy podczas nocnych wycieczek, zobligowany wszakże do jego obrony podczas podobnych przygód – aliści miast arystokraty z mroku jęły wyłaniać się kolejne cienie. Zbliżały się przez krużganki, osaczając nas z wolna, a w miarę, jak zbliżały się w krąg światła z kaganka, miarkowałem, że do wytwornych nie należą, bardziej będąc pokroju Gualteria Malatesty. Sześciu napastników się doliczyłem, owiniętych w płaszcze albo zakrytych maseczkami z tafty – kapelusze mieli aż na oczy naciśnięte, chód krzywy, a przy tym wiele hałasu czyniący od wiszącego na nich żelaza. Najęci bandyci, ni chybi. Za niebotyczną sumkę, mniemałem, zważywszy, na kogo się porywali. Każdy w łapie ścisnął już obnażoną broń. Naówczas kapitan

Alatriste wreszcie zmiarkował. Zbliżył się do króla, który, widząc to, stracił na chwilę kropelkę swej zimnej krwi i sięgnął ku rękojeści rapiera. Na gest królewski uwagi nie zwróciwszy, pan mój ku Malateście i pozostałym się obrócił i klingą zakreślił w powietrzu półokrag, jak gdyby wytyczał nieprzekraczalną granicę.

– Íñigo – wezwał mnie.

Zbliżyłem się doń i to samo uczyniłem swoją zapalczką. Przez chwilę wzrok mój napotkał oczy monarchy obojga światów i zdało mi się, że zabłysła w nich iskierka wdzięczności. Atoli mógłby przynajmniej – uznałem – usta dostojne rozewrzeć i wypowiedzieć słowa podzięk. Siedmiu łotrów okrężało nas coraz bardziej. Oto, gdzieśmy dotarli z kapitanem – pomyślałem. A jeśli spełnią się moje obawy, to społem z nami dotarł tu także nasz pan Filip Czwarty Habsburg.

– Zobaczmy, czego się mały nauczył – powiedział szelmowsko Malatesta.

Lewą dłonią dobyłem także sztyletu i przyjąłem pozycję. Ospowata gęba Włocha jawiła mi się niczym złośliwa maska, której nikczemny wyraz podkreślała jeszcze blizna na oku.

– Stare porachunki – zasyczał skroś ochrypły śmiech.

I wtedy na nas spadli. Wszyscy. A jednocześnie pierzchła cała moja odwaga. Ustąpiła miejsca desperacji. Ale, do diaska, nie jestem jagniętkiem. Tedy zapałem się stopami o ziemię, gotów walczyć o dumę moją i o życie. Z wiekiem i z biegiem naszego stulecia nawykłem do tej myśli, że równie dobrze mogłem skończyć w tym miejscu jak w każdym innym – niewiele starsi ode mnie wszak życie na wojnach ciżbą całą stradali. Ot, zrządzenie losu. I mam nadzieję – przemknęła mi przez łeb myśl, gdym się w walce uwijał – że i wielki Filip rapiera dobędzie, że króla atutowego na stół rzuci, przecie i o jego prześwietną skórę gra się toczy.

Aliści nie miałem czasu, by móc rzecz sprawdzić. Na mój rapier, sztylet i napierśnik ciosy żelazne padały niczym grad, kątem oka zasię widziałem, że i kapitan Alatryste podobną nawałnicę powstrzymuje, ni piędzi nie odstępując. Jeden z jego przeciwników żelazo swe na ziemię puścił i odskoczył do tyłu, bluźniąc wszetecznie i za kałdun się trzymając. W tym samym momencie czyjaś klinga wbiła mi się w napierśnik, dzięki któremu nie oderżnięto mi ramienia. Cofnąłem się zaniepokojony, uchyliłem się przed kolejnymi ciosami i wypadami, którymi usiłowali mnie dosięgnąć, ale nieszczęśliwie się przy tym potknąłem. Padając na plecy, trzasnąłem tyłem głowy o kapitel przewróconej kolumny i raptem noc wdarła mi się pod czaszkę.

Głos, imię me powtarzający, z wolna przenikał do mej świadomości. Puszczając go wszelako mimo uszu w mej niemrawości. Dobrze mi było w takim odrętwieniu słodkim, bez wspomnień ni planów. Wtem głos rozległ się znacznie bliżej, niemalże w środku ucha, a ból smagnął mnie jak biczysko od karku po zadek.

– Íñigo – powtórzył kapitan Alatryste.

Poderwałem się z nagłą, przypomniawszy sobie szczękające żelazo, upadek do tyłu i mrok, który z wolna wszystko był ogarnął. I jęknąłem – szyję miałem ściśniętą, a łeb omal mi nie pękał – a kiedym oczy odemknął, ujrzałem ledwie kilka cali ode mnie oblicze mego pana. Bardzo snadź był znużony. Kaganek oświecił mu wąsy i orli nos, a w oczach migwały oznaki wielkiego niepokoju.

– Możesz się ruszać?

Skinąłem głową, co jeszcze bardziej bóle wzmogło, kapitan zasię pomógł mi się podnieść. Dłonie jego ostawiały krwawe plamy na mym napierśniku. Jąłem się macać po piersi z przerażeniem, atoli na nijaką ranę

natrafić nie zdołałem. I wtedy spostrzegłem rozcięcie na jego prawym udzie.

– Nie wszystka krew jest moja – rzekł.

Skinieniem wskazał martwe ciało króla, leżące u stóp kolumny. Żółty kaftan podziurawiony był na wylot, a w świetle kaganka lśniła długa struga, płynąca po kamiennych płytach krużganka.

– Został...? – zacząłem i urwałem, niezdolny wypowiedzieć to straszliwe słowo.

– Został.

Zbyttnio byłem otępiały, by całość tragedii móc pomyślunkiem ogarnąć. Zerknąłem w jedną, potem w drugą stronę, nikogom wszelako nie dojrzałem. Nawet człeka, którego na mych oczach kapitan srodze był ugodził. Rozpłynął się w ciemnościach, pospołu z Gualteriem Malatestą i całą resztą.

– Musimy iść – naglił mój pan.

Pozbierałem z ziemi rapier i lewak. Król leżał obliczem do góry, oczy miał rozwarte, a jasne włosy kłębiły mu się na pokrwawionej twarzy. Już nie tak dostojnie się prezentuje – pomyślałem. Każdy król traci w takiej chwili na majestacie.

– Bił się zacnie – dopowiedział beznamiętnie kapitan.

Popychał mnie w kierunku ogrodu i ciemności. Ja atoli zawahałem się jeszcze, pełen konfuzji.

– A my?... Czemuśmy wciąż żywi?

Mój pan rozejrzał się. Zmiarkowałem, że rapiera z dłoni nie wypuszcza.

– Potrzebują nas. To jego chcieli zabić... Ty i ja jesteśmy jeno kozłami ofiarnymi.

Zatrzymał się na chwilę i zadumał.

– Mogli nas zgładzić – dodał – ale nie po to przyszli... – Popatrzył posepnie na trupa. – Zbiegli, ledwie go dopadli.

– Co tu robił Malatesta?

– Niech mnie wybatożą jak Murzyna, jeśli wiem.

Z drugiej strony domu jęły dochodzić czyjeś głosy. Zacisnęła się dłoń, na mym ramieniu wsparta, wpiły mi się w ciało stalowe palce kapitańskie.

– Już są – powiedział.

– Wrócili?

– Nie. Teraz nadchodzą inni... I to będzie dużo gorsza sprawa.

Odciągał mnie z zasięgu światła, poza obręb krużganka.

– Biegnij, Íñigo.

Zatrzymałem się niepewnie. Byliśmy już niemal w zupełnym mroku ogrodu i oblicza jego dostrzec nie mogłem.

– Biegnij i ni na chwilę się nie zatrzymuj. Cokolwiek się wydarzy, nie było cię tu tej nocy. Rozumiesz?... Nigdy tu nie byłeś.

Opierałem się przez moment. A co z waszą miłością, kapitanie – gotowałem się spytać. Aliści nie stało czasu. Zmiarkowawszy, że nie kwapię się do natychmiastowego posłuszeństwa, silnym ruchem popchnął mnie jakieś cztery, pięć kroków do przodu, w głąb zarośli.

– Idź – rozkazał – do kurwy jasnej nędzy.

Korytarz, ku krużgankowi wiodący, rozświetlały już łuczywa, a wraz z blaskiem dobiegał stamtąd szcęk broni i ludzki rejwach.

– W imieniu króla – zawołał czyjś daleki głos. – Na rozkaz królewskiej sprawiedliwości poddajcie się. – I na ten krzyk, w imieniu króla, który tuż obok leżał martwy, zjeżyły mi się włosy na łbie.

– Biegnij!

I jako żywo pobiegłem. Biec dla przyjemności to zgoła nie to samo, co czmychać z pilnej potrzeby. Gdyby się przede mną otwarła jaka przepaść,

na Boga się klnę, że przesadziłbym ją susem bez wahania. Oślepiły z paniki mknąłem skroś krzaki, drzewa i gęstwinię traw, przeskakiwałem płoty i murki, przebrnąłem przez strumień i wspiałem się na drugi brzeg, kierując się ku miastu. Dopiero zasię, kiedym już uciekł niebezpieczeństwu, kiedym znalazł się daleko od owego przekłętego kruźganka, kiedym padł jak długi, czując, że serce omal mi gębą nie wyfrunie, płuca wypełnia mi stos płonących żagwi, a skronie i kark kłują setki ostrych igieł – dopiero wówczas, oszołomiony z przerażenia, pomyślałem o losie, jaki zgotowano kapitanowi Alatriście.

Pokuśtykał pod mur w nadziei, że tam dogodną drogę do ucieczki znajdzie. Walka z tak przeważającą liczbą napastników wielką dlań była mitręgą, rana w udzie, lubo nie głęboka, przecie krwawiła, a dostojęństwo leżącego nieopodal w kruźganku trupa odebrałoby każdemu animusz i odwagę. Może, gdyby nie rana, dodałby mu skrzydeł strach – ale musiałby go czuć. Miast niego siedziała w nim jeno posępna rozpacz wobec nikczemnego wybryku, jaki szykował mu los. Czarna melancholia. Pozbawiona nadziei. Niechybność jego parszywego, podłego przeznaczenia.

Już kruźganek światła rozjarzyły. Widział je skroś drzewa i zarośla. Głosy, cienie przemykające z jednej strony na drugą. Jutro zatrzeszczy w posadach cała Europa i świat cały – pomyślał. Ledwie się wieść rozniesie.

Wysiłek uczynił, żeby na mur się wspiąć, wysoki na pięć łokci, spróbował drugi raz, atoli na próżno. Na rany Chrystusa. Ból w nodze był zbyt silny.

– Tu jest! – zawołał czyjś głos tuż za jego plecami.

Obrócił się niespiesznie, z rezygnacją, ale nadal rapier w dłoni ścisnął. Ogrodem nadchodziło czterech osobników, kierując w jego stronę światło.

Bez trudu rozpoznał postać hrabiego de Guadalmedina z ręką na przepasce. Resztę stanowili Martín Saldaña i dwóch strażników, niosących zapalone pochodnie. W oddali widział jeszcze kilku łapsów, co po krążanku myszkowali.

– Poddaj się, w imieniu króla.

Zdanie to sprawiło, że Alatryste aż węs skrzywił. W imieniu jakiego króla, już kwapił się zapytać. Spojrzał na Guadalmedinę, który rapier swój w pochwie trzymał, zdrową rękę wspartą na biodrze, a w oczach miał taką wzgardę, jakiej kapitan nigdy jeszcze u niego nie widywał. Łubki na ręce ni chybi były wspomnieniem po spotkaniu na ulicy Criminales. Ot, następne niezłałatwione porachunki.

– Niewiele mnie z tym wszystkim łączy – powiedział Alatryste.

Nikt chyba nie dawał najmniejszej wiary jego słowom. Martín Saldaña oblicze miał nader groźne. Za pasem widniała jego laska rotmistrzowska, w jednej dłoni rapier, w drugiej pistolet.

– Poddaj się – ostrzegł znów – albo cię zabiję.

Kapitan zamyślił się na chwilę. Wiedział, jaki los czeka królobójców: tortury śmiertelne, a potem ćwiartowanie. Przyszłość zaiste niegodna pozazdroszczenia.

– To lepiej mnie zabij.

Patrzył na brodatą gębę tego, co do owej chwili był jego druhem – zbyt szybko jął tracić przyjaciół – i zmiarkował, że tamten zawahał się przez sekundę. Obydwaj znali się nazbyt dobrze, by rotmistrz mógł wątpić, że Alatryste nie kwapi się ocalić życia za cenę swobody. Zamienił przeto szybkie spojrzenie z Guadalmediną, który lekko skinął głową. Potrzebny nam cały – mówił gest arystokraty. Musimy pociągnąć go za język.

– Rozbróćcie go – rozkazał Álvaro de la Marca.

Dwaj strażnicy postąpili krok naprzód, na co Alatryste uniósł rapier. Mediolańska pukawka Martina Saldaña mierzyła mu prosto w żołądek. Mogę go przymusić – przyszło mu na myśl. Prosto na lufę, wystarczy odrobina szczęścia. W kałdun bardziej boli niżli w łeb, wolniej dogorywasz. Ale nie ma wyjścia. A zresztą, może Martín mi tego nie odmówi.

Saldaña snadnie też rzecz podobną rozważał w duchu.

– Diego... – ozwał się raptem.

Alatryste popatrzył nań zaskoczony. Zabrzmiało to jak wstęp do przemowy, a jego dawny kompanion z Flandrii nie należał do ludzi gadatliwych. Osobliwie w sytuacji takiej, jak obecna.

– Nie warto – dodał Saldaña po chwili milczenia.

– Czegóż takiego nie warto?

Saldaña dalej coś w sobie mełł. Podniósł przy tym rękę w rapier uzbrojoną, by się jelcami po brodzie poskrobać.

– Dawać się tu zakatrupić jak cudak niespełna rozumu.

– Wyjaśnienia potem – przerwał szorstko Guadalmedina.

Skonfundowany Alatryste oparł się o mur. Coś mu nie pasowało. Nie poniechawszy celowania weń ze swego mediolańskiego pistoletu, rotmistrz z marsem na gębie patrzył teraz na Guadalmedinę.

– Potem nie będzie może sposobu – ozwał się oschle.

Álvaro de la Marca pochylił w zadumie głowę, za czym bacznie przyjrzał się jednemu i drugiemu. Snadź coś trafiło mu do przekonania. Nareszcie spuścił wzrok na lufę pistoletu Saldaña i westchnął.

– To nie był król – rzekł.

Za lewym okienkiem powozu, ponad zboczami górującymi nad rzeczką Manzanares i ogrodami, ciemniał potężny masyw Pałacu Królewskiego. Jechali mostem Parkowym w szpalerze pół tuzina spieszonych strażników i

pachołków z pochodniami. Na koźle siedziało jeszcze dwóch stróżów, z czego jeden dzierżył arkebuz z rozżarzoną lontem. Guadalmedina i Martín Saldaña podróżowali w środku, siedząc naprzeciw kapitanowi Alatrście. Ten zasię z trudnością wiarę dawał historii, jaką mu właśnie opowiadali.

– ... Od ośmiu miesięcy posługiwaliśmy się nim jako sobowtórem Jego Wysokości, z racji niezwykłego podobieństwa – zakończył Guadalmedina. – W równym byli wieku, te same oczy błękitne, ta sama szczęka... Zwał się Gines Garciamillan i był mało znanym komediantem z Puerto Lumbreras. Zastąpił króla kilkakrotnie podczas ostatniej wyprawy do Aragonii... Gdy dobiegły nas wieści, że coś się dzisiejszej nocy kroi, podjęliśmy decyzję, by jeszcze raz swą rolę odegrał. Znał ryzyko, a mimo to stawiał się na wezwanie... Wierny i mężny poddany.

Alatrście skrzywił się.

– Sowiec mu za wierność zapłacono.

Álvaro de la Marca popatrzył nań w milczeniu z zagniewaną miną. Niesione na zewnątrz pochodnie oświetlały jego arystokratyczne rysy, bródkę, kędzierzawy wąs. Inny świat, inny ród. Zdrową ręką podtrzymywał przepaskę, by wstrząsy powozu na drodze złagodzić.

– Ni chybi była to jego osobista decyzja – mówił niefrasobliwym tonem. Przy monarsze zmarły Gines Garciamillan niewiele snadź dlań znaczył. – Miał przykazane, by się nie pojawiać, zanim nie będziemy go w stanie obronić, aliści zagrał swą rolę na całego i nie zaczekał – tu magnat pokiwał głową z niezadowoleniem. – Tuszę, że granie króla w takiej chwili było ukoronowaniem jego kariery.

– Odegrał go wybornie – ozwał się kapitan. – Godności nie postradał i bił się bez jednego słowa... Wątpię, czy któregokolwiek króla byłoby stać na coś podobnego.

Martín Saldaña słuchał beznamiętnie, odbezpieczony pistolet złożywszy na podołku, i więźnia ni na chwilę z oczu nie spuszczał. Guadalmedina zdjął właśnie jedną rękawiczkę i ją strzepywał nią delikatnymi ruchami kurcz z wykwinnych pludrów.

– Nie wierzę w tę twoją opowieść, Alatryste – powiedział. – A na pewno nie w całą. Zgodzę się, że, jak powiadasz, doszło do walki i że zabójców było więcej... Kto mi wszelako udowodni, że nie byłeś z nimi w zмовie?

– Masz waszmość moje słowo.

– A co poza nim?

– Wasza ekscelencja zna mnie aż nadto dobrze.

Guadalmedina zaśmiał się półgębkiem, z uniesioną rękawiczką.

– A kto cię tam wie. Ostatnimi czasy mniej dajesz powodów do zaufania.

Alatryste baczny spojrzeniem hrabiego obrzucił. Do dzisiejszej nocy nikt, kto by śmiał zarzucić mu łgarstwo, nie dożyłby chwili, by móc to powtórzyć. Za czym ku Saldaña się obrócił.

– Takoz i ty mym słowom nie wierzysz?

Rotmistrz ni myślał gębę odwrzeć. Widomym było, że nie w jego obowiązkach leży wiara bądź niewiara. Czynił swą powinność. Aktor poległ, król żył, a on miał rozkaz dopilnować więźnia. Co zasię roilo mu się we łbie, zachowywał dla siebie. Dyskusje pozostawiał inkwizytorom, sędziom i teologom.

– Wszystko w stosownym czasie zostanie wyjaśnione – zawyrokował Guadalmedina, naciągając z powrotem rękawiczkę. – A ty z pewnością otrzymałeś byłeś pouczenia, żeby się z dala trzymać.

Kapitan zerknął przez okienko. Minęli już most Parkowy i powóz piął się wzdłuż murów, glinianym traktem, który wiódł ku południowej części pałacu.

– Dokąd mnie wieziecie?

– Do Stajni – odparł Guadalmedina.

Alatriste przyjrzał się beznamiętnej twarzy Martina Saldaña, zmiarkował przy tym, że rotmistrz mocniej zacisnął dłoń na kolbie pistoletu, kierując lufę w pierś kapitana. Ten padalec wybornie mnie zna – pomyślał. Wie, że nie należało mi podawać tej informacji. Stajnie, lepiej znane jako Oprawisko, były niewielkim więzieniem, przyległym do prawdziwych stajni królewskich, gdzie torturowano oskarżonych o obrazę majestatu królewskiego. Miejscem szkaradnym, do którego wstępu nie miały sprawiedliwość ni nadzieja. Nijakich sędziów ni adwokatów – jeno kaci, złowrogie sznury i maszyny oraz skrybowie, co lada jęk zapisywali. Parę przesłuchań wystarczało, żeby człeka na wieki uciszyć.

– Tedy aż tu dotarłem.

– Tak – skinął głową Guadalmedina. – Aż tu dotarłeś. Teraz będziesz miał nadto czasu gwoli wyjaśnienia wszystkiego.

Jak powiadają, choć z mostu do rzeki skacz... – pomyślał Alatriste. I to dosłownie. Korzystając tedy ze sposobności, że powóz podskoczył gwałtownie, przewrócił się na Saldañę, nim tamten kurek pistoletu odwieść zdołał. Jednocześnie ciałem przygniótł rotmistrza, głową zaś mocno uderzył go w twarz, od czego aż chrupnął nos dowódcy. Krak – rozległo się. Zaraz też i krew chlusnęła czerwoną, gęstą strugą na brodę Saldaña i na pierś. W tym momencie Alatriste zdążył mu już wyrwać z ręki pistolet, którym mierzył teraz w oczy Guadalmedinie.

– Rapier waszmości – nakazał.

Skonfundowany hrabia już chciał usta otworzyć, żeby o pomoc zawołać ludzi na zewnątrz, atoli Alatriste uderzył go kolbą w oblicze i sam broń mu odebrał. Na diabła zda mi się ich zabijać – uznał szybko. Jednym spojrzeniem zmiarkował, że Saldaña ledwo dycha, jak dogorywające bydło

różne. Jeszcze jeden bezlitosny cios magnatowi wymierzył, który skutkiem odniesionej niedawno rany bronić się nie potrafił i runął pomiędzy ławeczki. A do Oprawiska – pomyślał kapitan – zawieście tylko taką owaką waszą mac i tam ją będziecie oprawiać. Saldaña popatrywał na wszystko mętnym wzrokiem, cały krwią zalany.

– Jeszcze się spotkamy, Martín – pożegnał się Alatryste.

Drugi pistolet mu odebrał i wsunął sobie za pas. Za czym jednym kopnięciem otworzył drzwiczki i skoczył w biegu, z pistoletem w prawej dłoni i rapierem w lewej. Niechby mnie jeno ranna noga nie zawiodła – błagał w duchu. Już któryś pachołek spostrzegł jego ucieczkę i wrzeszczał na swych kompanów. W jednej dłoni dzierżył pochodnię, drugą usiłował dobyć broni, Alatryste przeto, nie mieszkając, wypalił mu prosto w pierś, aż płomień rozświetlił na moment pełną przerażenia gębę tamtego, zanim zupełnie w ciemności znikła. Instynkt starego wiarusa zwietrzył rozżarzony lont arkebuz, nie było tedy czasu do stracenia. Kapitan cisnął precz zużyty pistolet i dobył drugiego, odwiódł kurek, odwracając się, by strzelić do przeciwnika – aliści w tejże chwili do pościgu dołączył kolejny pachołek z rapierem w pełnej gotowości. Należało dokonać wyboru. Wycelował i jednym strzałem zatrzymał w pół drogi nadbiegającego. Tamten chwiał się jeszcze, o koło powozu wsparty, kiedy Alatryste dobiegł do skraju drogi i sturlał się w dół ku strumieniowi i głównej rzece. W ślad za nim puścili się dwaj ludzie, a przy powozie huknął arkebuz, atoli kula zafurkotała jeno blisko niego i w mroku przepadła. Podniósł się z chaszczki, całe oblicze i ręce mając podrapane, gotów biec dalej mimo bólu w ranionej nodze, atoli już, już go dopadali. Dwa ciemne kształty sapały, potykając się, depcząc zarośla, i wołały: „Stać, stać, poddaj się w imieniu króla”. Dwóch na karku, na dodatek tak blisko, to niebezpieczna przewaga, obrócił się tedy ku nadciągającym z rapierem krwi żądnym. Ledwie zasię pierwszy dopadł do

niego, miast przyjąć pozycję obronną, niewiele myśląc, natarł puntą rapiera i pierś wrażą przeszył. Łaps osunął się z jękiem żałościwym, na co drugi przezornie krok wstrzymał. Od strony drogi schodziło aliści coraz więcej pochodni, przeto Alatryste ponownie w dół do biegu się rzucił, schronienia pod drzewami złakniony, kierując się szumem pobliskiej wody. Nareszcie zagłębił się w gęste trzciny, by po chwili poczuć grząski grunt pod nogami. Szczęśliwie woda za sprawą niedawnych deszczów wezbrała, tedy wsunął rapier za pas, jeszcze kilka kroków uczynił, za czym zanurzył się po ramiona i dał się porwać prądowi. Dopłynął w dół rzeki aż do wysepek i stamtąd dopiero na brzeg powrócił. Szedł dłuższy czas skroś trzciny, w mule przy tym grzęznąc, aż osiągnął most Segowiański. Tu odsapnął chwilę gwoli odzyskania równego oddechu, ranę na udzie kawałkiem sukna owinął i z chłodu dygocząc w mokrym odzieniu – płaszcz i kapelusz był w trakcie potyczki postradał – obszedł ostrożnie kamienne filary, ażeby w oczy nie rzucić się strażnikom, co pilnowali rogatek traktu na Segowie. Znalazłszy się po drugiej stronie, wspiał się powoli ku wyniosłości konwentu Świętego Franciszka, gdzie potok, jako rów ściekowy używany, pozwalał niepostrzeżenie do miasta przeniknąć. O tej porze – pomyślał – niechybnie chmara strażników już dybie na niego na ulicach. Gospoda Pod Turkiem nie wchodziła w grę, jako i dom gry Juana Vicuñi. Nie miał też szans uciec się pod osłonę ołtarza, nawet u jezuitów u Klechy Pereza. Skoro sam król mu wojnę wypowiedział, nawet święty Piotr nic nie może naprzeciw Malchusa⁷⁴. Jedyne ratunkiem były dlań podłe dzielnice, do których królewscy nie śmieli zapuszczać się o tej porze, a i za dnia wchodzili tam jeno w uszykowanych grupach. Skwapliwie trzymając się najmroczniejszych miejsc, ruszył tedy z najwyższą przezornością ku placowi Cebada, stamtąd zasię ciasnymi zaułkami, szparko przeskakując ulice Embajadores i Mesón de Paredes, dotarł do fontanny Lavapiés, wedle

której znajdowały się zajazdy, gospody i lupanary, co się w Madrycie najgorszą sławą cieszyły. Musiał się gdzieś schronić, by wszystko przemyśleć – udział Gualteria Malatesty w zajściu przy trakcie na Las Minillas był zgoła niepokojący – nie miał wszelako ni złamanego szeląga, by móc za dach nad głową zapłacić. Jął przypominać sobie wszelkich przyjaciół, jakich mógł mieć w owej okolicy, a osobliwie takich, którzy nie odprzedaliby go za trzydzieści srebrników, gdyby nazajutrz obwieszczono nagrodę za jego głowę. Czarnymi myślami owładnięty, zawrócił ku ulicy Comadre, gdzie przed zamtuzem, oświetlonym zamocowanymi w sieni pochodniami i małymi lampionami, z pół tuzina ladacznic świadczyło swe nikczemne usługi. A może wszelako – rzekł w duchu, stając w pół kroku – Bóg istnieje i nie zatrudnia się jeno popatrywaniem, jak to ślepy los czy też czart igra ludźmi w pelotę. Albowiem przed drzwiami pobliskiej gospody stał i siarczyście jedną z dziewczek policzkował, w berecie nader po łajdacku na swą jedyną brew naciągniętym – nie kto inny, jak Bartolo Cupamagna.





VII. ZAJAZD POD WĘDZONKĄ.



Mość Francisco de Quevedo, wielce rozdrażniony, cisnął płaszcz i kapelusz na zydelek i rozpiął się pod szyją. Wieści przynosił niepomyślne.

– Nic nie poradzimy – mówił, odczepiając rapier. – Guadalmedina nie chce o niczym słyszeć.

Spojrzałem przez okno. Szare, srogie chmury, gromadzące się nad Madrytem ponad dachami domostw przy ulicy Niño, jeszcze posepniejszy nastrój sprowadzały. Mość Francisco zabawił był dwie bite godziny w pałacu Guadalmediny, usiłując przekonać zausznika naszego Króla Jegomości, że kapitan Alatryste jest niewinny, atoli nadaremno. Nawet gdyby padł ofiarą spisku – powiadał Álvaro de la Marca – wszystko zepsuła ucieczka z rąk strażników. Poza tym zabił dwóch pachołków i srogo zranił trzeciego, nie wspominając o złamanym nosie rotmistrza straży. I jego osobistych siniakach.

– A zatem – zakończył mość Francisco – zarzeka się, że kapitan zawisnąć musi.

– Przecie byli w przyjaźni! – larum podniosłem.

– Nijaka przyjaźń takich terminów nie przetrzyma. *Item*⁷⁵, że historia jest niezwykła i złowroga.

– Żywię nadzieje, że choć wasza miłość w nią wierzy.

Poeta zasiadł na krześle z orzecha – w którym lubował się nieboszczyk diuk de Osuna, kiedy odwiedzał był ten dom – przy stole zawalonym papierami, gęsimi piórami, piaseczniczką i miedzianym kałamarzem. Leżały tu też tabakierka i kilka książek, wśród których dostrzegłem jednego Senekę i jednego Plutarcha.

– Gdybym nie wierzył kapitanowi – ozwał się – nie udałbym się do Guadalmediny.

Wyciągnął przed siebie skrzyżowane nogi, opierając je na kobiercu, hiszpańskim węzłem plecionym, co na podłodze leżał. Omiótł niewidzącym wzrokiem kartkę, na poły zapisaną jego czystym, pośpiesznym pismem. Wcześniej już zdołałem byłem przeczytać cztery linijki, sonet rozpoczynające:

*Kto odbiera mi, na com nie zasłużył,
Nie zuboży mnie, jeno da przestrozę;
Kiedy niesłusznie dostanę nagrodę,
Zysk mam niewielki, a dyshonor – duży.*

Podszedłem teraz do sprzętu, gdzie mość Francisco wino przechowywał – okazałej szafki kredensowej z szybkami z zielonego szkła, stojącej pod obrazem wyobrażającym pożar Troi – i nalałem sobie z karafy pełną szklanice. Poeta tymczasem po tabakierkę sięgnął i uszczknął nieco proszku, który zaraz też do nosa wciągnął. Nie kwapił się do palenia, atoli owszem, gustował w owym pudrze z liści, co z Indii przywożono.

– Znam twego pana już od długiego czasu, chłopcze – ciągnął. – I lubo człek to wielce uparty, co do granic linę przeciąga, wiem, że nigdy nie poważyłby się na króla rękę podnieść.

– Hrabia także go zna – odrzekłem z bólem, podając poecie szklanice.
Skinął głową, kichnąwszy po dwakroć.

– To prawda. I mogę postawić na szalę moje złote ostrogi, że aż nazbyt dobrze wie o kapitańskiej niewinności. Aliści zbyt wiele afrontów pan magnat musiał ścierpieć: zuchwałość Alatrísteo, skaleczenie na ulicy Criminales, młócka w powozie... Guadalmedina ma teraz na swej nadobnej twarzączce ślady, które uczynił mu być twój pan, nim się ulotnił. A grandowie Hiszpanii źle takie rzeczy znoszą. Nie tyle sam cios boli, ile to, że krzyczeć nie można.

Upił nieco i jał się wpatrywać we mnie, obracając w palcach tabakierkę.

– Dobrze, że kapitan zdążył ciebie stamtąd na czas przepędzić.

Tu zadumał się na chwilę, z oczu mnie nie spuszczał. Nareszcie tabakierkę odstawił i pociągnął tęgi haust ze szklanicy.

– Skąd ci do głowy przyszło, żeby za nim iść?

Odpowiedziałem mu wykrętnie, dając do zrozumienia, że powodowały mną młodzieńcza ciekawość, zamiłowanie do awantur i tym podobne. Wiedziałem już, że kto chce się usprawiedliwić, gada ponad potrzebę, i że nadmiar argumentów gorszy jest niżli ostrożne milczenie. Po pierwsze, sromąłem się wielce, że się był w zasadzkę dał zaciągnąć młodocianej zmiłce, w której pomimo wszystko wciąż zadurzony byłem po uszy. Po drugie zaś, uważałem, że Angélica de Alquezár to jeno wyłączna moja sprawa. Ja sam chciałem ją rozstrzygać. A dopóki pan mój jest bezpiecznie ukryty – dotarła była do nas potajemna wiadomość drogą całkowicie pewną – wszelkie wyjaśnienia mogły poczekać. Teraz trzeba nam było trzymać go z dala od kataru.

– Opowiem mu, jak się rzeczy mają – rzekłem.

Zapiąłem kaftan i sięgnąłem po kapelusz. Z uwagi na deszcz, co właśnie zaczynał sieć o szyby, otuliłem się także mym bawełnianym płaszczem.

Uwadze mości Francisca nie umknęło, że lewak za pas wsuwam.

– A uważaj, żeby nikt za tobą się nie pokwapił.

Co wcale nie było wykluczone. Strażnicy tak długo indagowali mnie byli w Gospodzie Pod Turkiem, aż ich przekonałem, łżąc jak z nut, że nic a nic nie wiem o wydarzeniach koło Las Minillas. Z Cyganichy niewiele takż mieli pożytku, lubo jej grozili i nękali ją niezgorzej – godzi się rzec, że jeno słowem. Nikt wszelako – a tym bardziej ja – nie kwapił się opowiadać jej, dla jakiej to zaprawdę przyczyny kapitan musiał uciekać. Na głos mówiło się o tym, że doszło do potyczki, że ktoś poległ, ale nic poza tym.

– Niech się wasza miłość nie turbuje. Deszcz pada, to i nikt mnie nie spostrzeże.

W rzeczywistości mniej dbałem o królewskich niżli o tych, co cały spisek namotali, snadź na pewno musieli być czujni. Już się miałem z poetą pożegnać, gdy ten uniósł palec, jakby na coś wpadł. Podeszedł do biureczka, wedle okna stojącego, i z szuflady wydobył kuferek juchtem obity.

– Powiedz kapitanowi, że co zdołam, to uczynię... Szkoda wielka, że nieszczęsny mość Andrés Pacheco⁷⁶ właśnie ducha wyzionął, że Medinaceli⁷⁷ na wygnaniu, a admirał Kastylii⁷⁸ w niełaskę popadł. Wszyscy oni szczerym darzyli mnie afektem i byliby nader pomocni w rokowaniach.

Zafrasowały mnie te słowa. Jego ekscelencja biskup Pacheco pełnił był do niedawna najwyższy urząd w hiszpańskim Świętym Oficjum, nawet ponad Trybunałem Inkwizycji, któremu przewodniczył nasz zapiekły wróg, złowrogi dominikanin Emilio Bocanegra. Z kolei mość Antonio de la Cerda, diuk de Medinaceli – w przyszłości serdeczny druh naszego poety, a i mój protektor – z winy swej gorącej młodzieńczej krwi odsunięty był od Dworu, ponieważ porwał się był na zuchwalstwo i chciał z więzienia służyć

swego wyswobodzić. Admirał Kastylii zasię upadł z przyczyn politycznych – pycha jego wiele krwi napsuła w Katalonii w czasie niedawnych odwiedzin monarchy w królestwie Aragonii, kiedy to rzeczony mość Enriquez de Cabrera pokłócił się z diukiem de Cardona⁷⁹ o miejsce przy stole u królewskiego boku podczas przyjęcia wydanego na cześć Najjaśniejszego Pana w Barcelonie. Łatwo zgadnąć, że Jego Wysokość powrócił do stolicy, ni dublona z Katalończyków nie wydusiwszy, ledwie bowiem z prośbą o subsydia na wojnę we Flandrii wystąpił, panowie katalońscy odrzekli, że życie i honor zawsze bez kwękania królowi oddadzą, o ile nie trzeba będzie przy tym grosza z sakiewki wyłuskiwać. Boć ponieważ finanse to dziedzictwo duszy, a dusza jeno Bogu jest poddana. Niełaska admirała Kastylii jeszcze bardziej widomą się stała w trakcie powszechnego obmywania stóp w Wielki Czwartek, gdy Filip Czwarty o ręcznik do wytarcia poprosił markiza de Liche⁸⁰ miast admirała, który do tej pory przywilejem takowym się był cieszył. Upokorzony admirał wobec króla protest zaniósł, żądając prawa do odejścia. „Jestem najpotężniejszym rycerzem tego królestwa” – powiadał, zapomniawszy, że stoi przed najpotężniejszym monarchą świata całego. A król, że urazę czuł, przyznał mu rzeczony prawo z nawiązką. „Precz mi z dworu i czekaj dalszych rozkazów”.

– Został nam ktoś jeszcze?

Mość Francisco nawet nie zdziwił się, słysząc owo „nam”.

– Nikt, gdy szukamy kogoś w rodzaju Wielkiego Inkwizytora, granda Hiszpanii albo królewskiego przyjaciela... Poprosiłem atoli o audiencję u hrabiego–diuka. Tego przynajmniej pozory nigdy nie zwiodą. Szczwany to lis i trzeźwy.

Popatrzyliśmy na siebie, wielkich nadziei sobie nie robiąc. Za czym poeta otwarł kuferek i wyjął mieszek. Odliczył zeń osiem poczwórnych

dublonów – zmiarkowałem, że to mniej więcej połowa tego, co miał – i wręczył mi je.

– Może mu brakować – rzekł – Mospana Pieniądza.

Jakże fortunnym człkiem jest mój pan – pomyślałem – skoro ktoś pokroju mości Francisca de Quevedo podobnym darzy go oddaniem. Wszak w naszej nikczemnej Hiszpanii nawet najbliższy druh łacniej słowem cię poczęstował albo i żelazem niżli czymkolwiek innym. A oto w ręku trzymałem calutkie pięćset dwadzieścia osiem reali, ulanych w szczerym złocie – na jednych widniał krzyż jedynej prawdziwej wiary, na innych profil Jego Katolickiej Mości, a na jeszcze innych jego zmarłego ojca, Trzeciego Filipa. Wszystkie wybornie przydatne – nawet gdyby naprzeciw nim stanął bisurmański półksiężyc – by Temida przymknęła swe jedyne lichy widzące oko i żeby schronienie godziwe gdzie znaleźć.

– Powiedz mu, że z przykrością wielką jeno tyle, nie dwa razy więcej mu daję – dodał poeta, odstawiając kuferek na miejsce – ale długi mnie zżerają, czynsz za ten dom, z którego w złą godzinę wyrzuciłem byłem tego kordobańskiego kutasa–przydupasa, wysysa ze mnie krwawicę i czterdzieści dukatów, a i papier, na którym piszę, nowymi podatkami został obłożony... Ale, ale. Uprzedź go, żeby przezorność zachował i na ulicę gęby nie wystawiał. Madryt stał się dlań miastem wysoce niebezpiecznym... Aliści mógłby w duchu cichości, jeśliby zechciał, przyznać, że w tarapaty popadł na własne życzenie:

Ze skąpstwa łeb utracił, Kto kupił towar, ale nie zapłacił.

Słyszając to, ażem się lekko uśmiechnął. Madryt niebezpieczny jest dla kapitana i nie tylko – pomyślałem butnie. Wszystko zależało od tego, kto wcześniej żelaza dobędzie, a wszak czym innym jest dopaść zająca, a czym

zgoła innym wilka. Po chwili zmiarkowałem, że i mość Francisco się uśmiecha.

– Lubo największym zagrożeniem dla niego jest sam Alatryste – powiedział z ironią, jak gdyby myśli me odgadywał.

– Nie sądzisz?... Guadalmedina i Saldaña dostali w skórę, dwóch pachółków leży w grobie, trzeci juz się tam wybiera, a wszystko to w ciągu jednej zdrowaśki – ujął w dłoń szklanice z winem i zapatrzył się w ulewę, co za oknem siekła. – Dokroćset, toż to zabójca.

I zadumał się ze wzrokiem zagłębionym w szklanice. Nareszcie uniósł ją w stronę okna, rzekłbyś, zdrowie wznosząc, jak gdyby kapitan znajdował się po drugiej stronie.

– Nie tyle rapier w dłoni twój pan dzierży – zakończył – ile raczej kosę.

Bóg zlewał deszczem sakramenckim każdą piędź tego padołu, a ja tymczasem, okryty płaszczem, przeniknąłem ulicą Compañia ku Lavapiés. Strugi ciurkały mi z kapelusza, ja szukałem zasię schronienia pod arkadami i okapami – a wody było tyle, jakby Niderlandczycy wszystkie swe groble nad mą głową przerwali. A lubom był przemoknięty do cna i w błocku do pół łydki unurzany, bez pośpiechu maszerowałem skroś ulewę i wodne rozpryski, co na kształt chmary muszek kąsały każdą kałużę, rozglądałem się przy tym raz po raz na boki i do tyłu gwoli sprawdzenia, czy nikt mi po piętach nie depcze. Dotarłem do ulicy Comadre, przeskakując przez strumienie wody i błota, za czym, ostatnie czujne spojrzenie rzuciwszy, wszedłem do zajazdu, gdzie się otrząsnął jak przemoczone psisko.

Cuchnęło zleżałym winem, mokrymi trocinami i brudem. Pod Wędzonką był to jeden z bardziej parszywych przybytków w całym Madrycie. Właściciel jego, od którego i miejsce nazwę wzięło, był niegdyś zuchwałym rzezimieszkiem, co dzióbkiem zakrzywionym jak haczykiem

skubał każdego – ponoć wytrychami szermował zwinnie i szybko niby hafciarka – aż go starość dopadła, kiedy to życiem zmorzony otworzył właśnie tę oberżę, którą zaraz przeistoczył w giełdę rzeczy ukradzionych. On ustalał ceny na każdą podwędzoną rzecz – i stąd jego przydomek. Dawniej w tym wielkim, mrocznym domu mieściła się obora, zewsząd otaczały go ruiny, drzwi do środka prowadziło kilkoro, a na miejscu było prawie dwa tuziny obskurnych izb oraz czarna od dymu i tłuszczu jadalnia, gdzie można było za psi pieniądz skubnąć czy łyknąć tego i owego. Wielce to wszystko było po myśli całego hultajsko–złodziejskiego ludu, któremu na niczym tak nie zależało, jak na niebaczości. Szemrane towarzystwo wchodziło i wychodziło bez ustanku, chleba powszedniego szukając, już to zakutane po szyje i żelazem podzwaniające, już to tobołami podejrzanymi objuczone. Łajdaki, proste rzezimieszki, hersztowie, ministranci karcianych mszy, czarodziejki ich rozporkom wierne, a także cała zgraja łotrów, co słowem się klną, że w całej Starej i Nowej Kastylii uczciwością się nie splamili, a wszyscy oni czuli się tu tak pewnie, jak nie przymierzając lis w kurniku albo skryba w trybunale. Nadzorcy ładu trzymali się od zajazdu z dala, raz, że biedy nie chcieli sobie napytać, a dwa, że Wędzonka, mospan nie w ciemę bity i w profesji swej wyćwiczony, nie mieszkał cząstki fortuny się wyzbyć, ażeby rączki strażnikom posmarować i obłaskawić Szarańczę Królewską. Ponadto gospodarz miał zięcia, co służył u markiza del Carpio⁸¹, przeto i kto schronienie tu znalazł, jakby się pod opiekę ołtarza uciekł. Krom samej śmietanki hultajskiego fachu, wszyscy tutejsi byli głuchoniemi i ślepi. Nie uświadczyłbyś nijakiego imienia ni nazwiska, nikt na nikogo nie spoglądał i nawet powitanie „dobry wieczór” mogło sprawić, że w odpowiedzi w te pędy pokroiliby cię w plasterki.

Bartolo Cupamagna siedział nieopodal węglowego paleniska, skąd płynął na izbę gęsty dym spod saganów. Zawadiaka topił myśli w karafie

wina, którą rzetelnie spełniał pospołu z kamratem, gawędził z nim przy tym półgłosem, aliści kącikiem oka baczenie dawał na swoją niewiastę, która przy innym stole, na pół mantylą okryta, dogadywała interes z klientem. Cupamagna ani drgnieniem nie dał poznać, że mnie zna, kiedym do kominka podszedł i na poprzeczny pręt przemoczony płaszcz zrzucił, który zaraz też jął parować obficie. Jak gdyby nigdy nic konferował dalej, ja zaś rychło zmiarkowałem, że perorują o niedawnej awanturze z jakimś strażnikiem, zakończonej nie krwi przelewem albo kajdanami, ale grzeczną sumką do ręki wypłaconą.

– No i – ciągnął Cupamagna swoim wszetecznym akcentem – podchodzę ci ja do najważniejszego łapsa, grabę w norę zapuszczam, wycięgam dwa soneczka zociste, puszczam tej zmorze oko i powiadam: „Zaklinam się waszmości na te dwadziścia jeden przykazań, że to nie mnie szukacie”.

– A który to gamoń? – dopytywał się drugi łajdak.

– Berruguete jedno Limo.

– Szczwany skurwysyn, na rany. I dogadać się idzie.

– Nie musisz pan tu zaraz przysingać, kumie drogi... Zgarnął dolę i koniec piśni.

– A ten ptaszek?

– Mierzwę dar z gęby i gardłował, że to moja ksiuta skubną mu sakiwkę, i że niby ja ją kryję... Ale tu Berruguete zachował się jak stary chrześcijanin, bo się zrobił raptem guchy. Mogę spać spokojnie.

Tak to sobie gawędzili w słowach miłych, które wszelako Gongorze spod pióra ni chybi nie wypadły. I po dłuższym czasie dopiero Bartolo Cupamagna spojrział na mnie spode łba, karafę odstawił, wstał nader niechętnie, rozprostował kadłub, szeroko łapskami sięgając i rozdziawiając gębę – uwolnioną z jakiego pół tuzina zębów – i chwiejnym krokiem

podszedł ku drzwiom, z miną jak zwykle groźną, brzękiem żelaza, grabułą na rapierze, w napierśniku łosiowym i portkach wszędy rozpiętych – no, tak zawadiactwem nafaszerowany, że nie można bardziej. Dołączyłem doń na zewnątrz, pod arkadami dawnej obory, gdzie głosy nasze zagłuszała szumiąca ulewa.

– Nikogoś nie przywłók?

– Nikogo.

– Przysingniesz?

– Jak Bóg na niebie.

Skinął głową z aprobatą, skrobiąc się w gęste brwi, co mu się w jedną zrastały na facjacie pokrytej znamionami i bliznami. Za czym, nie ozwawszy się więcej, ruszył wzdłuż galerii, a ja w ślad za nim. Nie widzieliśmy się od czasu awantury ze złotem z Indii, kiedy to Cupamagna, uwolniony od galer dzięki atakowi na „Niklaasbergen” i papierom ułaskawiającym, co mu je kapitan Alatryste był załatwił, zainkasował grzeczną sumkę, która pozwoliła mu do Madrytu powrócić, gdzie mógł ze spokojem podjąć się na nowo swego zatrudnienia jako łotr, a ściślej – jako rufianin albo kupler, to jest kurwigospodarz. Pomimo swej okazałej postury i srogiego wejrzenia, i lubo na mieliźnie opodał Sanlúcar, nie lza zaprzeczyć, zgoła przednio się zachował, rznąc wroga na potęgę – nie śpieszył się gardła nadstawiać. Zbójcekie indywidua, z którymi się prowadzał, były bardziej pozorem niżli szczerą prawdą, miały co najwyżej nieprzezornym strachu napędzić i z drobnego łupiestwa wyżyć i na nijaką modłę nie mogły za tęgich chwatów uchodzić. Był wprawdzie Bartolo tak nieoświecony, że dobrze, jeśli z pięciu samogłosek ze dwie, trzy do jego świadomości dotarły, a mimo tego – a może właśnie dlatego – cieszył się na ulicy Comadre znacznym mirem i w wielkiej komitywie pozostawał z właścicielem pewnego zamtuza, gdzie porządku pilnował, szcudrze przy

tym dodiaskując, kroćsetując i napsaurocząc. A sprawy szły mu niezgorzej. Mając takie referencje w zanadrzu, tym większą estymę w mych oczach ów łotr patentowany zyskał, że karku nadstawiając, kapitanowi Alatryste zdecydował się pomóc – nic przecie wygrać przy tym nie mógł, dużo za to stracić, gdyby ktoś szepnął słówko łapsom. Od czasu wszelako, jak się byli poznali w miejskich kazamatach, Bartolo Cupamagna darzył kapitana niewzruszonym a niewytłumaczalnym oddaniem, częstym u ludzi, którzy z mym panem miewali do czynienia – zarówno kompani z żołnierskiego fachu, jak i ludzie wysokiej kondycji i bezduszni złoczyńcy (do tego grona zaliczyć mogę także kilku jego wrogów). Raz na czas jakiś pojawia się człek niezwyčajny, wyrastający ponad jemu współczesnych, a może inaczej, może taki nie tyle wyrasta, ile raczej ucieleśnia w sobie, uzasadnia i unieśmiertelnia swą epokę, a niektórzy w jego otoczeniu zdają sobie z tego sprawę albo jeno przeczuwają i zaczynają go traktować jako wzór do naśladowania. Może zatem Diego Alatryste do takich ludzi należał. W każdym razie zaświadczyć mogę, że ktokolwiek bił się u jego boku, dzielił jego milczenie albo zyskał pochwałę w jego jasnym spojrzeniu, tego na zawsze tajemne więzy z nim łączyły. Rzec by można, że respekt z jego strony czynił ich bardziej godnymi respektu we własnych oczach.

– Nic się nie da zrobić – zakończyłem. – Czekać jeno, aż się rozpogodzi.

Kapitan słuchał mnie bacznie, ust nie otwierając. Siedzieliśmy przy rozchwierutanyim stole, od świec zbrukanyim, na którym stała miska ze szczętami gotowanych flaków, karafka z winem i skibka chleba. Bartolo Cupamagna stał nieco z boku, z rękami na piersi skrzyżowanymi. Dobiegał nas stukot deszczu o dach.

– Kiedy Quevedo ma się widzieć z hrabią–diukiem?

– Nie wiadomo – odrzekłem. – Na pewno wszelako *Rapierem i sztyletem* będzie wystawione za kilka dni w Escorialu. Mość Francisco przyobiecał mnie tam zabrać.

Kapitan przesunął dłonią po obliczu, które głośno wołało o brzytwę. Na mój gust był znacznie chudszy i wymizerowany. Miał na sobie gacie z podłej irchy, wełniane pocerowane pończochy i koszulę bez kołnierzyka, wciśniętą pod rozpięty kaftan. Daleko mu było do dobrej prezencji, atoli w kącie stały jego żołnierskie buty, świeżo nasmarowane, a nowy pas do rapiera, na stole leżący, dopiero co otrzymał był traktament końskim łojem. Cupamagna zdobył mu był kapelusz i płaszcz u jakiegoś handlarza starzyzną oraz pordzewiały sztylet z imponującymi jelcami, który teraz spoczywał na niezaścielonym łóżku, wedle poduszki, i pysznił się swą lśniącą i naostrzoną głownią.

– Bardzo cię dręczyli? – zapytał kapitan.

– Tyle, ile trzeba – wzruszyłem ramionami. – Nikt mnie nie podejrzewa.

– A Cyganicha?

– Też nie.

– Co z nią?

Zerknąłem na kałuże wody, co się pod mymi sznurowanymi butami uczyniły.

– Zna ją waszmość: łez bez liku i tyleż złorzeczeń. Przysięga się i zaklina, że w pierwszym rzędzie zasiądzie, gdy pana wieszać będą. Ale jej to przejdzie – uśmiechnąłem się. – W głębi duszy więcej w niej słodczy niżli w kwaterce karmelu.

Cupamagna pokiwał łbem z powagą, że niby wszystko dlań jest jasne. Widać było, że aż garnie się, by sądy wydawać o zazdrości i czułości niewieściej, atoli snadź poniechał tego. Nazbyt wielkim respektem pana mego darzył, żeby się w rozmowę mieszać.

– A co wiesz o Malateście? – spytał kapitan.

Na sam dźwięk tego nazwiska ażem się poruszył na siedzeniu.

– Ni śladu.

Kapitan gładził się zadumany po wąsach. Co rusz popatrywał przy tym bacznie ku mnie, jak gdyby chciał wyczytać w moim obliczu wiadomości, których nie przełożyłem na słowa.

– Może sam się wywiem, gdzie go dopaść – rzekł.

Zdało mi się to zgoła szaleństwem.

– Nie powinien się waszmość na szwank wystawiać.

– Zobaczymy.

– Powiedział ślepy – wtrąciłem beczelnie.

I na powrót jał mnie obserwować, mnie zaś sromota ogarnęła, że się tak nieopatrznie wyrwałem. Kącikiem oka zmiarkowałem, że Bartolo Cupamagna patrzy na mnie z wyrzutem. Prawdę powiedziawszy wszelako, sytuacja nie sprzyjała temu, by kapitan wałęsał się po Madrycie samopas. Zanim na niebezpieczeństwo się narazi, winien poczekać na wyniki działań mości Francisca de Quevedo. A i ja pilnie musiałem porozmawiać z pewną młodą damą z otoczenia królowej, której od kilku dni nadaremno szukałem. Co do spraw, jakie przed moim panem ukrywałem, to zgoda, sumienie mniej mnie bolało, gdym wspomniałem, że to Angélica de Alquezár zawiodła mnie była prosto w pułapkę, aliści pułapka ta nigdy by nie zadziałała, gdyby nie uparty, samobójczy wręcz współudział samego kapitana. Potrafiłem już to sobie wybornie uzmysłwić, a kiedy masz omal siedemnaście lat, już nie ma sensu zgrywać bohatera, jeśli samemu nim nie jesteś.

– To pewne miejsce? – spytałem Cupamagnę gwoli zmiany tematu.

Rufianin otworzył szczerbatą gębę w dzikim uśmiechu.

– A jak. Tu królewskie nie ażą nawet po żarło... A jak który muzykant do śpiwania oskomy nabirze, smyrgnąć można przez okno na dach. Pan

kapitan nie jest tu jedyny, co się światła boi... Kiedy się psy wścibskie pojawią, na dole mamy ludzi, co znak dadzą. A wtedy nogi za pas i chodu.

Cały ten czas mój pan nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Musimy pomówić – ozwał się.

Cupamagna przytknął knykcie swego łapska do czoła w geście pożegnania.

– To jak sobie tu byndziecie gwarzyć i jeśli jegomość pan kapitan niczego innego nie prosi, uniżony się spławia na swoje łowiska, muszę baczyć, jak tam idzie mojej Maripérez, czy jej co przez łapki nie przecika. Pańskie oko kobyę tuczy.

Gdy drzwi otwarł, jego postać wyraźnie zarysowała się na tle galerii. Atoli zawahał się jeszcze na chwilę.

– Poza tym – dodał – z caym szacunkiem, nigdy nie wiadomo w dzisiejszych czasach, kiedy z wyrokiem na ciebie przyjdą... I niważne, ile im w grabę wciśniesz i ile słoz wytoczysz, jak ci śpiwać każą, lepiej jest nie powiedzieć tego, czego się nie wi, niżli nie mówić tego, co się wi.

– Wyborna filozofia, Bartolo – uśmiechnął się kapitan. – Arystoteles nie wyraziłby tego lepiej.

Zawadiaka poskrobał się po karku.

– Nie wiem, co ten imć Arystoteles ma na wątrobie, nie wiem, czy dałby radę trzy obroty na koźle zdzirzyć i nie beknąć nic poza „nie”, czego dokonał, nie chwaląc się, uniżony lew, jak w papierach sądowych skrzyntnie zapisano... Aliści wasza miość i ja znamy takich herodów, co nawet kamiń by zmusili do odśpiwania piknej romancy.

I precz poszedł, drzwi za sobą zamknąwszy. Naówczas dopiero wydobyłem sakiewkę, co ją mi był mość Francisco de Quevedo wręczył, i położyłem na stole. Pan mój z nieobecną miną spiętrzył złoto w stosik.

– A teraz mi opowiadaj – rzekł.

- Co mam waszej miłości opowiadać?
- Co robiłeś wtedy w nocy wedle Las Minillas.

Przełknąłem ślinę. Popatrzyłem na kałużę u mych stóp. I z powrotem w jego oczy. W takiej czułem się konfuzji, jak nie przymierzając dama z komedii, co przez męża zostaje przyłapana po ciemku z gachem.

- Wie pan, kapitanie, bardzo dobrze. Szedłem za waszmością.
- Po co?
- Turbowałem się o...

Zamilkłem. Oblicze mego pana tak mrocznym marsem się pokryło, że wszelki dźwięk w gardzieli mi zamarł. Źrenice jego, dotąd rozszerzone z racji słabego światła za oknem, zwężyły się raptem i wyostrzyły na podobieństwo dwóch szpikulców. Widywałem już byłem owo spojrzenie, a chwilę potem i krew sikającą z człeka, co padł właśnie na ziemię. Bóg mi świadkiem, żem się zestruchał.

Westchnąłem tedy głęboko i opowiedziałem wszystko. Od początku do końca.

- Kocham ją – zakończyłem.

Pewnikiem chciałem się tym zdaniem usprawiedliwić. Kapitan wstał tymczasem i stał teraz przy oknie, na strugi deszczu popatrując.

- Bardzo? – spytał z zadumą.
- Tak, że gdybym mógł to wyrazić, ni trochę do prawdy bym się nie przybliżył.
- Jej wuj jest sekretarzem królewskim.

Pojąłem, do czego zmierzały te słowa, w których więcej było przestrogi niżli wyrzutu. Oznaczały bowiem, że stąпам po gruncie nader śliskim: niezależnie od tego, czy Luis de Alquezár o wszystkim wiedział, czy nie – Malatesta pracował był dlań w poprzednich latach – pytanie brzmiało, czy

Angélica też do spiskowców należy albo czy wuj jej lub ktoś inny, lubo bezpośrednio niewplątany w awanturę, nie usiłuje przy sposobności własnej pieczeni upiec. Wskoczył do powozu w biegu.

– A poza tym – dodał kapitan – ona jest dworką królowej.

Co takż znaczenia pozbawione nie było. Raptem dotarł do mnie głęboki sens ostatnich jego słów i mróz po kościach mnie przeszedł. Myśl, że Najjaśniejsza Pani Elżbieta Burbońska mogłaby w intrydze palce swe maczać, nie była zgoła nedorzeczna. Wszak królowa też jest niewiastą – powiedziałem w duchu. Może się dać zazdrości ponieść na równi z byle pomywaczką.

– Wszelako po co ciebie w to wplątali? – zadumał się kapitan. – Ja im wystarczałem.

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie wiem – odparłem. – Gwoli oddania drugiej głowy pod topór?... Ale ma waszmość rację: gdyby królowa udział w tym brała, jej dworka pasowałaby wybornie.

– Albo komuś zależy, żeby pasowała.

Patrzyłem nań zagubiony, jak odchodzi do stołu i wpatruje się w stosik złotych monet.

– Nie wpadło ci do głowy, że ktoś chce rzecz całą królowej przypisać?

Aż gębę rozdziawiłem. Taki obrót spraw oznaczałby nader złowrogie skutki.

– Ostatecznie – ciągnął kapitan – nie dosyć, że zdradzona małżonka, to jeszcze Francuzka... Imaginuj oto: król ginie, Angélica przepada, ciebie pakują w dyby pospołu ze mną, żebyś na koniec zeznał na koźle, że wpakowała cię w to wszystko dworka królowej.

Uniosłem z urazą dłoń do serca.

– Ja nigdy bym Angeliki nie zdradził.

Uśmiechnął się lekko z oczami we mnie utkwionymi. Uśmiechem zmęczonego wiarusa.

– Aliści imaginuj, że tak się dzieje.

– Wykluczone. Waszej miłości takoz nie zdradziłem przed Świętym Oficjum.

– Zgoda.

Wzroku ze mnie nie spuszczał, lubo nic więcej nie rzekł, ja snadź wiedziałem, że rozmyśla. Ojcowie dominikanie to jedna sprawa, a królewscy sędziowie to inna. Jak to dopiero co Cupamagna oznajmił, są kaci, co potrafią największego chwata do paplania przymusić. Rozważyłem przeto i ja taki obrót spraw i nie mogłem odmówić mu prawdopodobieństwa. Dzięki przechadzkom po plotkarskich placach i pogawędkom z druhami kapitana wiedziałem to i owo o ostatnich wydarzeniach: konflikt pomiędzy francuskim ministrem Richelieu a hrabią-diukiem Olivaresem już zapowiadał terkot barabanów i przyszłe wojny. Nikt nie kwapił się zaprzeczyć, że ledwie nasi żabożerni sąsiedzi uporają się z hugenotami w La Rochelle, natychmiast zetrzemy się z nimi na powrót wśród bitewnego pyłu. Ktokolwiek przypuszczał, że królowa wmieszana była w intrygę, mógł błądzić – ale niekoniecznie. Sytuacja takowa dla wielu mogłaby być wielce pożyteczna. Byli tacy, co Elżbiety Burbońskiej nienawidzili – na przykład Olivares, jego małżonka i ich kamaryła – a takoz skwapliwie wyglądali naszej wojny z Francją, w naszych granicach czy poza nimi, jak chociażby Anglia, Wenecja, Turczyn, ba, sam Ojciec Święty. Antyhiszpański spisek, który obejmuje siostrę francuskiego króla – to nie było nie do pomyślenia. Atoli takowy domysł mógł przesłaniać inny – prawdziwy.

– Tuszę, że pora – ozwał się kapitan, zerkając na swój rapier – żebym drobną wizytę złożył.

Był to strzał na oślepa. Trzy lata przecie minęły, aliści nic nie szkodziło spróbować. W przemoczonym płaszczu i kapeluszu, z którego potoki wody ściekały, Diego Alatryste skrupulatnie przypatrywał się wszystkim szczegółom. Osobliwym trafem dom ten stał ledwo dwie ulice od jego kryjówki. A może to zgoła nie był przypadek. Znajdował się wszak w jednej z najpodlejszych części Madrytu, pełnej najtańszych gospod, szynków i oberż. A skoro on miał tu zacne schronienie, czemu nie inni?

Rozejrzał się. Deszczowa zasłona odcinała go z tyłu od placu Lavapiés i przesłaniała niemal całkowicie kamienną fontannę. Ulica Primavera⁸², pomyślał z drwiną. Trudno o mniej stosowną nazwę w takim miejscu, gdzie błoto niewybrukowanej jezdni sięga po kolana, i o tej porze, gdy woda niesie zewsząd nieczystości. Przed oczyma miał dom, dawną Oberżę Pod Lancknechem, z dachu ściekały szerokie strugi na frontową ścianę, a pocerowana bielizna, rozpięta przed ulewą do wyschnięcia, przypominała teraz jako żywo wywieszane z okien całuny.

Już dobrą godzinę stał na czatach, aż nareszcie podjął decyzję. Przeszedł przez ulicę i skierował się od razu na wewnętrzny dziedziniec, minąwszy bramę, w której końskimi odchodami cuchnęło. Nikogo nie obaczył, jeno kilka zmokłych kur, co pod balkonami dziobały ziemię, a kiedy wspinał się na drewniane, skrzypiące pod stopami schody, jakiś tłusty kocur, co właśnie padłym szczurem się posilał, posłał przybyszowi obojętne spojrzenie. Kapitan rozpiął klamrę płaszcza – nasiąknięta wodą tkanina zbytnim ciężarem mu była. Zdjął także kapelusz, bo przemoczone rondo przesłaniało mu wzrok. Jakie trzydzieści stopni pokonawszy, dotarł na samą górę, gdzie przystanął i pamięć wysilił. Jeśli go nie myliła, to ostatnie drzwi po prawej stronie, w samym kącie galerii. Przybliżył się i ucho przytknął. Nic. Jeno gruchanie gołębi, pod okapem dachu ukrytych przed ulewą.

Płaszcz i kapelusz na ziemi złożył i dobył z za pasa broń, za którą tegoż popołudnia wypłacił był Bartolowi Cupamagnie dziesięć eskudów: niemal nowy skałkowy pistolet, z lufą na dwie piędzi długą i dziwerowaną oprawą kolby, na której pyszniły się inicjały nieznanego właściciela. Sprawdził, czy dobrze jest nasmarowany mimo deszczu, i odwiódł kurek. Klik. Zacisnął broń krzepko w prawicy, a drugą ręką otworzył wnijście.

Była to ta sama niewiasta, teraz siedziała przy oknie i w słabym świetle igłą z nicią naprawiała kosz. Na widok intruza powstała gwałtownie, robótkę na podłogę zrzucając, i usta otworzyła, by krzyk wydać – atoli nie zdążyła, bo uderzyła o ścianę, powalona siarczystym policzkiem. Lepiej jeden cios teraz – gadał w duchu kapitan, gdy go wymierzał – niżli potem cała masa, kiedy ona się opamięta i do obrony będzie skora. Najlepiej na samym początku stracha napędzić i z równowagi wytrącić. Tedy zaraz też mocno niewiastę za szyję ucapił i usta zatkawszy jej lewą ręką, przystawił pistolet do skroni.

– Ani słowa – szepnął – albo rozwalę ci buzię.

Czuł na dłoni jej wilgotne sapanie, jej przerażone ciało blisko własnego, a tymczasem sam rozglądał się po izbie. Ta niewiele się zmieniła – te same nędzne meble, wyszczerbione naczynia na stole, nakrytym parcianą serwetą. Wszystko atoli utrzymane było w porządku. Zobaczył pleciony z ostnicy dywanik na podłodze i miedziany ruszt. Łóżko, stojące w oddzielonej zasłoną alkwie, schludnie zaścielone i czyste, a na palenisku bulgotał spory garnek.

– Gdzie on? – zapytał niewiastę, odsunawszy nieco palce od jej warg.

I znów strzał po omacku. Może jej nic już nie łączy z mężczyzną, którego szukał, aliści ona była jego jedynym śladem. Instynkt łowcy podpowiadał mu z zakamarków pamięci, że to łup nie do pogardzenia. Widział ją był po prawdzie jeno przez chwilę, dawno temu, wszelako

dobrze zakarbował sobie we wspomnieniach jej wyraz oczu, jej lęk. Jej niepokój o człeka podówczas bezbronniego i zaszczutego. Albowiem snadź węże też potrzebują kompanii – przypomniał sobie z sardonicznym uśmieszkiem. I dobierają się w pary.

Nie rzekła ni słowa. Zerkała jeno kącikiem przerażonego oka na pistolet. Wyglądała młodo i pospolicie, kształtów przyjemnych, smagła, szczupła, włosy na karku nosiła upięte, raptem pojedyncze kosmyki zwisały jej na lico. Ni nadobna, ni paskuda. Odziana w koszulę bez rękawów, baskinę z lichego materiału i chustę wełnianą, która wszelako zsunęła się była w wyniku starcia na ziemię. Woniała na poły strawą, w saganku przygotowywaną, na poły zasię trwożliwym potem.

– Gdzie? – nalegał kapitan.

Zalęknione oczy zwróciły się teraz ku niemu, usta atoli zachowywały milczenie, słyhać było jeno gwałtowny oddech. Pod łokciem, którym ją do ściany przyciskał, Alatryste wyczuwał pierś podnoszącą się i opadającą trzepotliwie. Znów zerknął wokół i spostrzegł ślady męskiej obecności: czarną kurtę zawieszoną na kołku, koszule w porzuconym na ziemi koszu, dwie walońskie bluzy, czyste i świeżo uprasowane. Równie dobrze wszelako mógł to być ktoś zgoła inny. Życie płynie, niewiasty są niewiastami, mężczyźni przychodzą i odchodzą. Tak bywa.

– Kiedy wraca? – spytał.

Nadal język za zębami trzymała, wpatrzona weń szeroko ze strachu otwartymi oczyma. Teraz atoli pojawił się w nich jak gdyby błysk zrozumienia. Może mnie rozpoznaje – pomyślał. I przynajmniej zmiarkowała, że snadź nie zamierzam jej samej krzywdy wyrządzić.

– Puszczę cię – rzekł, wsuwając pistolet za pas i dobywając lewaka. – Aliści krzykniesz jeno lub czmychnąć spróbujesz, a zarżnę cię jak prosię.

*

Gracze, szachraje, gapie okazji wypatrujący i w ogóle gęsta ciżba. O tej porze szulernię przy tunelu Świętego Michała wypełniał największy gwar. Jej właściciel Juan Vicuña wyszedł mi naprzeciw, ledwie próg przestąpił.

– Widziałeś go? – zagadnął z cicha.

– Rana na nodze się zabiźniła. Zdrow jest i posyła waszmości pozdrowienia.

Dawny wachmistrz kawalerii, okaleczony na wydmach Nieuwpoort, skinął głową z ukontentowaniem. Z panem mym łączyła go stara i niezłomna przyjaźń. Podobnie jak inni bywalcy Gospody Pod Turkiem, lękał się o los kapitana Alatryste.

– A Quevedo?... W Pałacu działa?

– Robi, co może. Czyli niewiele.

Westchnął głęboko bez słowa. Tak jak mość Francisco de Quevedo, Klecha Pérez i licencjat Calzas, Vicuña ani trochę nie wierzył w pogłoski o kapitanie krążące, atoli pan mój nie kwapił się do nich z prośbą o pomoc, ażeby ich samych nie wplątać. Napaść czynna na najwyższy majestat była zbrodnią, którą druhów nie należało obarczać, prowadziła snadź na szafot.

– Guadalmedina siedzi tu – potwierdził.

– Sam?

– Z diukiem de Cea⁸³ i jakimś portugalskim szlachcicem, który nie jest mi znany.

Wręczyłem mu swój sztylet, jako było tu we zwyczaju, Vicuña przekazał go zaraz odźwiernemu. W owym Madrycie, kipiącym od wyniosłych ludzi i szybkiego żelaza, dekrety zakazywały wstępu do szulerni i lupanarów w uzbrojeniu – ot, na wszelki wypadek. A mimo to karty i kości często krwią były powalane.

– W dobrym czy złym jest humorze?

– Dopiero co sto eskudów wygrał, tuszę zatem, że w dobrym. Atoli nie zwlekaj ze sprawą, słyszałem, że myślą przenieść się do zamtuza de las Soleras, gdzie ugadane już mają wieczerzę i dziewczki.

Uścisnął mi ramię serdecznie i puścił mnie samopas. Vicuña sprawił się był jak rzetelny druh – powiadomił mnie, że Álvaro de la Marca nawiedził właśnie zaciszną izbę w jego przybytku. Po spotkaniu z kapitanem Alatryste długo obracałem w głowie plan, może rozpaczliwy, aliści innego nie miałem. Za czym przemierzyłem skąpane w deszczu miasto, składając wizyty przyjaciołom i rozsnuwając sieć w różnych miejscach. Teraz byłem już cały przesiąknięty wodą i znużony, wszelako nareszcie łowy me wyglądały na pomyślne – rzecz nie do wyobrażenia w posiadłości Guadalmediny lub w Pałacu. Długo się wahałem, aż postanowiłem pójść do końca, choćbym miał to przypłacić wolnością albo i żywotem.

Przeszedłem salę na ukos, skroś żółtawe światło, padające z wielkich lojowych świeczników, zawieszonych u powały. Już nadmieniałem, towarzystwo było nie mniej szemrane niżli niektóre kości, jakimi nieraz rzucano: pieniądze, roztaska i koszałka–opałka śmigają po stołach, których stało tu z pół tuzina, a ponad nimi pochylało się całe mrowie łbów. Tu godzono w wole oko, tam ślepka po blacie się turlały, ówdzie słyhać było wszelakie „jakem taki owaki”, „na psa urok” i „do czarta”, a wszędy szachraje i oczajdusze, asa z rękawa wydobyć zdolne albo przebitkę niespodzianą, usiłowali bliźniego oszwabić, już to przez powolne wykrwawienie, marawedi w ślad za marawedi, już to dzięki błyskawicznej hekatombie, która naiwnemu dudkowi spod siedzenia za jednym zamachem cały skarbiec usuwała, w odmęt przegranej go wrzucając:

Wyklęta bądź, kaduczna, podła karto,

*Podstępnieś mi szeptała, że grać warto;
Gram wtóry raz, i szósty,
Aż karty mi ostały – i trzos pusty.*

Álvaro de la Marca był z tych, co się wydziedziczyć nie pozwalali. Oko miał bystre, ręce jeszcze lepsze, i śmiało zwać się mógł doktorem od szczywanych dziurek, różyczek i innych gmerków potajemnych. Jeżeli oskoma go naszła, umiał przemyślnie ocyganić tego, co go akuratnie rozjuszył. Teraz stał wedle stołu wielce ożywiony i wciąż wygrywał. Jak zwykle odziany wytwornie: płowy kaftan, srebrną nicią wyszywany, pludry i buty z wywiniętymi cholewami, za pasem złożone miał rękawiczki nasączone ambłą. A wraz z nim byli tu wspomniani przez Vicuñę kawaler portugalski – potem miałem się dowiedzieć, że to młody markiz de Pontal – oraz diuk de Cea, wnuk diuka de Lerma, szwagier admirała Kastylii, młodzieniec oczywiście najprzedniejszego rodu, który później miał zyskać sławę wybornego żołnierza w wojnach italskich i flamandzkich, nim ostatecznie poległ nader godnie na polach nadreńskich. Owóz i jam do nich się przybliżył, mijając oszustów, typów spod ciemnej gwiazdy i pospolitych gapiów, i stanąłem, ścichapek, aż Guadalmedina wzrok znad blatu uniósł, gdzie właśnie przygwoździł dwóch pozostałych kościmiotów rączą parą czarniutkich szóstek. Mój widok snadnie go zaskoczył, w dodatku niemile. Powrócił zaraz do gry z marsem na czole, ja atoli trwałem, gdzie stał, nie chcąc odchodzić, zanim mnie nie wysłucha. Gdy ponownie na mnie spojrział, przybrałem na lico wyrozumiałą minę i odsunąłem się nieco w nadziei, że lubo nie znajduje w sobie ochoty, by mnie powitać, to może chociaż zaciekaw i go, cóż takiego mam mu do powiedzenia. Nareszcie grę przerwał, aczkolwiek z widomą niechęcią. Patrzyłem, jak zgarnia wygraną ze stołu, jak datki paru przygodnym klientom wręcza, resztę zasię do

sakiewki wsuwa. Co uczyniwszy, ku mnie podszedł, po drodze znak chłopakowi przy szynkwasię dając, żeby pilnie nową karafkę wina przytargał. Bogacz zawsze na pomoc jakiegoś Cyrenejczyka liczyć może.

– Paradne – ozwał się, popijając wino. – Ty tutaj.

Przeszliśmy do izdebki, którą Juan Vicuña był nam wskazał. Bez okien, z jednym stołem, dwoma krzesłami i zapalonym lichtarzykiem. Zamknąłem drzwi za sobą i oparłem się o nie plecami.

– Do sedna zmierzaj – zarządził Guadalmedina.

Przypatrywał mi się z urazą, a mnie żal dogłębny ogarnął na tę obojętną minę i słowa, jakimi mnie zbywał. Jakżeż mocno musiał zranić go kapitan – pomyślałem – skoro potrafił teraz zapomnieć, że mu życie pod Qerqenny zawdzięcza, że dla przyjaźni z nim i dla wierności królowi zaatakowaliśmy byli „Niklaasbergen” i że pewnej sewilskiej nocy poszatkowaliśmy kilku pachółków nieopodal lupanaru „Wodne Oczko”. Zaraz wszelako baczenie dałem na sine znamiona, nadal na obliczu jego widoczne, na trudność, z jaką ramieniem poruszał, ranionym na ulicy Criminales, i wraz pojąłem, że każdy ma własne pobudki ku temu, co czynić i czego nie czynić. Álvaro de la Marca aż nadto miał powodów, by anse do kapitana Alatryste odczuwać.

– Jest coś, czego wasza miłość nie wie, a wiedzieć powinien – rzekłem.

– Coś?... Chcesz powiedzieć, że jest tego aż za dużo. Ale do rzeczy.

Ostatnie słowo, niczym złowróżbny znak albo groźbę, utopił już w winie, które do ust podniósł. Nie siadał, jak gdyby rychło skończyć zamierował z tą pogawędką, i nieprzystępne sprawiał wrażenie, gdy tak stał z jedną ręką na karafie zaciśniętą, a drugą butnie wspartą na biodrze. Popatrzyłem na jego magnackie oblicze, falujące włosy, kędzierzawy wąsik i jasną bródkę. Na białe i wytworne dłonie, na pierścień złoty, który sam jeden wystarczyłby, żeby pojmańca z Algieru wykupić. Tamta Hiszpania to inny świat – uznałem w duchu – władza i pieniądz od kołyski po grób. Ktoś

taki jak Álvaro de la Marca nigdy na pewne sprawy bezstronnie nie spojrzy. Aliści nie mogłem nie spróbować. Już wystrzelałem niemal wszystkich apostołów, to była ostatnia porcja prochu w zanadrzu.

– Ja też tam w nocy byłem – zacząłem.

* * *

Zmierzch zapadł. Na zewnątrz dalej lało jak z cebra. Diego Alatryste siedział bez ruchu przy stole i spoglądał na niewiastę, która także bez słowa siedziała na wprost niego na krześle, z rękami z tyłu związanymi i zakneblowana szmatą. Nie był z siebie kontent, ale też i wyboru nie miał. Jeśli człek, na którego czekał, jest tym samym, którego się spodziewa, pozostawianie jej na swobodzie zbyt dużą groźbę stanowiło, wszak mogła wszcząć ucieczkę albo rwetes. szmeru nijakiego starając się nie czynić, stanął tuż przy drzwiach.

– Gdzie jest światło? – zapytał.

Nawet nie drgnęła. Patrzyła jeno na niego z kneblem w ustach. Alatryste powstał i jął w szafie grzebać, aż znalazł ogarek i nieco wiórów, które zaraz zaniósł ku palenisku, gdzie suszyły się jego płaszcz i kapelusz. Przy sposobności odstawił z ognia gar, w którym tak już buzowało, że połowa zdążyła wykipieć. Ogarkiem zapalił świecę, na stole stojącą, za czym nałożył sobie trochę strawy z garnka do miski – duszona baranina z ciecierzycą zbyt była gęsta i wygotowana, jeszcze bardzo gorąca, ale pochłonał ją z chlebem i karafką wody, następnie zasię tłuszcz do cna wyskrobał. Tu na powrót ku gospodyni spojrział. Już trzy godziny tu siedział, a ona nie raczyła przez cały ten czas słowa nawet wydusić.

– Nie turbuj się – skłamał. – Ja tylko chcę z nim porozmawiać.

Alatriste zdołał już czas spożytkować, by wywiedzieć się, czy we właściwe trafił miejsce. Krom czarnej kurty, koszul, bluz i innej odzieży, którą znalazł w izbie, a która mogła należeć do lada kogo, w potężnym kufrze trafił na parę grzecznych pistoletów, pełną prochownicę i woreczek z nabojami, sztylet ostry jak brzytwa, oczkową kolczugę zwaną przez uliczną brać „jedenaście tysięcy” i trochę listów i dokumentów z zaszyfrowanymi miejscami przeznaczenia. Były tam także dwie książki, które teraz, załadowawszy wprzód dwa pistolety i wsunawszy je sobie za pas, z zaciekawieniem przeglądał w świetle płomyka. Broń od Cupamagny odłożył na stół.

Jeden z tomów, ku jego zaskoczeniu, była to *Historia naturalna* Pliniusza po włosku, w Wenecji drukowana, która przez chwilę kazała kapitanowi wątpić, czy człek, na jakiego czatuje, i właściciel książki to jedna i ta sama osoba.



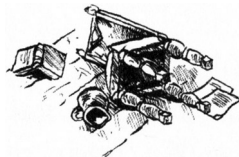
...szmeru nijakiego starając się nie czynić, stanął tuż przy drzwiach.

Druga była po hiszpańsku, a jej tytuł sprawił, że na twarzy kapitana pojawił się uśmiech: *Polityka Boża, rządy Chrystusowe* mości Francisca de Quevedo y Villegas.

Jakiś hałas na zewnątrz. Błysk lęku w oczach niewiasty.

Diego Alatryste pistolet wziął ze stołu i szmeru nijakiego starając się nie czynić, stanął tuż przy drzwiach. Zaraz też wszystko potoczyło się nader

prosto: wniósł się otwarcie, a do środka wszedł Gualterio Malatesta, otrząsając przemoczony płaszcz i kapelusz. Naówczas kapitan nader spokojnie przystawił mu do skroni lufę pistoletu.





VIII. O ZABÓJCACH I KSIĄŻKACH.



na nie ma z tym nic wspólnego – ozwał się Malatesta.

Na ziemi leżały już jego rapier i sztylet, wedle polecenia, jakie był mu Alatryste wydał. Włoch patrzył na zakneblowaną i przywiązaną do krzesła niewiastę.

- Nie dbam o to – odrzekł kapitan, wciąż mierząc przybyszowi w skroń.
- Jest moją wziętką.
- Dobrze ugrana, zaiste... Niewiasty też zabijasz waszmość?
- Jeśli palce maczają. Tuszę, że podobnie jak i waszeć.

Włoch skinął głową w zadumie, jak gdyby zgadzał się z tymi słowy. Jego oblicze, dziobami po ospie upstrzone i naznaczone blizną, co mu lekkiego zeza w prawym oku przydawała, nijakich uczuć nie zdradzało. Nareszcie ku kapitanowi się obrócił. Z boku padał nań blask stojącej na stole świecy, na jego czarne odzienie, złowrogą minę i okrutne, ciemne źrenice. Pod wąsko przyciętym wąsikiem ślad uśmiechu zamajaczył.

- Już wtóry raz mnie tu waszmość nawiedzasz.
- I ostatni.

Malatesta milczał przez krótką chwilę.

- Podówczas także miałeś w dłoni pistolet – ozwał się nareszcie.

Alatriste wybornie to sobie przypominał: łóżko, tę samą nędzną izdebkę, rannego męża, jego zmijowe spojrzenie. „Jeśli fortuna dopisze – powiedział był wtedy Włoch – może zdążę do piekła na wieczerzę”.

– Po wielekroć później żałowałem, że byłem zeń użytku nie zrobił – odparł Alatriste.

Okrutny uśmiezek już pełnię osiągnął. W tym – zdawał się mówić – jesteście zgodni: wystrzały są jak ostateczne kropki, a wahania jak niebezpieczne wielokropki. Zerknął i z miejsca rozpoznał parę pistoletów, które kapitan znalazł był w kufrze, a teraz trzymał za pasem zatknięte.

– Nie lza waszmości po Madrycie tak się przechadzać – rzucił Włoch ze zjadliwą troską. – Powiadają, że waszmościna skóra nawet miedziaka nie jest warta.

– Kto tak powiada?

– Nie wiem. Różni.

– Turbuj się raczej o własną.

Malatesta ponownie skinął głową zadumany, jakby za poradę dziękując, za czym spojrzał na niewiastę, której zatrwożone oczy miały się od jednego do drugiego.

– Aliści jest jedna rzecz, która niejaka ujmę mi przynosi, szanowny panie kapitanie... Skoro nie odstrzeliłeś mi łba, ledwie próg przekroczył, snadź nadzieję żywisz waszmość, że coś wyśpiwam.

Alatriste nic nie odrzekł. O pewnych sprawach w tej profesji nie trzeba było gadać.

– Miarkuję, żeś ni chybi ciekaw – dodał Włoch po chwili zastanowienia.

– A i bez własnego uszczerbku może potrafiłbym waszmości co nieco opowiedzieć.

– Dlaczego ja? – zagadnął Alatriste.

Uniósł lekko dłonie Malatesta, jak gdyby kwapił się rzec: „A dlaczego nie”, za czym skinął głową w kierunku karafki z wodą na stole gwoli przepłukania gardzieli, atoli kapitan pokręcił odmownie głową.

– Z różnych powodów – jął odpowiadać tamten, zmuszony samemu z pragnieniem sobie radzić. – Masz waszmość nieuregulowane rachunki z wieloma ludźmi, nie ze mną jeno... A waszmościne zapędy do tej Castro to raptem stosowne zwieńczenie – tu uśmiechnął się szpetnie od ucha do ucha. – Jakże poniechać sposobności, która wszystko pozwoli zrzucić na atak zazdrośnika, osobliwie gdy ktoś tak jak waszmość skoro za żelazo chwyta... I szkoda, że podstawili nam kogoś innego.

– Wiedziałaś, kim był ów człek?

Malatesta językiem wyniośle strzelił. Jak stary żołnierz, na głupocie przyłapany.

– Sądziłem, że wiem – odparł ponuro. – Potem zasię na jaw wyszło, że nie wiedział.

– Aleś gotował się zabić, tedy bardzo wysoko waszmość mierzyłeś.

Włoch popatrzył na kapitana z zaskoczeniem. I z ironią.

– Wysoko, nisko, ważna figura czy pionek, jeden czart – rzekł. – Żadnego króla nie cenię wyżej niżli tego w kartach, a Boga wzywam, jeno bluźniąc. Kiedy życie i lata cię z czegoś ogołocą, osobliwą ulgę czujesz... Wszystko staje się dużo prostsze. Bardziej praktyczne. Czyż nie mam racji?... Ach, naturalnie. Zapomniałem, żeś waszmość żołnierzem. Dla pozorów zachowania, ludzie waszmościnego autoramentu, żeby godności nie postradać, potrzebują słów w rodzaju „król”, „prawdziwa wiara”, „ojczyzna” i tym podobnych... Toć to kłamstwa, czyż nie?... Przypatrz się swojemu życiu i swojej sytuacji.

Skończył, atoli nadal na kapitana spoglądał, może odpowiedzi oczekując.

– W każdym razie – dodał po chwili – nibyś waszmość taki wierny i wzorowy, a nie przeszkodziło ci to podkradać niewiasty Jego Katolickiej Mości. A przecie żeński tygielek bardziej piekielnej czeluści podobny niżli zapadnia w trybunale... *Puttana Eva*⁸⁴!

Zamilkł z szyderczą miną, za czym spomiędzy zębów jego wypełzła ulubiona melodyjka. Omijając wciąż wycelowany weń pistolet, niedbale omiótł wzrokiem całą izbę. Oczywiście pozornie niedbale – Alatryste zmiarkował, że czujne oczy Włocha pilne baczenie na każdy szczegół dawały. Jeśli choćby na chwilę z oczu go spuszcze, łajdak rzuci się na mnie.

– Kto waszmości płaci?

Ochrypli, skrzekliwy śmiech wypełnił pokój.

– Wara ci od mego warsztatu, kapitanie. Nie przystoi takowe pytanie wśród ludzi naszej profesji.

– Czy Luis de Alquezár jest w to zaplątany?

Tamten w obojętnym milczeniu spoglądał na książki, które kapitan odłożył był na stół.

– Jak widzę, ciekawys waszmość moich lektur – ozwał się nareszcie.

– Zaskoczyły mnie – przyznał kapitan. – Nie wiedziałem, żeś skurwielem czytany.

– Jedno drugiemu nie wadzi.

Malatesta przypatrywał się teraz niewieście, nadal bez ruchu na krześle siedzącej. Mimowolnie dotknął blizny na prawym oku.

– Książki pomagają zrozumieć, prawda?... Można w nich nawet znaleźć usprawiedliwienie dla własnych kłamstw, zdrad... Morderstw.

Mówiąc to, oparł dłoń na stole. Alatryste odsunął się tedy czujnie i ruchem pistoletu nakazał Włochowi, by uczynił to samo.

– Za dużo waszmość gadasz. W dodatku nie to, co mnie interesuje.

– A co byś chciał. My z Palermo mamy swoje zasady.

Oddalił się posłusznie na kilka cali od stołu i jął się wpatrywać w połyskującą w blasku świecy lufę.

– Co z małym?

– Dobrze. Fruwa gdzieś.

W uśmiezku łotra pojawiły się porozumiewawcze skry.

– Widzę, żeś go waszmość zdołał w to nie wplątać... Winszuję. Ma chłopak ikrę. I dobry jest. Obawiam się aliści, że przy tobie na złą drogę się wykieruje. Skończy jak my dwaj... Lubo podejrzewam, że ja skończę tu i teraz.

Nie była to ni skarga, ni sprzeciw. Jeno logiczna konkluzja. Malatesta jeszcze jedno spojrzenie niewieście posłał, tym razem dłuższe, za czym na powrót ku Alatristemu się obrócił.

– Szkoda – ozwał się ze spokojem. – Łacniej pogawędziłbym w innym miejscu, z rapierem w dłoni, bez pośpiechu. Waszmość, jak tuszę, pewnie nie dasz mi takiej sposobności.

Wbił weń wzrok, w którym i pytanie było, i ironia.

– Bo nie dasz mi jej... Prawda?

Patrzył kapitanowi w oczy i uśmiechał się z zimną krwią.

– Czy kiedykolwiek przyszło waszmości do głowy – ozwał się raptem – że jesteśmy do siebie nader podobni?

Nasze rzekome podobieństwo – pomyślał Alatriste – potrwa ledwie kilka chwil jeszcze. Ujął pistolet bardziej krzepko, wycelował prosto w głowę Włocha i położył palec na języczku.

Malatesta w mig wyrok odczytał, jak gdyby powieszono mu przed ślepiami ogromny karton. Oblicze mu stężało, a uśmiech zamarł na wargach.

– Zobaczymy się w piekle – rzekł.

W tym momencie niewiasta, mimo rąk z tyłu związanych, oczu na wierzch wypełzłych i knebla w ustach, co krzyk jej rozpaczliwy w gardle dławiał, powstała wraz z krzesłem i rzuciła się głową naprzód ku kapitanowi. Ten w bok uskoczył, żeby ciosu uniknąć, i wtedy na chwilę we wroga swego mierzyć przestał. Atoli dla Gualteria Malatesty najdrobniejsza chwila oznaczała szeroką miedzę, co życie od śmierci oddziela. Alatryste unik zrobił przed nacierającą pojmanką, która u stóp mu padła, i usiłował na powrót wycelować we Włocha, ten atoli dłonią zgasił płonąca na stole świecę, przez co izba pogrzyżyła się w ciemności, za czym na podłogę się rzucił, by broń swą odzyskać. Padł strzał, prysła szyba nad głową Malatesty, a błysk ognia wyłowił na moment z mroku rapier, który tamten już w dłoni dzierżył. Na rany Chrystusa – zaklął Alatryste. Ucieka. I wprzód jeszcze gotów sam mnie zgładzić.

Niewiasta skowyczała na ziemi, wijąc się jak oszalone zwierzę. Alatryste przeskoczył przez nią, upuścił zużyty pistolet i dobył rapiera. Mógł zdążyć jeszcze zabić Malatestę, zanim ten się z podłogi dźwignie – byleby jeno potrafił go w ciemności dostrzec. Zadał kilka ciosów puntą na oślepe, aliści wszystkie poszły w próżnię. Czujnie zakreślał bronią półokrąg, gdy raptem mocne, pewne pchnięcie dopadło go z tyłu, przeszło przez napierśnik i omal ciała by dosięgło, gdyby nie robił właśnie półobrotu. Łoskot przewracanego krzesła zezwolił mu na lepszą orientację, w tamtą też stronę ruszył z bronią, która nareszcie szczęknęła o wraży rapier. Tuś mi, bratku – pomyślał, lewą ręką dobywając pistoletu. Malatesta atoli już wcześniej zmiarkował był, że kapitan pistolety sobie przywłaszczył, nie zamierował teraz przeto czekać, aż będą do strzału gotowe. Rzucił się na przeciwnika nader gwałtownie, tnąc i siekąc, chwytając kapitana za bary. Nie padło żadne słowo, obelga czy przechwałka, obydwaj oszczędzali oddech na same zmagania, słyhać było jeno stęknienia i sapanie. Skoro miał czas, żeby za sztylet chwycić –

rzekł w duchu kapitan – oto jestem. Porzucił pistolet i jął się z tyłu macać, szukając swego lewaka. Tamten snadź zamiar jego przejrzał, bo jeszcze mocniej uściskiem go objął, na ziemię obalił i obydwaj potoczyli się wśród łoskotu mebli i chrzęstu tłuczonych naczyń. W takiej bliskości rapiery na nic się nie zdadzą. Alatryste nareszcie zdołał lewe ramię oswobodzić, dobył lewaka, zamachnął się i zadał dwa straszne pchnięcia. Pierwszym rozdarł odzienie przeciwnikowi, drugie atoli poszło w powietrze. Na trzecie nie było już czasu. Drzwi otwarły się z hukiem, a w jasnym prostokącie słabego światła na moment pojawiła się postać Włocha, który precz z domu czmychał.

* * *

Czułem się szczęśliwy. Lać poniechało, dzień wstawał promienny, rozjaśniony słońcem i przeczystym błękitem ponad dachami, a ja progi Pałacu przekraczałem społem z mości Franciskiem de Quevedo. Wprzód trzeba nam było przejść cały plac, przeciskając się skroś gawieź, co się tu była jeszcze przed świtem zjawiała, aliści dalszą drogę zagradały jej uniformy i lance straży pałacowej. Ciekawski, rozgadany, naiwnie wierny swym monarchom i zawsze skwapliwie puszczający w niepamięć własne biedy, za to z niewytłumaczalną błogością na cześć panów swych wiwatujący – lud madrycki radośnie zgromadził się przed dostojnym gmachem, ażeby pozdrowić parę królewską, co siedzibę swą miała właśnie opuścić w powozach, które już oczekiwały od południowej strony Pałacu. Krom pospolitego zbiegowiska, podróż ich królewskich mości w nie mniejsze podniecenie wprawiała istny legion dworzan, szlachciców z urodzenia i z gadki, dworek, służących i woźniców. Do Escorialu udawała się takż – o ile już tam nie dotarła – trupa teatralna Rafaela de Cózar, a w

jej gronie oczywiście María de Castro, jako że Rapierem i sztyletem miało być wystawione w tamecznych ogrodach na początku następnego tygodnia. Jako się zazwyczaj dzieje, członkowie orszaku monarszego prześcigali się w wystawności i ostentacji, a to na przekór obowiązującym edyktom. Rozległy plac przed Pałacem stał się gwarną sceną, pełną powozów z herbami na drzwiczkach, wybornych mułów w zaprzęgach i jeszcze lepszych koni, roziskrzony liberiami, jedwabiami, brokatami i wszelakimi ozdobami – kto bowiem mógł (jak również kto nie mógł), ostatniego marawedi wydawał, byle jeno móc się pokazać. Dostojnicy i plebejusze odgrywali te role z wszelkich pozorów zachowaniem i z zapamiętaniem, gotowi do grobowej deski powoływać się na rzekomą gocką krew w ich żyłach, a wszystko to, by sąsiada przyćmić. Jak bowiem powiadał Lope, w Hiszpanii:

*Niechże ja na stosie spłonę,
Gdybym wziął grosz od każdego
Jaśnie pana szlachetnego
I nie zebrał wnet miliona.*

– Nadal nie mogę się nadziwować – powiedział mość Francisco – żeś Guadalmedinę przekonał.

– Jam go nie przekonał – odparłem szczerze. – On sam do tego doszedł. Opowiedziałem mu jeno, jak się sprawy potoczyły. On zasię dał mi wiarę.

– Może bardzo chciał ci ją dać. Zna Alatristego i snadnie wie, do czego tamten zdolny, a do czego nie. Pomysł, że w grę wchodzi obcy spisek, więcej sensu wszystkiemu nadaje... Inna rzecz łeb dla spódnicy postradać, a inna króla zasztyletować.

Podążaliśmy między granitowymi kolumnami ku centralnym schodom. Ponad głowami naszymi wschodzące słońce już jęło blaskiem omywać niby starożytnie kapitele i dwugłowe orły, na lukach rzeźbione, a złote promienie zalały właśnie Dziedziniec Królowej, gdzie znaczne grono dworzan czekało, aż para królewska wyjść zechce. Mość Francisco przywitał się z kilkoma znajomkami, nader politycznie kapelusz z głowy zdejmując. Poeta odziany był w czarny strój z krezą, kapelusz ze wstążkami, krzyż na szyi uwieszony i krótki rapier ze złożoną rękojeścią – a i ja w tyle nie pozostawałem w sukiennym stroju, czapce i ze sztyletem za pas na plecach zatkniętym. Sakwę mą podróżną, wypakowaną ubraniami i dwiema zmianami bielizny, co mi ją Cyganicha była naszykowała, sługa pałacowy wrzucił właśnie do powozu służących markiza de Liche, z którymi wedle rozporządzenia mości Francisca podróż miałem odbyć. On sam zasiąść się sposobił w karecie tegoż markiza, a przywilej ów tłumaczył, jak zwykle, na swoją osobliwą modłę:

*Lęku nie zaznaję, gdy
Wokół mnie szlachciców siła:
Skoro cną krew król ma w żyłach,
Takaż i u jego wszy.*⁸⁵



Podążaliśmy między granitowymi kolumnami ku centralnym schodom.

– Hrabia wie, że kapitan jest niewinny – rzekłem, kiedyśmy na powrót sami pozostali.

– Ani chybi – odparł poeta. – Atoli zuchwalstwo kapitańskie i owa rana w rękę to rzeczy, jakie wybaczyć trudno, osobliwie zasie, kiedy i król w to wmieszany... A teraz ma sposobność zakończyć sprawę z honorem.

– Nie zobowiązuje się zgoła do wielkich rzeczy – zaproponowałem. – Ma jeno umożliwić spotkanie kapitana z hrabią–diukiem.

Mość Francisco rzucił okiem wokół nas i ściszył głos.

– To nie błahostka – oznajmił. – Aliści dworakiem jest z krwi i kości i nie omieszka własnej pieczeni przy tym upiec... Sprawa znacznie wyrasta ponad zwyczajną awanturę ze spódniczkami, tedy wielce roztropnie czyni, powierzając ją jaśnie faworytowi. Alatryste to nader przydatny świadek, może spisek pomóc udaremnić. Wiedzą, że torturowany pary z ust by nie pisnął, a na pewno w tej materii mają uzasadnione wątpliwości... A po dobroci inna śpiewka.

Ponownie jęły mnie igielki sumienia kłuć w duszę. O Angelice de Alquezár nie powiedziałem ni słowa ni Guadalmedinie, ni mości Franciscowi, jeno kapitanowi. Czy pan mój zdradziłby Angelicę, to już on sam jeno wiedział. Ja wszelako za nic w świecie nie wypaplałbym obcym imienia tej, którą na przekór wszystkiemu i na własną zgubę kochałem bez pamięci.

– Kłopot w tym – ciągnął poeta – że z racji harmidru, jaki swą ucieczką uczynił, Alatryste nie może sobie po ulicy paradować, jak gdyby nigdy nic... A na pewno wprzódy musi się z Olivaresem i Guadalmediną w Escorialu rozmówić. Butów siedmiomilowych zasię nie posiada, żeby rychło móc się tam udać.

Przytaknąłem strapiony. Wszak ja sam na konto mości Francisca nająłem byłem rączego konia, ażeby kapitan mógł nazajutrz przed świtem ku królewskiej siedzibie wyruszyć i o zmroku na miejsce dotrzeć. Rumak, opiece Bartolo Cupamagny powierzony, miał o gwieździe zarannej stać osiodłany wedle pustelni Anioła Pańskiego, na drugim końcu mostu Segowiańskiego.

– Może wasza miłość powinien porozmawiać z hrabią, żeby coś nieprzewidzianego nie wynikło.

Mość Francisco dłoń przyłożył do krzyża Świętego Jakuba, powisającego na piersi.

– Ja?... Nawet o tym nie myśl, młodzieńcze. Udało mi się z dala trzymać od całej sprawy, przyjaźni kapitana nie tracąc. Po cóż miałbym teraz wszystko popsuć?... Ty sam wybornie dajesz sobie radę.

Skinieniem głowy kolejnych znajomków pozdrowił, podkreślił wąsą i lewicę na rękojeści rapiera położył.

– A muszę wyznać, żeś się zachował, jak przystało na prawdziwego mężczyznę – zakończył ciepło. – Dotrzeć do Guadalmediny to jak gdyby łeb położyć pod topór... Krzepką masz wolę.

Nic nie odrzekłem. Rozglądałem się, i ja wszak miałem jeszcze spotkanie przed wyruszeniem do Escorialu. Dotarliśmy właśnie do szerokich schodów, co łączyły Dziedzińce Króla i Królowej, na głównym podejściu pokrytych ogromnym kobiercem ze scenami alegorycznymi – tam nieruchomą straż pełnili czterej halabardnicy niemieccy. Sama dworska śmietanka, z hrabią–diukiem i jego małżonką na czele, oczekiwała tu na wyjście pary królewskiej, by powitać ją pochwalnymi słowy: istna profuzja wytwornych strojów, klejnotów, perfum niewieścich, trefionych męskich wąsów i loków. Patrzyłem, a jednocześnie posłyszałem, jak mość Francisco mruczy pod nosem:

Spójrz na ich palce – klejnotów bogactwo,

Popatrz na ciała – złotem obleczone...

Pod spodem – jeno ziemia i robactwo.⁸⁶

Obróciłem się ku niemu. Wiedziałem już co nieco o świecie i o stołecznym mieście. Nie zapomniałem także słów o królu i jego wszach.

– Kontent jestem, że waszmość pan poeta – rzekłem z uśmiechem – podróżujesz w powozie markiza de Liche.

Mość Francisco rzucił w mą stronę niezmacone niepokojem spojrzenie, zerknął w lewo i w prawo, za czym klepnął mnie lekko w kark.

– Cichajże, gaduło. Wszystko na świecie ma swój czas. A nie przydawaj prawdziwości owemu znakomitemu wierszowi, mojego rzecz jasna pióra, który mówi:

*Nacierać młode uszy prawdą gorzką rzecz niepewną*⁸⁷.

I tym samym głosem jął recytować:

Precz, złośliwe podszepty złego ducha.

Mogę być świadkiem – ale nie współnikiem.

*Świat nowy niech starego przestrog słuca.*⁸⁸

Świat nowy atoli, czyli ja, mimo uszu puszczał już przestrogi świata starego. Spomiędzy ciżby wychynął łeb błazna Gastoncilla, który nuże znaki mi dawać, bym na górne schody popatrzył, przez służbę pałacową używane. A kiedy wzrok uniosłem, ujrzałem na górnym podeście, tuż ponad granitową balustradą, jasne loki Angeliki de Alquezár. List, którym uprzedniego wieczoru napisał, snadź do adresata dotarł.

– Musi mi panienka to i owo wytłumaczyć – oświadczyłem. – Tak tuszę.

– Ani myślę. W dodatku nie mam dużo czasu, ponieważ Najjaśniejsza Pani za chwilę schodzić będzie.

Stała oparta dłońmi o balustradę i przypatrywała się krzątaniu na dziedzińcu. Z oczu jej tego poranka bił taki sam chłód, jak z jej słów. Bez śladu przypadło owo dziewczę rozpalone, w męski strój odziane, którym niedawno tulił był w ramionach.

– Tym razem posunęliście się za daleko – rzekłem. – Panienska, panienska wuj i kto tam jeszcze jest w to zamieszany.

Z niedbałą minką zaplotła palce na wstążeczkach, co zdobiły jej wyszywany w kwiatki kaftanik z satyny. Jedwabna spódnica aż lśniła.

– Nie wiem, o czym waszmość powiadasz. Ani co mój wuj ma wspólnego z waszmościny mi bredniami.

– Mówię o zasadzce wedle Las Minillas – odrzekłem z gniewem. – O mężczyźnie w żółtym kaftanie. O próbie zgładzenia...

Położyła mi dłoń na ustach – tak samo, jak kilka nocy wcześniej złożyła na nich była pocałunek. Dreszcz mnie przeszedł, który uwadze jej nie umknął. Uśmiechnęła się.

– Nie plećże głupstw.

– Jeżeli wszystko na jaw wyjdzie – powiedziałem – znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

Przypatrywała mi się z zaciekawieniem. Jak gdyby niepokój mój ją frapował.

– Nie mieści mi się w głowie, ażebyś waszmość w miejscu niestosownym imię damy wymówił.

Słowa jej zabrzmiały wielce znacząco, rzekłbyś, odgaduje, co mi się po głowie miota. Wyprostowałem się z niezadowoleniem.

– Może ja nie – odrzekłem. – Ale więcej ludzi jest w to zamieszanych.

Zdało się, że nie może dać wiary temu, co słyszy.

– Opowiadałeś o mnie twemu przyjacielowi Batatriste?

Umilkłem, wzrokiem w bok błędząc. Wyczytała odpowiedź z mego oblicza.

- Miałam waszmości za szlachcica – rzekła ze wzgardą.
- Jestem nim – odparłem.
- I miałam też nadzieję, że mnie kochasz.
- Otóż Kocham.

Dolną wargę przygryzła w zadumie. Oczy jej jawiły się niczym dwa zimne, gładkie, modre kamyki.

– Zdradziłeś mnie waszmość jeszcze przed kimś? – spytała nareszcie szorstko.

W słowie „zdradziłeś” tyle było pogardy, żem zamilkł, zasromany. Po chwili odzyskałem kontenans i jużem gotów był znów protestować. Nie spodziewa się panienka, chciałem rzec, że wszystko to przed kapitanem zataję. Aliści dźwięki trąb, co dziedziniec wypełniły, zagłuszyły me słowa – oto Ich Królewskie Mości pojawiły się po drugiej stronie balustrady, u szczytu głównych schodów. Angélica rozejrzała się i zebrała dłonią obrąbek spódnicy.

– Muszę iść – jej myśli zdawały się galopować. – Może jeszcze się spotkamy.

– Gdzie?

Rzuciła mi dziwne spojrzenie, pełne wahania. I tak przenikliwie, żem się poczuł niczym nagi.

– Wybierasz się waszmość do Escorialu pospołu z mości Franciskiem de Quevedo?

– Tak.

– Tedy tam.

– Jak panienkę znajdę?

– Głuptasie. To ja cię znajdę.

Nie zadźwięczała w tym obietnica, prędzej groźba. A może i jedna, i druga. Spoglądałem w ślad za nią, gdy raptem odwróciła się, by uśmiech mi posłać. Na Boga – pomyślałem – jakaż ona piękna. I złowroga. Ona wszelako już skręciła za kolumnadą, już w dół ruszyła ku orszakowi królewskiej pary, która przyjmowała właśnie u stóp schodów hołdy od hrabiego–diuka Olivaresa i pozostałych dworzan. Na koniec wszyscy ruszyli w stronę ulicy. Poszedłem i ja, czarnymi myślami owładnięty. Strapiony, wspominałem wiersz, który niegdyś dał mi do przepisania Klecha Pérez: Piekła czeluściom miano niebios przyznać, Łaską nazywać okrutną tyranię, Pić chciwie, lubo w pucharze trucizna; Duszę omamom oddać w posiadanie, Wierność niewiernej i podstępnej wyznaczyć...

*Wie, kto tego zaznał: to jest kochanie.*⁸⁹

Słońce już jasno świeciło i Bóg świadkiem, że widok był przedni. Król słodkie słówka prawił swej małżonce, służył jej ramieniem, obydwójce zasię strojni w pyszne szaty podróżne: Czwarty Filip w przyodziewku jeździeckim, srebrem przetykanym, przepasany szarfą z karmazynowej tafty, do tego rapier i ostrogi – nieomylny znak, że nasz młody monarcha, w siodle zawsze wyborny, spory odcinek drogi konno przebyć zamiaruje wedle powozu królowej, ciągniętego przez szóstkę wspaniałych siwków, za którym jeszcze cztery karoce podążać miały, wioząc dwa tuziny dworek i służących Najjaśniejszej Pani. W tej chwili na placu, zaludnionym dworzanami i pozostałą ciżbą, hołdy parze monarszej składał kardynał Barberini, legat papieski, co miał tę podróż odbyć pospołu z diukami de Sessa i de Maqueda⁹⁰. Za czym i dalszym powitaniami i powinszowaniami końca nie było. Monarszej parze kompanii dotrzymywała infantka María Eugenia⁹¹ – ledwie od kilku miesięcy na tym padole żyjąca, spoczywała w

ramionach swej piastunki; także i królewskie rodzeństwo, infanci Karol i María – niespełniona miłość księcia Walii; wreszcie infant kardynał Fernando⁹², od małości urząd arcybiskupa Toledo pełniący, przysły gubernator Flandrii, pod rozkazami którego niewiele lat potem wspólnie z kapitanem Alatryste siła juchy Szwedom i innym lutrom puściliśmy pod Nördlingen⁹³. Śród dworzan, co najbliższej króla stali, spostrzegłem hrabiego de Guadalmedina, odzianego w wytworny płaszcz oraz buty i pludry francuskiego kroju, nieco dalej zasię mości Francisca de Quevedo obok zięcia hrabiego–diuka, markiza de Liche, co się sławą najbrzydszego w Hiszpanii męża cieszył, a któremu wyswatano jedną z najpiękniejszych dam z całego dworu. Za czym, w miarę jak para królewska, kardynał i szlachetni panowie do swych powozów się udawali, woźnice jęli biczami trzaskać, aż nareszcie świta cała ruszyła w stronę Santa María la Mayor i Bramy Żuławnej, a gawieź tymczasem bez ustanku wiwaty wznosiła, widowiskiem całym zachwycona. Splendory tłumu spłynęły nawet i na powóz, w którym ja zasiadłem pospołu ze sługami markiza de Liche. Wiedźcie bowiem waszmościowie, że w naszej nieszczęsnej Hiszpanii gawieź gotowa była wiwatne okrzyki wznosić przy lada sposobności.

Dzwon starego szpitala Aragończyków wzywał na jutrznię. Diego Alatryste powstał z siennika, na którym leżał był, czuwając w oberży Pod Wędzonką, objaśnił świecę i jął buty nakładać. Czasu miał z naddatkiem, ażeby się wedle pustelni Anioła Pańskiego przed świtem stawić, aliści w jego położeniu nader trudną rzeczą było przeprowić się skroś cały Madryt i przez rzekę Manzanares. Lepiej godzinę za wcześnie, niżli minutę za późno – rzekł w duchu. Obuty, chlusnął zaraz wody do miednicy, głębę obmył, odgryzł kęs czerstwego chleba gwoli uspokojenia żołądka i jął się dalej odziewać: napierśnik ze skóry bawolej, za pasem rapier toledański i sztylet

o wydatnych jelcach, tak suknem owinięty, żeby o rękojeść rapiera nie dzwonił. Taką troską wiedziony, nie założył ostróg żelaznych, co na stole leżały, schował je zasię do sakwy. Na plecach, pod płaszczem na ramiona zarzuconym zmyślnie ukryte, wsunął dwa pistolety Gualteria Malatesty – łup z nagłych odwiedzin przy ulicy Primavera – które już uprzedniego wieczora nabił i naoliwił. Na koniec nacisnął na łeb kapelusz, okiem w krąg rzucił, czy czego nie zapomniał, zgasił świecę i wyszedł.

Owinął się szczelnie płaszczem, bo ziąb nocny doskwierał. Po ciemku drogi szukając, za sobą ostawił ulicę Comadre i dotarł do rogu, gdzie ulica Mesón de Paredes dochodziła do fontanny Rymarzy. Tu zamarł na chwilę, bo zdało mu się, że szmer jakiś z ciemności go doszedł, za czym podążył, drogę skracając, przez Embajadores ku San Pedro. Minąwszy zamknięte o tej porze garbarnie, wyszedł nareszcie na pagórek Targu Mięsnego, gdzie za krzyżem i fontanną, w świetle latarni zapalonej od strony placu Cebada, wznosiła się mroczna bryła nowo pobudowanej rzeźni, łącno dającej się rozpoznać nawet w ciemnościach najgęstszych, a to przez odór gnijących patrochów. Właśnie okrążał rzeźnię, kiedy – tym razem bez uchyby – posłyszał kroki za plecami. Albo ktoś w tę samą stronę podąża – pomyślał – albo po piętach mu depcze. Na wypadek, gdyby w grę ta druga możliwość wchodziła, wcisnął się w załom muru, odrzucił płaszcz, pistolet jeden przesunął na brzuch i dobył rapiera. Czekał tak czas jakiś, oddech wstrzymawszy, by niczego nie zagłuszyć, aż zmiarkował, że w istocie kroki się przybliżają. Nie chcąc się zanadto w oczy rzucać, zdjął kapelusz, ostrożnie głowę wysunął i dostrzegł postać czyjaś, co w jego kierunku z wolna zmierzała. Może to ślepy traf – przyszło mu na myśl – atoli nie czas teraz na ryzyko. Nałożył tedy kapelusz z powrotem, krzepko rapier w dłoni zacisnął i kiedy nieznajomy był tuż–tuż, wyszedł mu naprzeciw z bronią podaną naprzód.

– A niech cię licho porwie, Diego!

Mało kogo mniej się spodziewał Alatryste w tym miejscu i o takiej porze, niżli Martina Saldaña. Rotmistrz straży – albo raczej zwałisty cień, co jego głosem przemówił – wstecz zalękniony odskoczył i za swój rapier chwycił szybciej, niżeli teraz o tym prawie: rozległ się zgrzyt metalu i już wiarus miał przed sobą lśniąca słabo głownię, co kiwała się w powietrzu, groźnie weń wycelowana. Alatryste zmacał stopą ziemię pod sobą i zmiarkował, że równa jest i że nie ma kamyków, co znojną zawadą są przy pojedynku. Zaraz też przysunął się lewym ramieniem ku murowi, by tej stronie ciała ochronę zapewnić. Takim przemyśleniem prawica jego miała swobodę, a prawica jego przeciwnika – gdyby do ataku zamierował ruszyć – wręcz przeciwnie.

– Powiedz mi – zagadnął Alatryste – czego tu, u diabła, szukasz.

Tamten nie kwapił się z odpowiedzią, jeno dalej bronią poruszał. Ni chybi zapobiec chciał, żeby jego dawny towarzysz zaskoczył go sztuczką, do jakiej nieraz obydwaj się byli uciekali: zaatakować wroga w chwili, gdy mówi. Gadanie zawsze rozprasza, a ledwie sekunda wystarczała wśród ludzi ich pokroju, ażeby piędź żelaza w piersi drugiego zatopić.

– Chyba nie myślisz – rzekł nareszcie Saldaña – że sianem się wykręcisz.

– Od dawna za mną chodzisz?

– Od wczoraj.

Jeśli to prawda – rozumował Alatryste – rotmistrz miał być aż nadto czasu, by otoczyć oberżę i dopaść go z tuzinem pachołków.

– Jakże to, czemu sam jesteś?

Znów zapadła dłuższa cisza. Rotmistrz słowami na prawo i lewo nie zwykł szafować. Raczej ich szukał.

– To nie jest sprawa urzędowa – rzekł nareszcie. – Jeno między tobą a mną.

Kapitan bacznie przyjrzał się cieniowi, który miał przed oczyma.

– Masz pistolety?

– Nieważne, czy mam ani czy masz je ty. Tę sprawę załatwimy żelazem.

Głos jego dobiegał jakby przez nos. Saldaña niechybnie wciąż musiał odczuwać skutki ciosu głową w powozie. Zrozumiałe – pomyślał Alatryste – że jego ucieczkę i śmierć dwóch pachołków rotmistrz skłonny jest uznać za porachunki osobiste. Potraktował to snadź jak podkop pod lojalność flamandzkich weteranów.

– Nie pora – ozwał się kapitan.

W odpowiedzi usłyszał powoli wypowiedane zdanie.

– Zda mi się, Diego, że zapominasz, z kim gadasz.

Między nim a cieniem ciągle połyskiwała stal. Uniósł nieco własny rapier z pewnym wahaniem, za czym na powrót go opuścił.

– Nie chcę się z tobą bić. Twoja laska rotmistrzowska nie jest tego warta.

– Dziś nie mam jej ze sobą.

Alatryste przygryzł wargi, słysząc, że potwierdziły się jego obawy. Saldaña ani myślał puścić go inaczej, jak przez żelazną przeszkodę.

– Posłuchaj – zdobył się na ostatni wysiłek. – Wszystko się rychło wyjaśni. Jestem umówiony z kimś na spotkanie...

– Nie dbam o twoje spotkania. Ostatnie ze mną przerwało się w połowie.

– Zapomnij o mnie choćby na tę jedną noc. Słowo daje, że wrócę i wszystko ci wytłumaczę.

– A komuż potrzebne twoje tłumaczenia?

Westchnął Alatryste, dwoma palcami po wąsach przejeżdżając. Znali się obydwaj jak łyse konie. A więc postanowione – zrozumiał. Przyjął pozycję, tamten cofnął się o krok i stanął pewniej na stopach. Światła było tyle, co

kot napłakał, ale wystarczało, żeby stał z ciemności wzrokiem wyłowić. Prawie taki sam mrok panował – wspomniał kapitan z rozrzewnieniem – jak owym przedświtem, kiedy Martín Saldaña, Sebastian Copons, Lope Balboa, on sam i jeszcze pięciuset żołnierza zakrzyknęło „Hiszpanio, nacieraj, nacieraj”, przeżegnali się, z okopów wyskoczyli i ruszyli w górę po nasypie gwoli zdobycia reduty Caballo pod Ostendą. Wróciła ich podówczas połowa.

– Do dzieła – rzekł.

Zadźwięzwały głównie, zrazu nieśmiało, aż raptem rotmistrz oderwał się od ściany po okręgu, ażeby swobodę ruchów zyskać. Alatryste wiedział, z kim mieć mu do czynienia przyszło, snadź niejeden bój przewojowali byli ramię w ramię, a i ze sobą toczyli nieraz towarzyskie pojedynki tępymi rapierami: był to dobry i rozważny przeciwnik. Kapitan wypadł gwałtownie do przodu, chcąc dosięgnąć go od razu bez zbędnych ceregieli, aliści tamten odskoczył w tył, bez trudu sparował, za czym natarł prosto, nie bawiąc się w manewry. Teraz Alatryste musiał się wycofać, lubo mając mur za plecami, nie mógł tyle miejsca zdobyć co przeciwnik, a przy obrocie na moment stracił z oczu blask wrażej stali. Stawił odpór, siekąc potężnie i szukając po omacku rapiera rotmistrzowskiego. Naraz ujrzał, że ten naciera z góry, ukośnym cięciem. Odpowiedział krzyżową obroną i znów krok do tyłu zrobił, mieląc w zębach przekleństwo. Ciemność wprawdzie wyrównywała szansę i znaczne pole oddawała ślepemu losowi, on wszelako lepszym był szermierzem niżli Saldaña, należało jeno zmęczyć go nieco. Kłopot atoli w tym, ile czasu brakuje, by na przekór intencjom rotmistrza oddział straży posłyszał odgłosy walki i chmara pachołków przysłała swemu dowódcy w sukurs.

– Komu teraz wdowa po tobie załatwi laskę rotmistrza?

Zadał to pytanie, dwa kroki jednocześnie odstępując gwoli nabrania dystansu i oddechu. Wiedział, że Saldaña zawsze humory na postronku trzyma, chyba że sprawa jego żony dotyczy. Na samo jej wspomnienie krew mu oczy zalewała. Krotchwile, jakoby jego pani urząd mu sprokurowała w zamian za łaski, jakimi miała obdarzyć kogoś trzeciego – jak powtarzały złe języki – sprawiały, że i wzrok, i rytm zaczynały mu szwankować. I mam nadzieję – pomyślał Alatryste – że złączą mu szwankować i teraz, bym mógł sprawę rychło zakończyć. Zacisnął palce wewnątrz gardy, sparował wypad przeciwnika, cofnął się, żeby zanęcić tamtego, i przy kolejnym związaniu poczuł, że rotmistrz kontenans traci. Zatem kuć trzeba żelazo, póki gorące.

– Już ją widzę, jaka będzie niepocieszona – dodał, robiąc ostrożny krok wstecz. – Pograżona w żalobie.

Saldaña nic nie odrzekł, aliści jął sapać nierówno, szybko, zaklął też pod nosem, kiedy pełne złości cięcie, jakie właśnie wyprowadził, w próżnię trafiło, ześliznąwszy się po kapitańskiej głównej.

– Rogacz – rzucił spokojnie Alatryste i czekał.

Zaiste. Poczuł, że tamten naciera nań z ciemności, a może raczej odgadł po błysku stali i odgłosie kroków bezładnych. Zaraz potem rozległ się wściekły jęk, gdy cały manewr spelzł na niczym. Sparował zdecydowanie, pozwolił, by rotmistrz zamachnął się na odlew, a w połowie tego ruchu, gdy zmiarkował, że Saldaña wciąż ma do przodu lewą stopę wysuniętą, obrócił nadgarstek, zamachnął się rapierem ostro do góry i wbił go w pierś napastnika.

Wyciągnął broń i wytarł ją o skraj płaszcza, zerkając przy tym na skulone ciało Saldañi na ziemi. Zaraz też wsunął rapier za pas i ukląkł przy tym, co niegdyś był jego druhem serdecznym. Dla nieodgadnionej przyczyny nie czuł teraz ni wyrzutów, ni bólu nijakiego. Jeno głębokie

znużenie i ochotę, by bluźnić wniebogłosy. Za rany boskie. Przybliżył ucho. Dobiegł go nierówny, słaby oddech leżącego i odgłos, który zgoła mu się nie spodobał: bulgotanie krwi i świst, z jakim powietrze wylatywało i wnikało do piersi przez ranę. Źle z nim było, z tym zawziętym gburem.

– A żeby cię lichy porwało – rzekł.

Dobył czystą chustę z rękawa kaftana i ranę odnalazł. Na dwa palce szeroka. Wraził do niej tyle materiału, ile zdołał, gwoli zatamowania krwi, za czym popchnął Saldañę, obracając go nieco na ziemi, i pomimo jęków tamtego jął go po plecach obmacywać. Nie napotkał drugiej dziury ni strugi krwi.

– Słyszysz mnie, Martín?

Tamten odrzekł wątle, że tak. że słyszy.

– Staraj się nie kaszleć i nie poruszać.

Podtrzymał głowę rannego i wsunął pod spód złożony na podobieństwo poduszki płaszcz, ażeby krew z płuc do gardzieli nie wtargnęła i rotmistrza nie zadusiła.

– Jak ze mną – usłyszał szept. Ostatnie słowo utonęło w brudnym kaszlu. Chłupoczącym.

– Opatrzyłem cię. Jak zaczniesz kasłać, wykrwawisz się.

Ranny skinął niemrawo głową i zamarł, z obliczem w mroku pogrążonym. Ciszę przerywało jeno świstanie powietrza w przekłutej piersi. Ponownie skinął chwilę później, gdy Alatryste rzucił bacznym spojrzeniem w prawo i w lewo i powiedział, że czas na niego.

– Pójdę po pomoc – rzekł. – Chciałbyś też księdza?

– Nie gadaj... od rzeczy.

Alatryste powstał.

– I tak się z tego wyliziesz.

– I tak.

Kapitan odszedł kilka kroków w głąb ulicy, aliści na dźwięk słów rannego znów się zatrzymał, zawrócił i ukląkł.

– Jestem, Martín.

– Łgałeś... prawda?... Jak mówiłeś...?

Usta kapitana były tak zaschłe i zlepione, że z najwyższym wysiłkiem je rozwarł. Kiedy przemówił, ból poczuł, jak gdyby rozdzierano mu je żywcem.

– Oczywiście, że łgałem.

– Kawał... skurwysyna.

– Znasz mnie. Załatwiłem to tanim kosztem.

Saldaña zacisnął mu dłoń na ramieniu. Rzekłbyś, cała siła tego sponiewieranego ciała skupiła się w tym jednym uścisku.

– Chciałeś mnie rozjuszyć... Czyż nie?

– Tak.

– Taki... fortel.

– Naturalnie. Fortel.

– Przysięgnij.

– Jak Bóg na niebie.

Przekłutą piersią rotmistrza straży wstrząsnął boleśnie kaszel. A może śmiech.

– Wiedziałem... Skurwysyn... Wiedziałem...

Alatriste powstał i płaszczem się owinął. Gdy minęło podniecenie walką, czuł teraz dojmujący nocny chłód. Lubo nie był pewien, czy to noc go powodowała.

– Niech ci los sprzyja, Martín.

– Tegoż i ja ci życzę... kapitanie... Alatriste.

Krom psów, co zawodziły w oddali, wedle traktu na San Isidro, wszystko wokół nocna spowijała cisza, najłżejszy powiew nie wytrącał liści na drzewach z absolutnego bezruchu. Diego Alatryste przebył ostatnie przęsło mostu Segowiańskiego i przystanął pod daszkiem rzecznej pralni. Wezbrane od ostatnich deszczów wody Manzanaresu pluskały wartko o nadbrzeżny piach. Madryt pozostał z tyłu, ciemna, cicha bryła spiętrzona na drugim brzegu, strzelająca iglicami dzwonnicy kościelnych i wieżycą Pałacu Królewskiego prosto w nocne, usiane gwiazdami niebo, którym poniżej, już za murami miasta, odpowiadało kilka rzadkich, nikłych światełek.

Wilgoć przenikała skroś płaszcz, on zasię patrzył jeszcze chwilę, czy wszystko w należytych jest porządku, za czym ruszył w stronę pustelni Anioła Pańskiego. Dotarł tu bez nijakich przeszkód po tym, jak z zasłoniętym obliczem zastukał był do jakiegoś domu koło Targu, dał mieszkańcom poczwórnego dublona i nakazał, żeby po felczera biegli i zajęli się rannym, co wedle rzeźni leży. Teraz, skoro już podszedł pod samą pustelnię, iż nie zamierował na dalsze niebezpieczeństwa się narażać, dobył pistoletu, kurek odwiódł i wymierzył w stronę człeka, którego cień widać było nieopodal. Na dźwięk zamka broni zarżał koń, a głos Bartola Cupamagny zapytał, czy to Alatryste nadchodzi.

– To ja – potwierdził.

Cupamagna z westchnieniem ulgi wsunął rapier do pochwy. Kontent jest – mówił – że się wszystko powiodło i że pan kapitan cały i zdrów przybywa. Podał mu też zaraz cugle wierzchowca: karogniady – dodał – posłuszny i o miękkim pysku, lubo nieco na prawo znosi. Ale koniec końców, jak dla markiza wyszykowany, chińskiego cesarza albo jeszcze innego pyszałka z wielkiego świata.

– Szybki w nogach, bo ni ma nijakich wrzodów na brzuchu ani ran po ostrogach. Baczenie daem na podkowy, iżby ni goździa nie brakowao.

Takoż siodło i popręg przepatrzem... Będziesz pan kontent.

Alatriste poklepał wierzchowca po szyi – była ciepła, napięta i mocna. Czując dotyk jego dłoni zwierzę potrząsnęło radośnie łbem, prychnając na nią wilgotną parą z chrap.

– Potrafi – ciągnął Cupamagna – sadzić jak się patrzy osim, dziesięć mil, byle go nie zarznąć. Byo się trochę wśród Cyganów w Andaluzji, to i się co nico o rumaczkach i innych bydlintach dowiedziao... Nieszczęścia zawsze z winy człeka, a nie bidnego zwirzaka się zdarzają... Ale gdybyś się pan zanadto zjechał, możesz zmienić wirzchowca na stacji Galapagar i dali w górę jechać na nowym.

– Biesagi dałeś?

– A, pozwolę sobie: w sakwie znajdzie pan kapitan skibę chleba, kawał syra, suszoną chabaninę i bukłak z kwartą alikancika.

– Wino wyborne, jak tuszę – jął dworować sobie Alatriste.

– Z gospody Juana Lepre, co będę gadał po próznicy. Niechrzczone jak Suliman Pasza.

Alatriste po omacku zbadał uździenicę, cugle, siodło, popręg i strzemiona. Biesagi z jadem i winem wisały na łąku. Sięgnął do sakiewki i podał tamtemu dwie złote monety.

– Postąpiłeś, przyjacielu, jak przystało na śmietankę łotrowskiego rodu.

W mroku rozległ się potężny, pełen ukontentowania śmiech fanfarona.

– Jak mi pamiń o ojczulku mego ojca miła, panie kapitanie, niczgom nie dokonał. Fraszka, ot co. Nawet nie musiaem za zapaeczkę chwytać ni duszyczek na wolność wypuszczać, jako byo w Sanlúcar... I na biorącego króla przysingam, że aż szkoda, bo nie lubi stary tygrys, iżby mu żądełko rdzywiao. Nie chce snadź człek żyć jeno z tego, co los zdarzy dzinki cinżkiej pracy mojej bogdanki.

– A pozdrowię ją ode mnie. I niechaj ci jej franca nie pozbawi, jako z tamtą nieszczęsną Blasą Pizorrą się stało, świeć, Panie, nad jej duszą.

Alatristemu zdało się, że łajdak przeżegnał się w ciemnościach.

– Nie dozwól, Nibieski Mospanie.

– Co zasię do waszmościnego cnego żądełka – dodał Alatriste – nadarzy się sposobność. Wszak sztuka dłuższa niżli życie⁹⁴.

– Na sztuce to się, panie kapitanie, sługa pański nie wyrozumi, ale o tym drugim, jak amen w pacirzu. Krewnych w potrzybie poznasz, tedy i ja jestem gotów, proszę waszmości. Będę na czas jak czwartaczka i nie skrewię, jakem stary chrześcijanin. Co tu gadać.

Alatriste ukucnął gwoli przytroczenia ostróg.

– Nie muszę mówić, żeśmy się zgoła nie widzieli, że się w ogóle nie znamy – mówił, sprzączki dopinając. – Cokolwiek fortuna zdarzy, możesz spać spokojnie.

Cupamagna znów się roześmiał.

– Ma się rozumie... Ale prawo nakazuje, żeby syna waszmościnego ojca i Durindana się nie imiała ani ten kozioł, co zgoa nie na powozie sterczy⁹⁵.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie sumitujże się pan. Oj, żebym to ja taką ufność mógł pokładać w mojej nieślubnej, jako pan kapitan w swoim żelazie... A i wszyscy w Madrycie wiedzą, że waszmość jynzyka w gymbie zapomina nawet na pryngierzu.

– Nie pozwolisz mi nawet na jedno „aj”?

– Jakże bym śmiał pozwalać albo nie pozwalać panu kapitanowi? Ale tak to widzę: „aj”, „nie” i „Kościół na świadka woam”.

Uścisnęli sobie dłonie, za czym Alatriste założył rękawice, konia dosiadł i cugle popuściwszy, ażeby zwierzę swobodnie drogę po ciemku odnajdywać mogło ruszył w górę rzeki ścieżką, co wzdłuż muru Wiejskiego

Dworu biegła. Minął tak mosteczek na potoku Meaque, na którym kopyta zbyt głośno zagrały jak na jego upodobanie, wjechał tedy w zarośla nadbrzeżne w obawie przed strażnikami, co wjazdu do królewskiej siedziby doglądali, i jakiś czas tak podążał, dłonią kapelusz przytrzymując, gdy przedzierał się przez nisko opadające gałęzie drzew, aż nareszcie wydostał się na zbocze Aravaca, blaskiem gwiazd oświetlone, pozostawiwszy szum wody za plecami wśród cienistych zagajników porastających obydwie brzozy. Teraz, skoro ziemia jaśniała przed oczami, lepiej mógł w szlaku swym się rozeznać, przeto wyjął jeden z pistoletów zza pasa, wsunął go do olstra, szczelniej płaszczem się owinął, ostrogi przycisnął i nakłonił rumaka do swobodnego truchtu, bo jak najszybciej chciał się od siedzib tutejszych oddalić.

Bartolo Cupamagna miał słuszość – wierzchowiec znosił trochę na prawo, należało go tedy pilnować, był wszelako koniem szlachetnym i dość w pysku powolnym. Fortuna zrządziła, Alatryste snadź nie był jeźdźcem zawołanym. Znał się na zwierzętach jak wszyscy, jeździł spokojnie i prosto, w galopie postawy nie stradając, radził sobie i z koniem, i z mułem, znał nawet kilka sztuczek, co w bitwie i podczas ataku zastosowanie mają. Aliści sporo mu jeszcze brakowało do jeździeckiej biegłości. Cały żywot swój spędził w szeregach hiszpańskiej piechoty i na królewskich galerach po Śródziemnomorzu pływających, konie zasię bardziej niżli z siodłem pod sobą kojarzyły mu się ze szturmem wrażeń sił, z fanfarą bitewną, turkotem tarabanów i krwią na pikach, czy to na flamandzkiej równinie, czy na berberyjskiej plaży. Więcej tedy wiedział, jak się konia od dołu rozpruwa, niżli jak dosiada się go od góry.

Kiedy minął wygaszone okna starego zajazdu Cerero, zamkniętego o tej porze, jął podchodzić pod górę Aravaca, tam zasię pięty od brzucha rumaka

odsunął i zezwolił mu na swobodny kłus otwartym szlakiem, płaskim i drzew zgoła pozbawionym, co biegł wśród pól pszenicy i jęczmienia, ciemniejących na podobieństwo ogromnych kałuż. Chłód oczywiście wzbierał przed brzaskiem, przeto kapitan jeszcze raz z wdzięcznością pomyślał o napierśniku, który przed wyjściem pod płaszcz był założył. Na widnokregu już jaśniało niemrawo, cienie szarzały, tymczasem zasię jeździec i koń jego okrążyli łukiem wioskę Las Rosas. Alatryste uznał, że lepiej będzie nie jechać szerokim i uczęszczanym traktem na Ávila, tedy ledwie do skrzyżowania dróg dotarli, skierował się na prawo, nieutwardzoną ścieżką. Teren zaczynał tu z lekka falować, a zasiewy ustąpiły sosnowym zagajnikom i chaszczom, w których zatrzymał się na chwilę, zsiadł i rękę zanurzył w biesagi. Siedział wciąż na płaszczu zadumany, gdy świt nastał, i pojadał ser, winem go zapijając, koń zasię nowych sił nabierał. Nareszcie kapitan stopę w strzemię wsunął, na powrót w siodle się wymościł i ruszył w ślad za cieniem swym i swego wierzchowca, który czerwonawe słońce jęło właśnie na ziemię rzucać. Gdy odjechał już trzy mile od Madrytu w coraz bardziej plecy grzejących promieniach, szlak zrobił się bardziej kręty i stromy, a miejsce sosen zajęły dąbrowy, wśród których uwijały się króliki, a i rogi odbiegającego precz jelenia można było tu i ówdzie spostrzec. Wjechał na ziemie nieuprawiane, wyludnione, do monarchy należące – ktokolwiek śmiałyby niebacznie sam tu zapolować, skończyłyby pod batogiem na galerach.

Z wolna też i ludzi jał napotykać: już to poganiaczy mułów, co do Madrytu zmierzali, już to całą karawanę bukłakami wina objuczoną, którą ostawił nieopodal brzegu Guadarramy. W południe przemknął przez most w Retamar, gdzie znudzony strażnik w budce pobrał myto od jeźdźca, nijakich pytań nie zadając ani na oblicze przejeźdnego baczenia nie dając. Droga

stała się jeszcze bardziej kręta i wyboista, wiła się teraz śród jasno kwitnących zarośli janowca, pełna zapadlisk i głazów, po których aż echo łaskotu kopyt końskich niosło, co i raz kierunek zmieniała, bardziej bezdrożu podobna, wymarzonemu – pomyślał Alatryste, ze znanstwem wokół się rozglądając – dla pustelników gościńca, czyli dla rozbójników, gdyby kara śmierci nie groziła każdemu, co na królewskiej ziemi łupiestwem się trudni. Trudnili się nim przeto kilka mil dalej, rabując podróżnych na królewskim trakcie, co wedle wieży Lodones i wzdłuż brzegu Guadarramy prowadził do Starej Kastylii. Mimo to, choć to nie rozbójnicy jego głowę zaprzęтали w owej chwili, sprawdził, czy suchą ma spłonkę w pistolecie, spoczywającym na podporędku w olstrze, tuż obok dłoni, co wodze trzymała.





IX. RAPIEREM I SZTYLETEM.



Wyznać muszę – trwoga mnie zdjęła. I zaiste miała przed czym. Hrabia de Guadalmedina osobiście mnie był odnalazł i teraz żwawo maszerowaliśmy społem podcieniami głównego dziedzińca Escorialu. Mość Francisco de Quevedo, któremum właśnie pomagał przy wygładzaniu kilku wersów jego nowej komedii, ledwie zdążył posłać mi surowe spojrzenie, baczną nakazującą, zanim tamten polecił mi, bym mu towarzyszył. Szedł teraz przodem, nader rozzłoszczony, z kurtą wielce wytworną na prawym ramieniu uwieszoną, lewą dłoń na rękojeści rapiera wspartą, a niecierpliwe jego kroki głośnym echem odbijała cała wschodnia galeria dziedzińca. Minęliśmy tedy cały korpus straży, weszliśmy na wąskie schodki tuż wedle pola do gry w piłkę i wspięliśmy się na górne piętro.

– Zaczekaj tu – rzekł.

Com posłusznie uczynił, Álvaro de la Marca zasię zniknął za jakimiś drzwiami. Znajdowałem się w mrocznym korytarzu z szarego granitu, bez nijakich gobelinów, obrazów albo innych ornamentów, tak chłodem przejmującym, iż dreszcze jęły mnie przechodzić. Atoli jeszcze bardziej zadrżał, kiedy de la Marca na powrót się pojawił, oschle wejść mi kazał, a ja po kilku krokach zaledwie ujrzałem się w długiej galerii, o stropie i

ścianach freskami pokrytych, wyobrażającymi sceny batalistyczne, i bez mebli zgoła krom sekretarzyka z przyborami do pisania i krzesła. Pomieszczenie miało dziewięć okien, co na wewnętrzny dziedziniec wychodziły, a blask przez nie wpadający oświetlał długie malowidło na przeciwległej ścianie, przedstawiające dawnych chrześcijan, jak z Maurami wojują – wierne do najdrobniejszego szczegółu tak w uzbrojeniu, jak w ogólnym obrazie bitwy. Podówczas to właśnie pierwszy raz trafiłem do Galerii Bitewnej i zaprawdę przewidzieć nie mogłem, że niedługo sceny te, odtwarzające wiktorię pod Higuervelą⁹⁶, chwalebne czyny pod Saint-Quentin⁹⁷ i wyprawę na Terceirę⁹⁸ niemal na pamięć znać będę, podobnie jak i całe to królewskie gmaszysko, a stało się to kilka lat potem, gdy zostałem mianowany zrazu rotmistrzem, a następnie kapitanem starej gwardii Najjaśniejszego Pana Filipa Czwartego. Na razie wszelako ów Íñigo Balboa, co siedł u boku hrabiego de Guadalmedina, był ciągle wystraszonym pacholęciem, niezdolnym podziwiać wielkość malowideł, co galerię zdobiły. Wszystkimi pięcioma zmysłami skupiony byłem na potężnej postaci, która oczekiwała nas na samym końcu długiej izby, tuż wedle ostatniego okna – mężu słusznej postawy, o przystrzyżonej na podbródku gęstej brodzie i sumiastych, straszliwych wąsach. Odziany w orzechową lamę, miał zielony krzyż Zakonu Alcantara na piersi, a ogromna, władcza głowa jego wieńczyła nie mniej imponującą szyję, która z trudem zdawała się mieścić wewnątrz krochmalonej kryzy. Kiedym bliżej podszedł, wbił we mnie swe oczy bystre i groźne niby czarne arkebuzy. W czasach, o których tu prawię, oczy te lękiem napawały całą Europę.

– To ten chłopak – objaśnił Guadalmedina.

Hrabia–diuk de Olivares, faworyt Jego Katolickiej Mości, niemal niedostrzegalnie głową skinął, wzroku ze mnie przy tym nie spuszczać. W

jednej dłoni zapisany arkusz papieru dzierzył, w drugiej zaś filiżankę czekolady.

– Kiedy nadjedzie ów Alatryste? – zagadnął Guadalmedinę.

– O zachodzie, jak mniemam. Pouczony został, ażeby natychmiast się zameldować.

Olivares nieco się ku mnie pochylił. A ja nie posiadałem się ze zdumienia, słysząc nazwisko mego pana w jego ustach.

– To ty jesteś Íñigo Balboa?

Przytaknąłem, niezdolny słowa wydusić, próbując zarazem zmysły pomieszane do jakiego takiego porządku doprowadzić. Hrabia–diuk czytał dokument, raz po raz czekoladą zapijając, a niektóre ustępy wypowiadał nawet cicho na głos: urodzony w Oñate w prowincji Guipúzcoa, syn żołnierza we Flandrii poległego, sługa Diega Alatryste y Tenorio, znanego pod przezwaniem kapitana Alatryste, i tak dalej. Giermek starego regimentu z Cartageny. Zdobycie Oudkerk, bitwa wedle młyna Ruijter, batalia pod Terheijden, oblężenie Bredy – przy każdej flamandzkiej nazwie oczy znad arkusza unosił, snadnie chcąc zestawić owe fakty z moim widomym młodzieńczym wiekiem. Przed wyprawą do Flandrii *auto da fé* na placu Mayor w Madrycie, roku tysiąc sześćset dwudziestego trzeciego.

– Już sobie przypominam... – powiedział, odstawiając filiżankę na sekretarzyk i przypatrując mi się ze zwiększoną uwagą. – Tamta sprawa ze Świętym Oficjum.

Trudno spokój zachować, gdy cały twój żywot na papierze figuruje, a wspomnienie przygody mej z inkwizycją zgoła humoru mi nie poprawiło. Aliści dopiero po następnym pytaniu konfuzja miejsca ustąpiła panice: – Co takiego stało się koło Las Minillas?

Zerknąłem na Álvara de la Marca, który uspokajająco głową skinął.

– Możesz opowiedzieć to Jego Dostojności – ozwał się. – Wie o wszystkim.

Patrzyłem na hrabiego przepełniony urazą. Zdałem mu byłem w szulerni Juana Vicuñi sprawę z wydarzeń owej fatalnej nocy – pod warunkiem jeno, że nikomu słowa nie piśnie, zanim się z kapitanem Alatryste nie spotka. Kapitana wszelako jeszcze nie było. Guadalmedina, wytworny magnat pełną gębą, nie zagrał uczciwie. A może po prostu osłaniał sobie tyły.

– Nic mi o kapitanie nie wiadomo – wybąkałem.

– Do diaska, gadaj do rzeczy – warknął Guadalmedina. – Widziałeś tam kapitana i człeka, który został zabity. Opowiedz Jego Dostojności, jak było.

Zwróciłem się tedy ku hrabiemu–diukowi, który nadal wzroku ze mnie nie spuszczał, trwogę niepomierłą we mnie budząc. Na barkach tego męża spoczywała najpotężniejsza monarchia na ziemi; on to jednym mrugnięciem powiek pchał przez morza i góry całe wojska. A teraz ja stałem przed nim, trzęsąc się w środku jak liść. I sposobilem się, by powiedzieć „nie”.

– Nie – rzekłem.

– Oszalałeś? – zakrzyknął Guadalmedina.

Hrabia–diuk wpatrywał się we mnie bez ustanku, atoli zdało mi się, że wściekłość ustąpiła miejsca w jego oczach zaciekawieniu.

– Jak mi życie miłe, już ja... – zaczął Guadalmedina groźnie, ruszając w mą stronę.

Olivares jednym gestem go powstrzymał, krótkim, niemal niezauważalnym ruchem lewej dłoni. Za czym na powrót zajrzał do dokumentu, by na koniec złożyć go we czworo i za nadrę wsunąć.

– A czemuż to nie? – spytał.

Powiedział to nieomal łagodnie. Popatrzyłem przez okno na kominy po drugiej stronie dziedzińca, kryte niebieską dachówką dachy, oblane

promieniami chylącego się ku zachodowi słońca. Nareszcie ramionami wzruszyłem, ale nadal pary z gęby nie puszczałem.

– Na Chrystusa żywego – zniecierpliwiał się Guadalmedina – potrafię ci ja słowa z gardła wydusić.

Hrabia–diuk ponownie lekkim gestem dłoni zapobiegł tej ewentualności. Zdało mi się, że przenika każdy zakamarek mego mózgu.

– Naturalnie, to twój przyjaciel – ozwał się nareszcie.

Przytaknąłem. Chwilę później faworyt zawtórował mi takim samym ruchem.

– Pojmuję – rzekł.

Przeszedł się po galerii wedle jednego z fresków, namalowanych pomiędzy oknami, a wyobrażającego czworoboki armii hiszpańskiej, najeżone pikami wokół krzyża Świętego Andrzeja, jak na wroga maszerują. I ja tam jestem na tych obrazach – gorzka myśl przyszła mi do łepetyny. Z żelazem w dłoni, osmalony od prochu, ochrypły od ciągłego przyzywania Hiszpanii. Jako i kapitan Alatryste. W takieśmy popadli terminy, ot co. Spostrzegłem, że faworyt pobiegł oczami za mym wzrokiem i snadź myśli moje odczytać zdołał. Oblicze mu trochę złagodniało pod wpływem nieznacznego uśmiechu.

– Wierzę, że pan twój jest niewinny – powiedział. – Masz na to moje słowo.

Baczenie przyjrzałem się imponującej postaci, która przede mną wyrastała. Nie kwapiłem się złudzeniom ulegać. Już swoje przeżyłem i miarkowałem, że łaska, jakiej użyczał mi w owej chwili najpotężniejszy człek w Hiszpanii – to znaczy na całym świecie – była jeno nader sprytnym obrachowaniem, właściwym mężowi, który potrafił cały swój umysł wielki zaprząć do wielkiego dzieła jego życia: aby naród swój uczynić wielkim, katolickim i niezwyciężonym, dać mu we władanie ziemię i morze całe, na

przekór Anglikom, Francuzom, Turkom, Niderlandczykom i wszelakim innym nacjom – taką bowiem grozę ogromem swym imperium hiszpańskie budziło, że żadna z nich swoich ambicji nie mogła urzeczywistnić, jak jeno kosztem naszej własnej. Zdaniem hrabiego–diuka cel ten uświęcał wszelkie środki. I zmiarkowałem takóŜ, że tym samym opanowanym i cierpliwym tonem, w jakim się teraz do mnie zwracał, mógłby rozkazać, ażeby mnie żywcem poćwiartowano – i w razie potrzeby uczyniłby to równie niedbale, jak prztyczkiem muchę człek rozgniata. Byłem przecie jeno lada pionkiem na przeogromnej szachownicy, na której Gaspar de Guzmán, hrabia–diuk de Olivares, rozgrywał ryzykowną partię mocą swych wpływów. Życie sprawiło, że duŜo później miałem sposobność na własne oczy się przekonać, jak wszechpotężny faworyt najjaśniejszego Filipa Czwartego, gotów bez wahania poświęcić tyle pionków, ile uznał za słuszne, nigdy nie rozstawał się z choćby najskromniejszą bierką, o ile uznał, że jeszcze może mu być przydatną.

Atoli owego popołudnia w Galerii Bitewnej poczułem, że machina ruszyła, postanowiłem tedy, że muszę robić dobrą minę do złej gry. Przecie Guadalmedina mógł opowiedzieć mu jeno tyle, ile jemu samemu jam był wcześniej zeznał, Ani słowa więcej. Nic przeto nie szkodziło powtórzyć tamtą historię. Reszta, w tym udział Angeliki de Alquezár w spisku, o, to już była inna sprawa. Guadalmedina nie mógłby wypaplać tego, o czym sam nie wiedział, a i ja nie zamiarowałem – tak to szczerze podpowiadały mi na przekór wszystkiemu szlachetne instynkty mej młodości – zdradzić imienia damy mego serca przed obliczem hrabiego–diuka.

– Mość Álvaro de la Marca – podjąłem – prawdę powiadał, że Wasza Dostojność to mąż wielki...

I w tym samym momencie zmiarkowałem, że było coś w pierwszych słowach faworyta, co wielkim niepokojem musiało napawać: owóz

wyprawa kapitana Alatryste do Escorialu nie była tajemnicą. Co najmniej on i Guadalmedina byli wprowadzeni w szczegóły. A ja zapytywałem siebie w duchu, kto jeszcze o tym wie i czy wiadomość ta – pomyślnie zawsze snadź piechotą podążają, a złowrogie lotem sokoła – dotarła już była także do uszu naszych wrogów.

* * *

Koń jął kuleć, ledwie pasmo górskie minęli, janowce i głązy na powrót ustąpiły miejsca dąbrowom, a droga stała się bardziej płaska i prosta. Diego Alatryste zeskoczył tedy na ziemię, kopyta zwierzęcia obejrzał i zmiarkował, że podkowa na lewej przedniej nodze postradała główki dwóch hufnali i wisi rozchwierutana. Cupamagna nie dołączył był do biesagów worka z podręcznymi narzędziami, kapitan musiał tedy utwierdzić odpadające żelazo, jak umiał najlepiej, rozklepując czubki ułamanych hufnali tęgim kamieniem. Nie miał pojęcia, ile wytrzymają, aliści do najbliższej stacji brakowało jeszcze niecałej mili. Dosiadł wierzchowca na nowo i ruszył, nie przymuszając go do wytężonego wysiłku i pochylając się raz po raz, ażeby baczenie na uszkodzoną podkowę dawać. Jechał tak przez godzinę, gdy nareszcie ujrzał w oddali po prawej, u stóp ciągle ośnieżonych stoków Guadarramy, z granitu wzniesioną wieżę kościelną i z tuzin dachów domostw, co się na wioskę Galapagar składały. Droga omijała sadybę, przeto dotarłszy do skrzyżowania, Alatryste zsiadł z konia przed budynkiem stacji. Rumaka powierzył kowalowi, rzucił okiem na pozostałe, wypoczywające w stajni zwierzęta – zmiarkował przy tym, że dwa, przywiązane i osiodłane, stały na zewnątrz – i przysiadł na osłoniętym kratą ganku przyległego szynku. Pod murem pół tuzina woźniców godziło w karty, przyglądał się im na stojąco jakiś osobnik o wyglądzie kmiecia i z

rapierem za pasem, nieopodal ksiądz społem ze swym sługą pożywiał się przy stole duszoną giczą wieprzową, muchy odganiając, obok zasię dwa muły czekały, objuczone tobołami i kuframi. Kapitan pozdrowił duchownego, dłoń do ronda kapelusza przytknąwszy.

– Niechże waszmości Bóg błogosławi – odparł ksiądz pełnymi ustami.

Dziewka karczemna przyniosła wino. Spragniony Alatryste tęgi haust łyknął i wyciągnął przed siebie nogi, rapier obok położył i jął śledzić pracę kowala. Po chwili zerknął, jak wysoko słońce na niebie stoi, i począł rachować. Do Escorialu pozostawały jeszcze dwie mile, co znaczyło, że konia świeżo podkutego do bardziej wytężonego galopu przymuszając, i o ile potoki Charcón i Ladrón nie przybrały tak, by przebycie ich w bród niemożliwym się stało – zdoła w królewskiej siedzibie stawić się przed wieczorem. Kontent ze swych wyliczeń, dopił wino, rzucił na stół monetę, sięgnął po rapier i powstał, żeby do kowala podejść, co właśnie robotę swą kończył.

– Wasza miłość wybaczy.

Nie widział, jak ze środka stacji wychodzi człek jakiś, przeto omal się z nim nie zderzył. Był to brodacz, niski i krępy w ramionach, odziany po włościańsku, na nogach miał wysokie, wywinięte buty, a na głowie myśliwską czapkę – podobnie jak ów drugi, co się karciarzom przyglądał. Alatryste nie znał go. Zdał mu się kłusownikiem albo gajowym, zbrojny był w krótki rapier, zatknięty w skórzanym pendencie, i nóż do oprawiania za pasem.



Czujnie tedy wąż przez ramię zwracając gwoli zbadania, czy podążają za nim, zaciął ostrogami konia i pognął ku Escorialowi.

Nieznajomy przyjął przeprosiny lekkim skinieniem głowy, przypatrując mu się bacznie, a kiedy kapitan zmierzał już w stronę stajni, zmiarkował, że i drugi osobnik mu się przypatruje. Niezły pasztet – pomyślał. Zgoła mu się to nie spodobało. Kiedy godził się z kowalem co do zapłaty, wśród buczenia gzów zerknął ukradkiem za siebie. Mężczyzna stał nadal pod daszkiem i oka zeń nie spuszczał. Atoli najbardziej Alatristego zaniepokoiło to, że gdy wsuwał nogę w strzemię i dosiadał swego rumaka, tamci obydwaj zamienili spojrzenia. Ani chybi to jacyś siepacze, do tego są razem – domyślił się. Przykuwał ich zaciekawienie z niewiadomej przyczyny, a ta, jakakolwiek była, nie mogła być dlań pomyślna. Czujnie tedy wąż przez ramię

zwracając gwoli zbadania, czy podążają za nim, zaciął ostrogami konia i pognął ku Escorialowi.

* * *

– Nie masz na świecie sceny – mówił mość Francisco de Quevedo – która z tą mogłaby się równać.

Siedzieliśmy na ławeczce w nyży pod granitowymi arkadami, otaczającymi gmach Towarzystwa Jezusowego, i przypatrywaliśmy się przygotowaniom do *Rapierem i sztyletem* w przesławnych ogrodach Escorialu: szerokie na sto stóp, pełne żywopłotów i rabatów kwiatnych, przyciętych na wysokość człowieka i zawile figury i labirynty tworzących, otaczały z tuzin źródełek, w których woda dzwoniła, a ptaki pragnienie koili. Miejsce to osłonięte było od chłodnego Boreasza przez sam pałac-monaster, otoczony ponadto szpalerami jaśminów i pnących róż, a ciągnęło się na podobieństwo błogiego tarasu od południowej pierzei siedziby króla w stronę słońca, wychodząc całą swą szerokością na ocembrowaną kamieniami sadzawkę, po której pływały sobie kaczki i łabędzie. Dalej na południe i na zachód widać było stamtąd potężne góry, pogrążone w szarościach, błękitach i zieleniach. Na wschodzie zasię, hen daleko, rozciągały się wielkie pastwiska i bory królewskie, podchodzące pod sam Madryt.

Amor ma sposoby swe:

*Owóż zanim się spostrzeżesz,
On twój honorna cel bierze,
Strzała jego pewnie mknie.*

Dobiegały nas słowa Marii de Castro, która pierwsze strofy drugiego aktu ćwiczyła. Bez uchyby mogę zapewnić, że był to najśłodszy głos w Hiszpanii, na który mąż jej czułe baczenie miał, tej jednej bowiem cnoty swej małżonki umyślił sobie z oka nie spuszczać. Za każdym razem, gdy przerywały jej młotki, którymi hałasowali budowniczy sceny, Cózar, co z tekstem Queveda w ręku suflerował pięknej aktorce, natychmiast odwracał się i ciszy się domagał z namaszczeniem godnym arcybiskupa Liège albo wielkiego księcia moskiewskiego – w takiego wszak pokroju figury zdarzało mu się już wcielać na deskach teatru⁹⁹. Dzieło naszego poety tu właśnie, pod gołym niebem, miało być wystawione pierwszy raz, toteż wzniesiono podium, osłonięte od słońca i deszczu markizą, specjalnie dla rodziny królewskiej i najznamienitszych gości. Powiadano, że hrabia–diuk dziesięć tysięcy eskudów przeznaczył był na to, ażeby godnie wokół rozrywki monarchy i jego świty się zakrzętnąć.

Prawda kole i doskwiera:

*Snadź kogo miłość zabija,
Ten żyw; kto miłością żyje,
Ten na swój sposób umiera.*

Mość Francisco, łącno pojmujecie waszmościowie, nie był osobliwie dumny z tych wierszy, atoli, jak mi półgębkiem zdradził, tyleż warte były, ile mu za nie zapłacono. Zaiste, podobne kalambury, kuglarstwa i słowopłynność wielce schlebiały gustom, które w podwórcach teatralnych panowały, od króla po najnikczemniejszego parobka, nie wyłączając muszkieterów szewca Tabarki. Przeto poeta – co Lopego de Vega wielką

estymą darzył, ale na wszystko z właściwej perspektywy spoglądał – był zdania, że skoro sam Feniks Geniuszy niekiedy pozwala sobie na drobne sztuczki gwoli zgrabnego zakończenia aktu albo nakłonienia publiczności do owacji, nie ma powodu, by i on sam nie mógł się ich imać. W teatrze bowiem rzecz nie w tym – powiadał – ażeby wykwintne strofy spływały spod pióra poety niczym pączki z brytfanny mauretańskiego cukiernika, jeno by król, królowa i ich dostojni goście poczuli ukontentowanie. Osobliwie zasię hrabia–diuk, pierwszy śród harpagonów.

– Kapitan ni chybi już blisko – ozwał się raptem Quevedo.

Spojrzałem nań z wdzięcznością, że o mym panu nie zapomina. Poeta aliści ze stoickim spokojem, jak gdyby nigdy nic, dalej Marii de Castro się przypatrywał i nie wyrzekł już ni słowa. Ja wszelako sam miałem głowę pełną myśli o kapitanie Alatryste, w czym nijakiej ulgi zgoła nie przyniosła mi niespodziewana rozmowa z królewskim faworytem. Ufałem, że ledwie kapitan przybędzie i się z Guadalmediną spotka, wszystko się rozwikła, a my żyć będziemy jak dawniej. Co się pięknej Castro tyczy – której mąż akuratnie w tym momencie chybcikiem wodę dla ochłody sprowadził, bo w ustach jej zaschło – nijakiej wątpliwości nie żywiłem, że po wszystkim, co się było stało, pan mój w tak niebezpieczne konkury stawać nie będzie. Z innej beczki poczynając, zadziwiła mnie swoboda, z jaką dorodna komediantka poruszała się po Escorialu. I pojąłem, jak dalece niewiasta dufna i siebie pewna może w pychę się wbić, kiedy trafi w wysokie progi, a monarcha czy inny mąż wpływowy łaskawie na nią wejrzy. Oczywiście, uchowaj Bóg, nasza aktorka nie wchodziła w paradę królowej, komedianci mogli się kręcić po pałacowych ogrodach jeno na czas prób, żadne z nich nie popasało za murami. Chodziły takż słyhy, jakoby Czwarty Filip już był nocną wizytę owej Castro złożył, tym razem przez nikogo nie niepokojony, nawet przez jej małżonka, wszyscy snadź wiedzieli, że imć

Cózar sen ma głęboki i nawet z otwartymi oczami chrapie jak boże dziecko. Tak to sobie tutejsi dzień w dzień plotkowali, coś niecoś rychło musiało tedy dotrzeć i do uszu królowej. Atoli córka Henryka Czwartego wykształcona została na księżniczkę, a tego rodzaju sprawy należały niejako do dobrodziejstwa inwentarza. Elżbieta Burbońska zawsze była zwierciadłem królowych i wielkich dam, przeto lud miłością i respektem darzył ją aż do śmierci. A przecież nikt nawet nie imaginuje, jakie łzy rześiste wylewała przy drzwiach zamkniętych nasza nieszczęsna monarchini z powodu rozwiązłości dostojnego małżonka, który z czasem, jak powszechnie gadano, dochował się aż dwadzieścioro trojga nieślubnego potomstwa. Jak mniemam, nieposkromiony wstręt, który przez całe życie napawał królową na myśl o odwiedzinach w Escorialu – powróciła tu dopiero po śmierci, na własny pogrzeb – brał się nie tylko z tego, że ów gmach posępne wrażenie wywierał na jej wesołej naturze, ale i z tego, że od owego czasu zawsze przypominał jej o przygodzie jej męża z aktorką. Ta ostatnia niedługo też miała cieszyć się triumfem, albowiem królewskim kaprysem rychło zastąpiona została przez inną znakomitość sceny, zaledwie szesnastoletnią Marię Calderón¹⁰⁰. A godzi się dodać, że Czwarty Filip zawsze niezmierną skłonność odczuwał nie do dostojnych dam, jeno do niewiast niższego autoramentu, komediantek, pomywaczek, dziewczek karczemnych i ladacznic, lubo nie od rzeczy będzie wspomnieć, jako to – inaczej niżli we Francji, gdzie niektóre faworyty większą władzą cieszyły się od królewskich żon – w Hiszpanii zawsze pozory zachowywano i żadna z królewskich kochanek dostępu na dworskie korytarze nie miała. Stara, obłudna Kastylija, skrępowana jeszcze surową etykietą burgundzką, z Gandawy przez cesarza Karola przyniesioną, nie dozwalała, aby cokolwiek zasypało otchłani, dzielącą królewski majestat od nikczemnego pospólstwa. Przeto, ledwie kaprys minął – a nikomu nie

wolno dosiąć klaczy po królu ni zaznać błogości w ramionach tej, co przedtem była jego nałożnicą – kochanki Najjaśniejszego naszego mości Filipa przymuszano, by do klasztoru szły, podobnie jak i córki, co przychodziły na świat jako owoce tych związków. Dlatego też jakiś przemyślny dworak zmajstrował sławetną a nieomylną decymę, która taki początek miała:

Sławny gmach, przepyszna sień...

Lecz co psowa ten obrazek?

Zrazu król tu miał dom schadzek,

Potem klasztor zrobił zeń.¹⁰¹

Wystawcie sobie tedy waszmościowie z powyższego – dodając do tego grosz marnotrawiony na festyny, maskarady i wszelakie iluminacje, dalej przekupstwo, wojny i liche rządy – piekielną otchłań zepsucia, w którą nieuchronnie zsuwała się Hiszpania, ciągle jeszcze trwożę budząca, jeszcze potężna: oto macie króla z dobrymi intencjami, ale bez energii i zdolności, by rolę swą należycie pełnić, króla, co w ciągu czterdziestu czterech lat panowania zbył się odpowiedzialności na rzecz osób trzecich, sam zaś grzeszył, polował i życia używał co niemiara, szkatuły skarbcza swego pustoszył, a my tymczasem stradaliśmy Roussillon i Portugalię, Katalonia, Sycylia i Neapol rokosze podnosiły, spiskowała szlachta andaluzyjska i aragońska, regimenty nasze, z braku żołdu wygłodniałe i znarowione, lubo wciąż mężne, mogły już jeno po cichu ciągi zbierać, wierne dawnej chwale Hiszpanii. Ta wszelako – jak to w zakończeniu swego znakomitego sonetu napisał mość Luis de Góngora (niechże mi tu pan de Quevedo wybaczy) – stawała się już:

*Ziemią, dymem, pyłem, cieniem, nicością.*¹⁰²

Aliści – wszak niegdyś kapitan Alatryste powiedział mi był podczas buntu nieopodal Bredy: „Twój król jest twoim królem” – innego monarchy krom Filipa Czwartego los mi nie przeznaczył. On ucieleśniał to wszystko, co ukształciło ludzi mego pokroju i mej epoki. Nikt nie dał nam sposobności wyboru. Nie dziwota przeto, że się za niego biłem i dochowywałem mu wierności aż do samej jego śmierci, także gdy był młody i niewinny, jako i w czasie, kiedy na oczy przejrzałem, a wiarę pogarda zastąpiła, a również dużo później, w wieku mocno dojrzałym: podówczas to, już jako dowódca jego straży, widziałem, jak przedwcześnie niedołącznie, brzemieniem klęski, rozczarowania i wyrzutów przytłoczony, zdruzgotany ruiną swego kraju i ciosami, jakich samo życie mu nie oszczędziło. Ja też samotnie towarzyszyłem mu w Escorialu, gdzie długie godziny spędzał, ust nie otwierając, pogrążony w ułudnym panteonie znamienitych królewskich przodków, których dziedzictwo tak nikczemnie był roztrwonął. Ogromna była Hiszpania, co na nasze nieszczęście na jego barkach spoczęła. On zaś nie był mężem zdolnym ten ciężar podźwignąć.

* * *

Osaczyli go byli, a on pozwolił na to jak ostatni dureń. Teraz aliści nie miał czasu, ażeby się uzalać. Gotów czoło stawić temu, co musiało nastąpić, Diego Alatryste zaciął ostrogami i przymusił wierzchowca, by wskoczył do potoku wśród bryzgów wody. Dwaj jeźdźcy, co gnali jego śladem, zdołali zmniejszyć odległość, atoli bardziej niepokoiło go teraz dwóch innych, co się właśnie z zagajnika po przeciwnej stronie wyłonili i galopowali prosto w jego stronę z wielce niechrześcijańskimi zamiarami.

Zlustrował bacznie teren gwoli rozpoznania, jakie szansę mu daje. Niebezpieczeństwo czuł w powietrzu od stacji Galapagar, gdy zjeżdżał w dół ku rzeczce, widząc w oddali majaczącą już szarą bryłę Escorialu, wtedy to zmiarkował bowiem, że mknie za nim dwóch konnych. Wytrawny jego instykt w najwyższym był pogotowiu, bez trudu przeto pojął, że to tamci dwaj spod zajazdu. Dlatego to skierował konia w dół, ażeby żwawo do lasu pobliskiego dotrzeć, tam snadź mógł z zaskoczenia zadziałać. Wszelako dwaj nowi jeźdźcy nie pozostawiali niejakej wątpliwości. Miał do czynienia z ludźmi, którzy w żołnierskiej mowie zwani bywali naganiaczami: z patrolem, co okolice przetrząsa w poszukiwaniu łupu. A wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi nie mógł łudzić się, że łupem owym nie jest on sam.

Koń ślizgał się na kamieniach, dno przykrywających, zdołał aliści na drugi brzeg dotrzeć. Od nadjeżdżających brzegiem strumienia Alatryste był teraz jakie dwadzieścia kroków, mógł ich przeto jednym wytrawnym spojrzeniem obrzucić: wąsaci, odziani jak łowcy albo gajowi, zbrojni w pistolety, rapiery i jeden arkebuz przy siodle. Bez uchyby niezawodni, na rzeczy się znali. Okiem za siebie rzucił i zmiarkował, że już po piętach deptali mu tamci dwaj z zajazdu, kłując ostrogami i galopując na koniach w dół stoku. Toż to wszystko jasne jak słońce. Osadził rumaka, krótkim ruchem pistolet zza pasa wyszarpnął, wsadził sobie wodze w zęby i odwiódł kurek. Następnie to samo uczynił z drugim pistoletem, tym przy łęku. Nie był zwyczajny takiej walki, aliści stanąć na ziemi i stawić czoło czterem jeźdźcom byłoby zgoła szaleństwem. W każdej sytuacji zasię – przyszła mu myśl do głowy, co mizerną była pociechą – już to pieszo, już to w siodle, już to w tańcu, ale bić się przyjdzie. Owóż gdy tych z brzegu dzieliły odeń ze dwa sążnie, wyprężył się w strzemionach, wyciągnął ramię i zanim spust nacisnął i wystrzelił, zdążył jeszcze spostrzec przestach na

obliczu człeka, w którego mierzył. I zabiłby go niechybnie, gdyby gwałtowny ruch jego własnego wierzchowca nie sprawił, że kula bokiem przeszła. Widząc błysk i huk słysząc, napastnik, co arkebuz miał do siodła przytroczony, postawił konia dęba gwoli osłony, także i kompan jego skulił się, za cugle ciągnąc. Alatryste skorzystał ze sposobności, ażeby wolte na koniu zrobić, schować pistolet i dobyć drugiego. Zamiarował zaciąć konia i podjechać bliżej, by tym razem nie chybić, atoli zwierzę nie było rumakiem bojowym, zatrwożył je huk broni, gnało tedy w popłochu po nadbrzeżnych kamykach. Alatryste zaklął, zmiarkował snadź, że oto wystawia się do przeciwnika plecami, dobrze wycelować niezdolny. Zaciągnął wodze z taką siłą, że koń aż dęba stanął, omal z siodła go nie wyrzucając. Kiedy do równowagi powrócił, już z każdej strony nacierał nań wróg w pistolet zbrojny. Kątem oka dostrzegł także, że tamci z zajazdu już się przez potok przeprawiali wśród bryzgów piany – rapiery mieli gotowe do czynu w garściach, kapitana atoli bardziej niepokoiły pistolety, które jeżyły się w dłoniach tych dwóch po bokach. Czartowi się tedy poleciał, dłoń uniósł i wypalił prosto w gębę najbliższego. Tamten zaraz na zad koński się przewrócił z jedną nogą w górze, drugą snadź strzemię mu więziło. Alatryste odrzucił wystrzelony pistolet i sięgnął po rapier, widząc, że drugi napastnik ku niemu się kieruje, z oczami wybałuszonymi od napięcia, a tak czarnymi jak lufa pistoletu, którym weń mierzył. I pojął, że oto wszystko się kończy. Już nie ma wyjścia. Uniósł rapier, chciał przecie przynajmniej ostatnim wysiłkiem spróbować dopaść skurczybyka, co się go zgładzić gotował. I wówczas, niepomiernie zdumiony, ujrzał, że czarny otwór kieruje się ku końskiej głowie, zaraz potem zasię huk się rozległ, a ubranie jego zabryzgały krew i mózg zwierzęcia. Padł twarzą na kark padłego rumaka, wyleciał w powietrze i potoczył się w kamieniach nabrzeżnych. Zaraz też powstać zamiarował, otepiały, atoli sił mu nie stało, legł tedy

nieruchomo z nosem w błoto zanurzonym. Chryste w dupę. Plecy bolały go, jak gdyby stos pacierzowy na pół mu się rozpękł. Oczami szukał swego rapiera, jedyne wszelako, co zobaczył, to buty z ostrogami, co tuż przy nim stały. I zaraz od kopnięcia jednym z tych butów postradał zmysły.

* * *

Niepokój jął mi się w wątpia zakradać w porze podwieczornych modlitw, kiedy mość Francisco de Quevedo z marsem na obliczu przyszedł mnie powiadomić, że pan mój nie pojawił się u hrabiego de Guadalmedina, który też i cierpliwość zaczyna stradać. Wyszedłem na zewnątrz, spętany mrocznymi myślami, i skierowałem kroki ku balustradzie ganku na wschód wychodzącego, gdzie przysiadł, stamtąd bowiem baczenie mieć mogłem na trakt od Madrytu wiodący. Pozostałem tam do chwili, gdy słońce, szpetnymi mgłami sinymi przyćmione, na amen schowało się za górami. Pokwapiłem się podówczas z powrotem, chcąc poetę odnaleźć, ale nadaremno. Chciałem poszukać go i w samym gmachu pałacowym, atoli łucznicy zakazali mi wstępu na główny dziedziniec, iż para królewska z gośćmi swymi w pawilonie odbywają właśnie małą zabawę taneczną. Poprosiłem, aźby powiadomienie zanieśli do mości Álvara de la Marca, atoli wachmistrz odparł, że chwila nie jest zgoła stosowna i żebym albo zaczekał, aż wieczorek się zakończy, albo poszedł mitrzyć ludzi gdzie indziej. Nareszcie znajomy jakiś mości Francisca, na którego natknąłem się u stóp schodów Bergamasca¹⁰³, oznajmił mi, że poeta udał się był wieczerzać do oberży przy Królewskim Szlaku Pasterskim, zaraz za głównym łukiem na teren pałacowy wiodącym, tam snadź zwykł posiłki spożywać. Wyszedłem przeto drugi raz, przeszedłem ganek wschodni na krzyż, wspiąłem się ku głównemu łukowi, w lewo skręciłem i udałem się

do oberży. Przybytek był niewielki, przyjemny, oświetlony łożowymi kagankami. Ściany, z tego samego granitu co i pałac wzniesione, obwieszane były sznurami czosnku, szynkami i kiełbasami. Gospodyni baczenie miała na wielkie palenisko, oberżysta zasię podawał do stołu. Przy nim to znalazłem mości Francisca de Quevedo, Marię de Castro i jej małżonka. Poeta pytające spojrzenie mi rzucił, zmarszczył czoło, kiedym pokręcił przecząco głową, i poprosił, bym im przy stole kompanii dotrzymał.

– Ufam – powiedział – że znacie mego młodego przyjaciela.

Naturalnie, że znali. Osobliwie pani Castro. Nadobna aktorka powitała mnie uśmiechem, mąż jej zasię grymasem pełnym ironii i nadmiernej uprzejmości, ni chybi wiedział snadź, u kogo służyć. Właśnie podołali garnkowi duszonych pstrągów – był to wszak piątek – pozostały jeno resztki, które mi zaoferowali, atoli brzuch miałem ogromną troską zdjęty, przeto ukontentowałem się jeno kawałkami chleba w winie maczanymi. Tej ostatniej kwestii, wina mianowicie, Rafael de Cózar zdawał się mnóstwo uwagi poświęcać, miał bowiem ślepie czerwone, a język jego nieruchawy był jak u kogoś, kto tak głębokie hołdy szklanicy oddaje, iż mu się czasem nadmiar wypśnie. Karczmarz więcej wina doniósł, tym razem słodkiego Pedro Ximénez¹⁰⁴. María de Castro – na modłę amazonek odziana w kaftanik na zieloną baskinę narzucony i frywolitki flamandzkie, których bez mała pięćdziesiąt gors jej, napiętki i obramowanie spódnicy zdobiło – z ogromnym wdziękiem piła i wielce pomału, mość Francisco z umiarkowaniem, Cózar zasię zaprawdę pożądlawie. Owóz, popijając raz po raz, powrócili do gadania o własnych sprawach, a to o szczegółach przedstawienia, o sposobach deklamowania tego czy tamtego wersu, ja tymczasem czyhałem na moment, kiedy będę mógł zagadać poetę na osobności. A lubo ogromna udręka mnie drażyła, znów miałem sposobność

podziwiać gładkość niewiasty, dla której pan mój śmiał pokrzyżować królewskie kaprysy. A osobliwe drzenie wywołała we mnie zimna krew, z jaką María de Castro głowę do tyłu odrzucała, żeby się zaśmiać, usta w winie moczyła, poprawiała sobie z uszu powisające koralowe paciorki albo spoglądała na męża swego, na mości Francisca i na mnie, a robiła to tak, jak zawsze patrzyła na mężczyzn, których wybrała i wносиła na piedestał. I nieuchronnie myśli me pomknęły ku Angelice de Alquezár, a to zasię myśl mi nasunęło, że może zgoła pani Castro nie dbała o los kapitana Alatryste, ba, króla samego, że może było na odwrót: to króle i pionki były na jej szachownicy – albo i na szachownicach wszystkich niewiast – bierki przygodne i przelotnie jeno użyteczne. I otom w zadumę zapadł, czy María de Castro, Angélica i inne przedstawicielki tego rodu nie dadzą się przyrównać do wojaków na terytorium wroga, czy nie są takie, jaki i ja sam byłem we Flandrii: myszkują wśród męskiego ludu, na łup czyhając, za amunicję mają swą własną nadobność, a za broń – skłonności i namiętności przeciwnika. Byłaby to wojna, gdzie jeno najdzielniejsze i najokrutniejsze przeżyć potrafią, atoli bieg czasu niemal zawsze im samym na koniec klęskę zadaje. Spoglądając na Marię de Castro w przepysznym rozkwicie jej młodości, nikt nie zdołałby przewidzieć, że kilka lat potem, dla przyczyn, które w tej historii miejsca nie znajdują, pan mój odwiedzi ją ostatni raz w przytułku dla chorych niewiast, naprzeciw szpitala Atocha, i ujrzy staruchę, oszpeconą przez francuską chorobę, co lica zakrywa peleryną, bo nie chce, żeby ktokolwiek oglądał ją w tym stanie. I że ja, za skrzydłem drzwi ukryty, zobaczę, jak kapitan Alatryste przy pożegnaniu schyla się ku niej mimo jej sprzeciwu, jak pelerynę unosi i na jej zwiędłych ustach ostatni pocałunek składa. Tak to siedzieliśmy sobie, gdy raptem oberżysta się pojawił i zaszeptał aktorce kilka słów do ucha. Ta skinęła głową, dłoń małżonka pogładziła i powstała, szeleszcząc sukniami.

- Dobrej nocy – oznajmiła.
- Mam waszmości kompanii dotrzymać? – spytał Cózar nieprzytomnie.
- Nie trzeba. Przyjaciółki mnie oczekują... Damy dworu królowej.

Poprawiła sobie kolor na licu papierkiem karminowym z Granady, zerkając w zwierciadełko. O tej porze – pomyślałem – jedynymi damami, co się przy królowej nie zgromadziły, mogły być raptem ladacznice albo dorodne sztuki w kartach. Mość Francisco zamienił ze mną pełne wymowy spojrzenie, które Cózar w mig pochwycił. Oblicze miał wszelako nad wyraz spokojne.

– Każę sprowadzić ci powóz – ozwał się do żony.

– Nie trzeba – powtórzyła ze swobodą. – Moje przyjaciółki własny podstawili.

Mąż skinął głową beznamiętnie, jak gdyby wszystko już mu się zgadzało. Pochylił się nad winem, poza którym cały świat zdawał mu się być nieważną błahostką.

– A mogę wiedzieć, gdzie cię, waszmość pani, wiozą?

Uśmiechnęła się leciutko a wdzięcznie, zwierciadełko do sakiewki ze srebrnych paciorków chowając.

– Och, tu nieopodal. Bodaj w La Fresneda... Nie musisz waszmość czuć, mego powrotu wyglądając.

Pożegnała się jeszcze jednym uśmiechem i nader swobodnymi gestami, mantylę na głowie i ramionach sobie poprawiła, chwyciła rąbek sukni i wyszła samopas, wprzód rozkosznym ruchem dłoni powstrzymując mości Francisca, który z galanterią zaoferował, że ją do drzwi odprowadzi. Jak zmiarkowałem, szanowny małżonek nawet nie drgnął, siedział cały czas w rozpiętym kaftanie, ze szklanicą między dłońmi, i w trunek się wpatrywał z nieobecną miną i osobliwym uśmiechem, co skrywał się pod gęstym zarostem jego, złożonym z wąsów i gęstych bokobrodów na niemiecką

modłę. Skoro ta niezwykajna niewiasta poszła sama – pomyślałem – a jej ślubny dudek z takim grymasem na gębie kompanii Pedro Ximenezowi zamiaruje dotrzymać, znak to nieomylny, że zgoła nie paciorki różańca przed snem będzie pieścić. Mość Francisco ponownie zatroskane wielce, lubo ulotne, spojrzenie spod wysoko brwi uniesionych mi rzucił, które jeno zdało się przyklasnąć tej konstatacji. La Fresneda był to królewski majątek z pawilonikiem myśliwskim, będzie z górą pół mili od Escorialu, na samym końcu długiej alei topolowej. A nie słyszano, by królowa lub jej damy kiedykolwiek stopę swą tam postawiły.

– Pora chyba, żebyśmy wszyscy już precz sobie poszli – ozwał się poeta.

Cózar nadal trwał bez ruchu, płyn w szklanicy badając. Uśmiezek był coraz wyraźniejszy, przez co i oblicze większego okrucieństwa nabierało.

– I po cóż taki pośpiech – wymamrotał.

Miałem oto przed sobą człeka zgoła innego niżli ten, com go z dala dotąd znał, jak gdyby wino wpuściło światła w najmroczniejsze zakamarki duszy, niewidoczne w blasku kandelabrow na teatralnym podwórku.

– Wznoszę tu zdrowie – rzekł raptem i szklanicę uniósł – naszego Filipeczka.

Popatrzyłem nań z niepokojem. Przecie nawet aktor jego sławy winien zważać, na jaki temat krotchwile prawi. Widomym było, że owej nocy Cózar nie jest tym pełnym gracji i dowcipu artystą, znanym z desek teatru, któremu nigdy nie braknie konceptu do udatnej repliki, dobrego humoru i osobliwego podejścia do własnej osoby, „daj wina, a robaki niechaj poszczą”¹⁰⁵. Mość Francisco znowu spojrzenie ze mną zamienił, za czym dolał sobie wina i do ust je przytknął. Ja kręciłem się na siedzeniu niecierpliwie, próbując wzrokiem go ponaglić, on aliści jeno ramionami wzruszył. Niewiele tu już możemy uczynić – zdawał się przekonywać. To

twój pan karty rozdaje, ale go nie ma. A ten tu – sam widzisz. Bywa, że siarka stawia sprawy na nogi, które przy trzeźwej głowie zdają się na opak.

– Jak to jest w owym precudnym sonecie waszmościnego pióra, panie de Quevedo? – Cózar dłoń położył na ramieniu poety. – Tym o Złotniku Rudzielcu i nimfie Dafne... Wiesz waszmość, o czym prawię?

Mość Francisco przypatrywał mu się bacznie, jak gdyby kwapił się zajrzeć głębiej w jego głowę. W szkiełkach poety odbijały się płomyki świec.

– Nie przypominam sobie – odparł nareszcie.

I podkreślił węża z widomą konfuzją. Niechybnie z niesmakiem patrzył na to, co we wnętrzu Cozara dostrzegł. Ja sam posłyszałem w głosie aktora ton, jakiegom się nigdy nie spodziewał: słabe echo powściąganej, mrocznej urazy. Nijak nie pasowało to do postaci, którą był – albo chciał być.

– Nie?... Owóż ja owszem – Cózar palec uniósł. – Czekażje.

I jął deklamować, a lubo język nieco mu się plątał, przecie głos miał mocny, godny wielkiego artysty o wielkim talencie oratorskim:

*W sakiewkę zamienił się Jowisz srogi,
A dziewczę spódnice nuże zadzierać,
Deszcz złota rade przyjąć między nogi.¹⁰⁶*

Nie była to snadź dokładna busola dla uczonych poetów¹⁰⁷, tedy i nam nie dane było symboliki tych słów rozszyfrować. Poeta zerknął zakłopotany na mnie, a ja na niego. Cozara atoli zdawało się to nie krępować. Z niewyraźnym uśmiezkiem podniósł szklanicę do warg.

– Albo inne wersy – dodał haust później. – Takoż wasza miłość sobie nie przypomina?... Ależ tak, jakżeby nie. Te, co się zaczynają od: *Na łbie twym, panie X, dwa rogi prężne*¹⁰⁸.

Aż zatrzęsł się mość Francisco i rozejrzał się jak ktoś, kto drogi ucieczki wypatruje.

– Do diaska, nie wiem, o czym waszmość gadasz.

– Nie...? Wszak to waszmościne są dziełka, a i sławetne. Języki w mieście powiadają też, że i ja z nimi mam coś niecoś wspólnego.

– Od rzeczy mówisz. Wypiłeś waszmość ponad miarę.

– A pewnie, żem wypił. Do poezji aliści pamięć mam wyborną...

Wystaw sobie waszmość:

*Pani, nie zapomnij o tem,
Com rozkazał, bo buławą
Król z ochoty czyni prawo,
Kiedy poweźmie ochotę.*

– ... Nie darmo największym mieniem się być aktorem w Hiszpanii, do kroćset. A teraz bacz pilnie, imć panie poeto, ize kolejny jakże udały sonecik do łba mi przychodzi... Ten, co go rozpoczynają słowa *Odgłos tej dziurki, który prykiem zwiemy*.

– Ten jest anonimowy, o ile wiem.

– Tak. Wszelako przypisywany waszmościnemu niezrównanemu geniuszowi.

Poeta jął się nie na żarty złościć, coraz częściej rzucał też spojrzenia na prawo i lewo. Snadnie z oblicza jego ulgę wyczytać mogłem, żeśmy sami byli w oberży, a gospodarz daleko. Cózar zasię, niczym się już nie sumitując, właśnie deklamował:

*Gówno warte są królewskie przechwałki,
Że to, schowany za strażą niemiecką,*

*Życiem darzy, pędząc precz groźne Parki.*¹⁰⁹

Wersy te w istocie pochodziły spod pióra mości Francisca, lubo ten się zapierał w żywe oczy, a napisane w czasie, kiedy to mniej afektu było pomiędzy poetą a Dworem; pół Hiszpanii podawało je sobie w odpisach, autor sam zasię ni chybi ucho dałby sobie obciąć, byleby je zniszczyć, gdyby jeno mógł. Owóż ten popis aktorski, obficie winem pokropiony, przelał szklanicę goryczy: mość Francisco oberżystę zawezwał, zapłacił za poczęstunek i wielce gniewem zdjęty powstał, pozostawiając Cozara samopas. Ja podreptałem za nim.

– Pojutrze ma przed królem występować – rzekłem w sieni, mocno zaniepokojony. – Na domiar złego w waszmościnej komedii.

Wciąż z marsem głębokim na obliczu poeta obejrzał się za siebie, za czym strzelił językiem.

– Nie musimy się turbować – odrzekł nareszcie z krotochwilną przewrotnością. – To chwilowa niemoc... Jutro rano, gdy zeń wińsko wyparuje, wszystko do należytego porządku powróci.

Zawiązał sobie tasiemki czarnej kurty i zarzucił ją sobie na ramiona.

– Lubo, na świętego Rocha – dodał po chwili zadumy – nigdy nie przypuszczał, że takiemu baranowi urażony honor do żywego dopiecze.

Ostatnie, zadziwienia pełne spojrzenie rzuciłem w stronę drobnej postaci przy stole, którą zawszem był uważał – podobnie jak i mość Francisca – za człeka do swawoli skorego, wesołka i bezczelnika. Co pokazuje – a jeszcze bardziej miał mnie zdumieć w ciągu następnych kilku godzin – że serce ludzkie zawsze sekrety jakoweś kryć przed nami potrafi.

– A czy wasza miłość nie podejrzewa, że może on ją miłuje?

Ażem pokraśniał z zasromania, ledwie te niespodziane słowa z gęby mi się wypsnęły. Poeta przestał na chwilę rapier za pasem sobie rychtować i z

zaciekawieniem na mnie spojrział. Za czym uśmiechnął się, rynsztunek zakładać skończył, aliści z wolna, jak gdyby moje odezwanie do zadumy go nakłoniło, i nic nie wyrzekł. Kapelusz na łeb nacisnął i samowtór, milcząc, wyszliśmy na ulicę. I dopiero po kilku krokach zobaczyłem, że głową skinął, snadź długą chwilę rzecz całą w duchu przemyśleć musiał.

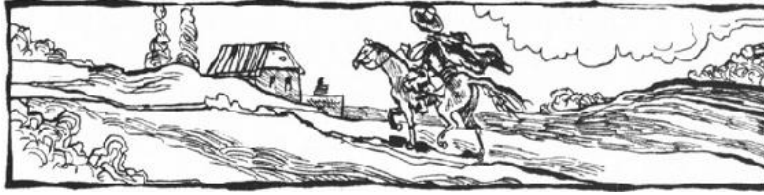
– Nigdy nie wiadomo, chłopcze – mruknął. – Tegom jeno pewien, że nigdy nie wiadomo.

Chłód chwycił, za to gwiazd nie było widać. Idąc przez wschodni ganek, rozrzucaliśmy butami liście, z drzew podmuchami wiatru pozrywane. Przy wejściu do pałacu musieliśmy podać hasło, wszak po dziesiątej już było, nikt atoli nie potrafił nam nic powiedzieć na temat kapitana. Hrabiego de Guadalmedina, rzekłbyś, biesy opętały, jak mi później opowiadał mość Francisco, kiedy już z nim był kilka słów zamienił. Niech fortuna Alatristemu sprzyja – mówił magnat – bo inaczej ja niefortunnie wypadnę w oczach faworyta. Jak się waszmościowie pewnikiem domyślacie, ja już także od zmysłów odchodziłem; odmówiłem zamknięcia drzwi na wypadek, gdyby pan mój jednak zdołał przybyć. Mość Francisco przemówił atoli do mnie wielce rozumnie i zdołał jako tako lęk mój uśmierzyć. Siedem mil od Madrytu – powiadał – to szmat drogi. Może za sprawą błahostki jakiej zmitrężył nieco po drodze albo po zmroku przyjechać woli dla większego bezpieczeństwa, na pewno zasię wie, jak się strzec. Skinąłem na to głową, lubo raczej z rezygnacją niżli z przekonaniem, snadź miarkowałem, że i nasz poeta własnej swej wymowie nie wierzy. Prawda wszak taka była, że czekać nam przyszło i nic więcej. Mość Francisco do swoich spraw się oddalił, a ja znów powędrowałem ku głównemu wnijsciu do pałacu, gdzie całą noc pozostać zamiarowałem w oczekiwaniu wieści. Przechadzałem się właśnie między kolumnami dziedzińca kuchennego, kiedy wedle wąskich schodków, półmrokiem

spowitych i wciśniętych w grube mury, posłyszałem szelest jedwabnej sukni. Serce natychmiast zamarło mi, jak gdyby mi ktoś pocisk wraził. Zanim jeszcze usłyszałem wyszeptane me imię, zanim obróciłem się ku skrytej w ciemnościach postaci, wiedziałem, że to Angélica de Alquezár i że na mnie czeka.

Tak zaczęła się najcudowniejsza i najstraszliwsza noc w moim życiu.





X. PRZYŃĘTA I PUŁAPKA.



iego Alatryste ręce miał na plecach skrępowane, tedy z trudem mógł się wyprostować i usiąść pod ścianą. Tak wielki ból w głowie mu dolegał – wspomnienia upadku z konia i kopnięcia zgoła się nie zatarły – że zrazu tym właśnie tłumaczył sobie otaczającą go ciemność. A mozem zgoła oślepl – pomyślał i ciarki go przeszły. Atoli chwilę potem, kiedy z niepokojem jął się rozglądać w różne strony, dostrzegł czerwonawą szparę u dołu jakichś drzwi, i westchnął głęboko z ulgą. Przeto noc być musi. Albo w lochu go więżą. Poruszył palcami, wskutek skrępowania odrętwiałymi, i aż się musiał w wargę zagryźć, ażeby jęku z siebie nie wydać – bolały go, jak gdyby tysiąc igieł przez żyły mu przepłynęło. Po jakimś czasie, gdy klucie nieco ustało, spróbował myśli pogmatwane w ordynku ustawić. Podróż. Stacja. Pułapka. Tu z niepomiernym zdziwieniem przypomniał sobie pocisk pistoletu, co miast niego samego, konia był pod nim powalił. Bez wątpienia to nie była pomyłka ani chybiony strzał. Miał nieomylny wrazenie, że tamci surowo przestrzegali wydanych rozkazów. Tak karni, że lubo on wypalił jednemu prosto w gębę, nie dali się ponieść oczywistej żądzy, nie próbowali rachunków wyrównać. I to potrafił zrozumieć, iż sam parał się podobną

profesją. Atoli to nadal nie wyjaśniało, kto sakiewką potrząsa. Kto płaci za ten cały bal. Kto chciał go mieć żywego i po co.

Jak gdyby w odpowiedzi drzwi otwały się raptownie, a oczy poraził mu nagły strumień światła. Na progu stała czyjaś czarna postać z latarnią w jednej ręce, a bukłakiem wina w drugiej.

– Dobry wieczór, kapitanie – ozwał się Gualterio Malatesta.

Ostatnimi czasy – przyszło Alatristemu do głowy – Włoch pojawia się i znika z jego życia, mając na tle otwartych drzwi. Różnica teraz atoli leżała w tym, że to on sam siedział obwiązany jak pasztetowa kiszka, a tamten zgoła się nie śpieszył. Malatesta podszedł bliżej, przycupnął obok i rzucił nieco światła na oblicze jeńca. – Bywałeś waszmość nadobniejszy – powiedział obojętnie.

Porażony blaskiem Alatryste zamrugał powiekami i zmiarkował, że lewe oko do cna ma zapuchnięte i nie zdoła go odemknąć. Mimo tego widział wyraźnie ospą przezartą gębę swego wroga, a osobliwie głęboką bliznę na prawej powiece, pamiątkę po walce na pokładzie „Niklaasbergen”.

– Waszmość takż.

Wąs Sycylijszyka przekrzywił się w omal wspólnicznym uśmiešku.

– Przykro mi z powodu tych niewygód... – powiedział, zaglądając za plecy kapitana. – Bardzo ściska?

– Owszem.

– Tak też mi się zdało. Ręce masz waszmość niczym bakłazany.

Oblicze ku wnijsciu obrócił, coś zawołał i zaraz pojawił się tam jakiś osobnik, w którym Alatryste rozpoznał siepacza, z którym się był zderzył na stacji Galapagar. Malatesta rozkazał mu, żeby poluźnił więzy, a kiedy tamten spełniał polecenie, Włoch dobył sztyletu i przytknął kapitanowi do gardzieli, ażeby wszelką próbę ucieczki udaremnić. Chwilę później na powrót byli sami.

– Chcesz waszmość pić?



...drzwi otwały się raptownie, a oczy poraził mu nagły strumień światła. Na progu stanęła czyjaś czarna postać z latarnią w jednej ręce, a bukłakiem wina w drugiej.

– Do kroćset!

Malatesta wsunął sztylet i przybliżył bukłak z winem do kapitańskich ust, zezwalając mu wypić, ile jeno ten chciał. Spozierał nań przy tym

bacznie z bliska. Przy blasku latarni Alatryste także mógł przypatrzeć się czarnym, złowrogim oczom Włocha.

– Opowiedz mi waszmość wszystko od początku – rzekł.

Uśmiezek tamtego zarysował się jeszcze wyraźniej. Taka mina zapowiada – uznał kapitan – że czas się po chrześcijańsku poddać wyrokowi losu. W obecnych okolicznościach otuchy mu to nie dodało. Malatesta palcem w ucho z zadumą pogmerał, jak gdyby rozważał, czy dwa słowa więcej czy mniej wygadać.

– Masz się szykować – odparł nareszcie.

– Waszmość mnie zabijesz?

Tamten ramionami wzruszył. A cóż za różnica – zdawał się mówić – kto ma waszmości zabić.

– Tak tuszę – powiedział.

– A kto płaci?

Malatesta pokręcił głową z wolna, wzroku z kapitana nie spuszczał, aliści się nie odzywał. Po chwili powstał i wziął z ziemi latarnię.

– Masz waszmość dawnych wrogów – zakończył, ku drzwiom się kierując.

– Krom waszmości?

Włoch zaśmiał się ochryple.

– Ja wrogiem nie jestem, kapitanie Alatryste. Jestem przeciwnikiem. Dostrzegasz różnicę?... Przeciwnik respektem darzy, lubo zabije ciosem w plecy. A wrogowie to rzecz inna... Wróg nienawidzi, lubo na pozór wychwala i uściskiem wita.

– Dajże pokój mędrkowaniu. Zarznieś mnie waszmość jak psa.

Malatesta już miał drzwi zawrzeć, atoli raptem przystanął z pochyloną głową. Snadź dumał, czy powinien jeszcze coś dodać.

– Co do psa, dosyć nikczemnie to waszmość ująłeś – ozwał się po chwili. – Ale niechaj i tak będzie.

– Skurwysyn.

– Nie róbże takiego olaboga. Wspomnij nasze spotkanie w mym domu... I niechaj waszmości za pociechę posłuży, że odejdiesz w nader dostojnej kompanii.

– Jakże to dostojnej?

– A to zagadka dla waści.

Alatriste jął kojarzyć fakty. Włoch zasię stał w drzwiach cierpliwie, ale i czujnie.

– Niemożebne – rzekł raptem kapitan.

– Napisał to dawno temu mój rodak Dante – odparł Malatesta. – *Poca favilla gran fiamma seconda.*¹¹⁰

– Znowu król?

Nie wyrzekł Włoch tym razem ni słowa. Rozszerzył jeno gębę w uśmiechu, ku ogromnemu zdumieniu Alatristego.

– Owóz gówniana z tego dla mnie pociecha – powiedział kapitan.

– A mogło być gorzej. To znaczy dla waszmości. A tak będą o tobie historycy pisać.

Alatriste nie słuchał, jego myśli kręciły się ciągle wokół najważniejszego.

– Powiadasz, że ktoś ma w kartach o jednego króla za dużo... I że na powrót ja mam sprawę wyczyścić.

Włoch już zamykał drzwi przy wtórze skrzeczącego śmiechu.

– Jam niczego nie powiadał, panie kapitanie... Ale jedna rzecz zaprawdę mi się podoba: owóz kiedy już waszmości zabiję, nikt nie będzie mógł gadać, żem rozprawił się z człkiem niewinnym albo niespełna rozumu.

* * *

– Kocham cię – powtórzyła Angélica.

Nie mogłem dostrzec jej lica w ciemnościach. Wracałem do siebie z wolna, budząc się z błogiego snu, podczas którego myśl moja cały czas była przytomna. Nadal obejmowała mnie ramionami, a ja czułem, jak serce mi wali, przytulone do jej półnagiego ciała, gładkiego niczym satyna. Otwarłem usta, by podobne słowa wyrzec, atoli dobyłem jeno westchnienie, pełne zdumienia i znużenia. I szczęścia. Po tym, co się stało – pomyślałem – nikt nas już nie rozdzieli.

– Mój mały – rzekła.

Zanurzyłem twarz w jej potargane włosy, za czym, pogładziwszy palcami łagodną linię bioder, pocałowałem ją w dołek pod ramieniem, wedle luźno leżących ramiączek jej rozpiętej koszulki. Na dworze przez dachy i kominy pałacowe nocny wiatr się z poświstem przetaczał. Tu w komnacie, na pokrytym pogniecionymi prześcieradłami łożu, panował niezmacony spokój. Wszystko było gdzieś daleko, nic się nie liczyło, jeno nasze młode ciała, czule w mroku objęte, i bicie mego serca, z każdą chwilą wolniejsze. I wtem zmiarkowałem, a było to niczym objawienie, że całą tę długą drogę, przez pacholęctwo w Oñate, Madryt, kazamaty inkwizycji, Flandrię, Sewillę, Sanlúcar, przez tyle trudów i niebezpieczeństw, przebyłem po to właśnie, ażeby mężczyzną się stać i pogrążyć się tej nocy w ramionach Angeliki de Alquezár. Dziewczyny, która lat mniej jeszcze miała niżli ja, a która nazwała mnie swoim małym. Niewiasty, która w rozkosznych tajniach swego rozkwitającego ciała zdawała się posiadać klucze do mego losu.

– Teraz będziesz musiał mnie poślubić... – zamruczała. – Któregoś dnia.

Wyrzekła to tonem poważnym i zarazem ironii pełnym, osobiwie drżącym, który mi zaraz liście drzew do głowy przywiódł. Skinąłem sennie głową, ona pocałowała me usta. Oddaliła tym samym od mej świadomości myśl, co usiłowała już od dłuższej chwili przedostać się do mnie na podobieństwo echa, podmuchu nocnego wiatru. Chciałem się na tej myśli skupić, atoli usta Angeliki i jej objęcia zagradzały jej drogę. Poruszyłem się niespokojnie. Czułem wszelako coraz wyraźniej, że gdzieś coś się dzieje. Jak podówczas, kiedy zapuszczałem się na wraże terytorium pod Bredą, a zielony, monotonny krajobraz z wiatrakami, kanałami, lasami i falującymi łąkami w każdej chwili mógł wypluć zniecka oddział niderlandzkiej jazdy. Trwożąca mnie myśl powracała coraz to silniej. Jak pogłos, jak migający obraz. Błysk, atak paniki. Oblicze kapitana. Ależ tak, oczywiście. Na rany Chrystusowe.

Wyprostowałem się raptownie, odrzucając ramiona Angeliki. Kapitan nie stawił się był na spotkanie, a ja tu leżę w łozu, niedbały na los jego, pograżając się w otchłani całkowitego zapomnienia.

– Co się stało? – spytała.

Nic nie odparłem. Stałem bosymi stopami na zimnej posadzce i jąłem po omacku odziewku mego szukać. Byłem wszak do cna obnażony.

– Dokąd idziesz?

Natrafiałem na koszulę. Pozbierałem jeszcze portki i kaftan. Angélica już nie zadawała więcej pytań, powstała razem ze mną. Usiłowała przytrzymać mnie za plecy, aliści odepchnąłem ją gwałtownie. Przez chwilę toczyliśmy taką niemą walkę w ciemnościach, aż nareszcie usłyszałem, że pada na łozko z jękiem rozpacz, a może wściekłości. A przecie nie to było ważne. W owym momencie nie było ważne nic innego, jeno mój własny gniew na samego siebie. Udręka z racji tego, zem zdezerterowałem.

– Bądź przeklęty – ozwała się.

Pochyliłem się znowu, macając nogami podłogę. Gdzieś tu muszą być moje ciżmy. Zmacałem skórzany pas, ale kiedy zaczął go zakładać, zmiarkowałem, że waży mniej niżli zazwyczaj. Pochwa sztyletu była pusta. Gdzież, do licha – pomyślałem. Gdzież, do licha, się podział. Już to samo niedorzeczne pytanie na usta mi się cisnęło, już je miałem na głos zadać, kiedy raptowny, ostry i jakże zimny ból przeszył mi plecy, a ciemność upstrzyły drobniutkie, błyszczące punkciki, gwiazdkom podobne. Wydałem urwany, suchy krzyk. Zaraz też chciałem odwrócić się i uderzyć, aliści siły mnie odeszły i padłem na klęczki. Angélica trzymała mnie za włosy i ciągnęła mą głowę do tyłu. Zrazu poczułem krew, co po mych plecach spływa i dalej po nogach ku stopom, a zaraz potem chłodne dotknięcie główki sztyletu na szyi. Oświeciła mnie pewność, że oto zarżnie mnie tu niby jałowicę. Albo jak wieprzka. Niegdyś czytałem byłem o starożytnej czarownicy, co mężów w wieprze zamieniała¹¹¹.

Na powrót do łóża za czuprynę mnie zaciągnęła, sztyletu od mej gardzieli nie odsuwając, i rzuciła mnie na pościel twarzą do dołu. Za czym usiadła na mnie okrakiem, ciągle na poły obnażona, i przygwoździła me ciało, ciasno obejmując je udami. Nie przestała przy tym mocno trzymać mnie za włosy. Dopiero naówczas odsunęła sztylet, a ja poczułem, że kładzie usta na mej krwawiącej ranie, gładząc jej brzegi językiem, całując, jak wprzód całowała moje wargi.

– Wielcem kontenta – szepnęła – żem cię jeszcze nie zgładziła.

* * *

Światło oślepiało Diega Alatryste. A raczej rzec by należało – prawe jego oko, lewe wszak wciąż było zapuchnięte, a powieki ciężły mu jak szemrane kości, doprawione ołowiem. Mógł atoli zmiarkować, że tym

razem w drzwiach piwnicy pojawiło się dwóch ludzi. Jął się w nich wpatrywać z miejsca, gdzie siedział pod murem, z dłońmi ciągle na plecach związanych, których mimo bolesnych wysiłków nie zdołał nadal oswobodzić.

– Poznajesz mnie? – ozwał się szorstki głos.

Na przybysza padło światło pochodni. Alatryste bez trudu rozpoznał osobnika, a dreszcz i zdumienie niechybnie musiały się odmalować na jego obliczu. Nikt nie zdołałby zapomnieć owej imponującej tonsury, surowej, wychudłej twarzy, żarliwych oczu i czarno-białego habitu dominikańskiego. Brat Emilio Bocanegra był ostatnią osobą, jaką spodziewał się tu napotkać.

– Teraz – ozwał się kapitan – to mam przesrane na amen.

Zza pochodni dobiegł ochrypły, pełen uznania dla trafności tej uwagi śmiech Gualteria Malatesty. Inkwizytor aliści pozbawiony był dowcipu. Spojrzenie jego głęboko zapadniętych oczu przeszywało więźnia na wylot.

– Przybyłem cię wyspowiadać – powiedział.

Alatryste skierował zaskoczony wzrok ku czarnej postaci Malatesty, teraz wszelako Włoch poniechał i słów, i rehotu. Widowym było, że sprawa jest poważna. Nazbyt poważna.

– Jesteś najemnikiem i mordercą – ciągnął mnich. – Podczas swego nędznego żywota sprzeciwiłeś się wszystkim i każdemu po kolei Bożemu przykazaniu. Teraz zasie czas, byś zdał rachunki.

Kapitan zdołał od podniebienia odkleić język, który przywarł mu był tam, ledwie o spowiedzi usłyszał. Sam się sobie dziwił, że potrafi ciągle zimną krew zachować.

– Moje rachunki – odparł – to moja sprawa.

Brat Emilio Bocanegra wpatrywał się weń bez wyrazu, jak gdyby tego nawet nie dosłyszał.

– Opatrzność Boża – ciągnął – daje ci sposobność do pojednania się z Najwyższym, zbawienia duszy, lubo setki lat będziesz musiał w czyścću przepędzić... Za kilka godzin staniesz się narzędziem Boga, kiedy tylko przemówią miecz archanioła i ostrze Jozuego... Jeno od ciebie zależy, czy pójdiesz na spotkanie przeznaczenia z sercem zawartym przed łaską Stworzyciela, czy przyjmiesz je z dobrą wolą i czystym sumieniem... Pojmujesz mnie?

Wzruszył kapitan ramionami. Zgładzić go na amen to jedno, a mącić mu we łbie podobnymi bredniami to drugie. Wciąż nie pojmował, co u czarta ten mnich tu robi.

– Pojmuję tyle, że wasza wielebność winien mi kazań oszczędzić, snadź to nie niedziela. Idźmy do rzeczy.

Brat Emilio Bocanegra przez chwilę milczał, wzroku z więźnia nie spuszczał. Za czym uniósł upominająco chudy palec.

– Rzecz w tym, że rychło świat dowie się o pewnym zabijace nazwiskiem Diego Alatryste, który, powodowany zazdrością o pewną jawnogrzesznicę, nieodrodną córę Jezabel, wyswobodził Hiszpanię od króla, co niegodnym dźwigania korony się okazał... Widzisz zatem. Nikczemne narzędzie w rękach Boga sprawiedliwej posłuży krucjacie.

Oczy dominikanina płonęły teraz Bożym gniewem. Alatryste nareszcie potwierdził swe czarne domysły. To on ma być ostrzem Jozuego. A przynajmniej pod taką postacią przejdzie do annałów historii.

– Wyroki Boże – rzucił Włoch zza pleców mnicha, zmiarkowawszy, że więzień pojmuje, co się święci – są niezbadane.

Słowa jego zadźwięczały nieomal jak otuchy i respektu pełna perswazja, na przekór bezwstydney naturze siepacza, którą Alatryste zdołał był już na wskroś poznać. Uznał tedy, że Malatesta gadać musiał dla własnej jeno przyjemności, rozkoszując się przeraźliwym interludium, jakie tu się

rozgrywało. Dominikanin z posępnym obliczem obrócił się nieco, nie podnosząc wszelako wzroku na Włocha, któremu zaraz też krotochwila na ustach zamarła. W przytomności inkwizytora nawet Gualterio Malatesta nie mógł pozwolić sobie na zbyt wiele.

– Tego mi jeszcze brakowało – westchnął głośno kapitan. – Ulecieć w zaświaty za sprawą szalonego mnicha.

Jak strzał z biczu rozległ się siarczysty policzek, a twarz kapitana gwałtownie w bok odleciała.

– Poskromże język, łotrze – dominikanin trzymał dłoń uniesioną jak miecz, gotów do drugiego uderzenia. – To ostatnia twoja sposobność, nim pogrążysz się w otchłań wiecznego potępienia.

Kapitan spojrział znów na brata Emilia Bocanegrę. Policzek płonął, a on przecie nie należał do takich, co drugi nadstawić są gotowi. Gdzieś nad żołądkiem poczuł coraz mocniej gniotącą rozpacz. Na jaja żywego Lucyfera – zaklął w duchu, zęby zacisnąwszy. Do tej nocy nikt przenigdy nie poważył się uderzyć go w twarz. Na Chrystusa i Tę, co Go porodziła, mógłby teraz oddać tanio duszę, jeżeli ją zgola posiadał, za uwolnienie rąk, ażeby móc mnicha udusić. Popatrzył na czarną postać Malatesty, który nadal krył się za pochodnią i słowa ni śmiechu z siebie nie wydawał. Snadź policzek Włocha także nie uradował. To nie licowało z ludźmi ich pokroju. Zabijanie należało do profesji. Upokarzanie – nie.

– Kto jeszcze palce w tym macza? – zapytał, prostując się pod murem. – Krom oczywiście Luisa de Alquezár... Nie wykańcza się królów ot, tak sobie, potrzebny jest następca. A nasz jeszcze się syna nie doczekał.

– Wszystko pobiegnie naturalną kolejną rzeczy – odrzekł dominikanin nader spokojnie.

Zatem tu tkwi sedno sprawy; pomyślał Alatryste, wargi przygryzając. Naturalna kolej rzeczy przewidywała, że tron obejmie infant Karol, starszy

z dwóch braci królewskich. Powiadano, że najmniej talentów posiada w całej rodzinie i że jego mało lotny umysł i wąta wola czynią go wielce podatnym na wpływ tego, co zdoła postawić przy nim odpowiedniego spowiednika. Filip Czwarty był mężem pobożnym, pomimo młodzieńczych wybuchów rozwiązłości, aliści – w przeciwieństwie do jego ojca Filipa Trzeciego, co przez całe życie mnichami się był otaczał – kler trzymał z dala od siebie. Idąc za radą hrabiego–diuka de Olivares, hiszpański monarcha nie dopuszczał do zbliżenia z Rzymem, którego biskupi z goryczą musieli przyznać, że najsilniejszym bastionem chrześcijaństwa przed luterańską nawałą są habsburskie regimenty. Podobnie jak Olivares, młody król względami darzył jezuitów, atoli w kraju, gdzie sto tysięcy kapłanów i zakonników właśnie toczy o pełne nad duszami panowanie i o kościelne przywileje, niełatwo i nieostrożnie byłoby po jednej opowiadać się stronie. Ojców od Loyoli szczerą nienawiścią darzyli dominikanie, którzy zarządzając Świętym Oficjum, osobliwą wrogość okazywali także franciszkanom i augustianom, wszyscy zaś wspólną ligę zawiązywali, kiedy w grę wchodziło poddaństwo wobec majestatu i sprawiedliwości królewskiej. Przy czym w owej walce o władzę, pełnej zajadłości, pychy i ambicji, niebagatelną rolę odgrywał fakt, że Zakon Świętego Dominika – a wraz z nim i inkwizycja – serdecznie zadzierzgnęły więzy z infantem Karolem. Tedy i nijaką tajemnicą nie mogło być, że ten ostatni gorąco ich wspierał, nawet spowiednika dobrał sobie spośród dominikanów. Płyn czerwony w szklanicy – zakonkludował Alatryste – może być jeno winem. Albo krwią.

– Jeżeli infant się w to wmiesza – rzekł – to znaczy, że w złą godzinę na świat przyszedł.

Z miną, jak gdyby muchę chciał przegonić, brat Emilio Bocanegra odwołał się do swej rytualnej retoryki.

– Bywa, że nie wie prawica, co lewica czyni. Istotne jest, ażeby Bogu wszechmogącemu należną cześć oddać. To właśnie nasz cel.

– Będzie was głowę kosztować. Waszą wielebność, tego tam Włocha, sekretarza Alquezara i samego infanta takż.

– O głowę martw się waszmość swoją – rzucił z flegmą Malatesta.

– Albo rzec winieniem – uściślił inkwizytor – o uzdrowienie duszy... – Jego złowrogie oczy na powrót kapitana przeszyły. – Gotów jesteś wypowiadać się przede mną?

Alatriste wsparł głowę o ścianę. Kiedyś musiało to nastąpić, ale przewrotny los sprawił, że działo się to w ten sposób. Diego Alatriste królobójcą. Nie tak pragnął, by wspominało go w gospodzie lub w okopie tych kilku druhów, którzy jeszcze mu pozostali. Lubo gorzej jeszcze byłoby szczeznąć w szpitalu dla weteranów albo kaleką o jałmużnę żebrać na schodach kościelnych. Jedna pociecha, że w tym przypadku Malatesta działać będzie czysto i sprawnie. Nie mogą dozwolić, ażeby na koźle farbę puścił.

– Wprzódę przed diabłem się wypowiadam. Tam na lepszy traktament liczyć mogę.

W głębi rozległ się zduszony, ale niepowstrzymany śmiech Włocha, który dopiero straszliwe spojrzenie mnicha uciszyć zdołało. Za czym inkwizytor bacznie a nieśpiesznie przypatrzył się obliczu Alatristego. Po chwili pokiwał głową na znak, że wyrok nieodwołalny zapadł, i powstał, habit z pyłu otrzepując.

– Tak też zatem będzie. Diabeł i waszmość, twarzą w twarz.

Wyszedł, a w ślad za nim Malatesta z pochodnią. Drzwi zatrzasnęły się za nimi niby grobowa płyta.

* * *

Gwoli przysposobienia się do śmierci popadamy w sen, który jako wytchnienie i ostrzeżenie zarazem nam służy. Nigdy wcześniej nie zmiarkował był tego dobitniej niżli w chwili, gdy śmiertelnymi zlany poty budziłem się z przedziwnego półsnu, omdlenia przepojonego obrazami, powolnej zmory. Leżałem ciągle w łóżu na brzuchu, obnażony, a w plecach odczuwałem przemożny ból. Na dworze wciąż była noc. O ile – pomyślałem raptem z trwogą – to ta sama noc. Gdym jął macać w poszukiwaniu rany, napotkałem bandaż, którym przewiązано mi ciało. Poruszyłem się w mroku z rozważą i po chwili wiedziałem już, że sam jestem. Zaraz też gwałtownie powróciło wspomnienie niedawnych wydarzeń, wspomnienie błogie i przerażające. A potem pomyślałem o losie, jaki spotkał kapitana Alatryste.

To mi pomogło podjąć decyzję. Zataczając się, odnalazłem mój przyodziewek, zęby przy tym zaciskałem, byleby nijakiego jęku nie wydać. Ilekroć pochylałem się po jakąś rzecz, we łbie mi się kręciło, iżem się bał na powrót zmysły postradać. Omal całkiem ubrany, spostrzegłem światelko w szparze pode drzwiami, doszły mnie też jakieś głosy. Krok naprzód postąpiłem i nadepnałem na sztylet, hałas wielki czyniąc. Zamarłem zaraz przelekniony, atoli nikt się nie pojawił. Wsunąłem tedy sztylet ostrożnie do pochwy i zawiązałem kordonki przy ciźmach.

Odgłosy ucichły, czyjeś kroki jęły się oddalać. Kreska światła na podłodze zadrżała i większym pojaśniała blaskiem. Odsunąłem się szybko za drzwi w samą porę, bo Angélica de Alquezár ze świecą w dłoni weszła właśnie do komnaty. Otulona była szalem wełnianym, na koszulę narzuconym, włosy upięte miała wstążkami. Zastygła na widok pustego łóża, nie wydawszy ni słowa, ni jednego okrzyku zdziwienia, za czym obróciła się raptownie, wyczuwając mą obecność za plecami. W

czerwonawym płomieniu świecy jej modre oczy zabłyśły niczym dwa zimne, metalowe szpikulce. Prawie magnetyczne. Już usta otwierała, rzecz może coś zamiarowała albo krzyknąć. Ja aliści, napięty niby sprężyna, nie kwapiłem się pozwalać jej na ten zbytek, na jakiegokolwiek wyrzuty i pogwarki pora nie była teraz stosowna. Silny cios dosięgnął jej policzka i zmazał widok tych oczu, wytrącił jej też świecę z dłoni. Pośliznęła się, zatoczyła do tyłu. Jeszcze świeca toczyła się po posadzce, skwiercząc, a nie gasnąc, kiedym znowu pięść zacisnął – a klnę się waszmościom, że czynił to bez nijakich skrupułów – i wymierzyłem jej silny cios w skroń, który posłał ją bez przytomności na łożo. O tym mogłem się co prawda przekonać już po omacku, światło bowiem zgasło do cna. Przytknąłem dłoń ku jej ustom – knykcie bolały mnie od tych razówomal tak samo, jak rana na plecach – i zmiarkowałem, że oddycha. To ulgę mi sprawiło, przeto zająłem się rzeczami bardziej użytecznymi. Nie bacząc teraz na własne odczucia, podszedłem do okna i je otwarłem. Zbyt wysoko. Powróciłem ku wnijściu, popchnąłem drzwi ostrożnie i ujrzałem, że jestem na podeście w połowie schodów. Zeszedłem, mur macając ręką, ażem się znalazł w wąskim korytarzyku, gdzie niewielki kaganek na ścianie zawieszony nieco blasku dawał. Na końcu dostrzegłem jakiś dywanik, drzwi i załom następnych schodów. Ruszyłem na palcach i po chwili już mijałem drzwi. Właśnie miałem stopę na drugim stopniu postawić, kiedy odgłos rozmowy mnie dobiegł. Ruszyłem przed siebie, gdybym nazwiska kapitana Alatryste nie usłyszał.

Bywa, że Bóg czy też demon prowadzi twe kroki we właściwym kierunku. Zawróciłem i uchem do desek przywarłem. Po tamtej stronie znajdowało się przynajmniej dwóch mężczyzn, a ich rozmowa dotyczyła jakiegoś polowania: mówili o jeleniach, królikach, łowczych. Zdumiało mnie, co kapitan może mieć z tym wspólnego. I wtem padło drugie imię:

Filip. Będzie tam o tej godzinie – powiadali. W tym miejscu. Imię to powtarzali bez nijakiej namiętności, ale mnie przecucie ogarnęło, od którego aż mnie ciarki przeszły. Bliskość izby Angeliki pomogła mi powiązać luźne wątki domysłów. Stałem przed drzwiami Luisa de Alquezár, wuja Angeliki, sekretarza królewskiego. I oto w rozmowie pojawiły się dwa nowe szczegóły: świt i La Fresneda. Już to z wycieńczenia od rany, już to od nagłej jasności umysłu aż się kolana pode mną ugięły. Przypłynęło zaraz wspomnienie kawalera w żółtym kaftanie, które jeszcze mocniej utwierdziło mnie w podejrzeniach. María de Castro oddaliła się do La Fresneda na noc. A ten, z którym tę noc umyśliła sobie była spędzić, miał nazajutrz o świcie wyruszyć na polowanie w kompanii jeno dwóch łowczych. Filip, o którym prawiono, musiał być ni mniej, ni więcej, jak Filipem Czwartym. Rozmawiali o królu.

Wsparłem się o ścianę, myśli rozbiegane usiłując pozbierać. Za czym głęboki oddech wziąłem, chcąc sił nabrać, których ni chybi będę potrzebował. Oby tylko rana na plecach mi się nie otwarła – błagałem w duchu. Pierwszym ratunkiem, jaki do łba mi przyszedł, był mość Francisco de Quevedo. Ruszyłem ostrożnie w dół po schodach. Mości Francisca nie zastałem wszelako w jego izbie. Wszedłem, objaśniłem świecę. Stół zarzucony był książkami i papierami, łóżko nietknięte. Zaraz też pomyślałem o hrabim de Guadalmedina, toteż wyszedłem na dwór i ruszyłem skroś wielki dziedziniec ku komnatom królewskiej świty. Tam zastąpiono mi drogę, jakem się obawiał. Jeden strażnik, z którym jużem się był zaznajomił, powiedział, że nie kwapią się budzić jego ekscelencji o tej porze i po tyłu szklanicach wina wypitych. Niechże się co chce dzieje, bisurman najeżdża, charci wyją, świat się wali – mowy nie ma. Uciszyłem tedy swą niecierpliwość. Poznałem już wybornie pachółków, żołnierzy i strażników i wiedziałem, że z równym powodzeniem ścianie mógłbym

opowiadać o mych obawach, co tym workom mięsa. Brzuchaci, wąsaci i niemrawi weterani łącniej pasowali do karcianego króla niżli żywego. Nie zamiarowali sobie życia uprzykrzać nijaką miarą, nakazane mieli nie pozwalać przejść, tedy nikt nie przechodził. Gadka o spisku i królobójcach zdałaby im się gadką o ludziach z księżyca, a na domiar złego mogła mnie ślicznie zaprowadzić do lochu. Spytałem jeno, czy mają przybory do pisania, ale zaprzeczyli. Powróciłem przeto do izby mości Francisca, sięgnąłem po pióro, inkaust i piaseczniczkę i najlepiej, jak umiałem, sporządziłem dwa bileciki – jeden dla poety, drugi dla Álvara de la Marca. Zalakowałem je, nabazgrałem nazwiska adresatów, list do mości Francisca ostawiłem na łożu, a z drugim poszedłem znów ku strażnikom.

– To dla mości pana hrabiego, ledwie oko otworzy. Sprawa życia i śmierci.

Nie przekonało ich to, ale wiadomość zachowali. Ten, co mnie znał, przyrzekł, że przekażą ją sługom hrabiego, jeśli któryś się pojawi w pobliżu. Najpóźniej w chwili zakończenia służby. Musiałem się tym kontentować.

Oberża przy Szlaku Pasterskim była mą ostatnią, nikłą nadzieją. Może mość Francisco wrócił wlać w siebie więcej wina i siedzi tam, pije, pisze albo zasnął w jakiejś izdebce, jeżeli skutkiem zbyt częstego zaglądania do szklanicy poczuł, że nie jest w stanie bez hałasu poruszać się po królewskich korytarzach. Wyszedłem tedy przez drzwi dla służby na taras i ruszyłem skroś mrok, pod bezgwiezdnym niebem, które ledwie zaczynało blednąć od wschodu. Dygotałem od wiatru, co od strony gór niósł chmary zimnej rosy. Tym sposobem we łbie mi pojaśniało, lubo nowych domysłów nie podsunęło. Szedłem szparko, niepokojem przepełniony. Po głowie tłukł mi się obraz Angeliki, wciąż czułem ciepło jej skóry w dłoniach i zapach.

Aż się wzdrygnąłem, przypomniawszy sobie dotyk jej rozkosznego ciała i na głos przekląłem mój pieski los. Ból w plecach był nie do opisania.

Oberża była zamknięta, nad progiem wisiał kaganek, co słabe światło dawał. Daremnie stukałem do drzwi, mogłem jeno stanąć i w zadumę popaść. Podjąłem już pewne kroki, a czas mknął nieubłaganie.

– Za późno na szklanicę – ozwał się blisko czyjś głos. – Albo i za wcześnie.

Odwróciłem się przestraszony. Wskutek mego utrapienia nie spostrzegłem dotąd człeka, co na kamiennej ławie siedział pod pobliskim kasztanowcem. Owinięty płaszczem, bez kapelusza, w kompanii rapiera i sporej flaszki wina. Rozpoznałem Rafaela de Cózar.

– Szukam pana de Quevedo.

Wzruszył ramionami i rozejrzał się niedbale.

– Z tobą poszedł sobie. Nie wiem, gdzie jest.

Język aktora plątał się co nieco. Jeśli całą noc tulił flaszkę, to wedle mych kalkulacji winien teraz być w sztok pijany.

– A co waszmość tu robi?

– Piję. Dumam.

Podszedłem doń i przysiadłem, odsuwając rapier na bok. Czułem się jak ucieleśnienie klęski.

– Na tym zimnie?. Zła to noc na takie brewerie.

– Gorąco noszę w środku – zaśmiał się osobliwie. – i dobrze, co?. W środku gorąco, na wierzchu rogi. Jak to było?

I wydekłamał lisim głosem między jednym haustem a drugim:

Inni płacą za to słono.

Czas nauki byłże długi, żeś swej mężem przyjaciółki

I rajfurzysz własną żoną?

Poruszyłem się nieswojo na ławie. I nie jeno za sprawą ziąbu.

– Tuszę, żeś waszmość wypił ponad miarę.

– Bo ty znasz miarę?

Nie wiedziałem, co mu odrzec, zapadło przeto dłuższe milczenie. Na włosach i obliczu Cozara kropelki wody lśniły niby szron, odbijając blask pochodni oberży. Komediant wpatrywał się we mnie bacznie.

– Ty ni chybi też masz kłopoty – uznał.

Nic nie powiedziałem. Po chwili podał mi wino.

– Nie takiej – ozwałem się przybity – pomocy mi potrzeba.

Skinął głową, niemal z filozoficzną powagą, gładząc się po bokobrodach. Za czym uniósł flaszę, a wino zabułgotało w jego gardzieli.

– Ma waszmość wieści od żony?

Zerknął na mnie z ukosa, nader suchym i mętным wzrokiem, wciąż trzymając flaszkę w górze. Po chwili odstawił ją skwapliwie na ławę.

– Moja żona prowadzi własne życie – odparł, wierzchem dłoni wąsy obcierając. – Ma to swe niedogodności, ale i dobrodziejstwa.

Otwarł usta i uniósł palec, gotując się do kolejnej recytacji, aliści nastrój do poezji snadź prysł.

– Chcą się nią posłużyć przeciwko królowi – rzekłem.

Gapił się na mnie z otwartą gębą i wzniesionym palcem.

– Nie pojmuję.

W głosie zabrzmiała jak gdyby prośba, by mógł nadal nie pojmować. Ja wszelako miałem już dosyć. Dosyć jego, jego flaszkę, zimna i bólu w plecach.

– Zawiązano spisek – rzekłem ze złością. – Dlatego mości Francisca szukam.

Zamrugnął powiekami. W jego oczach mętność ustąpiła trwodze.

– A co Maria ma z tym wspólnego?

Nie zdołałem powstrzymać się od wzgardliwego grymasu.

– Jest przynęta. Pułapka będzie zastawiona o świcie. Król wyrusza na łowy z niewielką eskortą. Chcą go zgładzić.

Rozległ się brzęk szkła. Flasza rozprysła się na kawałki wewnątrz łożynowego koszyka.

– Rany boskie – wymamrotał. – Mniemałem, że to ja jestem pijany.

– Prawdę mówię.

Cózar wpatrywał się w okruchy szkła i zbierał myśli.

– Nawet gdyby tak było – jał dowodzić – cóż mi po królu czy walecie?

– Powtarzam, że chcą w to wmieszać waszmościna małżonkę. I kapitana Alatryste.

Na dźwięk nazwiska mego pana zaśmiał się z cicha. Z niedowierzaniem. Ująłem jego dłoń i przyłożyłem ją do swych pleców.

– Niech waszmość dotknie.

Poczułem, że maca palcami, i z wolna twarz mu się odmieniła.

– Krew ci leci!

– Oczywiście, że leci. Dostałem sztyletem, będzie ze trzy godziny.

Poderwał się z ławy, jakby wąż go musnął. Nieporuszony przypatrywałem się, jak przechadza się w tę i z powrotem, co chwila zawracając.

– Nadejdzie dzień Sądu – powiedział do siebie – i wszystek brud wyjdzie na wierzch.

Nareszcie przystanął. Coraz silniejsze podmuchy mżawki podrywały mu poły płaszcza.

– Filipka, powiadasz?

Przytaknąłem.

– Zabić króla. – Sprawa zaczynała doń wreszcie docierać. – Jakem artysta, toż to paradne!. Żywcem z jakiej komedii.

– Z komedii tragicznej – uzupełniłem.

– To już, chłopcze, zależy od punktu widzenia.

Raptem rozum mi oświeciło.

– Czy wasza miłość ma jeszcze swój powóz?

Wpadł w konfuzję. Chybotął się na nogach i spozierał na mnie niepewnie.

– Jasne, że mam – skinął nareszcie głową. – Na podwórku. Woźnica śpi w środku, bo za to mu płacę. Też swoje dziś łyknął. Kazałem mu posłać kilka butelczyn.

– Waszmościna żona pojechała do La Fresneda.

Konfuzja ustąpiła miejsca podejrzliwości.

– Co z tego? – zagadnął z urazą.

– Ano, że to prawie milę stąd, a ja nie mogę iść pieszo. Powozem dotarłbym w mig.

– Po co?

– Ocalić życie królowi. I może jej takież.

On nuże śmiać się, śmiechem bez wesołości, ale nie trwało to długo. Zobaczyłem, że z zadumą kręci głową przecząco. Owinął się płaszczem w teatralnej pozie i jął recytować:

Nic nie zrobię, bo spotkało

Szczęście mnie w nieszczęściu onym.

Niechybnie będę pomszczony,

Zanim honor mój zbrukają.

– Żona moja sama się o siebie troszczy – dodał z niezmierną powagą. – Winienieś to wiedzieć.

I z tym samym namaszczeniem przyjął pozycję szermierczą, atoli bez rapiera, który leżał wciąż wedle boku mego oparty o ławę. W linii, wypad, związanie. Był z Cozara człek osobliwy – przyszło mi na myśl. Wielce osobliwy. I wtem uśmiechnął się do mnie. Był to uśmiech zgoła niepodobny do pięknoducha, którego famą się powszechnie cieszył. Atoli nie bardzo był czas, by tę rzecz dogłębnie rozważyć.

– Pomyśl tedy waszmość o królu – nalegałem.

– O Filipku?. – Udawał, że z gracją chowa nieistniejący rapier do pochwy. – Na brodę mego dziada, nie wzdragałbym się, jeśli ktoś by wykazał, że krew jest błękitna jeno w komediach.

– To król Hiszpanii. Nasz król.

Aktora niezbyt wzruszyło słowo „nasz”. Poprawiał sobie płaszcz na ramionach, strzepując kropelki wody.

– Posłuchaj, chłopcze. Ja się z królami spotykam dzień w dzień na deskach podwórców teatralnych: wielkich cesarzy, sułtanów, samego Tamerlana. Od czasu do czasu nawet i ja się w którego przedziergam. Na scenie wyprawiałem rzeczy, jakich świat nie widział. Tedy król stosowne na mnie robi wrażenie, nie większe, gdy żyw, niżli gdy martwy.

– Ale żona waszmości.

– Cichajże. Zapomnij wreszcie o mojej żonie.

Zerknął raz jeszcze na potłuczoną flasze i zastygł z marsem na czole. Za czym strzelił językiem i przeniósł zaciekawiony wzrok na mnie.

– Chcesz tak samopas jechać do La Fresneda?. A gdzie są strażnicy, regimenty, galeony Floty Indyjskiej i całe to kurewstwo, co tym światem rządzi razem z nami?

– W La Fresneda niechybnie straż królewska stoi i jacyś ludzie ze świty. Ostrzegę ich, jeśli jeno dotrzeć zdołam.

– A po cóż jechać tak daleko?. Pałac jest tuż–tuż. Powiadom ich.

– Nie jest to proste. O tej porze nikt gadać ze mną nie chce.

– A jeżeli w La Fresneda przyjmą cię sztyletami? Twoi spiskowcy może już tam są.

Zamyśliłem się. Cózar skrobał się po bokobrodach.

– W *Tkaczu z Segovii* grałem Beltrana Ramireza – ozwał się raptem. – Ratowałem życie królowi:

Idź za nimi, dowiedz się,

Kim są ci, co w pierś królewską

Myślą wrazić stal zdradziecką,

*Snują swoje plany złe.*¹¹²

Jeszcze chwilę popatrywał na mnie, snadź oczekując, że pochwalę jego kunszt. Skinąłem lekko głową. Nie było czasu na owacje.

– To Lope? – spytałem, żeby cokolwiek odrzec i od mowy dalszej go nie odstręczać.

– Nie. To ten Meksykanin Alarcón. Naturalnie, nader sławetna komedia. Wielkie powodzenie. María grała panią Anę, oklaski zbierała najżywsze. A i ja, cóż tu strzepić ozór po próżnicy.

Zamilkł na moment, dumając o owacjach albo o swej żonie.

– Tak – ozwał się znowu. – Tam król życie mi zawdzięczał. Pierwszy akt, pierwsza scena. Odparłem atak dwóch Maurów, wybornie się fechtowałem. Zgoła niezły w tym jestem, wiesz?. Przynajmniej na ślepe rapiery. Udawane. Na scenie wszystkiego trzeba się nauczyć. Także szermierki.

Pokiwał głową z wyrazem facecji na obliczu. I rozmarzenia. Nareszcie mrugnął do mnie, – Paradne byłoby, co?. Gdyby Filipek życie zawdzięczał najlepszemu aktorowi Hiszpanii. I gdyby María.

Wtem umilkł. Wzrok mu zmętniał, snadź zatopiony w sceny, jakie on sam jeno widział.

– W pierś królewską – mruknął niemal do własnego zanadrza.

Ciągle kręcił głową, mamrocząc słowa, których dosłyszeć już nie byłem zdolny. Pewnikiem dalej recytował. I raptem twarz rozjaśnił mu szeroki, wspaniały uśmiech. Iście bohaterski. Za czym Cózar klepnął mnie serdecznie w ramię.

– Ostatecznie – rzekł – zawsze to tylko kolejna rola.





XI. NA ŁOWACH.

Kiedy zdjęto mu mokrą szmatę z oczu, zmiarkował, że brzask wstaje blady, przytłoczony ciemnoszarymi chmurami. Diego Alatryste uniósł związane ręce, oczy chcąc przetrzeć. Lewe mu dokuczało, zmiarkował aliści, że obydwie powieki może odemknąć bez trudu. Rozejrzył się. Wieźli go byli dłuższy czas na grzbiecie muła, wśród klekotu kopyt, a potem jeszcze kawałek drogi piechotą po wyboistym gruncie. Dzięki temu zdołał się nieco rozgrzać, lubo bez płaszcza był ni kapelusza. Atoli i tak musiał zęby zaciskać, żeby nie dzwoniły. Teraz znajdowali się w lesie pełnym dębów i wiązów. Po zachodniej stronie nieba, majaczącej skroś listowie, ścieliły się jeszcze mroki nocy, a mżawka, co kropiła na kapitana i jego eskortę – drobnutkie kropelki, co do cna potrafią przemoczyć – jeszcze bardziej smutek krajobrazu pogłębiała. *Tiruri-ta-ta*. Na dźwięk melodyjki aż się odwrócił. Gualterio Malatesta, opatulony czarnym płaszczem i z kapeluszem na oczy naciśniętym, poniechał gwizdu i wykrzywił oblicze w grymasie, który równie dobrze mógł być drwiną, co powitaniem.

- Zimno doskwiera, kapitanie?
- Trochę.
- A głód?

– Bardziej.

– To się waszmość pociesz, że dla ciebie już niedługo koniec. A my jeszcze będziemy musieli wracać.

Co rzekłszy, wskazał ręką na ludzi, którzy ich otaczali: tych samych – brakowało jeno zabitego – którzy zasadzili się byli na kapitana przy strumieniu. Nadal w myśliwskie stroje byli odziani na modłę łowczych, a ich posępny, srogi wygląd zarośniętych siepaczy dodatkowo podkreślało imponujące uzbrojenie – noże do sprawiania zwierzyny, sztylety, rapiery i pistolety.

– Najlepsi synowie rodzin – rzucił Włoch, zgadując kapitańskie myśli.

Z oddali dobiegł sygnał rogu, zaraz też Malatesta i jego trzej łotrzy popatrzyli czujnie w tamtą stronę, wymieniając znaczące spojrzenia.

– Zaczekasz tu waszmość chwilę – zwrócił się Włoch do jeńca.

Jeden z siepaczy oddalał się skroś krzaki w stronę, skąd zadźwięczał był myśliwski róg. Pozostali złapali Alatrystego z dwóch stron i siłą posadzili go na ziemi wilgotnej, któryś jął wiązać mu nogi powrozem.

– Nieodzowna ostrożność – objaśnił Włoch. – Gwoli uczczenia waszmościnej powłoki doczesnej.

Przecięte szramą oko zdawało się łzawić, gdy spozierał na coś bacznie, jak w owym momencie.

– Zawszem ufał – odrzekł kapitan – że my sprawę naszą rozstrzygniemy twarzą w twarz. Bez świadków.

– U mnie w domu wszelako nie kwapiłeś się waszmość dać mi po temu sposobności.

– Ale przynajmniej ostawiłem ci swobodne ręce.

– W rzeczy samej. Ja atoli nie mogę dziś waszmości okazać takiej łaski. Stawka w tej grze jest zbyt wysoka.

Skinął głową Alatryste, snadź dobrze już wszystko zmiarkował. Ten, co mu nogi pętał, zadzierzgnął parę zawitych węzłów.

– Zali wiedzą te bestie, w co wdepnęły?

Bestie w swej tępocie nawet okiem nie mrugnęły. Ten najbliższy właśnie wstawał, portki z błota otrzepując. Drugi skwapliwie chronił proch w pistolecie za pas zatkniętym, ażeby od deszczu nie zamókł.

– Oczywiście, że wiedzą. To waszmości starzy znajomi: dotrzymywali mi kompanii w Las Minillas.

– Sowiec ni chybi opłaceni.

– Jeszcze jak.

Alatryste spróbował, czy zdoła poruszyć rękami i nogami. Ani trochę. Skrępowali go sumiennie, aliści tym razem przynajmniej ręce miał związane z przodu, by o grzbiet muła móc się podeprzeć.

– A jak gotujesz się waszmość zadanie wykonać?

Malatesta dobył z za pasa parę czarnych rękawiczek i jął je nader pieczołowicie nakładać. Alatryste zoczył, że poza rapierem, lewakiem i pistoletem Sycylińczyk miał jeszcze sztylet w cholewie prawego buta.

– Jak tuszę, znasz upodobanie, jakie nasza osobistość żywi do porannego polowania w kompanii dwóch łowczych. Tu jest siła jeleni i królików, on zasię wybornie na nie chodzi: niezrównany strzelec, zuchwały łowca. Cała Hiszpania wie, że nie omieszka w najdziksze ostępy się zapuścić, gdy tropi zwierzynę. Niewiarygodne, prawda? Człowiek tak flegmatyczny, co okiem nie mrugnie i zawsze spoziera gdzieś w górę, a w pościgu za sztuką przeistacza się do cna.

Poruszył dwoma palcami gwoli sprawdzenia, czy rękawiczki dobrze leżą. Za czym wyciągnął rapier na kilka cali i opuścił go swobodnie z powrotem do pochwy.

– Łowy i spódniczki – westchnął.

Zastygł na chwilę, jak gdyby innymi myślami zaprzątnięty, zaraz jednak wrócił na ziemię. Na dany przezeń znak dwaj łotrzy ujęli kapitana za nogi i pod pachami, zanieśli go pod pewien dąb i oparli o pień plecami, gdzie tkwił teraz, skryty wśród zarośli.

– Trochę kosztowało, ale się udało – ciągnął Włoch. – Wiedzieliśmy, że tę noc spędzi właśnie tu, zażywając uciechy z... Cóż. Sam waszmość wiesz... Odpowiedni ludzie dali baczenie, by dziś poszedł w las pospołu z dwoma zaufanymi łowczymi. To znaczy, z naszymi zaufanymi. Owóż i dopiero co dali nam znać rogiem, że wszystko podąża wedle planu i zdobycz jest blisko.

– Koronkowa robota – zauważył kapitan.

Malatesta dotknął róna zalanego deszczem kapelusza w podzięce za komplement.

– Żywię nadzieję, że nasza dostojna osobistość po swych lubieżnych potyczkach ostatniej nocy zdążył się wyśpowiadać przed wyjazdem. – Upstrzone ospą oblicze jął wykrzywiać następnym uśmieszkiem. – Ja wprawdzie o to nie dbam, ale powiadają, że to człek pobożny. Wątpię, by chciał ponieść śmierć z grzechem śmiertelnym.

Sam ten koncept zdawał się bawić go setnie. Popatrzył w dal, jak gdyby zdobycz wśród gęstwiny leśnej chciał dostrzec, i nuże śmiać się, dłoń oparłszy na rękojeści rapiera.

– Jakżem kontent – powiedział tonem wesołym i złowrogim zarazem. – Piekło dostanie dziś wyborną dostawę.

Przez chwilę uśmiech oblicza mu nie opuszczał, snadź rozkoszował się ciągle tą perspektywą. Za czym zerknął na kapitana.

– Byłbym zapomniał – dodał dwornie. – Dobrześ waszmość uczynił wieczorem, nie przyjmując sakramentu spowiedzi. Gdybyśmy żywoty nasze mieli opowiadać jakiemuś klesze, ten już by habit na kołku odwiesił,

napisał nowelę mało przykładną¹¹³ i nabiłby kabzę sowiciej niżli Lope de Vega jakąś nową komedią.

Pomimo trudnego położenia Alatryste nie mógł nie zgodzić się z Malatestą.

– Brat Emilio Bocanegra – przyznał – zgoła nie pomaga oczyścić sumienia.

Odpowiedział mu znów suchy, chrapliwy śmiech Włocha.

– Przyklasnę waszmości przy tych słowach, na Boga żywego. Toż i ja, do licha, ogon i rogi przedkładał nad tonsurę i krucyfiks.

– Aleś mi waszmość nie dokończył o mnie.

– O waszmości?. – Malatesta przyglądał mu się chwilę skonfundowany, zanim zmiarkował, w czym rzecz. – Ach, oczywiście. Myśliwy i zdobywca. Mniemałem, żeś sobie resztę dośpiewał: jeleni lub też królik, osobistość goni za nim w gęstwą leśną, łowczy zostają z tyłu. I raptem ciach. Zazdrość oddechem zabić potrafi i tak dalej¹¹⁴. Odrzucony gach, czyli waszmość, raptem zjawia się i przeszywa rywala wybornym sztychem.

– I zamiarujesz to uczynić osobiście?

– Ma się rozumieć. Moją i waszmościna robotę. Podwójna rozkosz. Za czym będziesz waszmość rozpętany, a obok spoczną i rapier, i sztylet, i wszystko, co potrzeba. A łowczy najwierniejsi z wiernych, co zbyt późno dotrą na miejsce tragedii, przynajmniej po czasie famę zyskają, że to oni króla pomścili.

– Pojmuję. – Alatryste spozierał na swe skrępowane członki. – Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Wasza miłość, kapitanie, cieszy się sławą męża hardego. Nikogo nie zadziwi, żeś się bronił jak lew do samej śmierci. Wielkie byłoby rozczarowanie, gdyby na jaw wyszło, żeś tanio waszmość skórę odprzedał.

– A waszmość?

– A ja wiem, że było inaczej. Na Bachusa, możesz odchodzić w pokoju. Wczoraj jednemu z twojej ręki postradał. Wcześniej pod Las Minillas innego.

– Nie o to pytam, ale o to, co zamierzasz robić później.

Malatesta z ukontentowaniem pogładził sobie wąsy.

– A, to najbardziej błoga część planu: na pewien czas przepadnę. Oskomę mam, ażeby do Italii powrócić z miłym brzękiem w sakiewce. Uchodziłem stamtąd pozbawiony owego słodkiego balastu.

– Żałuję, że nie dostaniesz balastu w postaci dwóch łutów ołowiu w jajach.

– Cierpliwości, kapitanie – zaśmiał się Włoch uspokajająco. – Na wszystko przyjdzie pora.

Oparł Alatryste głowę o pień dębu. Woda ciurkała mu po plecach, mocząc do cna koszulę pod napierśnikiem. Czuł, że i siedzenie ma już błotem przesiąknięte.

– Chciałbym waszmości prosić o łaskę – powiedział.

– Do kroćset – Włoch przypatrywał mu się z niekłamanym zadziwieniem. – Prośba w ustach kapitana. Mam nadzieję, że w obliczu Nieuchronnej nie popadasz waszmość w trwogę. Nie psuj mi wspomnień.

– Íñigo. Czy można go w to nie plątać?

Tamten spozierał nań niepewnie. Nareszcie w oczach przemknął mu błysk domysłu.

– Nie jest w to wplątany, o ile mi wiadomo – odrzekł. – Atoli nie ode mnie to zależy i niczego nie mogę waszmości obiecać.

Siepacz, co oddalił się był w zarośla, powrócił i gestem pokazał Malateście kierunek. Włoch wydał po cichu rozkazy pozostałej dwójce. Jeden stanął przy kapitanie z dłonią na rękojeści noża, z rapierem i pistoletem nadal za pasem. Drugi zbliżył się do tego, co właśnie przybył.

– Ten mały zaczął krew ma w wąpiach, panie kapitanie. Możesz być zeń dumny. I słowem się klnę, że będę kontent, jeśli żyw z tego ujdzie.

– Taką mam nadzieję. Poza tym może to on cię kiedyś zakłuje.

Malatesta odszedł ku swoim ludziom, trzeciego ostawiając na straży przy jeńcu.

– Może – powiedział.

Raptem obrócił się powoli i wbił swe ciemne spojrzenie w Alatristego.

– Zaprawdę – rzucił – i waszmości, i mnie ktoś kiedyś będzie musiał zabić.

*

Deszcz gęstniał, zalewając nam twarze. Zaprzężony w dwa niemal galopujące muły powóz turkotał w stronę La Fresneda, mknąc pod szarym niebem i koronami czarnych topól, co obydwie skraje drogi porastały. Lejce trzymał w dłoniach sam Rafael de Cózar, on to z rapierem za pasem poganiał zwierzęta. Woźnica, któregośmy byli znaleźli w stanie kompletnego upojenia, odsypiał utoczone wino na siedzeniu w środku. Cózar też zgoła trzeźwy nie był, atoli całe przedsięwzięcie, rzeźwa mżawka i niejaka mroczna gotowość, jakiej poddał się w ostatniej chwili, zdawały się przepędzać mu ze łba winne wapory. Powoził jak strzała, zagrzewał muły do biegu okrzykami tudzież biczem, iżem sam jął w głowę zachodzić, czy takim wprawnym jest woźnicą, czyli raczej nieprzytomnym pijakiem. Jak tam było, tak tam było, powóz wszelako omal frunął. Ja siedziałem na koźle wedle Cozara, opatulony w kapotę prawdziwego woźnicy, uczepiony pazurami, jak jeno się dało, gotów skoczyć z góry, gdybyśmy się mieli wywrócić, i zamykałem oczy, ilekroć aktor wjeżdżał śmiało w zakręt albo na lico bryzgało mi błoto spod kopyt i spod podskakujących na wybojach

kół. Dumalem, co też takiego powiem albo pocznę w La Fresneda, kiedy minęliśmy staw – ciemnoszarą plamę, skroś drzewa nieopodal widoczną – i w oddali spostrzegłem już schodkowy dach na modłę saraceńską, co królewski pawilon wieńczy. Tu szlak rozwidlał się, lewa odnoga prowadziła w gęstą dąbrowę. Patrząc w głąb, dojrzałem muła i czterech jeźdźców, z wolna za załomem drogi znikających. Kiedym wskazał ich Cozarowi, zaraz zaciągnął lejce z taką siłą, że jedno z naszych zwierząt poniosło i niewiele brakowało, abyśmy na ziemi wylądowali. Pierwszy zeskoczyłem z kozła i rozejrzałem się czujnie. Świt rozpoczął się już na dobre, lubo z deszczem na krajobraz szarość spływała. Może stało się, co się stać miało – zląkłem się – i nie ma co czasu tracić na jazdę do pawilonu. I pewnie dłużej bym się zastanawiał, aliści Cózar podjął decyzję za nas dwóch: zeskoczył, runął jak długi w ogromną kałużę, podniósł się gwoli otrzepania stroju, za czym drugi raz na ziemi się znalazł, bo się o własny rapier potknął. Przy wtórze złowrogich przekleństw wyprostował się nareszcie, a oczy aż lśniły mu w powalanej, zarośniętej twarzy, po której ciekły mu ciemne strugi. Dla jakiejś nieznaney przyczyny i pomimo szpetnych słów, jakie wypowiadał, odnosiłem wrażenie, że przednią ma zabawę.

– Huzia za nimi – wysapał – kimkolwiek są.

Zrzuciłem kapotę, złapałem rapier woźnicy, co na trakt ze środka wypadł, gdy się powóz zachwiał, i teraz leżał w błocie, chrapiąc w najlepsze. Rapier okazał się kawałkiem dosyć miernego żelastwa, ale do spółki z mym lewakiem lepszy był niż nic, a i czasu na wahanie nie mieliśmy wcale. Bezwzględne zaufanie – mawiał był we Flandrii kapitan Catón – źle wróży, gdy rady szukasz i w wątpliwościach się pogrążasz, ale w działaniu przednią służy pomocą. A tom właśnie zamiarował – działać. Wskazałem tedy wierzchowce, które stały do drzew uwiązane.

– Rzucę okiem. Wasza miłość może podejść do siedziby i pomoc zawołać.

– Mowy nie ma, dziecko. Nie chcę tego stracić za żadne skarby świata. Idziemy we dwóch, raz kozie śmierć.

Jak gdyby Cózar innym stał się człowiekiem, i tak niechybnie było. Nawet głos jego dźwięczał inaczej. Zachodziłem w głowę, jaką rolę akurat odgrywa. Wtem przybliżył się do woźnicy i jął policzki mu wymierzać, od których muły aż się przelękły.

– Zbudź się, idioto – łajał go z surowością diuka. – Hiszpania cię potrzebuje.

Niedługo potem woźnica, nadal oszołomiony i – jak tuszę – przekonany, że pan jego zmysły postradał, mknął z biczem w rękę, ażeby larum wszczać w La Fresneda. Nie wyglądał na człeka zmyślnego, tedy Cózar, nie chcąc, by rzecz jeszcze bardziej się pogmatwała, udzielił mu był jeno najpotrzebniejszych wskazówek: dotrzeć do pawilonu, drzeć się wniebogłosy i ściągnąć tylu ludzi, ilu zdoła. Na wyjaśnienia pora przyjdzie później.

– Jeżeli przeżyjemy i będziemy mogli ich udzielić – dodał dramatycznie, zwracając się ku mnie.

Za czym zawinął uroczyście płaszcz do tyłu, poprawił sobie rapier i chwilę później jego drobna postać rażno zagłębiła się w las. Po czterech krokach na powrót potknął się o broń i rymnął w błoto jak kłoda.

– Na Boga żywego – ozwał się, leżąc. – Klnę się, że następnego, co mnie popchnie, na wylot przekłuję.

Pomagałem mu powstać, biedaczyna na powrót musiał się z ziemi otrzepać. Oby woźnica ludzi w pawilonie przekonać zdołał – pomyślałem zrozpaczony. A kapitan, gdziekolwiek się znajduje, oby potrafił sam sobie

poradzić. Bo jeżeli wszystko zależy od Cozara i ode mnie, Hiszpania króla postrada, jak ja postradałem ojca.

*

Myśliwski róg zagrał powtórnie. Diego Alatryste widział spod dębu, że jego strażnik baczne spojrzenie w tamtą stronę rzuca. Był to tenże sam brodaty, przysadzisty osobnik, z którym zderzył się był przy zajeździe w Galapagar tuż przed zasadzką. I nie wyglądał na takiego, co do rozmowy ma smykałkę. Stał dalej w tym samym miejscu, gdzie ostawił go był Malatesta, i mókł na coraz bardziej ulewnym deszczu. Osłaniał się jeno woskowaną pelerynką. Snadź zwyczajny jest takiego życia – uznał Alatryste, który przecie podobnych ludzi znał na wylot. Ludzi, którym wystarczy powiedzieć: tu zostajesz, tu zabijasz, tu umierasz – a oni rozkazy bez szemrania wypełniają. Tacy ludzie mogli bohatercko szturmować flamandzkie bastiony lub tureckie galery, mogli także zdradziecko zabijać, gdy kto chciał na nich prywatną korzyść osiągnąć. I ciężko było granicę znaleźć. Wszystko zależało od tego, jak się oczka potoczą, czyli kości, co naszego życia los pokazują. Albo – jak w kartach – zali miecze na siódemce dostaniesz, czy też złotą dziwkę¹¹⁵. Ledwie róg umilkł, łotr poskrobał się po karku i na jeńca spojrział. Za czym przybliżył się ku niemu, podumał nad nim z bezmyślnymi oczami i dobył noża z pochewki. Alatryste, ręce mający spętane na podołku, oparł głowę o pień i wzroku z ostrej klingi nie spuszczał. W pachwinach miał nieprzyjemne mrowienie. Może Malatesta zastanowił się – rzekł w duchu – i powierzył zadanie podwładnemu. Ot, jak nikczemnie człowiek kończy – na siedząco w błocie, z członkami skrępowanymi, zarżnięty jak wieprzek, za to z długą przyszłością w

historycznych księgach, gdzie wystąpi jako egzemplum królobójcy. Chryste w dupę.

– Jeno uciekać spróbuj – ozwał się tamten bez wyrazu w głosie – to cię do drzewa przyszpilę.

Alatriste zamrugał, bo mu krople z gałęzi na twarz spadły. Widomy znak, że plany są inne. Miał gardziel mu podrzynać, siepacz jął mu rozcinać więzy na nogach.

– Wstawaj – rozkazał i szturchnął go mocno.

Kapitan wyprostował się pod baczny spojrzeniem tamtego, ledwie cal dzielił jego gardło od zaostrej stali. Zabijaka szturchnął go ponownie.

– Idziemy.

Alatriste zrozumiał. Nie zamierają zgładzić go tu, a później targać jego ciało ku miejscu, gdzie znajduje się król, bo ostawiliby ślady na błotnistej ziemi i wśród krzaków. Sam miał grzecznie stawić się na własnych nogach na miejsce dwóch straceń. Krok za krokiem dopełnia się czas, a z nim pospołu i jego żywot. Lubo – pomyślał raptem – nadarza się pewna sposobność. Już jedna jedyna. Przecie w obliczu śmierci już mógł się snadnie za martwego i pogrzebanego uważać. Wszystko poza tym miał jeszcze do zyskania.

– Litości! – krzyknął, osuwając się na ziemię. Jednym kolaniem prosto w błoto, drugim nieco ponad nim.

Siepacz, śladem jego idący, aż przystanął zaskoczony.

– Litości!

Odwracając się, kapitan zdołał przez sekundę spostrzec pogardę w oczach tamtego. Miałem cię za człeka większej śmiałości – zdawały się mówić.

– Ty nędz... – zaczął strażnik.

I dopiero w tym momencie zmiarkował, gdzie fortel leży. Aliści nóż już odsunął się o ćwierć obrotu, a Alatriste, odbijając się ugiętą nogą jak z

katapulty, grzmotnął ramieniem w brzuch wroga. Od uderzenia omal ręki sobie nie złamał, zdołał atoli unieść tamtego, iż się łajdak zachwiał. Urwane słowo przeszło w ryk, tamten z chlupotem upadł w błoto, a kapitan, zacisnąwszy związane dłonie w dubeltową pięść, z całych sił wymierzył mu miążdzący cios w gębę, zwinnie omijając przy tym ostrze noża. Na szczęście broń głównię miała długą, snadź gdyby to był sztylet albo lewak, Alatryste już miałyby żelazo między zębami. Przy niedużej odległości siepacz nie mógł zadać ciosu tak silnego, ażeby przebić nasiąknięty wodą napierśnik, tedy ostrze się ześliznęło. Kapitan szybko uwięził zbrojne ramię pod kolanem. Pomimo więzów miał tyle swobody, że zdołał chwycić łotra za szczękę i wbić mu kciuki w oczy. Nie było miejsca ni czasu na chodzenie po okręgu, opisywanie kątów rozwartych ani na cały szermierczy rytuał, przeto nacisnął, jak jeno mógł mocno, a w duchu liczył: pięć, dziesięć, piętnaście. Kiedy zasię dotarł do osiemnastu, tamten dobył z siebie żaloszny jęk i poniechał oporu. Krew spływała wraz z deszczem z oblicza rannego i z dłoni kapitana, który wytrącił przeciwnikowi nóż z dłoni, wymierzył punktą prosto w jego gardziel i jednym pchnięciem przygwoździł mu szyję do błotnistej ziemi. Trwał tak jeszcze przez moment, naciskając całym ciężarem ciała i nie pozwalając tamtemu wierzgać, aż wreszcie siepacz wydał ostatni, znużony szept, który nie z ust, jeno z noża w szyi dobiegł, i do cna znieruchomiał. Podówczas Alatryste przeturlał się na plecy i leżąc w błocie, zbierał dech pod strugami wody. Za czym wyrwał broń z gardzieli wroga i kolanami trzonek jej do drzewa przycisnąwszy, rozciął więzy, bacząc przy tym, by żył sobie nie przeciąć. Gdy to czynił, jedna stopa zabitego jęła dygotać. Paradne – pomyślał, lubo znał wybornie to zjawisko. Czasami człek już martwy leży, aliści jestestwo wciąż nie godzi się na śmierć.

Pozbawił leżącego wszystkich niezbędnych mu rzeczy. Rapiera, noża, pistoletu. Rapier przedniej był roboty, z Sahagún¹¹⁶ trochę krótszy od tego, jakim sam się posługiwał. Nie mieszkając, przypasał cały rynsztunek. Myśliwski nóż trzonek miał z jeleniego rogu, a długi był na dwie piędzi. Kapitan łącniej lewakiem walczył, ale nie kwapił się teraz narzekać. Z pistoletu niewielki mógł być pożytek, skoro walkę w błocie dopiero co stoczyli, aliści wsunął go za pas drżącą od raptownego chłodu ręką. Ostatnie na zabitego spojrzenie rzucił: stopa mu już nie dygotała, deszcz chrzczył rześzystymi kroplami ciekącą z niego krew. Odzienie miał ubłocone i mokre, nie zdołałoby już nikogo przed ziąbem osłonić, przeto kapitan zabrał jeno woskowaną pelerynkę.

Z boku w zaroślach posłyszał jakiś szelest i dobył rapiera. Od jego ciężaru w dłoni spłynął nań znajomy spokój. Teraz – rzekł do siebie – moja skóra będzie was kosztować bardzo drogo.

Skamieniałem. Przede mną stał kapitan Alatryste z rapierem w garści, u stóp jego leżały zwłoki, a na obliczu rozmazane miał błoto, co je do maski upodabniało. Rzekłbyś, że oto wyszedł prosto z flamandzkiego moczaru albo że to widmo, co z dużo dalszych dziedzin przybyło. Zaraz przerwał moje okrzyki radości i na Rafaela de Cózar spojrzął, który w ślad za mną się właśnie pojawił, depcząc po kałużach i nieopisany hałas czyniąc łamanymi w marszu gałązkami krzewów.

– Chryste. – ozwał się kapitan, rapier chowając. – A ten co tu robi?

Objaśniłem mu rzecz całą w krótkich słowach, aliści nim dobiegłem końca, kapitan obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, jak gdyby przytomność aktora do cna przestała go obchodzić.

– Powiadomiłeś ludzi?

– Chyba tak – odrzekłem, mając w pamięci obrzmiałą gębę woźnicy.

– Chyba?

Sadził duże kroki skroś zarośla, ja zasię podążałem w ślad za nim. Za plecami słyszałem jakieś niewyraźne pomruki Cozara, chwilami zdało mi się, że to wiersze, a chwilami, że bluźnierstwa. „Huzia za nimi – powtarzał co i raz w pijanym omamie. – Huzia za nimi, honor szast, wrogowie prast. Święty Jakubie, naprzód, Hiszpanio”. Niekiedy przystawaliśmy, żeby kapitan mógł się w terenie rozejrzeć, wówczas pan mój rzucał komediantowi wielce pochmurne spojrzenie, zanim dalej ruszył.

Nieopodał zagrał róg myśliwski – już wprzódy zdało mi się, że go słyszał z daleka – przeto zamarliśmy pod strugami deszczu. Kapitan uniósł palec ku wąsom i zerknął zrazu na Cozara, a zaraz potem na mnie. Za czym dał mi znak dłonią otwartą ku ziemi – we Flandrii takeśmy byli się umawiali, że jeden naprzód idzie na zwiad, a reszta ma czekać – i poszedł samopas nader czujnym krokiem skroś zarośla. Nakazałem Cozarowi, ażeby ze mną społem przylgnął do pnia drzewa, i tak zastygliśmy w oczekiwaniu. Aktor, snadź wielce zadziwiony naszymi gestami i niemal żołnierskim naszym zachowaniem, już się powiedzieć coś gotował, alem mu gębę dłonią zatkał. Skinął przeto ze zrozumieniem głową, ze znacznie większym respektem na mnie spozierając, a ja nabrałem pewności, że już nigdy nie nazwie mnie „dziecko”. Uśmiechnąłem się, a on odpowiedział mi tym samym. Oczy płonęły mu z gorączki. Patrzyłem na tę niedużą, zbrukaną, przemoczoną postać z niemieckimi bokobrodami i dłonią na rękojęści rapiera. I uderzyło mnie, że przypomina jednego z owych zawadiaków, przysadzistych i niegroźnych, co raptem skaczą na ciebie i odgryzają ci ucho. Ni chybi, skutkiem wina czy czego tam jeszcze, Cozara trwoga zdawała się zgoła nie imać. Domyśliłem się, że to jego wielki występ. Przygoda życia całego.

Kapitan powrócił równie bezszelestnie, jak przedtem był zniknął. Popatrzył na mnie i uniósł dłoń, tym razem zwróconą ku mnie, i wszystkie pięć palców rozcapierzywszy. Pięciu ludzi – przetłumaczyłem sobie we łbie. Za czym kciuk skierował ku dołowi: wrogowie. Teraz przesunął dłonią od ramienia ku przeciwległemu biodru, naśladując szarfę, i uniósł palec wskazujący. Oficer – zrozumiałem. Jeden. Kciuk do góry. Przyjaciel. I nareszcie zmiarkowałem, o czym mówił. Czerwona szarfa oznaczała w regimentach wysokie szarże. W tym lesie dostojnikiem wysokiej rangi jeden jeno mógł być człowiek.

Diego Alatryste ponownie wychynął na skraju polany, kryjąc się za pniem drzewa. Dwadzieścia kroków dalej, wśród janowców, u stóp potężnego dębu, leżał głaz, a wedle niego stał młody człowiek z fuzją w rękach. Smukły, jasnowłosy, odziany w długi surdut i spodnie z zielonego sukna, głowę przykrytą miał kaszkietem. Obuty był w wysokie sztylpy, powalane błotem, a za pasem, miast rapiera, trzymał zatknięte jeno rękawiczki i myśliwski nóż. Stał nieruchomy, wyprostowany, plecami do głazu, z głową lekko uniesioną i jedną nogą wysuniętą naprzód. Jak gdyby tą modłą chciał precz od siebie odsunąć pięciu ludzi, co go półokręgiem otaczali.

To, co tamci wypowiadali, do uszu Alatrystego nie dochodziło, przytłumił je szum deszczu. z rzadka słyszał jeno pojedyncze słowo. Człowiek w stroju myśliwego milczał, przemowę trzymał Gualterio Malatesta, którego czarny strój aż lśnił od padającej wody. On jeden rapier miał w pochwie schowany, pozostali siepacze, z czego dwóch nosiło odzienie królewskich łowczych, trzymali broń w rękach.

Alatryste ściągnął pelerynkę, za czym, mechając pistoletu za pasem, w którym proch już dawno musiał przemoknąć, zacisnął palce wokół

rękojeści noża i rapiera i jął baczny, zaprawionym w żołnierskim fachu okiem teren lustrować. Kalkulował odległość i czas, jaki będzie potrzebny gwoli jej pokonania. Jasnowłosy młodzieniec – pomyślał gorzko – niewielką będzie służył pomocą: stoi oto cały czas z hieratyczną dumą, z fuzją w dłoniach, i spogląda na otaczających go bandytów, jak gdyby rzecz cała zgoła go nie dotyczyła. Widomym znakiem, że młody człowiek zaprawiony jest w myśliwskiej sztuce, było, że zamek fuzji osłaniał przed deszczem połą swego surduta. Gdyby nie ulewa, błoto i pięciu nikczemnych osobników, rzekłbyś, że pozuje do portretu pędzla Diega Velazqueza. Na usta kapitana zabłąkał się uśmiech już to podziwu, już to pogardy. Może to świadectwo odwagi – powiedział w duchu. Aliści przede wszystkim wielka głupota i niezrozumiała burgundzka etykieta. Jedna ostawała gorzka pociecha, że nawet w obliczu śmierci król, za którego tylekroć on sam karku nadstawiał, godności swej nie traci. To dobrze. Z drugiej strony mogło być i tak, że ów pałacowy fircyk po prostu nie wierzy w to, co się dzieje i co się zaraz stanie.

Koniec końców – przyszło Alatristemu do głowy – co on sam tu, u czarta, robi? Kto przymusza go, by karku nadstawiać za smyka, co niezdolny jest nawet ręką ruszyć, żeby się bronić, jak gdyby spodziewał się, że anieli zstąpią z niebios albo z zarośli wychyną łuczniczy królewskiej gwardii czy może całe regimenty z Bogiem i Hiszpanią na ustach. Źle się dzieje w Pałacu. Dostojna rasa karleje. Osobliwy koloryt całej scenie nadawało to, że w lesie zaprawdę szczególny regiment stacjonował: on, Íñigo, Cózar, a wśród kropelek deszczu unosił się jeszcze duch Marii de Castro. I zawsze znajdzie się pod ręką jakowyś idiota, co na śmierć potulnie się wybiera. Aż zadrżał na samo wspomnienie. Na Boga i Rodzicielkę Jego, czyż nie stałoby się zadość sprawiedliwości, gdyby ów jasnowłosy pyszałek, nawykły do bezpiecznych przygód i ramion obcych niewiast,

napotkał raptem szable dzika? Guadalmedina jest za daleko, ażeby w sukurs mu pośpieszyć. Do kroćset. Niechże zapłaci cenę, którą prędzej czy później i tak każdy zapłacić musi. A skoro Gualterio Malatesta weń mierzy, rachunek i tak cudze konto obciążą.

– Wasza wysokość, proszę oddać fuzję.

Tym razem słowa przez Włocha wypowiedziane wyraźnie dotarły do Alatristego, który z za drzewa baczenie na sytuację dawał z niezdrową ciekawością. Szansę król miał znikome: nóż myśliwski był bezużyteczny, rapier nieobecnością świecił, wszystko się sprowadzi w najlepszym razie do jednego wystrzału z fuzji, o ile nabita jest, a proch nie zamókł.

– Oddajże broń – zniecierpliwiał się jeden z siepaczy, przybliżając się ku monarsze z uniesionym rapierem.

I naówczas Filip Czwarty uczynił coś niezwykłego. Wyrazu oblicza nie zmieniając, pochylił głowę i spojrzał na fuzję, jak gdyby do owej chwili zgoła o niej zapomniał, z obojętnością człeka, co na błahostkę jakąś patrzy. Chwilę trwał w bezruchu, za czym odwiódł do tyłu iglicę, uniósł broń do twarzy i z niebywałym spokojem wypalił łotrowi w czoło, powalając go trupem na ziemię.

To inna historia – pomyślał Alatriste, żelaza dobywając. Nie dbam o materię, z jakiej sztandar nasz uszyto. Ale teraz za tego króla polec warto.

Huk podziałał jak sygnał. Ja z Cozarem znajdowałem się po drugiej stronie polany, wedle ostatnich wskazówek kapitana, ażeby z boku Malatestę i jego kamratów. Stamtąd wybornie widziałem, jak pan mój opuszcza swą kryjówkę i z rapierem i sztyletem w dłoniach bieży ku napastnikom. Chwyciłem przeto za moją broń i takież wyskoczyłem, nie bacząc, czy Cózar zechce grać w tej sztuce do końca i pójdzie za mną.

– Na pomoc królowi! – usłyszałem raptem jego krzyk za plecami. –
Strzeżcie się, ja wam to mówię!

Panno Przenajświętsza – pomyślałem. Tego nam jeszcze brakowało. Włoch i jego kamraci na dźwięk krzyku i chlupotu naszych stóp po błotnistych kałużach odwrócili się zaskoczeni. Ostatnie, com wyraźnie spostrzec zdołał, to oblicze Malatesty w naszą stronę obrócone, jego wściekła mina, gdy niczym błyskawica za broń sięga i rozkazy swoim wydaje, oni zasię zaraz też żelaza deszczem spływające w naszą stronę kierują. A w tle nieruchoma, wpatrzona w nas postać króla z dymiącą jeszcze fuzją w dłoniach.

– Na pomoc królowi! – ryczał dalej Cózar jak dziki tygrys.

Było nas dwóch na czterech, albowiem komediant, jakim mniemałem, w tej grze się nie liczy. Trzeba tedy działać przebiegle i bacznie. Dopadłem zaraz do jednego z łowczych i zadałem mu w biegu raptowne pchnięcie, od którego aż broń wypuścił. Ja zasię uskoczyłem w bok niczym wiewiórka i stanąłem przeciwko drugiemu, co za tamtym się znajdował. Zdażył już przyjąć postawę, rapier naprzód wysuwając, przeto i ja zapałem się mocno nogami i lewicą za sztylet chwyciłem, modły w duchu do Boga zanosząc, iżbym się na błocie nie pośliznął. Sparowałem na głównej lewaka, wypadłem naprzód, skracając odległość, i schyliwszy się niemal ku jego kolanom, szarpnąłem rapierem od dołu w górę, będzie ze trzy piędzi skroś jego wątpia. Gdy odwiodłem w tył łokieć gwoli wyswobodzenia broni, hultaj runął na gębę ze zdumieniem w oczach, że coś podobnego w ogóle mogło się przytrafić synowi jego matki. Ja atoli o niego już nie dbałem, jeno o tego, com go był z tyłu ostawił ze sztyletem w dłoni, lubo bez rapiera – odwróciłem się tedy zaraz, pewny, że z nim teraz bić się mi przyjdzie. Ujrzałem wszelako, że toczy walkę z Cozarem, że broni się, jak może, lewą

dłonią w sztylet zbrojną, prawą przecie miał poharataną, i że komediant straszliwymi sztychami go zasypuje.

Koniec końców, cała potyczka źle się nie prezentowała. Co do mnie, to przeraźliwie dokuczał mi ból w ranie, przez Angelicę zadanej, ufałem jeno, że wskutek tych ruchliwych rozrywek nie otworzy mi się i że się jak rzeźne zwierzę nie wykrwawię. Postanowiłem ruszyć w sukurs kapitanowi, aliści w tejże chwili, kiedy pan mój wyciągał rapier z ciała, co leżało zwinięte i krwią z gęby buchało niczym byk po korridzie, zmiarkowałem, że czarna, przemoczona postać Gualteria Malatesty przekłada rapier do lewej ręki, pistoletu zza pasa dobywa i po krótkiej chwili wahania celuje nie w kapitana, lecz w oddalonego o kilka kroków króla. Za daleko się znajdowałem, ażeby cokolwiek zaradzić, patrzyłem tedy bezradnie, jak kapitan, rapier odzyskawszy, próbuje znaleźć się na linii strzału. On wszakże takż był za daleko. Wyciągnął przed siebie Malatesta uzbrojoną dłoń, wymierzył nader skrupulatnie, król zasię spojrzął w oczy swemu zabójcy, fuzję na ziemię rzucił i skrzyżował ramiona na piersi, gotów przyjąć pocisk z należyłą godnością.

– Dla mnie ta kula! – krzyknął kapitan.

Włoch nawet nie drgnął, dalej w króla celował. Nacisnął spust, stuknęła skałka na panewce.

I nic.

Proch do cna przemókł.

Z rapierem w ręku Alatryste zasłonił sobą króla. Nigdy dotąd nie widział swego wroga w takim stanie. Malatesta stał wielce skonfundowany. Kręcił z niedowierzaniem głową i gapił się na swój bezużyteczny pistolet.

– Tak blisko – posłyszałem, jak mówi.

Zaraz wszelako jął do siebie wracać. Popatrzył na kapitana, jak gdyby nigdy go wprzód nie widział albo zapomniał o jego przytomności, za czym pod kapiącym od deszczu kapeluszem zamajaczył cień jego nikczemnego uśmiešku.

– Byłem tak blisko – powtórzył z goryczą.

Nareszcie wzruszył ramionami, odrzucił pistolet i zacisnął prawicę na rękojeści rapiera.

– Zniweczyłeś me przedsięwzięcie.

Odpiął płaszcz, co ruchy mu krępował, i podbródkiem wskazał na króla, oczu z Alaristego nie spuszcżając.

– Zaprawdę waszmość tuszysz, że taki pan wart jest zachodu?

– Stawaj – odparł oschle kapitan.



Wyciągnął przed siebie Malatesta uzbrojoną dłoń, wymierzył nader skrupulatnie, król zaś spojrzął w oczy swemu zabójcy, fuzję na ziemię rzucił

Co znaczyło: bierzmy się do naszej roboty. Rapierem pokazywał broń w dłoni Malatesty. Włoch przypatrzył się obydwu żelazom, potem królowi, snadź rachuby czynił, czy uda się jeszcze sprawę do końca doprowadzić. Za czym powtórnie ramionami wzruszył i jął pieczołowicie związać przemoczony płaszcz na lewym ramieniu, jak gdyby zwinąć go do cna zamierował.

– W imieniu króla, poddaj się! – pokrzykiwał Rafael de Cózar, nadal walką ze swym przeciwnikiem zatrudniony.

Malatesta zerknął w tamtą stronę, już to z rozbawieniem, już to z rezygnacją. I wówczas na dobre pojawił się uśmiech. Kapitan dojrzał groźny biały błysk w ospowatej twarzy, okrutną iskrę w mrocznych oczach. I pomyślał: ta źmija jeszcze potrafi kąsać. Dzięki pewności, co spadła nań raptownie, zdążył baczenia nabrać, zanim Włoch rzucił płaszcz na jego rapier, ażeby ruchy mu utrudnić. A przecie i tak Alatriste musiał chwilę zmitrężyć, chcąc się z mokrej szaty wyswobodzić. A tymczasem broń Malatesty załśniła mu przed oczami, jak gdyby czaiła się do skoku, zatoczyła szeroki łuk i skierowała się w stronę króla. Tym razem monarcha obojga światów o krok się cofnął. Alatriste zdołał dojrzeć wahanie w błękitnych oczach królewskich. Habsburska dolna warga, owszem, zadrżała w oczekiwaniu ciosu. Za blisko na nieugiętą postawę – domyślił się kapitan – wszak czarne oczy Malatesty podobne są oczom samej Śmierci. Aliści dzięki temu, że odgadł był zawczasu zamiary Włocha, teraz zdążył unieść i swoją broń. Z brzękiem głowni udaremnił to, co nieuniknionym się zdawało. Rapier Włocha ześliznął się po klindze Alatristego i świsnął o piędź od królewskiej gardzieli.

– Diabli nadali – przeklął Sycylińczyk.

I tyle. Plecy nam pokazał i rączy jak daniel przepadł wśród drzew.

Przypatrywałem się całej scenie z oddali, palcem nie kiwnąwszy, snadź wszystko to stało się w pół zdrowaśki. Kapitan zaraz do króla dopadł gwoli sprawdzenia, czy monarcha rany nie odniósł, ja zaś, niewiele myśląc, z rapierem w ręku puściłem się w pogoń za Malatestą przez kałuże i kępy traw. Mknąłem z pochyloną głową i ramieniem uniesionym, ażeby lico od gałęzi kroplami brzemiennych osłonić. Czarna postać Malatesty niewielką miała przewagę, ja byłem młodym chwatem o krzepkich nogach, szparko go tedy doganiałem. Raptem obejrzał się za siebie, zmiarkował, że samopas go ścigam, i przystanął, tchu nabierając. Deszcz lał tak wściekle, aż zdało się, że błoto wre nam pod stopami.

– Ostań tam – rzekł i wskazał puntą rapiera.

Zawahałem się. Może kapitan idzie mi w sukurs, na razie atoli jesteśmy tu sami.

– Na dziś wystarczy – dodał.

I jął dalej iść rakiem, nie spuszczać ze mnie oka. Podówczas zmiarkowałem, że chroma – ilekroć prawą nogą stąpał, podbródek wykrzywiał mu grymas bólu. Ni chybi albo ranny w potyczce został, albo niebaczenie stąpnął, czmychając. W strugach deszczu jawił się zmęczony, mokry i zbrukany. Gdzieś po drodze zgubił był kapelusz i teraz długie czarne włosy lepiły mu się do oblicza. Może ból i zmęczenie – pomyślałem – kunszt jego osłabia, a mnie dodadzą sposobności.

– Nie warto – ozwał się, zamiary me odgadując.

Podszedłem kilka kroków. Plecy doskwierały mocno, zapachu wszelako miałem pod dostatkiem. I jeszcze trochę naprzód. Malatesta głową pokręcił, jakby z przyganą za me zuchwalstwo. Za czym uśmiechnął się leciutko,

cofnął o krok, grymas bólu maskując, i przyjął postawę. Punty naszych rapierów zadzwoniły o siebie, kiedy zbadałem go pierwszym, nader ostrożnym ruchem, szukając, któredy go dopaść mogę. On, stary wilk, jeno czekał. Nawet w jego obecnej sytuacji miał nade mną przewagę, o czym wiedzieliśmy wybornie obydwaj. Mnie atoli łeb szara mgła spowiła, co wszelki rozum mi odjęła. On był przede mną, a ja miałem rapier.

Opuścił nieco gardę, niby przez niedbałość, mej uwadze nie umknął wszelako jego zamiar skryty,ostałem tedy krzepko na nogach z ugiętym łokciem i koszem rapiera na wysokości oczu, nadal szukając prześwitu, co pułapką nie będzie. Deszcz nie ustawał, pilne baczenie dawałem przeto, ażeby się nie ślizgać. Inaczej żywot mój nie byłby wart nawet miedziaka.

– Nabrałeś rozwagi, mały.

Uśmiechał się, a ja wiedziałem, że mnie tym podbechtać zamiaruje, żebym podszedł ku niemu. Ja tedy zachowałem spokój. Co chwila jeno wierzchem dłoni w lewak zbrojnej ocierałem wodę z oczu, aliści wzroku z Włocha nie spuszczałem.

Za plecami wśród drzew i zarośli postyszałem, jak mnie wzywają. Kapitan nas szukał. Krzyknąłem na znak, gdzie jestem. Malatesta skroś włosy, co mu się do oblicza przykleiły, rzucił szybkie spojrzenie na prawo i lewo, snadź drogi ucieczki wypatrując. Odbiłem się i spadłem nań niby grom.

Skurwysyn był dobry. Bardzo zwinny i bardzo dobry. Bez nijakiego wysiłku sparował cios, co innego na pół by przewiercił, i w odpowiedzi z niebywałą flegmą wyprowadził ku mnie sztych na wysokości oczu, który dziurę na piędź w gębie by mi uczynił, gdyby przeciwnik mój nie zachwiał się przy tym na obolałej nodze. Mimo to zdołał mi rapier z prawicy wytrącić na parę łokci precz. I nawet nie przyszło mi do łba, żeby lewakiem się osłonić – zastygłem niczym oszołomiony zając i czekałem jeno na ostateczne pchnięcie. Aliści oblicze Malatesty ściągnął raptem skurcz

cierpienia, a on sam zdławił w gardle pełen furii jęk, mimowolnie cofnął się o dwa kroki i znów się na nodze zachwiał.

Upadł do tyłu, siedzeniem w błoto, rapier w dłoni zaciskając, a w zębach mieląc bluźnierstwo. Przez moment spojrzeliśmy na siebie – ja oniemiały, on z pantaląku zbity. Zaiste głupia sytuacja. Nareszcie ocknąłem się i skoczyłem po mój rapier, u stóp jednego z drzew leżący. Kiedym go podnosił, wciąż siedzący Malatesta machnął szybko, coś tuż koło mnie zafurkotało metalicznie i sztylet wbił się sprężysto w korę o pięćdziesiąt centymetrów od mego lica.

– Pamiątka, mały.

Ruszyłem ku niemu, gotów skroś go przeszyć, co snadź w mych oczach spostrzegł, bo w krzaki rapier odrzucił i cofnął się nieco na łokciach.

– Zaczny mam dziś dzień – ozwał się.

Przybliżyłem się ostrożnie i puntą broni przeszukałem mu odzienie, ukrytej broni szukając. Za czym oparłem broń o jego pierś, akuratnie naprzeciw serca. Włosy do cna miał przemoczone, pod oczami sine kręgi, woda po twarzy mu ściekała, co sprawiało, że jawił się jeszcze bardziej zmęczony i stary.

– Nie rób tego – wymamrotał łagodnie. – Jemu to ostaw.

Popatrywał przy tym w zarośla za moimi plecami. Zaraz też usłyszałem chlupot nóg w kałuży i wedle mego boku wychynął kapitan Alatryste, dysząc i z trudem oddech łapiąc. Przemknął niby pocisk i rzucił się ku Włochowi. Nawet ust nie otworzył. Ucałował go jeno za włosy, na bok rapier odłożył i przytknął jeńcowi do gardzieli ogromnej wielkości nóż. Jąłem szybko myśleć, lubo bez głębszego zastanowienia. Po prostu ujrzałem nas w tym lesie, kapitana i mnie, i zaraz zobaczyłem w duchu groźne oblicze hrabiego–diuka, wrogie spojrzenie hrabiego de Guadalmedina oraz dostojną osobistość, którą ostawiliśmy za sobą pod ochroną raptem Rafaela de

Cózar. Jeżeli zabraknie świadka, którym może być Malatesta, trzeba będzie mnogich wyjaśnień udzielać, a kto wie, czy na wszystkie pytania zdołalibyśmy znaleźć odpowiedzi. Ledwie to pojął, zmartwiałem. I natychmiast chwyciłem kapitana za ramię.

– To mój jeniec, kapitanie.

Jak gdyby mnie nie dosłyszał. Widziałem jeno jego granitowy profil, a na nim wymalowany wyrok śmierci. Oczy, jeszcze bardziej w deszczu zszarzałe, z tej samej stali zdawały się uczynione, co sztylet. Mięśnie, żyły i ścięgna dłoni naprężone miał do granic, gotowe do ciosu.

– Kapitanie!

Wcisnąłem się między nich, niemal na Malatestę włączając. Pan mój atoli odepchnął mnie gwałtownie, unosząc przy tym wolną rękę, ażeby policzek mi wymierzyć. Spoglądał przy tym tak, jak gdyby to mnie przekłuć lewakiem zamierował.

– Mnie się poddał!. To mój jeniec!

Trwało to jak zły sen wśród otaczającego nas brudu i deszczu, co na łby nam padał, rozdeptanego błota, szumu wody i wtórującym mu ciężkim oddechem kapitana i Malatesty. Sztylet ani na cal od gardzieli Włocha się nie odsuwał, kapitan jeszcze mocniej go przycisnął. Już jeno siła, z jaką odciągałem jego ramię, wstrzymywała go przed wykonaniem wyroku.

– Ktoś – nalegałem – będzie musiał wytłumaczyć sędziom, co tu się stało.

Pan mój oczu nie spuszczał z Malatesty, który głowę odchylił jak najdalej do tyłu i z zaciśniętymi szczękami czekał na koniec.

– Nie chcę, żeby waszą miłość i mnie – powiedziałem – torturowano jak bydlęta w rzeźni.

A to nam niechybnie groziło. Na samą myśl skóra mi cierpła. Nareszcie poczułem, że kapitan zwalnia ucisk, lubo nadal dłonią krzepko rękojeść

dzierży. Snadź roztropne słowa moje z wolna przywracały mu rozum.

Malacieście już przywróciły.

– Nie pierdolże, mały – krzyknął, miarkując, jak się sprawy mają. –
Niech mnie zaszlachtuje.





EPILOG.



Ivaro de la Marca, hrabia de Guadalmedina, podał kapitanowi Alatryste szklanice wina.

– Niechybnie pić ci się chce jak wszyscy diabli.

Kapitan przyjął poczęstunek. Siedzieliśmy na stopniach przedsionka pawilonu w La Fresneda, otoczeni zbrojnymi po zęby członkami straży królewskiej. Na dworze deszcz turkotał o płachty, którymi przykryto zwłoki czterech siepaczy, zgładzonych w lesie. Piąty, podziurawiony przez Rafaela de Cózar, z wielką raną w głowie i kilkoma drobniejszymi, które dostał na dokładkę, spoczywał na noszach i bardziej umarlaka przypominał niżli żywego. Dla Gualteria Malatesty szczególnie przygotowano traktament: widzieliśmy z kapitanem, jak oddalał się na smętnym mule, zakuty w kajdany na rękach i nogach, w szczelnej eskorcie strażników. Kiedy ostatni raz nas mijał, brudny i przybity, jego oczy bez wyrazu przesunęły się po nas, jak gdybyśmy byli mu zgoła nieznani. Zaraz wspomniałem jego ostatnie słowa w lesie wypowiedziane, gdy czuł na gardle nóż kapitana. Zaprawdę, więcej byłby zyskał, gdyby zginął – pomyślałem, bom już sobie imaginowałem, co go teraz czeka: przesłuchanie i tortury, które będą miały wyjaśnić, ile wie o całym spisku.

– I tuszę – dodał Guadalmedina, głos trochę zniżając – żem ci winien przeprosiny.

Dopiero co wyszedł z pawilonu, gdzie długo z królem był rozprawiał. Mój pan umoczył wąsy w winie i nic nie rzekł. Wyglądał na wielce znużonego, włosy miał zmierzwiłone, na obliczu ślady błota i utrudzenia, odzienie do cna przemokłe i poszarpane wskutek walki w zaroślach. Zerknął na mnie swymi zimnymi, jasnymi oczami, za czym przesunął wzrok z powrotem na Cozara, który siedział nieopodal na ławeczce, okryty derką. Na twarzy miał wniebowzięty uśmiech, policzki upstrzone ranami, czoło podziurawione, a jedną powiekę opuszczoną jak gdyby na znak żałoby. Jego także poczęstowano trunkiem, który żłopał bez niczyjej pomocy, a trzeba waszmościom wiedzieć, że za pazuchą trzymał jeszcze trzy szklanice. Snadnie dostrzec można było, że jest szczęśliw i że duma rozpiera mu napierśnik na równi z winem. Śród dopadającej go czkawki wznosił okrzyki na cześć monarchy, porykiwał jak lew albo deklamował po cichu poprzekręcane fragmenty Peribañeza i komandora. Łucznicy straży królewskiej popatrywali nań osłupiali i mamrotali między sobą, nie mogąc dociec, czy tak pijany, czyli też do cna rozum postradał:

Ja poddanym, on jej gachem,

Ja winieniem go ochraniać;

On mi myśli honor zabrać,

*Ja ocalę życie panu.*¹¹⁷

Kapitan podał mi szklanicę, z której tęgi haust pociągnąłem. Wino sprawiło, że dreszcze mniej mi jęły doskwierać. Za czym oddałem kapitanowi szklanice i popatrzyłem na Guadalmedinę, co stał w suchych, wytwornych szatach wedle nas, z dłonią niedbale wspartą na biodrze.

Przyjechał był co koń wyskoczy z dwudziestką łuczników zaraz po przeczytaniu mego liściku po to jeno, ażeby laury odebrać, wszystko snadź było już zakończone: król siedział bez jednego draśnięcia na kamieniu pod dębem w środku lasu, Malatesta leżał z twarzą w błocie i rękami skrępowanymi na plecach, a my usiłowaliśmy przywrócić do życia Cozara, który bez krzty rozumu obłapiał swego przeciwnika, co pod nim legł w jeszcze gorszym stanie niżli on sam. Aliści mimo to łucznicy zdążyli nam rapierami gardła połaskotać, zanim zmiarkowali, co się naprawdę stało. I trzeba waszmościom wiedzieć, że już by nas piekło pochłonęło, bo Guadalmedina nie kwapił się słowa na naszą obronę wygłosić, gdyby nie sam Filip Czwarty, który rzecz całą jak należy objaśnił. Że owych trzech szlachciców – takimi słowy król sprawę ujął – żywot mu ocaliło z ogromną odwagą i narażeniem własnego. Po tak dwornym świadectwie nikt już nam wstrętów nie czynił, nawet Guadalmedina raptowną odmianę humoru odczuł. Tak to znaleźliśmy się na owym ganku w otoczeniu strażników i ze szklanicą wina, Jego Katolicką Mość zasię doglądano wewnątrz, a świat powrócił na swe dawne tory, nie pytajcie mnie wszelako, czy lepsze, czyli też gorsze.

Álvaro de la Marca strzelił palcami i kolejną szklanicę przynieść kazał. Gdy sługa podał mu ją, hrabia uniósł trunek na cześć kapitana.

– Za dzisiejszy poranek, Alatryste – powiedział z uśmiechem. – Za króla i za ciebie.

Wypił i wyciągnął dłoń w rękawiczce, by podać ją memu panu, a może by pomóc mu powstać, ażeby przyłączył się do kompanii. Kapitan atoli siedział dalej niewzruszony, ze szklanicą na podołku, jak gdyby nie widział ofiarowanej dłoni. Wzrok wbity miał w trupy leżące w błocie i zalewane strugami deszczu.

– Może. – podjął Guadalmedina.

I zaraz urwał, a jam widział, jak uśmiech spelza z jego warg. Zerknął na mnie, ja aliści wzrok odwróciłem. Jeszcze chwilę się nam przyglądał. Za czym z wolna odstawił szklanicę na ziemię i oddalił się.

A ja siedziałem w milczeniu wedle boku mego pana i wsłuchiwałem się w grzechot deszczu o dachówki.

– Kapitanie – mruknąłem nareszcie.

Tyle jeno. Wiedziałem, że to wystarczy. Poczułem jego szorstką dłoń na moim ramieniu, a chwilę później przyjazne klepnięcie w kark.

– Przeżyliśmy – ozwał się w końcu.

Zadrzałem, trochę z winy chłodu, a trochę wspomnień. I nie tylko o wydarzeniach w lesie przy tym dumałem.

– Co z nią teraz będzie? – spytałem cichutko.

Nie spojrział na mnie.

– Z nią.?

– Z Angelicą.

I znów przez czas jakiś ust nie otwierał. Wpatrywał się w drogę, którą Gualterio Malatesta odjechał na spotkanie ze swym katem. Za czym pokręcił głową i odparł: – Nie zawsze można wygrywać.

Wokół rozbrzmiały głosy, szcęk broni, miarowy tupot wojskowych butów. Łucznicy w operlonych deszczem zbrojach formowali na koniach szyk, do bramy przybliżał się powóz w czwórkę siwków zaprzężony. Guadalmedina pospołu z innymi dworskimi osobistościami na powrót się pojawił w zdobnym klejnotami kapeluszu. Prześliznął się wzrokiem po nas i wydał kilka rozkazów. Zawtórowały mu polecenia przez inne głosy wydawane, zarżały konie, łucznicy wyrównali karnie w szeregu, nader godnie w siodłach się prezentując. Naówczas z wnętrza wyszedł król w wysokich butach, w kapeluszu i z przypiętym rapierem. Strój myśliwski zmienił był na szatę z błękitnego brokatu. Cózar, kapitan i ja zerwaliśmy się

na równe nogi, wszyscy krom Guadalmediny głowy odkryli, on jeden snadź jako grand Hiszpanii miał przywilej pozostawania w kapeluszu w przytomności monarchy. Filip Czwarty spojrział bezbarwnym wzrokiem gdzieś w górę z tą samą miną, jaką przybrał był rano podczas zajścia w lesie. Przeszedł przez ganek z uniesioną głową, przybliżył się do powozów, nawet spojrzeniem nas nie zaszczyił i wsiadł do karety, którą podstawiono pod same stopnie wejściowe. Guadalmedina już miał złożyć schodki i zamknąć drzwiczki, kiedy król ozwał się doń po cichu. Widzieliśmy, jak Álvaro de la Marca schyla się, jak bacznie słucha, na ulewę nie zważając. Nareszcie zmarszczył czoło i skinął głową.

– Alatryste – rozkazał.

Zerknąłem na kapitana, który w konfuzji niejakiej patrzył na Guadalmedinę i na króla. W końcu zrobił kilka kroków i wyszedł spod osłaniającego ganek daszka. Zaraz też spoczęło na nim błękitne, habsburskie spojrzenie, wodniste i zimne niczym u ryby.

– Oddać mu rapier – rzucił Guadalmedina.

Przybliżył się wachmistrz, niosąc broń i oporządzenie. Nie były własnością kapitana, jeno pierwszego z siepaczy, którego zgładził był w lesie. Ujął kapitan rapier w dłoń, konfuzja jego atoli jeszcze się pogłębiła. Po chwili wsunął żelazo za pas, a gdy na powrót podniósł oblicze, przypominał podejrzliwego sokoła, a wrażenie to spotęgowała jeszcze woda, co ściekała mu po orlim nosie i sumiastych wąsach.

– Dla mnie ta kula – rzekł Filip Czwarty z zadumą.

Nie posiadałem się ze zdumienia, aż zmiarkowałem, że to są słowa, jakie kapitan był wykrzyknął, gdy Malatesta mierzył w króla z pistoletu. Pan mój przypatrywał się władcy ze spokojem i zaciekawieniem, snadź w głowę zachodził, do czego to wszystko zmierza.

– Guadalmedina, kapelusz waszmości – zażądał Jego Katolicka Mość.

Zapadło długie milczenie. Nareszcie Álvaro de la Marca spełnił rozkaz, wielce niechętnie odkrył głowę – cały był już niby gąbka – i podał kapitanowi swe wytworne nakrycie, udekorowane bażancim piórem i wstęgą wysadzaną diamentami.

– Załóż go – nakazał król – kapitanie Alatryste.

Pierwszy raz w całym mym życiu ujrzałem, że kapitanowi aż się gęba otwarła. Trwał tak przez chwilę, niepewnie mnąc filcowe rondo w dłoniach.

– Załóż go – powtórzył monarcha.

Kapitan skinął głową, jakby nareszcie doń dotarło. Popatrzył na króla, na Guadalmedinę, za czym przyjrzał się kapeluszu z zadumą i wcisnął go na łeb, przywracając powszechny ład.

– Nigdy nie będziesz się mógł tym chełpić publicznie – ostrzegł Filip Czwarty.

– Nie wątpię – odparł mój pan.

Dłuższą chwilę mroczny zabijaka i władca obojga światów przyglądali się sobie w milczeniu. Po nieruchomym obliczu Habsburga przemknął cień uśmiechu.

– Życzę szczęścia, kapitanie. A jeśli kiedyś chciano by cię powiesić albo wsadzić w garotę, powołaj się waszmość na króla. Od tej pory masz prawo być ścięty, jak na szlachcica i rycerza przystało.

Tako rzekł wnuk Filipa Drugiego owego dżdżystego poranka w La Fresneda. Zaraz potem wydał rozkaz, Guadalmedina wsiadł do powozu, podniósł schodki i zamknął drzwiczki, stangret na koźle trzasnął z bicia i kareta potoczyła się naprzód, wodotryski z kałuż wzbijając, w ślad za nią pomknęli łucznicy, a z nimi pospołu okrzyki chwalebne Cozara. „Niech nam żyje nasz katolicki król!” – wołał przytomny znowu komediant. A może jeno przytomnym podobny. Niech nam żyje dynastia i tak dalej.

Boże, błogosław Hiszpanię, strażniczkę prawdziwej wiary. Hiszpanię i całą jej taki owaki rodowód.

Zdjęty podziwem, przybliżyłem się ku kapitanowi, który odprowadzał wzrokiem oddalający się królewski orszak. Elegancki kapelusz Guadalmediny mocno odcinał się od reszty postaci, powalanej błotem, podrapanej, zmierzwionej i utrudzonej. Ja sam nie lepiej wyglądałem. Kiedym podszedł, zmiarkowałem, że się śmieje cicho, jak gdyby do własnych myśli. Ledwie mnie usłyszał, odwrócił się, mrugnął okiem, zdjął kapelusz i pokazał mi go.

– Fortunnie – westchnąłem – coś dostaniemy za te diamenty.

Kapitan przypatrzył się klejnotom na wstędze, za czym pokręcił głową i nakrył ją znowu.

– Są fałszywe – powiedział.

La Navata, sierpień 2003



WYĄTKI Z KWIATÓW POEZJI PRZEZ DWORSKIE
ZNAKOMITOŚCI UŁOŻONYCH

Druk z wieku XVII bez daty, zachowany w dziale „Hrabiowie
Guadalmedina”

Archiwum i Biblioteki Diuków del Nuevo Extremo (Sewilla)



RZECZ MOŚĆ FRANCISCA DE QUEVEDO Y VILLEGAS

DO PROKURATORA SATURNINA APOLO, KOMPANA ZŁYCH
WIERSZY

I CUDZYCH SAKIEWEK

Tyś prokurator, co chce prokurować, By trzos ci pęczniał – bez wstydu
ni strachu; Tyś basileus złodziejskiego fachu, Pijawko łapczywa, szpetna
twa mowa.

Pióro twe – nikczemne paskudztwa knowa, Smrodu nanosisz do poezji
gmachu; Lubo użyjesz jambów, amfibrachów, Dupoliz wylezie z każdego
słowa.

Adonisie podobny do satyra,
Mętny geniuszu zawszonych makaków, Żółć z zadu sączy ci się, a nie
mirra.

Muz ekskrementem jesteś, mdły łajdaku, Bardziej sakiewka cię nęci niż
lira.

I nie Apollo stryjcem twym, lecz Kakus.



RZEZ MOŚĆ

LUISA DE GÓNGORA Y ARGOTE

JAKO TO NADOBNOŚĆ

I ŻYCIE SĄ ULOTNE

Gdy oto z włosami twymi w zawody Daremnie złoto gładkie iść pożąda;
Gdy czoło twe białe z góry spogląda Na lilię, co sobie roiła gody;

Gdy trzcina, smukło strzelająca z wody, Szyi twej prymat oddać musi w sądach, A oczu twych blask więcej ócz przyciąga, Niż majowej rosy kobierzec młody;

Ukazuj oczy, szyję, czoło, włosy –

W dniach, kiedy się grzeją twoją młodością Złoto, cna lilia, trzcina, krople rosy.

Nie zawsze będą lśnić tą nadobnością, Ty z nimi staniesz się, jak chcą niebiosy, Ziemią, dymem, pyłem, cieniem, nicością.



RZEZ FELIKSA LOPEGO
DE VEGA CARPIO O ROZKOSZACH
I PRZECIWNOCIACH,
JAKIE MIŁOŚĆ SPRAWIA

Bez tchu lec, wstać gniewnie, zmysły postradać, Umierać, żyć dalej, śmiać się, łkać w męce, Kryć się, ujawniać, z ulgą i w udreće, Skwar czuć i zimno, dawać i podkradać,

Na przemian „dzięki” wołać albo „biada”, Serce mieć wolne, skępowane ręce I za zniewagę składać je w podzięce, Nie wiedzieć, nagrodali to czy zdrada;

Piekła czeluściom miano niebios przyznać, Łaską nazywać okrutną tyranie, Pić chciwie, lubo w pucharze trucizna;

Duszę omamom oddać w posiadanie, Wierność niewiernej i podstępnej wyznać.

Wie, kto tego zaznał: to jest kochanie.

POZWOLENIE,

Pochyliliśmy się nad niniejszą księgą, zatytułowaną *Kawaler w żółtym kaftanie*, to jest piątą częścią tak zwanych *Przygód kapitana Alariste*, a to z racji tej, że Mość Arturo Pérez-Reverte o zgodę na jej druk prosi. Jako i w poprzednich tomach, i tu nijakiej obrazy dla naszej Świętej Wiary ni dla dobrych obyczajów nie znajduję, za to wielką obfitość przednich conceptów i talentów autora, a osobliwie mnogie a cenne uwagi, które pod pozorem wdzięcznej, wydarzeń pełnej powiastki kryją w sobie ziarna poważnej filozofii moralnej. Lubo skromnie szafuje autor pobożnymi refleksjami chrześcijańskiej natury, tuszę, że lektura niniejsza może młodego człowieka wzbogacić, język jej bowiem zadowoli krasomówców, przygody i zdarzenia miłe będą ciekawskim, posłuszeństwo wobec prawdy ukontentuje uczonych, ostrzeżenia przydadzą się ostrożnym, a niejaka gorycz, co z przykładów przytaczanych wraz z nauką płynie, takż może być pożyteczną, z czego konstatować należy, że krom radości i korzyść czerpać tu będziemy.

Dla powyższych racji uznajemy, że autor winien otrzymać zgodę na druk, o którą prośbę zanosí.

Podpisano w Madrycie, dziesiątego dnia października, roku 2003.

Luis Alberto de Prado y Cuenca Sekretarz Rady Kastylii



Przygody kapitana Alatryste

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępna politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego wciąż zachowuje elementarne zasady moralne. Kapitan Alatryste traci swą rycerską niewinność! Ujawnia mroczne zaciekle oblicze, niełatwe do zaakceptowania nawet dla jego wiernego giermka. Tym razem akcja powieści rozgrywa się wokół teatru, tam też dochodzi do igrzysk teatralnej intrygi: zabiegając o względy pięknej aktorki, Alatryste staje naprzeciw niespodziewanego konkurenta w osobie samego króla. I nim zdola się obejrzeć, zostaje oskarżony o królobójstwo. Co w tej sztuce jest prawdą i kto kryje się pod kolejnymi maskami?

Każda powieść z tej serii stanowi odrębną przygodę, choć nie zmieniają się główni bohaterowie, także żli, i najczęściej poczynania tych ostatnich są osnową fabuły.

Wkrótce kolejny tom!

Patroni medialni:



głazego

marie claire

empik news



Pełna kultura



merlin.pl

Cena 29,90 zł

ISBN 83-7319-925-X



9 788373 199255 >

www.muza.com.pl

[← 1]

Tirso de Molina należał do zakonu mercedariuszy, czyli Matki Bożej Łaskawej, patronki jeńców i niewolników.

[← 2]

Tirso de Molina, *La huerta de Juan Fernández* (Ogród Juana Fernandez). (Jeśli nie podano inaczej, wszystkie przekłady cytowanych utworów literackich pochodzą od tłumacza).

[← 3]

Lope de Vega, *El arte nuevo de hacer comedias en este tiempo* (Nowa sztuka pisania komedii w obecnych czasach).

[← 4]

Tirso de Molina, dz. cyt.

[← 5]

Sayago – region w pn.–zach. Hiszpanii, graniczący z Portugalią. Jego mieszkańcy uchodzili za ludzi prostych, ale nader honorowych i dumnych.

[← 6]

Ambrogio Calepino (1440–1510) – włoski leksykograf, autor słownika łacińskiego *Cornucopiae* (Róg obfitości) z 1502 r., w późniejszych wydaniach wzbogacanego o coraz liczniejsze odnośniki w innych językach (wydanie bazylejskie z 1590 r. miało odpowiedniki w jedenastu językach). Jego nazwisko stało się synonimem wielojęzycznego leksykonu. O czerpaniu obficie z Calepina pisał szydlerczo Quevedo w *Ejemplo hermafrodito – romance latin* (Przykład hermafrodytyczny – romanca łacińska).

[← 7]

Parafraza fragmentu utworu *Soledad primera (IIIa parte)* (Poemat o samotności pierwszy, 3 część) Luisa de Góngora. Tam wers ów, sławiący ptaka z Arabii, brzmi: *stos mu erylguje i gniazdo wije*.

[← 8]

Leje się – okrzyk, jakim ostrzegano przechodniów, że wylewa się nieczystości z okna. Z oczywistych powodów robiono to późno w nocy.

[←9]

Cumquibus (łac.) – dosł. „przy pomocy których”; eufemistyczna metonimia, oznaczająca pieniądze (zazwyczaj duże).

[← 10]

Francisco de Rojas Zorrilla (1607–1648) – dramaturg o dużym talencie satyrycznym, działający w kręgu Pedra Calderona.

[← 11]

Lluís de Cardona–Fernández de Córdoba i Fernández de Córdoba, diuk de Sessa, baron de Bellpuig (1582–1642) – kataloński magnat. Przyjaciół Lopego de Vega, opłacił pogrzeb poety i był wykonawcą jego testamentu.

[← 12]

Śpiewka sparafrazowana przez Tirsa de Molina w sztuce *Santo y sastre* (Święty i krawiec), ogłoszonej drukiem w 1635 r. Tam mowa o felczerze, który leczy przepuklinę – Maurom za pieniądze, chrześcijanom z czystej łaski.

[← 13]

Miles... (łac.) – żołnierz, przez wodza wychwalany, jest Hiszpanem.

[← 14]

Rokambor (hiszp. tresillo) – hiszpańska trzyosobowa gra w karty, niezwykle popularna w całej Europie w XVII i XVIII w., znana także pod nazwą el hombre.

[← 15]

Guillén de Castro (1569–1630) – żołnierz, dramaturg i poeta z Walencji. Na wspomnianej dwuczęściowej sztuce *Las mocedades del Cid* Pierre Corneille oparł swoją słynną tragedię *Cyd*.

[← 16]

Krzyż Zakonu Świętego Jakuba, w kształcie krótkiego, czerwonego miecza, zwany był popularnie w Hiszpanii „jaszczurką”.

[← 17]

Torre de Juan Abad – posiadłość w Manczy, dziś spora wieś, założona jeszcze przez Maurów, przejęta po rekonkwiecie przez Zakon Świętego Jakuba.

[← 18]

Francisco de Quevedo, sonet *Który mówi o krótkości życia i o tym, jak bardzo znikomym jest wszystko, co się przeżyło* (przeł. Andrzej Nowak).

[← 19]

Francisco de Quevedo, *Epitafio al mesmo* (Epitafium dla tegoż).

[← 20]

Kultyzm – aluzyjny i skrajnie estetyzujący kierunek w poezji baroku hiszpańskiego, hołdujący wymyślnym konstrukcjom językowym, zwany też gongoryzmem od nazwiska jego czołowego przedstawiciela.

[← 21]

Góngora odziedziczył prebendę w katedrze kordobańskiej po swym wuju.

[← 22]

Juan de Tassis y Peralta, hr. de Villamediana (1583–1622) – madrycki magnat i poeta, zamordowany na ulicy Mayor w tajemniczych okolicznościach. Jego beneficja miał jakoby przejść znany czytelnikom, ale fikcyjny, hrabia de Guadalmedina.

[← 23]

Konceptyzm – barokowy nurt poetycki wyznający zasadę, że u podstaw utworu winien być szczególny koncept, czyli idea, której należy podporządkować środki wyrazu i treść. Quevedo był najwybitniejszym reprezentantem konceptyzmu.

[← 24]

Marta de Nevares Santoyo (1590–1632) – dama, żona kupca Roque Hernandez, ostatnia wielka miłość Lopego de Vega. Jako Amarilis adresatka dedykacji jego wierszy, jako Marcia Leonarda – nowel. Ostatnie 9 lat życia spędziła w ślepcie i obłądnie.

[← 25]

Przy tym drzewku Lope de Vega spotykał się przez lata z przyjaciółmi na dyskusje literackie.

[← 26]

Luis Alberto de Cuenca y Prado – współczesny poeta i eseista, przyjaciel autora powieści.
Figuruje także podpisany pod kończącym niniejszą książkę imprimatur.

[← 27]

Lopito Félix de Vega Carpio (1607–1634) – nieślubny syn Lopego de Vega i Micaeli Lujan, poeta i żołnierz. Utonął w morzu podczas służby.

[← 28]

W 1625 r. cztery statki hiszpańskie, wiozące srebro, osłaniane przez osiem galer geneńskich, stoczyły bitwę z Francuzami nieopodal prowansalskiego archipelagu Hyeres.

[← 29]

Genua, sojusznik Hiszpanii w XVII w., skutecznie odparła najazd wojsk sabaudzkich i francuskich w 1625 r.

[← 30]

Margarita – wyspa u wybrzeży Wenezueli, w czasach kolonialnych często napadana przez piratów.

[← 31]

Terceira – jedna z wysp archipelagu Azorów. W 1583 r. flota hiszpańska pokonała tam Portugalczyków, czego następstwem było włączenie Portugalii do korony Habsburgów.

[← 32]

W 1591 r. Filip II stłumił zbrojnie bunt szlachty aragońskiej, która domagała się uznania szczególnych przywilejów w ramach królestwa.

[← 33]

Ta wyprawa morska Niezwyciężonej Armady przeciwko Anglii miała miejsce w 1588 r.
Nie jest jednak jasne, czy Vega brał w niej udział.

[← 34]

Lope de Vega, *A don Luis de Góngora* (Do mości Luisa de Góngora).

[← 35]

Luis de Góngora, *A los seguidores de Lope de Vega* (Do naśladowców Lopego de Vega).

[← 36]

„Jego adeptów” – aluzja do uszczypliwego sonetu Gongory *A los mismos* (Do tychże samych), rozpoczynającego się od słów: „*O hrabim Clarosie*”, *rzekł i wnet oto / adepci się w krąg Lopego skupili*.

[← 37]

Miguel de Cervantes, przedmowa do *Ocho comedias y ocho entremeses* (Osiem komedii i osiem intermediów).

[← 38]

Patrz *Don Kichote*, cz. I, rozdz. XVIII. Kpiarskich i czytelnych aluzji do Lopego de Vega jest w powieści znacznie więcej.

[← 39]

Lope de Vega, list do diuka de Sessa z sierpnia 1604 r. Wprawdzie *Don Kichote* wyszedł rok później, ale jego treść była znana w świecie literackim. Istnieje zresztą teoria, wedle której de Vega stał za sfałszowanym drugim tomem powieści, opublikowanym w 1614 r. pod nazwiskiem Alonso Fernandez de Avellaneda.

[← 40]

Lope de Vega, sonet *Pues nunca de la Biblia digo le...* (Owóz Biblii to ja nie muszę czy-...).

[← 41]

Miguel de Cervantes, prolog do *Viaje al Parnaso* (Podróży na Parnas).

[← 42]

Miguel de Cervantes, Viaje al Parnaso (Podróż na Parnas).

[← 43]

Przeróbka popularnej strofy ludowej: „Myśli, leć i powiedz dziewczce, / która moje budzi
żądze, że w swym sercu *miłość chowam*, a w sakiewce mam pieniądze”.

[← 44]

Wg: Lope de Vega, wiersz umieszczony w przedmowie do dedykowanej Contrerasowi sztuki *El rey sin reino* (Król bez królestwa).

[← 45]

Lope de Vega, *Rimas humanas CXCI*: „*Es la mujer del hombre lo más bueno...*” (Poezje świeckie, 191: „Nie masz nad niewiastę lepszej istoty...”).

[← 46]

Wszystkie cztery to znane płótna Tycjana.

[← 47]

W dobie prześladowań na tle wyznaniowym czystość krwi chrześcijańskiej była dobrem najbardziej pożądanym. Najwyżej w Hiszpanii cenieni byli ludzie, mogący się wykazać pochodzeniem od Wizygotów, pierwszych chrześcijan, którzy stawili opór arabskim najeźdźcom w VIII w.

[← 48]

Wpływ hiszpańskiej kultury na teatr francuski był w XVII w. ogromny. Corneille zaadaptował *Cyda* wg Guillena de Castro oraz *Podejrzaną prawdę* wg Ruiza de Alarcón, Molier *Don Juana* wg Tirsa, Jean de Rotrou *Pierścień zapomnienia* wg Lopego de Vega.

[← 49]

Francisco de Quevedo, Epístola satírica y censoria contra las costumbres presentes de los castellanos (List satyryczny a upominający przeciwko współczesnym obyczajom Kastylijczyków).

[← 50]

Francisco de Quevedo, satyra Fiesta en que cayeron todos los toreadores (Święto, podczas którego padli wszyscy toreadorzy).

[← 51]

Antonia Téllez–Girón y Enriquez de Ribera (?–1648), zona IX hrabiego de Lemos.

[← 52]

Być może chodzi o Juanę Isasi Ladrón de Guevara, hrabinę de Pie de Concha, żonę Diega Sarmiento de Sotomayor, hr. de Salvatierra. Ich córka jest jedną z dworek, przedstawionych na słynnym obrazie Velazqueza *Las Meninas*.

[← 53]

Francesco Barberini (1597–1697) – kardynał, papieski negocjator pomiędzy Francją a Hiszpanią.

[← 54]

W 1527 r., po wejściu wojsk Karola V do Rzymu, papież Klemens VII schronił się w zamku Sant' Angelo.

[← 55]

Licząc od zjednoczenia królestw Kastylii i Aragonii w Królestwo Hiszpanii w 1474, roku ślubu Izabeli Kastylijskiej z Ferdynandem Aragońskim.

[← 56]

Alonso Jerónimo de Salas Barbadillo (1581–1635) – powieściopisarz, poeta i dramaturg.

[← 57]

Francisco de Quevedo, Un casado se ríe del adúltero que le paga el gozar con susto lo que a él le sobra (Mąż z cudzołóżnika szydzi, który płaci mu za rozkosz lękliwie zażywaną, której tamten ma aż nadto).

[← 58]

Saturnino Apolo (XVI–XVII w.) – prokurator Świętego Oficjum.

[← 59]

Francisco de Quevedo, Al procurador Saturnino Apolo, amigo de malos versos y de bolsas ajenas (Do prokuratora Saturnina Apolo, kompana złych wierszy i cudzych sakiewek).

[← 60]

Hipokras (od imienia Hipokratesa) – słodkie korzenne wino, wyrabiane w średniowieczu.

[← 61]

Lope de Vega, *La francesilla* (Francuzeczka).

[← 62]

Kawaler w żółtym kaftanie – bohater powieści przygodowej, którą napisał ojciec autora, a której rękopis zaginął. Pérez-Reverte zadedykował tej legendzie swego dzieciństwa powieść *Fechtmistrz*.

[← 63]

Mt 4,8 (przekł. ks. Jakuba Wujka).

[← 64]

Trzyczęściowa powieść łotrzykowska utrzymana w dosyć pogodnym nastroju, autorstwa Vicente de Espinel (1550–1624), wydana w 1616 r.

[← 65]

W prowincji Biskaja (Kraj Basków) i w Toledo znajdowały się najsłynniejsze warsztaty płatnerskie i rusznikarskie.

[← 66]

Miguel de Cervantes, *Przemysłny szlachcic don Kichote z Manczy, część druga* (przeł. Anna Ludwika Czerny, Zygmunt Czerny). W oryg. dosłownie: „niech brody zamilkną, a przemówi papier”. U Cervantesa Sanczo Pansa przekonuje tymi słowy, by wszelkie obietnice poświadczać na piśmie.

[← 67]

Esquivias – miejscowość między Toledo a Madrytem. Wino tam produkowane w dużych ilościach trafiało na stoły dworu Filipa IV.

[← 68]

Lorenzo de Zamora (?–1614) – drugorzędny poeta Złotego Wieku, znany właściwie z jednego, cytowanego tu dzieła.

[← 69]

Lorenzo de Zamora, *La Saguntina, o Primera parte de la historia de Sagunto, Numancia y Cartago* (Sagunteja, albo Pierwsza część historii Saguntu, Numancji i Kartaginy).

[← 70]

Czyli od roku 778.

[← 71]

Szturm na tureckie garnizony na Negroponcie (dzisiejszej Eubei) miał miejsce w 1599 r.

[← 72]

Postacie kobiece z poematu *Orland szalony* Lodovica Ariosta (1474–1533). Marfisa jest królową–wojowniczką, która w stroju rycerza niesie śmierć; Bradamante, walcząca w armii Orlanda, w męskim przebraniu szuka sposobu, by połączyć się z ukochanym.

[← 73]

Sardanapal, właśc. Assurbanipal (669–627 p.n.e.) – król Asyrii. Jak podaje Arystoteles w *Polityce*, ze strachu przed spiskowcami przebrał się za kobietę i siadł do kądzieli, ale mu to nie pomogło.

[← 74]

Malchus – sługa Kajfasza, który przyszedł pojmać Jezusa w Ogrójcu. Piotr mieczem obciął mu ucho.

[← 75]

Item (łac.) – tu: osobliwie, tym bardziej.

[← 76]

Andrés Pacheco (1550–1626) – biskup miasta Cuenca, patriarcha Indii Zachodnich, w latach 1622–1626 Wielki Inkwizytor.

[← 77]

Antonio Juan Luis de la Cerda, siódmy diuk de Medinaceli (1607–1671) – mecenas artystów, reprezentował Queveda podczas ślubu per procura w 1632 roku.

[← 78]

Juan Alonso Enríquez de Cabrera (XVII w.) – magnat z rodziny, której zwyczajowo przypadał tytuł admirała Kastylii.

[← 79]

Enrique Ramón Folch diuk de Cardona (1588–1640) – wpływowa postać w Aragonii i Katalonii, pełnił m.in. funkcję głównodowodzącego sił zbrojnych Katalonii.

[← 80]

Gaspar de Haro y Guzmán, markiz de Liche (XVII w.) – bibliotekarz Filipa IV, po upadku Olivaresa zajął przy królu uprzywilejowaną pozycję.

[← 81]

Diego López de Haro y Sotomayor, markiz del Carpio (?–1648) – magnat bliski domowi królewskiemu, znawca malarstwa.

[← 82]

Czyli Wiosenna.

[← 83]

Francisco Gómez de Sandoval Rojas, diuk de Uceda i de Lerma, markiz de Cea (XVII w.) – grand Hiszpanii, wnuk słynnego diuka de Lerma, syn faworyta Filipa III, skoligacony z licznymi rodzinami portugalskimi.

[← 84]

Puttana Eva (wł.) – Ewa dziwka.

[← 85]

Francisco de Quevedo, Letrilla satírica „Despues que de puro viejo caduca ya mi vestido...”
(Wiersz satyryczny „Kiedy jeno me odzienie do cna szczególnie ze starości...”).

[← 86]

Francisco de Quevedo, *Desengaño de la exterior apariencia, con el examen interior y verdadero* (Rozczarowany pozorem zewnętrznym, poeta do wnętrza zagłąda i prawdę tam znajduje).

[←87]

Francisco de Quevedo, No es segura política reprimir malas acciones (Niepewna to polityka podstępnych imać się działań). W rzeczywistości zdanie to (w pełnym brzmieniu: Nacierać młode uszy prawdą gorzką, / o Licyniuszu drogi! – rzecz niepewna) pochodzi z satyry I rzymskiego poety Aulusa Persiusa Flaccusa (34–62 n.e.). Dalszy ciąg sonetu jest już całkowicie autorstwa Quevedo.

[← 88]

Francisco de Quevedo, jw.

[← 89]

Lope de Vega, *Sobre los deleites y contradicciones que causa el amor* (O rozkoszach i przeciwnościach, jakie miłość sprawia).

[← 90]

Jorge Manuel de Cárdenas Manrique de Lara, diuk de Maqueda (?–1644) – dworzanin królewski, wpływowy kawaler zakonu św. Jakuba, administrator znacznych obszarów w Manczy.

[← 91]

María Eugenia (1625–1627) – trzecie dziecko Filipa IV i Elżbiety Burbońskiej. Jak dwoje poprzednich, nie dożyła nawet wieku młodzieńczego.

[← 92]

Kardynał Ferdynand Habsburg (1609–1642) – brat Filipa IV, zjadły wróg Olivaresa.
Wicekról Katalonii od 1632 r., w latach 1634–1641 gubernator Niderlandów.

[← 93]

Rozegrana 5–6 września 1634 r. pod Nördlingen w pd. Niemczech bitwa zakończyła się sromotną klęską Szwedów, co zmusiło kardynała Richelieu do wciągnięcia Francji w wojnę trzydziestoletnią.

[← 94]

Aluzja do sentencji łacińskiej *Vita brevis, ars longa* (życie krótkie, sztuka długotrwała – Lucius Annaeus Seneca, *O krótkości życia*, przeł. Leon Joachimowicz).

[← 95]

Mowa o narzędziu tortur, zwanym kozłem, gdzie skazany był rozciągany za pomocą kołowrotów (więcej – patrz *W cieniu inkwizycji* tegoż autora, „Muza”, Warszawa 2004).

[← 96]

Bitwa pod Higuera, nieopodal Granady (1 lipca 1431 r.) zakończyła się ogromnym zwycięstwem Hiszpanów nad wojskami sultana Granady.

[← 97]

Saint-Quentin w północnej Francji stało się 10 sierpnia 1557 r. miejscem krwawego zwycięstwa Hiszpanii nad Francją.

[← 98]

Przy brzegach Terceiry (Azory) 26 lipca 1582 r. flota hiszpańska rozgromiła korsarzy francuskich. Powodem bitwy były zakusy obydwu stron do tronu portugalskiego.

[← 99]

Wielki książę moskiewski jest tytułowym bohaterem komedii Lopego de Vega z 1606 r. Wielce prawdopodobne też, że Rafael de Cózar odgrywał np. Jerzego Habsburga, arcybiskupa Liège i wuja cesarza Karola V.

[← 100]

María Calderón (1611–?) – szlachetnie urodzona aktorka, zwana „La Calderona”. Jej i króla synem (uznanym przez Filipa IV) był przyszły infant Juan Jose de Austria, wódz i przełożony Zakonu św. Jana w Kastylii i Leonie.

[← 101]

Krążący po dworze królewskim anonimowy wiersz, napisany na temat rezydencji hrabiego de Chirel, mieszczącej się w Madrycie przy ulicy Alcalá. Filip IV miewał tam schadzki z hrabiowską córką. Z czasem jego rozkazem dom przekazano siostrom z Zakonu Calatrava. W tym charakterze gmach funkcjonuje do dziś.

[← 102]

Luis de Góngora, *Sobre la fugacidad de la belleza y de la vida* (Jako to nadobność i życie są ulotne).

[← 103]

Giovanni Battista Castello, zw. Il Bergamasco (1509–1579) – włoski architekt i malarz, główny projektant w klasztorze Escorial, autor imponujących schodów wewnętrznych.

[← 104]

Pedro Ximénez – cenione wino deserowe z okolic Kordoby.

[← 105]

Francisco de Quevedo, sonet Un enfermo a quien los médicos fatigan con la dieta, se burla de su regimiento (Chory, któremu medycy dietą udrękę zadają, dworuje sobie z ich nakazów).

[← 106]

Francisco de Quevedo, *A Apolo, siguiendo a Dafne* (Do Apollina, co Dafne íciga).

[← 107]

Aguja de navegar cultos (Busola dla uczonych poetów) to tytuł satyrycznego tekstu Queveda, skierowanego głównie przeciwko kultystycznej poezji Gongory.

[← 108]

Francisco de Quevedo, En una conversación hicimos los dos el soneto siguiente, en clausulas ambeas o alternadas (Podczas pogawędki stworzyliśmy we dwóch taki oto sonet, o okresach dwuznacznych albo przeciwstawnych).

[← 109]

Francisco de Quevedo, sonet Otro „La voz del ojo quo llamamos pedo...” (Inny „Odgłos tej dziurki, który przykiem zwiemy...”).

[← 110]

Poca favilla gran fiamma seconda (wł.) – Z małej się iskry wielki pożar wszczyna (Dante Alighieri, *Boska komedia: Raj*, przeł. Edward Porębowicz).

[← 111]

Mowa o czarodziejce Kirke (*Odyseja*).

[← 112]

Juan Ruiz de Alarcón, *El tejedor de Segoria* (Tkacz z Segorii). Beltrán Ramírez był w sztuce alkadem Madrytu.

[← 113]

Aluzja do *Nowel przykładowych* autorstwa Miguela de Cervantes.

[← 114]

Celos aún del aire matan (Zazdrość oddechem zabić potrafi) – anachroniczna aluzja do tytułu komedii Pedra Calderona, powstałej w 1660 roku, a więc ponad 30 lat po opisywanych tu wydarzeniach.

[← 115]

Miecze, złota, puchary i pałki – kolory kart talii hiszpańskiej. Dzwonka (czyli walet) jest mocniejsza od siódemki.

[← 116]

Sahagún – miasteczko w północnej Kastylii, słynące w tamtych czasach (obok Toledo i prowincji Biskaja) z najlepszych płatnerzy.

[← 117]

Parafraza fragmentu komedii Lopego de Vega Peribañez i komandor. Oryginalne strofy brzmią: Ja poddanym, on jest panem; / pan powinien mnie ochraniać, *a że chce mi honor zabrać*, ja zabiorę życie panu (przeł. Zofia Szleyen).